

Michael Palmer

Siostrzyczki

(The Sisterhood)

Przełożył Piotr Roman

*Dedykuję z miłością moim synom Matthew i
Danielowi oraz moim rodzicom.*

PODZIĘKOWANIA

Książka ta jest córką chrzestną wymienionych poniżej niezwykłych ludzi. Moja wdzięczność wobec nich jest znacznie głębsza, niż może wyrazić słowo pisane.

Dziękuję:

– Jane Rotrosen Berkey, mojej agentce i przyjaciółce, która wiedziała, że mogę znacznie wcześniej, niż sam w to wierzyłem, – redaktorkom Lindzie Grey i Jeanne Bernkopf za styl, dowcip i wiedzę, które wniosły do tej książki, – Donnie Price i doktorowi Richardowi Dugasowi za krytyczne przeczytanie po krytycznym przeczytaniu, – adwokatowi Mitchellowi Benjoyi z Bostonu i doktorowi Stephenowi I. Cohenowi z Providence w stanie Rhode Island za pomoc techniczną, – Clarze i Fredowi Jewettom oraz wielu innym osobom, które nauczyły mnie żyć – i pisać – dzień po dniu.

Na koniec chciałbym szczególnie podziękować Jimowi Landisowi, bez którego udziału ta książka naprawdę by nie powstała.

M. S. P. Boston, 1982.

Prolog

– Wszystko już dobrze, mammo... jestem przy tobie...

Szczupłe palce przesunęły się po wykrochmalonym szpitalnym prześcieradle. Powoli objęły opuchniętą, bladą dłoń, przymocowaną do boku łóżka skórzanym pasem i plastrem.

Pacjentka, której drugą rękę i obie nogi podobnie przymocowano do łóżka, wpatrywała się nieruchomymi oczami, nawet bez śladu mrugnięcia, w splekany sufit. Jediną oznaką, że żyje, było rytmiczne unoszenie się i opadanie kołdry na piersi oraz muśnięcia języka o splekane wargi. Twarz, która musiała być kiedyś piękna, otaczały splątane, siwiejące włosy.

Skóra na policzkach dawno się zapadła i przylegała ciasno do kości, a oczy niemal ginęły w ciemnych, naznaczonych bólem kręgach. Choć na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że kobieta miała sześćdziesiąt pięć lat, dopiero pięć miesięcy temu skończyła czterdzieści pięć – wtedy to stwierdzono u niej chorobę.

Siedząca przy mosiężnym łóżku dziewczyna ścisnęła dłoń chorej, zaraz jednak odwróciła głowę, gdyż z oczu polały jej się łzy. Była ubrana w gruby, granatowy płaszcz i zimowe buty, z których kapał topiący się śnieg, tworząc na wyłożonej linoleum podłodze niewielką kałużę.

Przez pięć minut dziewczyna siedziała w bezruchu – jedyne dźwięki dochodziły z innych pokoi. W końcu zdjęła płaszcz, przysunęła krzesło do wezglowia łóżka i spytała:

– Mammo, słyszysz mnie? Ciągłe tak bardzo boli? Mammo, proszę cię... co mogę dla ciebie zrobić?

Minęło kilkadziesiąt sekund, nim chora odpowiedziała. Jej głos, choć cichy i chropawy, wypełnił pomieszczenie.

– Zabij mnie. Na Boga, proszę, zabij mnie!

– Mammo, przestań. Nie wiesz, o co prosisz. Wezwę pielęgniarkę, to coś ci da.

– Nie, moje dziecko. Leki nie pomagają. Od dawna nic nie jest w stanie złagodzić bólu. Dlatego możesz to dla mnie zrobić. Musisz to dla mnie zrobić.

Dziewczyna, zdezorientowana i przerażona jak nigdy w ciągu dotychczasowych piętnastu lat życia, popatrzyła na kroplówkę, z której do żyły w ramieniu matki skapywał przezroczysty płyn. Wstała i zrobiła kilka niepewnych kroków w kierunku drzwi, zatrzymała ją jednak ponowna prośba matki.

Wróciła z wahaniem do łóżka i zatrzymała się półtora metra przed nim. Z któregoś z pokoi w głębi korytarza dobiegł krzyk świadczący o przeraźliwym bólu, po chwili następny. Dziewczyna zamknęła oczy i zacisnęła zęby z nienawiści do tego okropnego miejsca, w którym tak niechętnie przebywała.

– Podejź i pomóż mi – błagała matka. – Pomóż mi przerwać ten straszliwy ból. Tylko ty możesz to zrobić. Weź poduszkę, dziecko. Połóż mi ją na twarzy i przyciśnij najmocniej jak potrafisz. To długo nie potrwa.

– Mammo, nie...

– Proszę! Kocham cię i jeśli też mnie kochasz, nie pozwól, by mnie tak bolało. Wszyscy mówią, że nie ma nadziei... nie pozwól, by mama dalej tak cierpiała...

– Kocham cię, mamó... kocham cię... Dziewczyna powtarzając szeptem słowa miłości, delikatnie uniosła głowę matki i wyjęła spod niej cienką, twardą poduszkę.

– Kocham cię, mamó... kocham cię... kocham... – szepcząc jak automat, położyła poduszkę na wychudzonej twarzy i przycisnęła ją z całej siły. Zaczęła przypominać sobie dobre i szczęśliwe czasy – długie wiosenne spacerunki, lekcje gotowania, kubki parującej czekolady w zimowe, zaśnieżone popołudnia.

Była szczuplutka i wiotka, jej ciało dopiero nabierało cech kobiecości. Dla lepszego nacisku wbiła palce w poszewkę i wyprostowała nogi w kolanach. Położyła się na poduszce. Z każdym przemykającym wspomnieniem naciskała mocniej... Jazdy wyboistą drogą nad jezioro... pikniki na brzegu... wyścigi do tratwy...

Ruch pod poduszką słabł, w końcu ustał.

Łkania mieszały się z odgłosami uderzającego w okno deszczu ze śniegiem, a dziewczyna leżała na łóżku, nie zdając sobie sprawy z tego, że oderwała z poduszki kawałek płótna i zaciskała go w dłoni.

Upłynęło prawie półtorej godziny, gdy wstała, wsunęła poduszkę na miejsce i pocałowała martwe usta matki. Potem szybko opuściła salę, zdecydowanie pomaszerowała korytarzem i wyszła z budynku w surowe zimowe popołudnie.

Był 17 lutego 1932 roku.

Rozdział pierwszy

Boston, 1 października.

Pierwsze promienie porannego słońca wpadły do pokoju, tuż zanim w radiu z budzikiem rozległy się dźwięki muzyki. David Shelton nie otwierał oczu. Słuchał, aż uznał, że może postawić na Cztery pory roku Vivaldiego, prawdopodobnie Lato. Od dawna grał w tę grę niemal co rano, ale tak rzadko udawało mu się prawidłowo odgadnąć utwór, że każda ewentualność zasługiwała na uczczenie.

Kojący męski głos, tak dobrany przez rozgłośnie, by pasował do wczesnych godzin porannych, zidentyfikował muzykę jako symfonię Haydna. David uśmiechnął się do siebie. Całkiem nieźle – obaj kompozytorzy pochodzili z tego samego kontynentu, zgadł nawet wiek powstania muzyki.

Odwrócił głowę do okna i uniósł odrobinę powieki, szykując się do stanowiącej część porannego rytuału następnej zgadywanki. Przez rzęsy przesączały się niewyraźne kolorowe refleksy słonecznego światła.

– Nic z tego – mruknął i przymknął mocniej powieki, by barwy zaczęły migotać.

– Co powiedziałeś? – zapytała przez sen leżąca obok niego kobieta i mocniej się do niego przytuliła.

– Skrzący się od słońca jesienny dzień. Dziesięć, nie... trzynaście stopni. Bez chmur. – Otworzył oczy, sprawdził poprawność przepowiedni, przewrócił się na drugi bok i wsunął rękę pod gładkie plecy kobiety. – Miłego października – powiedział, pocałował ją w czoło, równocześnie wolną dłonią przeciągnął w dół jej szyi, potem po piersiach.

Kiedy się budziła, obserwował jej twarz, zachwycony perfekcyjną urodą. Miała włosy w kolorze hebanu, wysokie kości policzkowe, pełne, zmysłowe usta. Lauren Nichols była pod każdym względem zachwycającą kobietą. Nawet o szóstej rano. Przez chwilę widział oczami wyobraźni twarz innej kobiety. W pewien szczególny sposób Ginny rano także pięknie wyglądała. Przesunął palce po płaskim brzuchu Lauren i kiedy zaczął delikatnie masować wzdłuż włosów pod miękkimi włosami, obraz zniknął.

– Przewróć się na brzuch, to ci zrobię masaż – zaproponowała Lauren, nieoczekiwanie siadając.

Na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie, zaraz jednak zastąpił go szeroki uśmiech.

– Panie proszą panów – zanucił, przewrócił się na brzuch i wsunął sobie pod głowę zwiniętą poduszkę. – W nocy było cudownie – dodał, czując jak pod jej dotykiem rozluźniają się stwardniałe mięśnie u nasady karku. – Jesteś niezwykła, wiesz?

Nie widział tego, ale Lauren ułożyła usta w uśmiech, jaki mógłby pojawić się na twarzy dorosłego, próbującego przejawiać entuzjazm nastolatka.

– Davidzie... – powiedziała zwiększając siłę masażu – nie sądzisz, że mógłbyś się ostrzyć przed balem Towarzystwa Sztuki w przyszłym tygodniu?

Przewrócił się z powrotem na plecy i popatrzył na nią z wyrazem dezorientacji zmieszanej z niewiarą.

– Co moje włosy mają wspólnego z seksem?

– Skarbie, przepraszam. Naprawdę mi przykro, ale krąży mi po głowie tysiąc rzeczy naraz. Mnie też było pięknie. Słowo.

– Pięknie? Naprawdę? – David natychmiast odzyskał zapał.

– W twoim ciele ciągle jeszcze jest mnóstwo napięcia, doktorze, ale za każdym razem mniej. Ostatnia noc była zdecydowanie najlepsza ze wszystkich dotychczasowych.

Najlepsza ze wszystkich dotychczasowych... David przekrzywił głowę i trawił te słowa. Jest postęp, ale nie osiągnęli ideału. Cóż, w końcu więcej nie powinien się spodziewać. Poza tym w pół roku, jaki się znali, rzeczywiście zrobili postępy.

Z emocjonalnego punktu widzenia ich wspólne życie było wariacką jazdą pełną wzlotów i upadków i bardzo się różniło od spokojnych, swobodnie przepływających lat z Ginny. Na szczęście różnice między nimi – jej autorytatywni przyjaciele, jego cynizm, odmienne wymogi ich karier zawodowych – okazały się do pokonania. David miał wrażenie, że każdy nowy kryzys, potem rozwikłanie trudnej sytuacji, a na koniec powrót do normy... bardziej ich ze sobą wiąże. Choć istniały sprawy, które chętnie by zmienił, był wdzięczny losowi, że dał mu związek, w którym czuć zaangażowanie obu stron i chęć budowania przyszłości.

Właśnie to zostało bowiem pogrzebane – zdawało mu się, że bezpowrotnie – osiem lat temu w stercie poskręcane go metalu i porozpryskiwanego szkła.

Uznawszy, że Lauren powiedziała wszystko, co zamierzała, na temat ich fizycznego związku, wrócił do leżenia na brzuchu. Znów zaczęła go masować. Może był w końcu gotów? Może już nadszedł czas, lecz... na Boga, Shelton, nie śpiesz się... Nie odpychaj jej, ale i nie próbuj tłumić. Im dłużej zastanawiał się nad swymi uczuciami, tym bardziej znikał towarzyszący temu niepokój.

– Wiesz o tym – odezwał się po chwili – że ze wszystkich zakładów, jakie robiłem w życiu z samym sobą, jesteś moją największą przegraną?

– Dlaczego?

– Teraz chyba mogę ci to powiedzieć. Na naszej pierwszej randce założyłem się ze sobą o największą pizzę u Lugiego, typu „ze wszystkimi dodatkami poza anchois”, że w ciągu tygodnia zabraknie nam tematów do rozmowy.

– David!

– Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, o czym prosty chirurg jak ja mógłby rozmawiać z elegancką dziennikarką, zajmującą się sprawami ludzi z wyższych sfer.

– A teraz możesz?

– Wiem, że moje ciało tak cię podnieciło, iż nie mogłaś się oprzeć. – Roześmiał się, odwrócił do niej twarzą i objął, co zazwyczaj prowadziło do zapasów, kiedy jednak Lauren nie zdradziła ochoty na siłowanie się, puścił ją i cofnął się. – Coś się stało?

– Płakałeś w nocy przez sen. Jakiś kolejny koszmar?

– Chyba... chyba tak – odparł niepewnie, sprawdzając mięśnie szczęki. Dopiero teraz zauważył, że bołą. – Boli mnie szczęka, co oznacza, że przez większość nocy zaciskałem zęby.

– Pamiętasz, co to było?

– To samo co dawniej. Znacznie mniej wyraźne, ale ciągle to samo. Na szczęście nie przydarza się tak często jak kiedyś.

– A konkretnie?

David wyczuwał w jej głosie troskę, ale wyraz twarzy Lauren krył w sobie coś jeszcze. Niecierpliwość? Irytację? Odwrócił głowę.

– Autostrada – odparł. – To była autostrada. – Kiedy wrócił myślami do nocnego koszmaru, ton i melodia jego głosu nabrały nieludzkiej, mechanicznej jakości. – Najpierw widzę przednią szybę... wycieraczki trzaskają w tę i z powrotem... coraz szybciej i szybciej, by poradzić sobie z deszczem. Pasy na środku jezdni próbują się wyslizgnąć spod samochodu. Chcę je zmusić kierownicą, by wróciły między koła. Na chwilę pojawia się twarz Ginny... twarz Becky... śpią... są takie spokojne... – David zamknął oczy. Zamilkł, ale pamięć była bezlitosna. Z ciemności, zza zasłony deszczu, pojawiło się światło. Dwa snopy światła. Sunęły prosto na niego, rozjechały się na boki i pomknęły do tyłu – jedno z prawej, drugie z lewej strony samochodu. Jedna rozedrgana fala pomknęła za drugą rozedrganą falą. Potem nad światłem ujrzał twarz. Oszałałą pijaństwem twarz, skrzywioną i płonąca czerwonym ogniem, złote oczy, w których migoczą płomienie. Zacisnął dłonie i zaczął się modlić, by światła rozjechały się na boki jak wszystkie poprzednie, ale wiedział, że to nie nastąpi. Nie było takiej możliwości. Usłyszał pisk hamulców. Zobaczył otwarte i rozszerzające się w przerażeniu oczy Ginny. Uszy rozdarł mu krzyk. Jej? Jego? Nie wiedział tego do dziś.

– David?

Głos Lauren przerwał krzyk. Wzdrygnął się, potem odwrócił ku niej. Na czole miał grube krople potu, drżały mu ręce. Zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Drżenie ustało.

– Chyba na chwilę odjechałem, co? – Uśmiechnął się głupkowato.

– Byłeś ostatnio u lekarza? Może powinieneś się do niego wybrać?

– Do starego Brinkera Nastawiacza Klepek? Wyszał ze mnie wszystko... z głowy i portfela... i trzy miesiące temu stwierdził, że zdałem egzamin. Czym się martwisz? To tylko koszmar senny. Brinker uważa, że w mojej sytuacji to normalna reakcja.

– Martwię się, to wszystko.

– Lauren Nichols, boisz się, że mogę się rozpaść na kawałki w trakcie bankietu Towarzystwa Sztuki i odbiorą ci dożywotnie członkostwo!

Śmiech Lauren nie był przekonujący. Nie udowadniał, że podoba jej się jego dowcip.

– David, czy istnieje na świecie cokolwiek, co traktujesz poważnie? W jednym zdaniu wyśmiewasz mnie za troskę o ciebie oraz za traktowanie sztuki na tyle poważnie, że uważam za stosowne uczestniczenie w pracach Towarzystwa. Co z tobą jest?

Chciał ją przeprosić, ale ugryzł się w język. Wyraz jej oczu poinformował go, że temat jest poważny i potrzeba więcej niż proste: „przepraszam”. Przez kilka długich milczących sekund wpatrywali się sobie w oczy.

W końcu wzruszył ramionami i stwierdził:

– Znów zaczynam, tak? Deko nonszalancji dla zrównoważenia kilograma prawdziwych emocji? Wiem, że to robię, ale czasami wiedza nie wystarcza. Lauren, to nie było pomyślane jako złośliwość. Naprawdę. Te koszmary ciągle mnie przerażają. Niełatwo sobie z nimi radzić. Wierysz mi?

Lauren jeszcze nie była udobruchana.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy istnieje na świecie coś w takim stopniu poważnego, byś z tego nie żartował?

– Większość rzeczy traktuję poważnie. Cholera, powinnaś już o tym wiedzieć!

– Ale tylko ty wiesz to dokładnie, prawda?

– Lauren! Jestem lekarzem, chirurgiem, do tego cholernie dobrym. Wiele rzeczy jest dla mnie ważnych. Dbam o wiele spraw. Przywiązuję wagę do ludzi i ich cierpienia, martwi mnie, kiedy kogoś boli, liczy się dla mnie życie. Mój świat jest pełen ran, chorób oraz podejmowania decyzji w sytuacjach bez dobrego wyjścia. W dniu, w którym stracę zdolność śmiania się, stracę umiejętność radzenia sobie z tym wszystkim. – Ugryzł się w język, by przestać mówić, już i tak był wystarczająco zły na siebie, że użył do drobnej porannej sprzeczki broni dużego kalibru.

– Idę wziąć prysznic – powiedziała po kilkunastu sekundach Lauren.

Wstała z łóżka i zaczęła wkładać szlafrok.

– Życzysz sobie towarzystwa?

– Chyba bardziej przyda mi się nieco swobody i dużo gorącej wody z mydłem. Zrób śniadanie. Wypucuję się i zaczniemy dzień od nowa, przy filiżance gorącej kawy.

David siedział na łóżku i wpatrywał się w rozświetlony porannym słońcem widok za oknem. Nie poruszył się, dopóki z łazienki nie doleciał plusk wody. Ten dzień – być może najważniejszy dla niego od lat – nie zaczynał się tak, jak zaplanował. Powinien był powiedzieć Lauren o podniecającym rozwoju wydarzeń w szpitalu – wydarzeń, które mogły oznaczać początek końca pasma rozczarowań i frustracji, dotychczas rzucającego cień na jego życie. Powinien był podkreślić, jak mu zależy, by się do niego wprowadziła, a ona powinna przynajmniej zgodzić się z tym, że już najwyższy czas.

– Uspokój się, Shelton, i pozwól, by sprawy rozwijały się swoim rytmem – powiedział sam do siebie, zaciskając dłonie. Kiedy to zauważył, rozluźnił je. – W końcu wszystko się układa. Nic i nikt poza tobą nie jest w stanie tego popsuć.

Z szuflady komody wyjął zielony strój chirurgiczny, włożył go i podszedł do okna. Trzy piętra niżej pierwsze ranne ptaszki przemykały między plamami cienia na Commonwealth Avenue. Zastanawiał się, ilu z tych ludzi przepełnia poczucie, że coś się zbliża – podniecenie wynikające z oczekiwania na początek czegoś nowego. POCZĄTEK... słowo wywołało tęskny uśmiech. Ile razy czuł się podobnie? Szkoła średnia... uniwersytet... Akademia Medyczna. Ginny... Becky. Tyle początków. Początków tak obiecujących jak ten. David westchnął. Czy dzisiejszy poranek to początek strony, rozdziału, czy całkiem nowej opowieści? Bez względu na to, jaka okaże się odpowiedź, był gotów. Ze wszystkich początków, jakie pojawiły się w

jego życiu od wypadku i koszmarnego roku po śmierci żony i córki, ten był pierwszym, w który wierzył.

Mieszkanie – choć niezbyt wielkie – dawało poczucie przestrzeni, co wynikało głównie z dużej liczby okien i trzymetrowej wysokości, charakterystycznych cech wielu mieszkań w Back Bay. Długi, wąski korytarz łączył sypialnię z salonem, zapchany meblami zasługującymi już niemal na miano antyków, wnęką do spożywania posiłków oraz małą kuchnią, której okno wychodziło na uliczkę biegnącą na tyłach budynku. Drzwi wejściowe znajdowały się w połowie korytarza, na wprost nich były drzwi do łazienki.

Nucąc symfonię Haydna w niecodziennej wersji melodycznej, David począł do kuchni. Normalnie poszedłby przed śniadaniem pobiegać, uznał jednak, że dziś może zrobić wyjątek. Był dobrze wysportowany i niezłe umięśniony, miał szerokie ramiona i bicepsy, które sprawiały, że wyglądał na ważącego więcej niż siedemdziesiąt dziewięć kilogramów. Ciemne, gęste włosy przetykały nitki siwizny, oczy zmieniały kolor – w zależności od światła były jasnoblękitne albo jasnozielone. Czoło oraz nasadę nosa przecinały delikatne zmarszczki – jeszcze niedawno słabo, teraz już jednak wyraźnie widoczne.

Stanął na środku kuchni i zatarł dłonie w parodii gestu zawodowego kucharza.

– A więc phosze, hobimy supeh sziadanko... – Otworzył drzwi lodówki. – Sós za wybóh... – Jego głos odbił się od niemal pustych półek.

Kiedyś, po beznadziejnym spaleniu dwóch steków, oświadczył Lauren:

– Wiesz, napiszę książkę kucharską dla samotnego mężczyzny. Nazwę ją Gotowanie dla nikogo.

Zestawienie menu śniadaniowego nie było trudne. David wyglupiał się dalej:

– No to popaszmy... moszemy wybhać sok pomidohowy albo... sok pomidohowy. Anhielskie bueszki... piękne, so? O, mamy jeszcze pięć jajka, szeba chyba usmaszyć jajesznisia...

Kiedy ustawiał jedzenie na stole, weszła Lauren.

– Ładna robota – stwierdziła, obejrzawszy dzieło. – Kiedyś będziesz wspaniałą żoną. – Spod ręcznika, którym obwiązała głowę, wysunęło się kilka mokrych pasemek. Jej uśmiech oznajmiał, że zgodnie z obietnicą, zamierza rozpocząć dzień od nowa.

– Jakie masz plany na dziś? – spytał powoli David. W sumie był zadowolony, że udało mu się zachować w tajemnicy dobre wieści i nie wyaplał ich jak podekscytowany młokos. Powie wszystko niby obojętnie – tak samo jak Lauren często opowiadała o obiedzie, na którym była w Białym Domu, albo o zleceniu napisania o kampanii tego czy innego senatora.

– Jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

– Słucham? – Próbował do końca udawać obojętnego.

Lauren uśmiechnęła się.

– Moja współlokatorka na uczelni przygotowała kiedyś dla mnie niespodziewane przyjęcie. Tuż zanim wszyscy wyskoczyli z wrzaskiem z kątów, miała taki sam wyraz twarzy jak ty teraz.

– Hm, chyba rzeczywiście mam dobre wieści. – Nonszalancja była już parodią. – Doktor Wallace Huttner. Ten Wallace Huttner... wyjeżdża jutro na konferencję na Cape Cod.

– I... poprosił, bym po południu poszedł na obchód, aby móc na pewien czas przejąć jego pacjentów.

– David, to wspaniale! Wallace Huttner! Jestem pod wrażeniem. Najbardziej uznane ręce, jakie pojawiły się w Bostonie od czasu Arthura Fiedlera!

– Cóż, teraz na dodatek wiemy, że jest wystarczająco inteligentny, by poznać się na prawdziwym chirurgicznym talencie. Przejmuję wszystkie jego obowiązki, aż wróci z trzydniowej konferencji na Cape Cod.

– A ty sobie siedzisz i próbujesz zrobić na mnie wrażenie zblazowanego. Śmieszny z siebie facet, David.

Jajecznicza – trzeba przyznać, że niezbyt apetycznie wyglądająca – leżała na talerzu Lauren, która zasypywała Davida pytaniami.

– Był o nim artykuł w „Time”. Wiedziałeś o tym?

– Operował kilku szejków i premierów, ale tak jak wszyscy w dalszym ciągu wkłada spodnie po jednej nogawce naraz.

– Bądź przez chwilę poważny, dobrze? Czy to może oznaczać podwyżkę?

Oczy Davida zwięzły się. Przez kilka sekund przyglądał się Lauren, szukając w jej minie głębszego podtekstu. Choć temat, że nie zarabia jak inni chirurdzy, pojawiał się w ich rozmowach nieczęsto, za każdym jednak razem, kiedy to nastąpiło, dochodziło do mniejszej lub większej bitwy. Lauren nie umiała albo nie chciała pojąć kapryśnych ekonomicznych reguł jego specjalności, zależnych – zwłaszcza w mieście z nadmiarem lekarzy, jak w wypadku Bostonu – w dużej mierze od referencji udzielanych przez kolegów po fachu.

Nawet po dwóch latach pracy w Boston Doctors Hospital wielu kolegów odnosiło się do niego z dużą rezerwą. Krążyły na jego temat dziwne plotki: „Shelton? Oczywiście, chyba możesz mu przekazać tę pacjentkę, ale nie jest najłatwiejszy w obejściu i, uczciwie mówiąc, nie wiem, czy sobie poradzi. Rozumiesz, te jego kłopoty, stan, w jaki popadł po śmierci żony i dziecka... Chętnie bym mu pomógł, naprawdę, ale jak będę wyglądał, jeśli ją do niego pošlę, a on sobie nie poradzi?”.

Nie było to łatwe, lecz w końcu nie miał wybujałych nadziei. Troska Lauren o jego sytuację finansową była zrozumiała, aczkolwiek nieco zniechęcała. Próbował przekonać sam siebie, że wszystko się powoli ułoży. Oczywiście – poprawa sytuacji wymagała jedynie czasu.

Nie umiał ocenić jej miny, więc krążył wokół sedna sprawy.

– Huttner jest szefem chirurgii, więc należy się spodziewać, że lekarze kierujący pacjentów do chirurga będą brać mnie częściej pod uwagę. – Każde uznanie ze strony większości z nich byłoby postępem, pomyślał ze smutkiem. Pojawiał się tak rzadko na sali operacyjnej, że kilka razy, kiedy tam wszedł, pielęgniarki stały dalej, czekając na operatora.

– Myślisz, że chce cię przysposobić na pomocnika?

– Lauren, on mnie niemal nie zna! Po prostu doszedł do wniosku, że warto rzucić kilka okruchów lekarzowi, który co nieco się stara.

– Jak wolisz, panie Lodowata Woda – powiedziała Lauren z uśmiechem. – Rób, co chcesz, ja jestem podniecona za nas dwoje. O której przejmujesz pacjentów?

– Mamy się spotkać o szóstej, powinniśmy skończyć o ósmej, może dziewiątej i... Boże, zapomniałem! Państwo Rosetti zaprosili nas na kolację, dziś albo jutro. Powiedziałem im, że...

– Nie mogę. Mam tony pracy.

– Nie lubisz ich, prawda?

– David, już to wałkowaliśmy. Uważam, że są bardzo mili. – Zabrzmiało to pusto. Nieskuteczne próby Davida wciągnięcia Lauren w wieloletnią przyjaźń z właścicielem restauracji i jego żoną ciągle pozostawały źródłem napięcia.

– Nie ma sprawy, zatelefonuję do Joeeya i poproszę, by przeniósł spotkanie na inny termin.

– David był zadowolony, że udało mu się załagodzić sprawę bez większego sporu.

– Tak będzie najlepiej. Uwierz mi. – Miało to być podziękowanie. – Muszę pracować, tak naprawdę lecę dziś do Waszyngtonu. Prezydent ma ogłosić szczegóły najnowszego programu gospodarczego i chcę, bym opisała to z osobistego, ludzkiego punktu widzenia. Prawdopodobnie zostanę tam kilka dni.

– W takim razie potrzebujesz jedzenia. – Skinął głową w kierunku nie tkniętego śniadania na talerzu Lauren. – Chcesz dokładkę jajecznicy?

Lauren popatrzyła na zegarek i przeciągnęła się, wyciągając w górę dłonie.

– Zostaw ją do mojego powrotu z Waszyngtonu. – Zrobiła kilka kroków w kierunku sypialni i dodała: – Z wiekiem może się jedynie poprawić. – Zachichotała i kiedy David ruszył ku niej, pomknęła korytarzem. Zaczekała, aż zbliżył się do drzwi, wtedy szybko je zatrzasnęła i przekreśliła zasuwkę.

– Pożałujesz tego! – zawołał przez drzwi. – Któregoś dnia zostanę sławnym i bogatym szefem kuchni i ożenię się z księżną Luzytanii. Wtedy stracisz mnie na zawsze!

Dwadzieścia minut później Lauren wyszła z sypialni. Wyglądała zachwycająco w garsonce koloru dojrzałego burgunda i beżowej bluzce. Szyję luźno owinęła jedwabną chustką.

– Tylko bez pieścotek jaskiniowca! – zawołała domyślając się, że David zamierza ją objąć. – Ten strój musi wytrzymać przynajmniej do wieczora. Aha, prawie bym zapomniała... chyba mógłbyś coś dla mnie zrobić.

– Tylko w zamian za jaskiniowe pieścoty.

– David, mówię poważnie.

– Tak jest! – Dał znak, że słucha.

– Biuro senatora Cormiera ogłosiło, że jutro albo pojutrze ma zostać przyjęty do twojego szpitala na operację. Chyba chodzi o pęcherzyk żółciowy.

– Jesteś pewna? Cormier pasuje bardziej do White Memorial niż do Boston Doctors.

Lauren skinęła głową.

– Czy to możliwe, że zostanie przyjęty jako pacjent Huttnera?

– Nie ma takiej możliwości. Nawet Huttner nie jest w stanie opiekować się tak ważnymi ludźmi.

– Myślisz, że mogłoby ci się udać z nim zobaczyć? Albo jeszcze lepiej... wprowadzić mnie do niego? Kampania na rzecz progresywnego podatku dochodowego dla koncernów naftowych uczyniła go sławnym. Wyłączny wywiad byłby strusim piórem w moim pióropuszu.

– Spróbuję, ale nie mogę zagwarantować, że...

– Dzięki, jesteście kochani.

Lauren życzyła Davidowi szczęścia w wykonywaniu nowych obowiązków, uściśnęła mu rękę i lekko pocałowała w usta.

– Bądź grzecznym chłopcem – rzuciła na koniec, wyszła na korytarz i pomaszerowała do windy.

David stał przez kilka minut nieruchomo w otwartych drzwiach. Wdychał perfumy Lauren, czuł jednak dziwną pustkę w duszy.

– Przynajmniej mogłaś spróbować jajecznicy – powiedział pod nosem, kiedy sprzątał stół.

– Bez względu na to jak wygląda...

Nocny strażnik wydawał się gruby jak beczka. Nie tylko był tłusty, ale poruszał się jak mucha w smole. Stojąca we wnęce drzwiowej pielęgniarka, krucha z wyglądu kobieta o włosach koloru bladego słońca, obserwowała, jak wlecze się korytarzem. Czekala. Mężczyzna od czasu do czasu zatrzymywał się, by szarpnąć klamkę kolejnego schowka albo sprawdzić zamki biegnących wzdłuż ściany szafek personelu. Poza pielęgniarką i strażnikiem korytarz Zachód B2 – suterena zachodniego skrzydła Boston Doctors Hospital – był pusty.

Pielęgniarka rozejrzała się po brudnym tunelu, rozświetlonym jedynie umieszczonymi u sufitu nagimi żarówkami i poczuła, że zaczyna ją swędzić skóra. Była drobnej budowy, bardzo zadbana, a makijaż miała tak delikatny, że ledwie dostrzegalny. Z niecierpliwością potarła palce wskazujące o kciuki. Strażnik nie mógł skończyć obchodu. Popatrzyła na zegarek. Miała czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt minut czasu – wystarczająco dużo, oczywiście zakładając, że zaraz ruszy i po drodze nic więcej jej nie zatrzyma. Po czubku jej buta pełzł karaluch i przez sekundę bała się, że zwymiotuje. Zmusiła żołądek do rozluźnienia i czekała dalej.

W końcu strażnik wyszedł. Ponaciskał klawisze alarmu, zaczął pogwizdywać Colonel Bogey March i po kilku niby tanecznych krokach w miejscu, odmaszerował dumnie, akompaniując sobie śpiewem. Dla niektórych mógł wyglądać głupio, dla innych jowialnie, dla jeszcze kogoś fajnie. Obserwującej go drobnej kobiecie wydawał się odpychający.

Odczekała jeszcze kilka sekund, podeszła szybko do szafki numer sto siedemdziesiąt osiem i wpisała kod z kartki, którą przysłała jej Dalia. Cienka, wypełniona do połowy strzykawka leżała dokładnie tam, gdzie powinna. Kobieta uniosła strzykawkę pod światło, spojrzała i włożyła ją do kieszeni nieskazitelnego munduru. Jeszcze raz sprawdziła czas i ruszyła w kierunku tunelu prowadzącego do południowego skrzydła. Wjechała windą na poziom Południe Dwa, wymknęła się na schody i pobiegła kolejne dwa piętra w górę. Wślizgnęła się do sali numer czterysta trzydzieści osiem i stanęła, chwytając powietrze bezgłośnymi, płytkimi łykami. Mimo mroku wyraźnie widziała Johna Chapmana. Spał, zwinięty w pozycji embrionalnej, zwrócony do niej twarzą. Spod koca, którym był przykryty, wychodził cewnik; do plastikowego worka spływał mocz.

Rekonwalescencja Chapmana po operacji nerek przebiegała bez niezwykłych wydarzeń. Kobieta uśmiechnęła się. Bez niezwykłych wydarzeń... aż do dziś...

Wyrzała na korytarz. Z windy wyszła asystentka pielęgniarska, pierwsza osoba z jej – dziennej – zmiany. Delikatny nocny spokój jeszcze się utrzymywał, ale pielęgniarka wiedziała, że w ciągu pół godziny rozpęta się chaos. Musiała natychmiast działać. Poczowała szybsze bicie pulsu. Wstrząs anafilaktyczny! Pracowała w szpitalu niemal piętnaście lat, a jeszcze nigdy nie widziała pełnych objawów...

Podeszła do łóżka. Na stoliku stały kwiaty. Wspaniały bukiet lili. Do wazonu przyklejono karteczkę. Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI. LILIA. Wyszeptała słowa, nie czytając ich. Nie było potrzeby. Doskonale знаła te słowa.

Obok wazonu leżał srebrny naszyjnik Chapmana, z tabliczką alergika. Oświetliła krążek cienką jak długopis latarką i ponownie się uśmiechnęła. Napis na metalu informował:

CUKRZYK ALERGIA NA PENICYLINĘ ALERGIA NA UKĄSZENIA PSZCZÓŁ.

W strzykawce, którą trzymała w dłoni, znajdował się wyciąg z pszczelego jadu, stosowany przez alergologów do odczulania osób o wysokim stopniu ryzyka. Choć dawka była ogromna, nie przekraczała objętości możliwej do wykrycia podczas standardowej sekcji.

Kakaowa twarz Johna Chapmana była rozluźniona i jakby zmiękczone. Nawet śpiąc, zdawał się uśmiechać. Pielęgniarka przysunęła sobie krzesło i usiadła. Jedną ręką bez trudu wbiła igłę w gumową zatyczkę wenflonu znajdującego się na przedramieniu chorego, drugą delikatnie potrząsnęła go za ramię.

– Panie Chapman... John... proszę się obudzić – zagruchała. – Już dzień...

Chapman otworzył oczy.

– To ty, Angel? – Mówił głębokim basem. Dzieciństwo spędzone na Jamajce powodowało, że wymawiał słowa ze specyficznym akcentem. Skoncentrował wzrok na kobiecie i uśmiechnął się. – Rany... da się na ciebie popatrzeć... Naprawdę już dzień, czy jesteś tylko kolejnym snem?

– To nie sen, musiałam przyjść trochę wcześniej. Moja zmiana zaczyna się za jakieś pół godziny. – Wcisnęła tłoczek strzykawki, wstrzykując jad do tkwiącej w żyłę rurki. – Przyszłam wcześniej, by cię zobaczyć.

– Co?

Nie odpowiedziała. Przyglądała się uważnie, jak na twarzy Chapmana pojawia się mina zdziwienia. Nie minęło kilka sekund, jak zastąpił ją niepokój.

– Czuję się... czuję się dziwnie, Angel. Naprawdę niezwykle... – W jego głosie pojawił się ton przerażenia. – Wszędzie zaczynam czuć mrowienie... Angel, coś się ze mną dzieje. Coś strasznego. Czuję się tak, jakbym umierał...

Kobieta patrzyła na niego bez wyrazu. O tak... umierasz. Nagle, niemal w ułamku sekundy, nastąpiła gwałtowna reakcja organizmu. Śluzówka nosa i krtani obrzękła, uniemożliwiając prawie całkowicie przepływ powietrza, mięśnie otaczające oskrzela skurczyły się. Pielęgniarka szybko spojrziała za siebie, by się upewnić, że drzwi są zamknięte. Reakcja była szybsza i znacznie burzliwsza, niż się spodziewała. Tak naprawdę okazała się znacznie bardziej spektakularna od wszystkiego, co widziała w życiu.

– An... gel... proszę... – Głos Chapmana był ledwie słyszalny. Skóra na twarzy tak napuchła, że oczy prawie zniknęły.

Odruchowo sprawdziła tętno, ale wiedziała, że nastąpiła już zapaść naczyniowa. W sekundę później w drogach oddechowych Chapmana zamknął się ostatni prześwit, męczyzna przewrócił się na plecy i zmarł w bezruchu.

Pielęgniarka o włosach koloru bladego słońca, pod koniec walki Chapmana wstrzymująca oddech, wypuściła powietrze z płuc. Jej perfekcyjną twarz rozświetlał anielski uśmiech, kolejny bowiem raz dobrze wykonała to, co do niej należało.

Kiedy skończył wkładać talerze i sztuce do zlewozmywaka i zaczął się przebierać w granatowy dres, zegar ścienny w salonie wskazywał wpół do ósmej. David starannie przejrzał niewielką kolekcję płyt, zdecydował się na Rodeo Copelanda i zaczął powolne ćwiczenia rozciągające i ujędrniające.

Wyciągnąwszy zza kanapy hantle, stwierdził, że Copeland to idealny wybór. Przez dziesięć minut podnosił ciężarki, zmuszając się do większego wysiłku niż zazwyczaj – aż opuściło go napięcie wywołane dość obojętnym wyjściem Lauren.

Hantle okazały się zarówno dobrą terapią dla ciała, jak i duszy – od pięciu lat były stałym elementem porannego rytuału, wykonywanego od dnia, w którym postanowił wrócić na chirurgię i powtórzyć dwa ostatnie, wyczerpujące lata stażu. Tego samego dnia wypalił ostatniego papierosa i przebiegł pierwsze półtora kilometra. W ciągu kilku miesięcy odzyskał wytrzymałość, którą stracił przez trzy lata braku kontaktu z salą operacyjną.

Kiedy całe ciało błyszczało od potu, wziął stoper i klucze, wsadził je do kieszeni i wyszedł. Minął drzwi ciasnej, chybotałej windy, jak zawsze zamierzał bowiem zejść schodami na końcu korytarza. Zbiegł trzy piętra, przetruchtał kiepsko oświetlonym holem, pchnął frontowe drzwi i znalazł się na Commonwealth Avenue.

Słońce oślepiło go niczym nagle zapalony reflektor. Był to jeden z tych dni, którymi chwala się mieszkańcy Nowej Anglii, opowiadając, że nie ma lepszego miejsca do życia. Jeden z tych dni, który powoduje, że luty staje się mglistym wspomnieniem, pomaga zapomnieć o błotnistej chłapie kwietnia i nachalnym, wilgotnym upale połowy sierpnia – przynajmniej na chwilę.

Z początku sztywnawo, z coraz jednak większą płynnością ruchów, przebiegł kilka przecznic dzielących jego dom od promenady. Mijał wiązy i dęby, pełne głębokich czerwieni, odcieni pomarańczowych i złocistych. Powietrze, zdecydowane dziś wygrać ze spalinami, smakowało jak woda z górskiego źródła.

Przebiegł Storrow Drive i kiedy wbiegł na asfaltową ścieżkę wzdłuż brzegu, przyśpieszył do zwykłego tempa. Przez jakiś czas biegł z niemal zamkniętymi oczami, wchłaniał w siebie powietrze i coraz bardziej rozkoszował się reaktywnością każdego mięśnia.

Przyglądał się samotnemu wioślarzowi, tnącemu rzekę Charles niczym wielki wodny owad. Nawet o tak wczesnej porze na trawiastym brzegu siedzieli tu i ówdzie ludzie – czytając, rysując albo po prostu ciesząc się porankiem. Mijali go w ciszy jadący z obu kierunków rowerzyści, psy ciągnęły za sobą właścicieli, studenci o napiętych twarzach, niosący książki na plecach niczym włosiennice, człapali niechętnie do sal wykładowych, w których jesienne słońce zostanie zastąpione przez sterylne fluoryzujące światło.

Spojrzał na stoper i rozejrzał się. Niecałe sześć minut do mostu. Wygrał pierwszy zakład, jaki zawarł ze sobą przed biegiem, a więc kiedyś zostanie właścicielem rollsroyce'a i luksusowego apartamentu w Berkshires. Starł pot z czoła i jeszcze przyśpieszył.

Po jego prawej ręce bosa dziewczyna w dżinsach i jaskrawoczerwonym podkoszulku rzuciła do swojego chłopaka frisbee.

– Stawiam dwa batony Twinkies i Big Maca, że złapie – wyzijał David, zanim wirująca tarcza skręciła gwałtownie w stronę rzeki, uderzyła w ziemię i stoczyła się z nasypu. – Dzięki Bogu! – roześmiał się głośno.

Zawrócił na granicy oznaczającej pięć kilometrów.

– Jest coraz lepiej – powiedział głośno, dopasowując sylaby do klapnięć butów o asfalt. – Lepiej i lepiej i lepiej.

Jezu, jak dobrze znów przebywać wśród żywych...

Rozdział drugi

Jadąca jasno błękitnym mustangiem Christine Beall minęła stojącego przy parkingu C strażnika i w odpowiedzi na jego machnięcie zmusiła się do słabego uśmiechu. Zostawiła za sobą kilka wolnych miejsc, nie zwracając na nie uwagi, w końcu dostrzegła lukę w najbardziej oddalonym od bramy kącie i wjechała w nią. Wysiadła z samochodu, obciągnęła świetnie uszyty uniform pielęgniarzki i mrużąc oczy, spojrzała ku słońcu, ale natychmiast zrezygnowała z próby wchłonięcia magii cudownego jesiennego dnia. Głowę zaprzętały jej inne myśli, inne zadania.

Parking C był jednym z trzech satelitarnych parkingów, wynajmowanych przez Doctors Hospital dla coraz bardziej rosnącego personelu. Christine ruszyła do przystanku mikrobusów, stwierdziła jednak, że potrzebuje nieco czasu dla siebie i przyda jej się spacer ulicą łączącą świat zewnętrzny ze szpitalem. Idące w przodzie dwie pielęgniarzki z popołudniowej zmiany machnęły, by do nich dołączyła, ale po kilku szybkich krokach zatrzymała się i dała im znak, aby szły same. Stała przed wystawą sklepu z używanymi meblami i przyjrzała się swemu odbiciu w zakurzonej szkle.

Wyglądasz na zmęczoną... Zmęczoną, zmartwioną... i przestraszoną.

Nie była wysoka, miała jedynie sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, włosy w kolorze piasku związała w koński ogon, który przed pracą wkładała pod pielęgniarzki czepek. Na kościach policzkowych i nasadzie nosa miała rzadkie piegę, jeszcze ciemne od letniego słońca.

– No i co zamierzasz, mała? – spytała łagodnie, zwracając się do swego odbicia w szybie. – Naprawdę jesteś gotowa? Pegjakałam może jest gotowa, Charlotte Thomas może też, a ty? – Zacisnęła wargi i wbiła wzrok w chodnik. Wzruszyła niezdecydowanie ramionami, odwróciła się i poszła w kierunku szpitala.

Boston Doctors Hospital to masywna hydra ze szkła i cegły. Trzy macki wysuwa na północ i zachód, w głąb Roxbury, pozostałe trzy na południe i wschód w stronę centrum. W ciągu stu pięciu lat istnienia budynku wyrastały z niego skrzydła, dojrzewały, obumierały i odpadały – zastępowane coraz większymi i wyższymi. Nieustanne prace budowlane były tak samo nieodzownym elementem szpitala jak strumień białych kitli, wsysanych w jego trzewia i stamtąd wypływanych.

Członkowie zarządu, niezdolni do złapania w sidła dobroczyńcy na tyle hojnego, by mógł wspomagać cały szpital, przyjęli pozbawioną wyobraźni politykę określania macek przez kierunek, w jaki się wysuwały. Rozsuwane drzwi, którymi Christine weszła do głównego holu, znajdowały się pomiędzy częścią południowowschodnią a południową.

Spojrzała na wiszący nad stanowiskiem informacyjnym wielki, oprawiony w marmur, złoty zegar. Wpół do trzeciej. Jeszcze dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut, nim kończąca swój dyżur zmiana z poziomu Południe Cztery zda obowiązki jej zmianie, trwającej od trzeciej po południu do jedenastej w nocy.

Christine oparła się o kamienną kolumnę i zaczęła obserwować kłębiących się wokół ludzi. Pacjenci i odwiedzający zajmowali wszystkie możliwe miejsca do siedzenia, kilkadziesiąt osób kłębiło się wokół informacji albo przechodziło między skrzydłami. Szeregi plastikowych ogrodowych krzesełek gdzieś przetykał wózek inwalidzki. Sceneria – choć w ciągu minionych pięciu lat widziała ją setki razy – ciągle ją fascynowała i wywoływała u niej najwyższy szacunek. Bywały takie dni – bardzo szczególne – kiedy miała wrażenie, że jej ciało zlewa się z tkanką szpitala. Wtedy rytm życia szpitala odczuwała jak własny puls. Powoli przeszła przez hol i dołączyła do strumienia ludzi, sunącego główną arterią południowego skrzydła.

Na piętrze Christine – Południe Cztery – podobnie jak na większości poziomów tego sześciopiętrowego skrzydła, przebywali różni pacjenci interny i chirurgii, z których każdy miał przypisanego lekarza. Nieliczni stażyści, skąpo rozsiani po szpitalu, służyli jako pomoc w nagłych wypadkach. Na poziomie Południe Cztery – tak jak w większości oddziałów we wszystkich innych szpitalach kraju – prawie przez całą dobę jedynymi przedstawicielami medycyny były pielęgniarki.

Christine wysiadła z windy, rozejrzała się po korytarzu, by sprawdzić, czy przy którychś drzwiach nie ma szyldu sygnalizującego nagły wypadek, albo sprzętu mogącego świadczyć o czymś nadzwyczajnym. Choć oddział zdawał się działać na normalnych obrotach, rozwijany przez pięć lat pracy instynkt poinformował Christine, że coś jest nie tak.

Zbliżała się do dyżurki pielęgniarek, kiedy usłyszała krzyki – pełne żałości, przenikliwe wycia – dobiegające gdzieś z końca korytarza. Ruszyła biegiem. Mijając salę czterysta dwanaście, rzuciła okiem na Charlotte Thomas, która – choć niespokojnie – spała, nie zdając sobie sprawy z zamieszania.

Wrzaski dolatywały z sali czterysta trzydzieści osiem, gdzie leżał John Chapman. Christine stanęła w otwartych drzwiach. Pokój wyglądał na wywrócony do góry nogami – podłogę zaścielały cukierki, książki, kwiaty i porzbijane wazoniki. Na krześle, obejmując twarz dłońmi, siedziała żona Chapmana – dumna, sztywna kobieta, którą Christine poznała, gdy chorego przyjmowano do szpitala. Łóżko było puste, bez pościeli.

– O mój Boże... – mruknęła Christine. Przeszła przez pokój i uklękła obok pani Chapman, której krzyki przeszły w bezradne pochlipywanie. – Pani Chapman?

– Mój Johnny nie żyje... umarł. Wszyscy mówili, że wyzdrowieje, a teraz nie żyje... – Wpatrywała się przez palce w podłogę i mówiła nie do Christine, ale do samej siebie.

– Pani Chapman, nazywam się Christine Beall, jestem pielęgniarką z popołudniowej zmiany. Mogę coś dla pani zrobić? Coś przynieść? – Wiadomość o śmierci Johna Chapmana wywołała ból. Kiedy opuszczała szpital szesnaście godzin temu, legendarny bojownik o prawa Murzynów i innych mniejszości narodowych nie spał i był w świetnym stanie.

– Nie, dziękuję, nic mi nie będzie – powiedziała w końcu wdowa. – Nie mogę... nie mogę tylko uwierzyć, że mój Johnny nie żyje...

Christine rozejrzała się wokół. Kilka wazonów z kwiatami było całych, ale większość albo rzucono na podłogę, albo rozbito o ściany.

– Pani Chapman, kto to zrobił?

Nieszczęśliwa kobieta podniosła głowę. Miała czerwone, szkliste oczy, jej rysy zniekształcało cierpienie.

– Ja. Przyszłam posprzątać i nagle walnęło mnie jak obuchem, że go nie ma. Że nigdy nie wróci. Następne, co pamiętam, to pielęgniarkę, która próbuje mnie powstrzymać przed niszczeniem prezentów dla niego. Wie pani, że dostał pocztówkę i książkę od gubernatora? Boże, mam nadzieję, że jej nie zniszczyłam...

– Na pewno jej pani nie zniszczyła, pani Chapman. Mam ją tutaj. I sok, który pani chciała.

Christine odwróciła się na dźwięk głosu. Angela Martin skinęła głową na powitanie, potem podeszła z książką i sokiem.

– Zatelefonowałam też do pastora. Zaraz tu będzie. Na widok Angeli, nieskazitelnej i niewzruszonej mimo trudnego ośmiogodzinnego dyżuru, pani Chapman wyraźnie się uspokoiła.

– Dziękuję, dziecko. Byłaś dla mnie taka dobra. Dla mojego Johnny'ego też... – Wskazała ręką na bałagan. – Przepraszam... za to.

– Nonsens – odparła Angela. – Zaraz przyjdzie kilka sprzątaczek i wszystkim się zajmą. Niech pani pozwoli ze mną, zaczekamy w spokojniejszym miejscu do przybycia pastora. – Objęła zrozpaczoną kobietę smukłym ramieniem i wyprowadziła ją na korytarz.

Christine została sama pośrodku chaosu. Przypominała sobie, jak z początku czuła się zaskoczona dowcipem Johna Chapmana i jego łagodnością połączoną z wielką erudycją. Christine zastanowiła się, czy istnieje coś, co mogłaby zrobić dla wdowy, i doszła do wniosku, że chyba nie. Dopóki była z nią Angela Martin, pani Chapman znajdowała się w pełnych wycucia, fachowych rękach.

Ruszyła do drzwi, zatrzymała się jednak i wróciła podnieść dwa niezniszczone wazony z kwiatami. Może pani Chapman będzie chciała zabrać je do domu. Spojrzała na karteczkę przylepioną do zielonego wazonu. Lilie... od Lili? Boże drogi, co to ma znaczyć? Pokręciła głową. Niespodziewana śmierć i kwiaty od imienniczki. Pasowało to w zupełności do dnia, który od samego początku wypadł z wszelkich ram.

Kiedy zadzwonił telefon, jej obie współlokatorki już wyszły do pracy. Christine pacnęła dłonią budzik, dopiero potem zidentyfikowała źródło natarczywego pobrzękiwania. Spróbowała schować głowę pod poduszkę, w końcu podreptała jednak do kuchni, przekonana, że telefon przestanie dzwonić, kiedy do niego podejdzie. Nie przestał.

– Nazywam się Peg – przedstawiła się telefonująca głosem równocześnie łagodnym i silnym. – Jestem jedną z kierujących Stowarzyszeniem Sióstr. Na twoim piętrze w Doctors Hospital jest pacjentka, której historię choroby proszę prześledzić i jeśli uznasz za stosowne, przedstawić Rejonowej Komisji Kwalifikacyjnej. Ponieważ nie pracuję jako pielęgniarka, nie mogę tego zrobić sama bez ściągnięcia na siebie i sprawę niepotrzebnej uwagi.

Christine odkręciła wodę i podstawiła dłoń pod kran, by przetrzeć twarz zimną wodą. Choć wzmianka o Stowarzyszeniu Sióstr obudziła ją niczym uderzenie w policzek, wołała się upewnić. Wydukała:

– Hm... jeszcze nikt nigdy do mnie nie telefonował z prośbą o... to znaczy...

Kobieta po drugiej stronie linii była przygotowana na obiekcje.

– Christine, zgodnie z obowiązującymi w naszym ruchu zasadami nie jesteś zobowiązana do robienia tego, czego nie uważasz w głębi serca za prawidłowe. Kobieta, o której mówię, znam od lat i jestem pewna, że nie chce trwać w stanie, w którym się znalazła. Cierpi silny ból, a jej sytuacja – o tym udało mi się dowiedzieć – jest beznadziejna.

W tym momencie Christine domyśliła się, kto jest pacjentką, którą należy „zbadać”.

– Chodzi o Charlotte, prawda? Charlotte Thomas?

– Tak, Christine, chodzi właśnie o nią.

– Ostatnio... ostatnio dużo o niej myślałam... z powodu tego, co przechodzi od kilku dni...

– Zamierzałaś ją zgłosić?

– Wczoraj wieczór. Niemal ją zgłosiłam wczoraj wieczór, ale coś mnie powstrzymało. Sama nie wiem, co. Jest tak niezwykłą kobietą...

– Droga, którą postanowiłyśmy kroczyć, nigdy nie jest łatwa – powiedziała kobieta po drugiej stronie linii. – Jeśli kiedykolwiek podążanie nią stanie się łatwe, będzie to dla ciebie znak, że z niej zбочyłaś.

– Rozumiem – ponuro odpowiedziała Christine. – Moja zmiana zaczyna się o piętnastej. Jeśli uznam za uzasadnione, zgłoszę jej przypadek i pozwolę zdecydować Komisji Kwalifikacyjnej.

– O więcej nie proszę ani na więcej nie oczekuję, Christine. Może kiedyś w przyszłości okoliczności pozwolą nam się poznać. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała Christine, ale kobieta już się rozłączyła.

Przed zaśnięciem Christine sporządziła sobie ambitny plan zadań, które zamierzała tego dnia wykonać, ale jeden telefon sprawił, że wszystko inne stało się nieważne. Zaniósła dzbanek herbaty do salonu i opadła na fotel, całkowicie pogrążona w myślach o Stowarzyszeniu Sióstr Życia. W ciągu dziesięciu miesięcy od dnia przyłączenia się do tego ruchu jej życie uzyskało całkiem inne znaczenie i pojawił się w nim nowy cel. Teraz proszono ją o sprawdzenie, czy jest gotowa cel ten osiągnąć. Ponieważ stawką było życie Charlotte, wiedziała, że sprawdzian nie będzie łatwy.

Christine, pochłonięta myślami o Charlotte Thomas i Johnie Chapmanie, weszła do dyżurki powiesić płaszcz. Dwie pielęgniarki z dziennej zmiany odłożyły notatki i spierały się, które leki najprawdopodobniej wywołały śmiertelną reakcję. Christine nie miała ochoty dołączać do dyskusji. Przywitała się skinieniem głowy i powiedziała:

– Idę rzucić okiem na Charlotte. Jeśli nie wrócę do odprawy, poślijcie po mnie kogoś do jej pokoju. – Pielęgniarki machnęły na zgodę i wróciły do swego sporu.

Od operacji Charlotte Thomas minęły już niemal dwa tygodnie – dwa tygodnie, w trakcie których Christine dziesiątki razy przekraczała próg pokoju numer czterysta dwanaście. Ponieważ bywała tu tak często, zbliżając się do drzwi, ujrzała oczami wyobraźni szczególną scenę – obraz, który pojawiał się niemal zawsze, kiedy miała wejść do czterystadwunastki. Nie był to obraz mający coś wspólnego z rzeczywistością, raczej marzenie albo dalekie wspomnienie. Wbrew temu, co wiedziała praktyczna, profesjonalna część umysłu Christine, wizja była niezwykle wyraźna: ukazywała Charlotte, siedzącą na plastikowym krzeselku przy łóżku i piszącą list. Jasnobrązowe włosy miała niedbale spięte z tyłu głowy, związane luźną

kokardą z różowej tasiemki. Cienkie linie zmarszczek w kącikach oczu i ust unosiły się z wdzięcznością na widok jej „superpieleśniarki”. Wyglądała tak samo zdrowo, promiennie i witalnie w wieku sześćdziesięciu lat, jak i w wieku szesnastu lat. Mogła pozować do obrazu kobiety będącej w stuprocentowej zgodzie ze sobą.

Tak wyglądała w sierpniu, kiedy zgłosiła się na badania.

Tuż przed wejściem do sali Christine przypomniała sobie jej głos – czysty i swobodny jak leśny strumyk: „O, najśłodsza Christine! Idzie mój jednoosobowy oddział dodawania otuchy, gotów sprawić odrobinę radości starej chorej kobiecie...”

Christine stanęła w nogach łóżka, zamknęła oczy i pokręciła głową, jakby nie godziła się z tym, co pozostało z jej wyobrażeń i nadziei.

Charlotte leżała na prawym boku, przytrzymywana w tej pozycji kilkoma poduszkami. Zaciskając mocno usta, Christine podeszła jak najciszej. Charlotte zdawała się spać. Chrapliwy oddech, niemal charkot, był wymęczony i nienaturalny. Cienkie rurki, doprowadzające tlen do nosa, przesunęły się na lewy policzek, ich nieustanny ucisk spowodował niezdrowe zaczerwienienie skóry.

Twarz była opuchnięta i – poza plamą od obtarcia – nienaturalnie blada, niemal żółta. Na stojakach po obu stronach łóżka wisiały plastikowe butelki, z których do żył chorej skapywały przezroczystymi winylowymi rurkami lecznicze płyny.

Kiedy Christine odsunęła z twarzy Charlotte włosy, omal się nie rozplakała. Powieki chorej zadrżały i otworzyła oczy.

– Nowy dzień – powiedziała Christine z optymizmem w głosie, ale jej uśmiech wyrażał smutek.

– Nowy dzień... – powtórzyła Charlotte. – Jak się czuje moja dziewczyna?

Jakie to dla niej typowe, pomyślała Christine. Leży, nie mogąc się ruszyć, a pierwsze co robi, to pyta, jak ja się czuję.

– Jestem trochę zmęczona, ale poza tym wszystko w porządku – odparła. – A jak się czuje moja dziewczyna?

Usta Charlotte wykrzywiły się w nibyuśmiechu, który miał wyrażać: „Powinnaś wiedzieć, że nie warto pytać”. Podniosła posiniaczoną dłoń i pociągnęła lekko za czerwoną gumową rurkę, przyklejoną do grzbietu nosa i wsuniętą głęboko w nozdrze.

– Nie lubię jej – szepnęła.

Christine pokręciła głową. Kiedy wychodziła z pracy poprzedniego dnia, rurki nie było. Z wysiłkiem powiedziała:

– Musisz... mieć kłopoty z żołądkiem. Dren ma zapobiec nadmiernemu gromadzeniu się płynu. Jest podłączony do pompy odsysającej, to ona powoduje ten syczący dźwięk, który słyszysz. – Odwróciła głowę.

Przewody, rurki, siniaki, ból... miała wrażenie, że wszystko tkwi w jej ciele. Opieka nad Charlotte postawiła jej świat na głowie. Wiele razy miała ochotę uciec z tej sali – a właściwie od własnych uczuć – i poprosić jakąś koleżankę o opiekę nad chorą, ale zostawała.

– Jak twój chłopak? – spytała Charlotte.

Zmiana tematu była metodą wyrażania, że rozumie. Dren w nosie był nieunikniony. Christine uklękła przy łóżku i z przesadnym dziewczęcym zażenowaniem powiedziała:

– Charlotte, jeśli masz na myśli Jerry’ego, to nie jest moim chłopakiem. Chyba nawet nie bardzo go lubię. – Tym razem Charlotte udało się uśmiechnąć, a nawet mrugnąć okiem. – Charlotte, naprawdę. Nie mrugaj na mnie. Ten facet to... zarozumiały, egoistyczny... bufon.

Charlotte wyciągnęła rękę i pogłaskała Christine po policzku. Dziewczyna zapatrzyła się w oczy chorej. Błyszczały niezwykłym, wspaniałym blaskiem, jakiego jeszcze nigdy w nich nie widziała. W słabym głosie była siła, moc, którą Christine niemal fizycznie czuła.

– Wszystkie odpowiedzi są w tobie, moja droga Christine. Słuchaj jedynie swego serca. Jakiegokolwiek potrzebujesz odpowiedzi, wsłuchaj się w głos swego serca. – Jej dłoń opadła. Po kilku sekundach Charlotte pogрузzyła się w niespokojnym śnie.

Christine patrzyła na nią i zastanawiała się, co te słowa miały znaczyć. Chyba nie mówiła o Jerrym. Na pewno nie. Niczym w transie poszła na odprawę.

Pomieszczenie wypełniało się. Osiem pielęgniarek – sześć z dziennej i dwie z wieczornej zmiany – siedziało wokół stołu pełnego papierzysek, kart chorych, filiżanek kawy, popielniczek i kremów do rąk. Jedna z obecnych – Gloria Webster – coś pisała. Była w tym samym wieku co Christine, miała tlenione włosy i grubo malowała oczy błyszczącym tuszem. Podniosła na chwilę głowę, upiła łyk kawy i powróciła do robienia notatek. Rzuciła krótko:

– Cześć, Beall!

– Cześć, Gloria, męczący dzień?

Blondynka nie przerywała pisania.

– Nie najgorszy. To samo szambo co zawsze. Tylko trochę głębsze niż zwykle, jeśli rozumiesz, o czym myślę. – Odstawiła filiżankę z kawą.

– Jak raport?

– Jeszcze sekundę. Jak zwykle zaczynam z tą idiotyczną pisaniną jako ostatnia. Moim zdaniem powinniśmy skopiować jeden raport zmianowy i wkładać go do wszystkich kart. I tak nic się nie zmienia, wiesz, o co mi chodzi.

Krótki śmiech Christine był przedstawieniem na użytek koleżanki. Jedna z pielęgniarek podsumowała kiedyś Głorię następująco: „Jest niestaranna jak cholera w przygotowywaniu leków, robieniu notatek itepe i ma gdzieś pacjentów”.

Przyszły dwie ostatnie pielęgniarki. Odprawę zaczęto od przedstawienia pacjentów przyjętych w ciągu dwóch ostatnich zmian. Wymieniono ich wszystkich, ale i tak większość uwag nie dotyczyła chorych, ale ich lekarzy.

– Sam Engels, pacjent doktora Bertrama...

– Oj oj... Kuba Rozpruwacz znów w akcji...

– Bert Flirciarz, dziesięć palców na sali operacyjnej, dwanaście rąk na tyłkach pielęgniarek...

– Stella Vecchione, pacjentka doktora Malchmana...

– Życzymy dużo szczęścia, Stella.

– Donald McGregor, pacjent doktor Armstrong...

– Miła jest, prawda?

– Miła, ale ma sklerozę. Pisze jak moja matka.

– Edwina Borroughs, pacjentka doktora Sheltona...

– Kogo?

– Sheltona, tego milaka z kręconymi włosami.

– O, wiem, o kim mówisz. Bierze jakieś leki czy coś w tym stylu, tak?

– Że co?

– Leki. Penny Schmidt z trójki mówiła mi, że słyszała od którejś z dziewczyn z operacyjnego, że Shelton coś bierze.

– Dobra stara Penny. Ma dla każdego ciepłe słowo. Założę się, że znalazłaby śmieci w sterylizatorze.

Omówiły wszystkich pacjentów na piętrze. Słuchając, Christine przepowiadała sobie po cichu, która z pielęgniarek ograniczy raport do faktów, danych z laboratorium i objawów czynności życiowych, a która doda coś od siebie o wyglądzie i aktywności pacjentów, którymi się zajmuje. Trzy koncentrowały się na liczbach, trzy na ludziach. Przewidywania Christine okazały się stuprocentowo trafne i z satysfakcją stwierdziła, że bardziej humanitarne raporty sporządziły te koleżanki, których pracę najbardziej podziwiała. Gloria Webster nie należała do nich.

– Beall, chyba dostajesz jak zawsze czterystadwunastkę – stwierdziła Gloria, gasząc niedopałek na dnie styropianowego kubeczka. Do koleżanek o tym samym stopniu służbowym zwracała się po nazwisku – bardziej z poczucia koleżeńskości niż z chęci pokazania, jaka jest twarda. – Cóż, nie ma tu zbyt wiele do powiedzenia poza tym, że w stosunku do dnia wczorajszego stan się pogorszył, co oznacza odleżyny, jeśli wiesz, co mam na myśli. Temperatura i ciśnienie krwi skaczą w górę i w dół. Zlecono co dwie godziny odsysanie płynu z nosa i gardła. Zajmowałam się dopiero co odleżynami, nie musisz więc nic robić przez cztery godziny. Boże, ale to śmierdzi! To chyba wszystko. Masz jakieś pytania?

Christine musiała stłumić w sobie chęć powiedzenia: „Tak, jedno: Jak możesz w ten sposób mówić o kobiecie, która w jednej komórce ma więcej uroku i magii niż ty w całym ciele?”. Ugryzła się jednak w język, przełknęła poczucie obrzydzenia i złości i pokręciła głową.

Odprawa trwała jeszcze dziesięć minut, po czym sześć pielęgniarek kończących dyżur ubrało się i wyszło. Pochodnia opieki została przekazana.

Kiedy dyżurka opustoszała, Christine jeszcze przez jakiś czas siedziała z kartą Charlotte i przeglądała ją strona po stronie. Było to bolesne. Miała przed sobą notatki, raporty i opisy podjętych działań. Chronologiczny zapis medycznego koszmaru. Z każdym kolejnym faktem, wypisywanym na osobnej karteczce, zdecydowanie Christine rosło. Dość się już tego nazbierało! Tak jak powiedziała przez telefon Peg: dość tego! Przedstawi historię choroby Charlotte Stowarzyszeniu.

Kolejne kilka minut spędziła na przepisywaniu notatek i sprawdzaniu, czy nie opuściła nic ważnego. Zadowolona, otworzyła notes z telefonami i zapisała na kawałku kartki jeden z numerów. Zawahała się jednak, poczuła, że wyszło jej w ustach. Zamarła i – nieobecna duchem – zaczęła poskubywać paznokieć. No, dziewczyno, zrób coś! Jeśli się zdecydowałeś, to weź się do roboty! Zanim wstała, ujrzała przed sobą oczy Charlotte. Blask spokoju,

niezmiernego spokoju, był jeszcze wyraźniejszy niż poprzednio. „Jakiegokolwiek potrzebujesz odpowiedzi, wsłuchaj się w głos swego serca...”

Na końcu korytarza, częściowo osłonięty szklaną szybą, wisiał automat telefoniczny. Odchodzący niedaleko od niego w bok korytarz był pusty. Choć podeszła do automatu, ciągle się wahała, jej zdecydowanie znów osłabło. A może Komisja się nie odezwie? Może po rozpatrzeniu sprawy odmówi? Może...

Czując napięcie każdego mięśnia, położyła przed sobą kartkę z numerem i zaczęła wystukiwać cyfry. Po dwóch dzwonekach rozległ się cichy trzask, potem piśnienie. Usłyszała, przetworzony mechanicznie, głos z taśmy.

– Dzień dobry. Dziesięć sekund po mojej zapowiedzi usłyszysz sygnał. Będziesz mieć po nim trzydzieści sekund na pozostawienie wiadomości. Nie zapomnij o podaniu godziny, o której dzwonisz, i numeru telefonu, pod którym można cię znaleźć. Zatelefonujemy najszybciej jak się da. Dziękuję.

Christine zaczekała, aż rozlegnie się zapowiedziany dźwięk.

– Mówi Christine Beall, popołudniowa zmiana, Południe Cztery, Boston Doctors Hospital. Chciałabym przedstawić do rozpatrzenia historię choroby naszej pacjentki. Numer automatu, z którego dzwonię, to pięć-pięć-pięć-siedem-jeden-osiem-jeden. Jest piętnasta osiemnaście, będę uchwytana pod tym numerem do dwudziestej trzeciej. Potem... – Zanim zdążyła podać swój numer domowy, automatyczna sekretarka wyłączyła się z ostrym trzaśnięciem. Zastanowiła się, czy połączyć się jeszcze raz i uzupełnić wiadomość, ale opanowana kolejną falą niepewności, odwiesiła słuchawkę. Pomyślała, że jeśli sprawie pisane jest się wydarzyć, to się wydarzy.

Harrison Weller wpatrywał się w sufit, a był tak nieobecny duchem, że nie zauważył wejścia Christine. Na ekranie małego telewizora, zawieszono nad jego głową na metalowym stelażu, pojawiło się logo i końcowa muzyka The Guiding Light. Najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Miał siedemdziesiąt pięć lat, ale jego szczupła, pomarszczona twarz miała w sobie coś spokojnego i ponadczasowego.

– Panie Weller, jak się pan czuje? – spytała Christine podchodząc. – Dlaczego nie ma pan odsuniętych zasłon? Na dworze jest pięknie, słońce dobrze panu robi.

Popatrzył na nią i zmusił się do uśmiechu.

– Charlene, prawda?

– Panie Weller, przecież wie pan, jak mam na imię. Przychodzę, odkąd pana przyjęto. Christine.

– Na zewnątrz świeci słońce, mówisz? – Jego głos brzmiał jak głos ucznia szkoły średniej, próbującego imitować głos starca. Weller trafił na oddział po operacji biodra i natychmiast stał się pupilem pielęgniarek. Choć nie miał nic przeciwko ich staraniom, nigdy na nie pozytywnie nie reagował. Często sprawiał wrażenie nieobecnego duchem albo zagubionego, co spowodowało, że chirurg-ortopeda dał mu etykietkę „otępienie starcze”.

Christine rozsunała zasłony i pokój zalało jesienne słońce. Podniosła chorego do pozycji siedzącej i usiadła obok, by widzieć jego twarz. Starszy pan przyglądał jej się przez chwilę zza przymrużonych powiek, po chwili się uśmiechnął.

– Ale z ciebie ślicznotka... – powiedział, wyciągnął dłoń i lekko szczychnął Christine w policzek.

Christine odpowiedziała uśmiechem i ujęła go za rękę.

– Jak pańskie biodro, panie Weller?

– Moje co?

– Biodro – powiedziała, niemal krzyżąc. – Miał pan operację biodra. Chcę wiedzieć, czy nic pana nie boli.

– Czy boli? Moje biodro?

Zamierzała ponownie spróbować, kiedy powiedział:

– Nic mnie nie boli. Tylko czasami, kiedy przesuwam stopę gwałtowniej w lewo.

Christine niemal jęknęła. Była to najbardziej skomplikowana odpowiedź, jakiej udzielił na jakiegokolwiek pytanie, odkąd go poznała. Nagle rozjaśniło jej się w głowie.

– Panie Weller! – krzyknęła. – Ma pan aparat słuchowy?

– Aparat słuchowy? Oczywiście, że mam. Od wielu lat.

– To dlaczego go pan nie używa?

– Nie mogę używać czegoś, co leży w domu w szufladzie – powiedział, jakby wniosek był oczywisty.

– A co z pańską żoną? Nie może go panu przynieść?

– Sarah? Tak nasilił jej się reumatyzm, że nawet nie może wstać, by mnie odwiedzić.

– Panie Weller, mogę kogoś wysłać do pańskiego domu, kto by przyniósł aparat. Chciałby pan?

– Pytanie, Charlene – odparł, ściskając dłoń Christine. – A jeśli już tam będzie, niech przyniesie i okulary. Sarah wie, gdzie leżą. Nie widzę bez nich poza czubek nosa.

Na ustach Christine rozkwitł podniecony uśmiech.

– Panie Weller, kto pomaga Sarah w domu, kiedy jest chora?

– Teraz nie wiem. Kiedy może, pomaga nam Annie Grissom z mieszkania obok.

– Mogę posłać do państwa pielęgniarkę. Jeśli uzna, że żona potrzebuje kogoś na stałe, można jej załatwić obsługę domową.

– Co?

Christine zaczęła wyjaśniać, ale stwierdziła, że to bez sensu, więc jedynie objęła Wellera ramionami i głosem będącym mieszanką krzyku i śmiechu dodała:

– Niech się pan nie martwi, zajmę się wszystkim! Nagle Christine się wzdrygnęła i poluzowała uścisk. Miała wrażenie, że jest obserwowana. Odwróciła się i rzeczywiście – w drzwiach stała Dorothy Dalrymple, przełożona pielęgniarek. Miała jakieś pięćdziesiąt pięć lat, króciuteńko ostrzyżone włosy i twarz jak ze średniowiecznego obrazu przedstawiającego anioła. Jej uniform był tak wielki, że przypominał pokrytą śniegiem tundrę, a opinał cielsko ważące niemal sto kilo żywej wagi. Nad brzegami niskich, białych, szpitalnych butów pęczniały grube łydki. Mięsiste fałdy wokół jej oczu zdawały się puchnąć na widok sceny, na którą natrafiła.

Christine zeskoczyła z łóżka i obciągnęła swój strój. Choć знаła przełożoną pielęgniarek od lat, nigdy nie czuła się w jej obecności swobodnie. Może wynikało to z imponujących gabarytów, może z zajmowanej pozycji.

Szefowa pielęgniarek ruszyła, by zatrzymać się półtora metra przed Christine. Dłonie opierała groźnie na biodrach.

– No proszę, panno Beall – powiedziała z wyrzutem, nie umiała jednak całkiem ukryć szelmowskiego uśmiechu. – To nowa metoda pielęgniarska, czy przeszkodziłam rozwijaniu się romansu?

Christine głupawo się uśmiechnęła i odwróciła do Wellera.

– Harrison, mówiłam ci, że zostaniemy nakryci. Nie możemy dalej tak tego ciągnąć. – Ucisnęła mu dłoń i wyszła za przełożoną.

Przez piętnaście lat kierowania pielęgniarkami w Boston Doctors Hospital panna Dotty Dalrymple stała się niemal legendą, na co zasłużyła sobie głównie żarliwym broniem „moich dziewcząt”. Choć nigdy nie uważano jej za błyskotliwą intelektualistkę, była znakomicie znana w świątku medycznym nie tylko dzięki niedźwiedziej charyzmie, ale także dzięki temu, że jej siostra bliźniaczka pracowała na stanowisku przełożonej pielęgniarek w położonym dwadzieścia kilometrów na zachód od miasta szpitalu Suburban Hospital.

Siostry nazywano Tweedledum i Tweedledee – choć nigdy w ich obecności. Były jedynymi w okolicy przełożonymi pielęgniarkami, które zachowały wierność pielęgniarskiemu strojowi i nosiły go regularnie w pracy. Choć gest był może mało estetyczny, służył popularności sióstr.

Dotty Dalrymple klapnęła Christine po matczynemu w ramię.

– No więc co to było?

Christine szybko streściła odkrycie, dlaczego Harrison Weller sprawia wrażenie otepiałego. Jej szefowa natychmiast się zachwyciła.

– Wiesz, spędzam tyle czasu, grzebiąc w stertach papierów, na negocjacjach płacowych i potyczkach politycznych, że czasem zapominam, na czym naprawdę polega pielęgniarstwo – stwierdziła, a Christine skromnie skinęła głową. – Zapał, z jakim podchodzisz do pracy, pozwala mi zachować wiarę, że bez względu na to jak mało szacunku okazują nam lekarze, niezależnie od tego jak nisko cenią naszą inteligencję i oceny, to tak naprawdę my dbamy o pacjentów. Tylko my naprawdę znamy ich jako ludzi. Uważam, że większość pacjentów swój powrót do zdrowia zawdzięcza nie lekarzom, lecz pielęgniarkom.

A co z tymi, którzy nie wracają do zdrowia? – cisnęło się na usta Christine pytanie.

Przez chwilę szły w milczeniu, nagle panna Dalrymple zatrzymała się.

– Christine, jesteś szczególną pielęgniarką. Ten szpital potrzebuje ciebie i więcej dziewcząt takich jak ty. Jeśli cokolwiek będzie cię nękać, wal do mnie jak w dym. W każdej sprawie.

Słowa miały brzmieć zachęcająco, ale było coś w minie przełożonej pielęgniarek, co do nich nie pasowało. Christine poczuła ziąb i zrobiło jej się nieswojo. Zastanawiała się nad odpowiedzią, kiedy zaczął dzwonić automat na końcu korytarza. Odwróciła się tak gwałtownie, jakby usłyszała strzał.

– Hm, nie wygląda na to, by telefon sam się odebrał – powiedziała panna Dalrymple, przyglądając się automatowi.

– Odbiorę – wyrzuciła z siebie Christine i ruszyła biegiem, zostawiając zaskoczoną szefową.

Dobiegając do aparatu, zwolniła – po części z nadzieją, że przestanie dzwonić, nim odbierze, równocześnie z obawą, że mógłby przestać dzwonić. Zawahała się jeszcze chwilę, sięgnęła jednak po słuchawkę, drugą ręką wymacując w kieszeni notatki dotyczące Charlotte Thomas. Była głęboko przekonana, że telefon jest do niej.

Odezwała się kobieta. Miała poważny głos, z odrobiną obcego akcentu.

– Chciałabym rozmawiać z Christine Beall, pielęgniarką na tym oddziale.

– Jestem przy aparacie – powiedziała Christine, przelżykając ślinę, by pozbyć się nagłej suchości w gardle.

– Panno Beall, mam na imię Evelyn i telefonuję w sprawie wiadomości, którą niedawno pani przekazała. Reprezentuję Rejonową Komisję Kwalifikacyjną Nowej Anglii.

Szybkimi spojrzeniami, niczym przestraszony jelonek, Christine zlustrowała korytarz. Przełożona pielęgniarek poszła sobie, po korytarzu kręcili się co prawda ludzie – personel jak i odwiedzający – ale poza zasięgiem słuchu.

– Mam przy... przypadek, który chciałabym... przedstawić do... zbadania – wydukała, nie do końca pewna, czy dobrze pamięta kolejność etapów, wymaganą przy tego typu rozmowie.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała kobieta. – Będę notować, proszę więc mówić powoli i wyraźnie. Nie będę przerywać, póki nie uznam, że to absolutnie konieczne. Proszę zaczynać.

Kiedy Christine kładła przed sobą notatki, drżały jej ręce. Minęło trzydzieści sekund, w trakcie których jej myśli tak gnały, a emocje tak się plątały, że nie była w stanie powiedzieć słowa. Przekonywała się, że Charlotte tak bardzo zależy na przerwaniu cierpienia, więc niemożliwe, by robiła coś złego. To nie mogła być zła decyzja, a mimo to w głębi duszy miała wątpliwości. Udało jej się zacząć dopiero, kiedy przekonała samą siebie, że może się wycofać nawet po wyrażeniu przez Komisję zgody.

– Pacjentka, o której mowa, to Charlotte Thomas – zaczęła powoli i monotonicznie, by ukryć drżenie głosu. – Biała, sześćdziesiąt lat, dyplomowana pielęgniarka. Osiemnastego września przeszła z powodu raka okrężnicy wycięcie metodą Milesa oraz kolostomię. Od czasu zabiegu stan nie poprawia się. Poznałam ją w sierpniu, kiedy została przyjęta na badania, i spędziłam z nią wiele godzin zarówno przed operacją, jak i po niej. Była to energiczna, aktywna, wysportowana kobieta i nieraz mówiła, że nie wyobraża sobie życia jako inwalidka albo w stanie chronicznego bólu. Jeszcze w lipcu bieżącego roku pracowała na pełnym etacie dla agencji pielęgniarskiej, świadczącej usługi domowe.

Christine miała wrażenie, że zaczyna gadać bez ładu i składu. Jej dłonie spocily się i zziębły. Wiedziała, że to nie będzie łatwe – Peg powiedziała rano, że wręcz nie powinno takie być – mimo to nie spodziewała się aż tak wielkiego napięcia. A to dopiero wstępny raport... Co będzie, jeśli się zgodzą? Kiedy będzie musiała...

– Panno Beall, proszę kontynuować – upomniała ją Evelyn. W tym momencie Christine usłyszała zbliżające się kroki. Spanikowana, odwróciła się ku odgłosowi. – Panno Beall? Jest tam pani?

Dwa metry od Christine stała panna Dalrymple. Boże drogi! – pomyślała z przerażeniem Christine. Czyżby coś usłyszała?

– Panno Beall, jest tam pani? – Głos był nieco zniecierpliwiony.

Christine zacisnęła dłoń na słuchawce, aż pobiełały jej kostki.

– Oczywiście, że jestem, ciociu Evelyn. Poczekaj sekundę, dobrze? Przyszła przełożona pielęgniarek. – Oparła dłoń na desce pod telefonem, ale nawet w tej pozycji drżała.

– Christine, wszystko w porządku? – spytała Dalrymple tonem, który wydawał się zbyt nijaki, za bardzo obojętny. – Jesteś taka blada.

Ile wyjaśnień wystarczy? Ile kłamstwa?

– Nie, nic mi nie jest, panno Dalrymple. To moja ciotka. Ciocia Evelyn.

Przełożona wzruszyła ramionami.

– Jeśli tobie nic się nie stało... Kiedy zadzwonił telefon, zachowałam się, jakby cię dźgnięto. Ponieważ nie wracałaś, zmartwiłam się, że może coś...

Christine przerwała śmiechem, choć bardzo wymuszonym.

– Nie, nic się złego nie stało. Chodzi o... wuja. Miał dziś operację i czekałam na wieści, jak mu się wiedzie. Na szczęście wszystko jest w porządku. – Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Christine nie pamiętała, kiedy ostatni raz kogoś okłamała.

– Przekaż, proszę, ciotce, że cieszę się, iż wszystko w porządku.

– To potrwa jeszcze tylko kilka minut, panno Dalrymple. – Christine ledwie mogła wydać z siebie głos.

– Nie ma sprawy, nie śpiesz się. – Przełożona pielęgniarek zdawkowo się uśmiechnęła i ruszyła w swoją stronę.

Christine miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Notatki o Charlotte Thomas mimowolnie zgniotła w dłoni w kulę.

– Evelyn, jest tam pani jeszcze?

– Tak, panno Beall. Możemy kontynuować? Christine najchętniej powiedziałaaby: „Nie”, ale stwierdziła:

– Oczywiście... możemy. Potrzebuję tylko sekundy na uporządkowanie notatek.

Palce miała sztywne, nie chciały reagować. Najpierw telefon od Peg, potem spotkanie ze zrozpaczoną panią Chapman, potem z Charlotte, teraz rozmowa z panną Dalrymple, sprawiającą wrażenie, że obserwuje ją znacznie uważniej od koleżanek... Wydarzenia miały ze sobą jedynie luźny związek, ale nagle poczuła się jak sparaliżowana – jej wyobraźnia plotła sznur i zaciskała go coraz ciaśniej wokół klatki piersiowej i szyi. Christine nieporadnymi ruchami wygładziła notatki i usilnie starała się odzyskać panowanie nad sobą.

– Świadcząca usługi domowe agencja pielęgniarska... Mówiłam już o tym? – Dźwięk własnego głosu spowodował, że okowy lęku nieco zelżały.

– Mówiła pani – cierpliwie odparła Evelyn.

– Aha, no dobrze. Co dalej... aha, tutaj. Przez niemal dwa tygodnie pani Thomas była odżywiana pozajelitowo za pomocą wlewu kroplowego i do dziś otrzymuje dożylnie antybiotyki, co godzina trzeba ją oklepywać, dostaje bez przerwy tlen. – Christine zauważyła,

że przeskoczyła całą stronę. Tak naprawdę nie była pewna, co już przedstawiła. – Evelyn... chyba ominęłam kilka rzeczy. Mogę wrócić?

– Wszystko możesz, moja droga. Ze wszystkim sobie poradzimy. Teraz się odpręż i przekaż pozostałe informacje.

Ciepłe słowa kobiety wywarły natychmiastowy skutek. Christine zrobiła głęboki wdech i poczuła, jak napięcie odpływa.

– Dziękuję – powiedziała łagodnie. Zapewnienie Evelyn przypomniało, że nie jest sama. Była częścią grupy, ruchu poświęconego Najwyższemu, Bogu. Choć jej rola była trudna, czasami zatrważająca, tak samo było w wypadku pozostałych Sióstr. Po raz pierwszy głos miała spokojny. – Opuściłam to, że zaraz po operacji musiała być znów poddana zabiegowi w celu drenażu rozległego ropnia miednicy. Tydzień temu dostała zapalenia płuc, a zeszłej nocy wprowadzono jej z powodu zagrożenia niedrożnością jelit sondę żołądkową. – W dalszym ciągu drżała, ale słowa układały się łatwiej. – Ostatnio nabawiła się dużych, bolesnych odleżyn uciskowych w okolicy krzyżowej i otrzymuje demerol w ciągłym wlewie poza leczeniem miejscowym. Wczorajszy wpis lekarski w karcie informuje, że zapalenie płuc postępuje. Mimo wszystkich problemów zdrowotnych ustalono, że w wypadku zatrzymania pracy serca ma zostać poddana pełnej reanimacji wedle procedury dziewięćdziesiąt dziewięć... – Już niewiele zostało... dzięki Bogu. – Pani Thomas jest mężatką, ma dwoje dzieci i kilkoro wnuków. Koniec prezentacji. – Christine głęboko westchnęła.

– Panno Beall – powiedziała Evelyn – czy w historii choroby zawarte jest coś, co mogłoby świadczyć o przerzutach do innych narządów?

– Oczywiście. Przepraszam. Pominęłam nieduży fragment. Jest coś – wyniki prześwietlenia. Badanie wątroby z zeszłego tygodnia. Radiolog napisał: „Liczne ubytki cienia świadczące o guzie”.

– Kiedy zajmowała się pani ostatnim pacjentem, skierowanym przez panią na zbadanie?

– Prawie rok temu. Dotychczas to moje jedyne skierowanie. Pani Thomas byłaby druga. – Teraz wyglądałoby to jednak inaczej. Pięknie, nie strasznie jak wtedy. Nogi miała tak miękkie, jakby zniknęły z nich kości. Odruchowo poszukała wzrokiem krzesła.

– Dziękuję za telefon i znakomite przedstawienie historii choroby zgłoszonej pacjentki. Rejonowa Komisja Kwalifikacyjna Stowarzyszenia Sióstr Życia zbada sprawę dogłębnie i skontaktuje się z panią w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie wolno podejmować żadnych działań na własną rękę.

– Rozumiem.

– Aha, jeszcze jedno, panno Beall. Jak się nazywa lekarz tej pacjentki?

– Jej lekarz?

– Tak.

– Doktor Huttner. Wallace Huttner, ordynator oddziału chirurgicznego.

– Dziękuję. Będziemy w kontakcie.

Rozdział trzeci

David Shelton bębnił niecierpliwie w podłokietnik fotela i przeglądał egzemplarz „American Journal of Surgery” sprzed trzech miesięcy. Podniecenie i radosne oczekiwanie na wieczorny obchód z doktorem Wallace’em Huttnerem zostały stłumione oczekiwaniem, które trwało już prawie trzy kwadransy. Huttnerowi musiało coś wypaść na sali operacyjnej.

Przez jakiś czas David krążył po pustym pokoju lekarskim na oddziale chirurgicznym, zatraskując otwarte szafki kolegów, co dziwnym sposobem nieco uporządkowało sytuację. Niestety scenariusz dzisiejszego dnia nie przewidywał czterdziestu pięciu minut w szatni.

Z rosnącym niepokojem, że Huttner może zapomniał o spotkaniu, zdjął garnitur, który wyjął na tę okazję z głębin szafy i „zreanimował”, przebrał się w zielony strój chirurga, włożył na nieco znoszone buty papierowe kaptcie i wsunął w spodnie od strony pleców czarny pasek uziemiający. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie włożyć nowych zielonych płóciennych butów, odrzucił jednak ten pomysł, obawiając się, że nowiutka para mogłaby nasuwać podejrzenie – zresztą zgodne z prawdą – iż ostatnio spędził niewiele czasu na sali operacyjnej.

Rytuał ubierania się przed wejściem na salę operacyjną wywarł pozytywny efekt na jego słabnące morale. Nałożył papierową maskę i czepek na włosy i zaczął nucić La Virgen de Macarena – melodię, którą pierwszy raz słyszał przed laty na stadionie, gdzie oglądał w Mexico City walkę byków, w trakcie wejścia matadora na arenę.

Nagle dotarło do niego, co nuci, i wybuchnął śmiechem.

– Shelton, naprawdę dostajesz palmy. Następnym razem zażadasz uszu i ogona, by przeprowadzić wycięcie wyrostka. – Stał przed lustrem, utknął pod czepek luźne pasma włosów i wyszedł na oddział.

Oddział Chirurgiczny imienia Dickensona, nazwany tak na cześć pierwszego ordynatora chirurgii w tym szpitalu, zajmował szóste i siódme piętro wschodniej „macki” budynku i znajdowało się w nim dwadzieścia sześć sal operacyjnych bez okien. Wszechobecne ściennie zegary stanowiły jedyną wskazówkę, jak płynie życie za murami. Jeśli chodzi o atmosferę, politykę, porządek społeczny a nawet język, oddział chirurgiczny to świat wewnątrz zamkniętego świata, znajdującego się wewnątrz kolejnego zamkniętego świata.

Od pierwszych studenckich dni (a nawet wcześniej) David marzył o tym, by zostać jego częścią. Uwielbiał odgłosy pracy tutejszych urzędów, przyciszone głosy, odbijające się echem od jaskrawo oświetlonych korytarzy, napięcie w trakcie trwania skomplikowanych operacji, sekundy gorączkowej aktywności w nagłych kryzysach, kiedy każda chwila może przesądzić o życiu lub śmierci. Po raz drugi w jego życiu to marzenie zaczynało się urzeczywistniać.

Rozejrzył się po korytarzu wyłożonym płytkami z wapienia i dostrzegł ślady życia tylko w dwóch salach operacyjnych. Pozostałe wyszorowano i przygotowano na jutrzejsze operacje, po czym pogaszono w nich światła.

Założył się ze sobą, że Huttner pracuje w sali po prawej i przegrał weekend z Meryl Streep w Acapulco.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała w drzwiach pielęgniarka.

Miała na sobie zapinany z tyłu zielony kitel, który nie bardzo mógł ukryć, że budowy mógłby jej pozazdrościć futbolista. Turkusowe oczy patrzyły taksująco spomiędzy papierowej maski na ustach i czepka na włosach, zrobionego z zadrukowanego w kwiaty materiału.

Zachowuj się pewnie – nakazał sobie David. – Udaj zażenowanie, że cię nie poznają. Właśnie układał sobie mającą przestraszyć pielęgniarkę odpowiedź, kiedy sam Huttner uniósł głowę znad stołu operacyjnego.

– O, David, witaj! – zawołał. – Edno, to doktor Shelton. Daj mu proszę podwyższenie. Postaw je... eee... za doktorem Brewsterem. – Skinął głową w kierunku stażysty, który asystował po drugiej stronie stołu operacyjnego.

David wszedł na podwyższenie i spojrział na cięcie.

– Zaczęło się jako zwykle zaszczytne krwawiące wrzodu – wyjaśniał Huttner, nieświadom albo nie chcąc przyjąć do wiadomości, że są spóźnieni z obchodem. – Natrafiliśmy na drobne problemy po otwarciu pacjenta i podjąłem decyzję, by przeprowadzić hemigastrektomię oraz zespolenie metodą Bilrotha. – David zwrócił uwagę na dobór słów i zapamiętał specyficzną składnię.

Kiedy instrumentariuszka podawała Huttnerowi nożyczki, te nieoczekiwanie wypadły mu z rąk. Choć narzędzie zaterkotało o podłogę dość cicho, dla świadków sceny zdarzenie było jak wybuch granatu. Szarobłękitne oczy chirurga błysnęły.

– Cholera jasna, Jamie! Mogłabyś uważać!

Instrumentariuszka zeszywniała, wymamrotała przeprosiny i ostrożnie podała nowe nożyczki. David odruchowo zmrużył oczy. Stąd, gdzie stał, wyglądało, że instrument podano prawidłowo. Rzucił okiem na zegar na ścianie. Było wpół do ósmej – Huttner prawdopodobnie operował przez większą część dwunastogodzinnego dnia.

Po minucie operujący popatrzył na efekt swej pracy i pokręcił głową, by rozluźnić napięte mięśnie karku.

– Dobra, Rick, jest twoja. Zamykaj – powiedział do stażysty. – Standardowe zalecenia pooperacyjne. Nie sądzę, by potrzebowała specjalnej opieki, zdajcie się na swoje zdanie, kiedy będzie gotowa do przeniesienia z sali pooperacyjnej. Jeśli pojawią się jakiegokolwiek problemy, proszę się kontaktować z doktorem Sheltonem, który będzie mnie zastępował w czasie konferencji na Cape. Pytania?

Davidowi zdawało się, że dostrzegł w oczach instrumentariuszki błysk szacunku. Bez względu na to, czy zainteresowanie w jej spojrzeniu było rzeczywiste, czy tylko je sobie wyimaginował, natychmiast poczuł nowy przyływ podniecenia, w związku z tym, co może się wydarzyć w ciągu najbliższych trzech dni.

Huttner odszedł od stołu, jednym ruchem ściągnął zakrwawiony kitel i rękawiczki i ruszył do szatni. David podążył tuż za nim. Zamiast – jak David się spodziewał – ciężko opaść na najbliższe krzesło, Huttner podszedł swobodnie do swojej szafki, wyjął fajkę i kapciuch z

tytoniem. Nabił i zapalił elegancką fajkę z pianki morskiej, dopiero wtedy usiadł na skórzanej kanapie. Ruchem ręki dał znak Davidowi, by się przysiadł.

– Turnbull powinien był skierować tę kobietę na zabieg dwa dni temu – powiedział, mając na myśli internistę, który nie zdołał powstrzymać krwawienia. – Założę się, że gdyby to zrobił, nie musiałbym jej wycinać pół żołądka. – Huttner zamknął oczy i wymanikiurowanymi starannie palcami, wyglądającymi na porcelanowe, zaczął masować sobie grzbiet nosa.

Skończył właśnie sześćdziesiąt lat, był wysoki i szczupły, brakowało mu centymetra lub dwóch do metra osiemdziesiąt pięć, skronie miał w odpowiedni sposób przyprószone siwizną – doktor Huttner był w każdym calu arystokratą, na jakiego kreowały go gazety.

– David, od pielęgniarek z sali operacyjnej słyszałem parę miłych rzeczy o twojej pracy – powiedział z eleganckim akcentem z Nowej Anglii.

Parę miłych rzeczy... David przez kilka sekund badał komplement. Była to odruchowa reakcja, powstała w ciągu ośmiu lat kontaktów z protekcyjnymi potencjalnymi pracodawcami i niby współczującymi kolegami. David nie lubił, gdy tak go traktowano, ale się przyzwyczaił. Pochlebstwo Huttnera wyglądało jednak na prawdziwe.

– Dziękuję – odparł. – Jak pan sam przed chwilą widział, nie wszystkie mnie poznają. Jedna poważniejsza operacja na tydzień to nie najlepsza podstawa do wydawania ocen. – Nie było w jego słowach goryczy, konstatawał fakt. Wiedział, że Huttner robi na tydzień z piętnaście poważniejszych operacji.

– Cierpliwości, David, cierpliwości. Pamiętasz, to samo ci powiedziałem, kiedy przyszedłeś do mnie z prośbą o przyznanie przywilejów należnych stałemu personelowi. Musisz pamiętać, że choć lekarze są stale wynoszeni na piedestał, są także poddawani nieustannej, zwielokrotnionej lustracji. – Zetknął czubki palców i starannie dobierał słowa. – Takie problemy jak te, które... hm... ci się przytrafiły, społeczność lekarska nieprędko zapomina. Są zagrożeniem, dowodzą istnienia słabości, a większość lekarzy nie chce się przyznawać, że ma jakiegokolwiek słabości. Wykonuj dobrą, sumienną robotę jak dotychczas, a ciekawe przypadki same przyjdą. – Przybrał postawę niczym papież i objął dłońmi fajkę.

– Mam taką nadzieję – powiedział David z nieco wymuszonym uśmiechem. – Chciałbym w każdym razie, by wiedział pan, jak bardzo jestem wdzięczny za zaufanie i akceptację. To dla mnie naprawdę wiele znaczy.

Huttner machnął fajką, jakby uważał podziękowanie za niepotrzebne, choć jego mina świadczyła o tym, że się go spodziewał i byłby rozczarowany, gdyby nie nastąpiło.

– Nonsens. To ja jestem wdzięczny. Jest dla mnie wielką ulgą mieć świadomość, że moimi pacjentami będzie się zajmował bystry młody talenciarz. Jeśli dobrze pamiętam, pracowałeś przez jakiś czas w White Memorial, tak?

– Tak, sir. Byłem tam kiedyś szefem stażystów.

– Nigdy nie umiałem się pogodzić z tym systemem szkolenia – powiedział Huttner i pokręcił głową ruchem mającym oznaczać niedowierzanie. – Poza tym poproszę „Wally”. Mam na co dzień dość „sirów”, by zapłacić nimi dwór Króla Artura.

David skinął głową, uśmiechnął się i w ostatniej chwili powstrzymał przed: „Tak jest, sir”. Huttner wstał.

– No to szybki prysznic i ruszamy na obchód. – Wrzucił bluzę i spodnie do płóciennego pojemnika, wyjął z szafki czasopismo i podał je Davidowi. – Rzuć okiem na mój artykuł o radykalnej chirurgii raka sutka z przerzutami. Jestem ciekaw, co o tym sądzisz.

Powiedziawszy to, wszedł do łaźni, ale zanim odkręcił wodę, zdążył jeszcze krzyknąć:

– David, grasz w tenisa? Musimy iść na kort i odbić kilka piłek, zanim pogoda się popsuje.

– Czasami trudno odróżnić moją grę w tenisa od podnoszenia ciężarów – powiedział David, ale na tyle cicho, by Huttner nie usłyszał. Przejrzał artykuł. Czasopismo było dość podrzędne, a autor artykułu wypowiadał się za radykalnym usuwaniem piersi, jajowodów i nadnerczy u kobiet z rozległym rakiem sutka. W koncepcji nie było nic rewolucyjnego, niektóre ośrodki dawno ją reprezentowały. Choć choroba jest straszliwa, to opis radykalnych zabiegów czarno na białym i widok tabel przedstawiających „procentowość przeżycia” spowodowały, że David poczuł w gardle kwaśny posmak. PRZEŻYCIE. Czy naprawdę o to głównie chodziło? Zamknął czasopismo i wsunął je do szafki Huttnera.

Kiedy obaj chirurdzy ruszyli na obchód, z głośników rozległa się informacja, że właśnie minęła ósma i należy zakończyć odwiedziny chorych. David już przedtem zaglądał do swoich pacjentów: dziesięciolatka, przyjętego na operację przepukliny oraz Edny Borroughs, czterdziestoletniej robotnicy fabrycznej, u której ciężka praca i cztery ciążę spowodowały potężne żyłaki, poskręcane i wystające nad skórę niczym korzenie fikusa bengalskiego.

Wallace Huttner miał ponad dwudziestu pięciu pacjentów, rozrzuconych w trzech różnych skrzydłach i niemal wszyscy przeszli poważne zabiegi. Kiedy przychodził, natychmiast wywoływał poruszenie. Wyglupy przy dyżurkach pielęgniarek zamierały, głosy cichły, nagle pojawiała się oddziałowa z historiami chorób w dłoniach i dołączała do obchodu. Na sporadyczne pytania Huttnera odpowiadano albo monosylabami, albo nerwowym wyrzucaniem z siebie lawiny danych. Huttner był cały czas grzeczny i szybko przemykał od łóżka do łóżka – bez śladu zmęczenia, które na pewno czuł. David musiał przyznać, że facet jest wyjątkowy. Fenomenalny.

Wkrótce wytworzył się sympatyczny schemat: oddziałowa prowadziła ich do odpowiednich drzwi, Huttner brał od niej historię choroby i podchodził do łóżka. Za nim szli David, oddziałowa i czasami pielęgniarka będąca kierowniczką zmiany. Huttner podawał Davidowi nie otwartą historię choroby, krótko przedstawiał go pacjentowi albo pacjentce i referował w skąpych słowach przyczynę przyjęcia, przeprowadzoną operację oraz leczenie pooperacyjne, formułując wszystko w żargonie zrozumiałym jedynie dla lekarza albo pielęgniarki.

Na koniec David przeglądał historię choroby i zapisywał w notesie ważne jego zdaniem wyniki badań oraz zalecenia, a Huttner prowadził krótkie badanie. David starał się nie narzucać, odzywał się jedynie zapytany, pytania ograniczał do inteligentnego – jego zdaniem – minimum.

Od czasu do czasu spoglądał na Huttnera. O ile David mógł ocenić, był on zadowolony, że zostawia swych pacjentów w fachowych rękach. Nie potrwało jednak długo, jak David zaczął czuć niepokój. Mimo legend wokół jego osoby, pomocy stażystów i niewątpliwych – być może nie mających sobie równych – umiejętności chirurgicznych, tak naprawdę Wallace Huttner był

niechlujny. Notatki o postępach leczenia robił krótkie i czasami pomijał w nich istotne fakty, niektóre ważne wyniki badań laboratoryjnych leżały w historii choroby kilka dni, zanim zwrócił na nie uwagę i zlecił kontrolę. Były to drobiazgi, subtelności, ale układały się w jednoznaczny schemat. Nie był to ten rodzaj nieuwagi, który wpływa negatywnie na los wszystkich pacjentów, lecz musiała się ona tu i ówdzie uzewnętrznić pod postacią przedłużonego pobytu w szpitalu, kolejnego zabiegu, może nawet śmierci.

David był przekonany, że Huttner zdaje sobie z tego sprawę. Na pewno miał świadomość niedociągnięć, jedynie nie udawało mu się opanować problemu. Nie chodziło o brak zainteresowania oraz umiejętności – tego mu nie można było zarzucić. David uznał, że po prostu jest „za mało Huttnera”. Miał zbyt wielu pacjentów. Uczestniczył w pracach zbyt wielu komisji i grup roboczych, miał nadmiar obowiązków dydaktycznych. Jak jeden człowiek może sobie poradzić z taką ilością obowiązków? Prędzej czy później musi się ograniczyć, pójść na kompromis albo... znaleźć sobie pomocnika. David z podnieceniem pomyślał, że może Lauren ma rację... może Huttner rzeczywiście szukał partnera? Po chwili ze śmiechem stwierdził, że przyczyną wybrania go mogła być także opinia, iż ze wszystkich chirurgów w szpitalu jest ostatnim, który zauważy niedociągnięcia... nieważne. Niedopatrzienia i niedoróbki były drobne, jutro przejrzy historie chorób i wszystko doprowadzi do porządku.

Trzymaj tylko gębę na kłódkę. Obejrzysz jeszcze kilku pacjentów i jesteś zdany na własne siły.

Po paru minutach decyzja Davida, by trzymać gębę na kłódkę, została poddana ciężkiej próbie. Pacjentem był zawodowy rybak, tuż przed sześćdziesiątką – Anton Merchado.

Został przyjęty do szpitala przed kilkoma tygodniami z powodu objawów brzusznych. Huttner zrobił drenaż, wyciął torbiel trzustkową i Merchado zaczął wracać do zdrowia, kiedy niespodziewanie pojawiły się objawy zakażenia górnych dróg oddechowych. Przez telefon Huttner zlecił podawanie tetracykliny – powszechnie stosowanego antybiotyku.

Stan pacjenta musiał się poprawić, w krótkich notatkach Huttnera więcej bowiem o tym nie wspomiano. Zlecenie podawania tetracykliny nie zostało jednak odwołane i pacjent dostawał ją dalej – od niemal dwóch tygodni.

Wyraźnie starając się przyspieszyć obchód, Huttner przedstawiał superskondensowane streszczenie historii leczenia, równocześnie badając serce, płuca i brzuch chorego. David nieco się odsunął od łóżka i skoncentrował uwagę nie na słowach starszego kolegi, a na historii choroby.

W przeddzień planowanego wypisu u Merchada pojawiła się nasilona biegunka. Pierwszą diagnozą Huttnera było wirusowe zapalenie jelit, ale w ciągu kilku dni stan pogorszył się w sposób, którego nie mogła wywołać prosta infekcja wirusowa. Zaczęły się pojawiać pierwsze objawy odwodnienia.

David przeszedł od notatek o rozwoju choroby do wyników badań laboratoryjnych, po czym wrócił do wpisów. Niepokój Huttnera odzwierciedlała rosnąca każdego dnia liczba zleceń na najrozmaitsze badania laboratoryjne, które niczego nie wykazywały. Zwiększał wysiłki równoległe z pogarszaniem się stanu chorego, nie mogło być jednak najmniejszej wątpliwości, że pan Merchado stacza się po równi pochyłej.

W głowie Davida zakiełkowała myśl. Przejrzał jeszcze raz wyniki badań laboratoryjnych, szczególną uwagę zwracając na zlecane przez kilka dni z rzędu pobieranie kału na posiew.

– No i co o tym sądzisz? – spytał Huttner. – David?

– O, przepraszam! Zauważyłem, że w dalszym ciągu dostaje tetracyklinę i zastanawiałem się, czy nie mogło dojść w wyniku jej przyjmowania do gronkowcowego zapalenia okrężnicy. Nie zdarza się to często, ale...

– Tetracyklinę? Przecież kazałem ją odstawić kilka dni temu! Dalej mu ją podają?

Stojąca za Huttnerem, ale prosto przed Davidem, szefowa zmiany pielęgniarek energicznie pokiwała głową.

– Hm... cóż... – mruknął Huttner i trochę się zawahał. David niemal słyszał, jak zadaje sobie pytanie, czy rzeczywiście odwołał zlecenie, czy tylko zamierzał tak zrobić. – Wszystkie posiewy były negatywne. Jeśli chcesz, napisz, by mu odstawiono tetracyklinę. Jeśli chcesz, zleć kolejny posiew.

David właśnie zamierzał wypełnić polecenie, kiedy na dole długiego wydruku komputerowego, przedstawiającego wyniki wszystkich przeprowadzonych badań, dostrzegł wynik posiewu. Napisano tam:

24. 09. KAŁ WZROST ŚREDNI, S. AUREUS, WRAŻLIWOŚĆ – DO ZBADANIA.

Staphylococcus aureus – gronkowiec złocisty. Najzłośliwsza postać gronkowca! David zamknął na chwilę oczy w nadziei, że kiedy ponownie spojrzy na kartkę, zapisu nie będzie. Kilkanaście sekund zajęło mu podjęcie decyzji, by nie wspominać o odkryciu i skorygowaniu niedopatrzenia później. Wahanie okazało się jednak zbyt długie.

– Co jest, David? – spytał Huttner. – Coś znalazłeś?

– Niech to cholera... – mruknął pod nosem David. Przez głowę przemknęło mu kilkanaście możliwych do udzielenia odpowiedzi. Wszystkie błyskawicznie rozpatrzył i odrzucił. Nie było dobrego sposobu ominięcia problemu, nie było gdzie się ukryć. Kątem oka widział dwie stojące nieruchomo przy łóżku pielęgniarki. Ciekawe, czy wiedziały, że w najbliższych kilku sekundach mógł się nie tylko rozwiać sukces popołudnia, ale i cała jego przyszła kariera?

David miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu snu. Dłoń, która powoli podała Huttnerowi historię choroby, pana Merchada, palec wskazujący anonimowe linijki nie należały do niego, ale do kogoś innego.

W oczach Huttnera pojawił się ten sam błysk, który David widział na sali operacyjnej, kiedy spiorunował wzrokiem instrumentariuszkę. Przez chwilę Huttner patrzył mu w oczy, potem odwrócił się do pielęgniarek. Rzucił historię choroby szefowej zmiany.

– Pani Baird – niemal wywarczał – chciałbym, by znalazła pani osobę odpowiedzialną za to, że nie zwrócono mi uwagi na ten wynik. Ktokolwiek to jest – pielęgniarka czy sekretarka – ma się zgłosić z samego rana do mojego gabinetu. Wyrażam się jasno?

Pielęgniarka, korpulentna weteranka swej profesji, która przeżyła niejedną szpitalną wojnę, popatrzyła na kartkę, po czym wzruszyła ramionami i kiwnęła głową. David był ciekaw, czy Huttner z konsekwencją dokończy ewidentnego poszukiwania kozła ofiarnego.

– Chodźmy, doktorze Shelton – powiedział w końcu szorstkim tonem. – Robi się późno i mamy jeszcze kilku pacjentów do obejrzenia.

Kiedy dotarli do korytarza Południe Cztery, gdzie leżała ostatnia pacjentka Huttnera, zbliżała się dziesiąta. Była nią Charlotte Thomas. Po raz pierwszy w trakcie obchodu Huttner wyłamał się z rutyny. Wziął od pielęgniarki historię choroby i powiedział:

– David, przejdźmy na chwilę do pokoju pielęgniarek. Ta pacjentka jest najbardziej skomplikowanym przypadkiem, jakim się zajmuję, i chciałbym przed wejściem do niej kilka minut z tobą porozmawiać. Może ktoś mógłby nam przynieść po filiżance kawy. – Ostatnia uwaga była skierowana do pielęgniarki, która uśmiechnęła się lekko, jakby wyrażając przyzwolenie. – Dla mnie bezkofeinowa, bez cukru, dla doktora Sheltona...

– Czarna – odparł David. Mało brakowało a powiedziałaby „ponura” * [Gra słów: black to czarna, bleak – ponura (przyp. tłum.)].

– Proszę bardzo, doktorze – powiedział Huttner podając Davidowi historię choroby. – Przejrzyj, zanim dostaniemy kawę.

Już przed otwarciem teczki David wiedział, że Charlotte Thomas ma poważne kłopoty – jej historia choroby była bardzo gruba. Przypomniał sobie staż i wysokiego, patykowatego nowojorczyka, Geralda Foksa, który skończył studia rok przed nim. Fox uzyskał nieśmiertelność – przynajmniej w White Memorial Hospital – kserując i rozprowadzając trzy stronicową listę cynicznych maksym i definicji zatytułowaną Złote zasady medyczne Foksa. Wśród nich znajdowały się definicje skomplikowanego przypadku („Kiedy suma średnic wszystkich przewodów i rurek wprowadzonych do ciała pacjenta przekracza średnicę jego kapelusza”), ginekologa („Człowiek, który rozsuwa na bok poły fraka starych żon”) oraz śmiertelnej choroby („Choroba, której dokumentacja przekracza trzy centymetry grubości”).

Kawę przyniesiono w momencie, kiedy David zaczął czytać o przyczynie przyjęcia i wynikach badania wstępnego. Huttner powiedział:

– O, panno Beall, dziękujemy. Jest pani aniołem miłosierdzia.

David podniósł głowę znad dokumentacji. Nie była to ta sama pielęgniarka, u której Huttner „zamówił” kawę, ale znacznie młodsza kobieta, której David dotychczas nie widział albo nie zauważył. Przez kilka sekund świat zasłaniały mu wielkie, owalne, ciemnobrązowe oczy.

Poczuł, jak ciało przepelnia mu ciepło. Ich oczy spotkały się i dziewczyna się uśmiechnęła.

– A więc znów zajmuje się pani naszą lady Charlotte? – spytał Huttner, nie zwracając uwagi na milczące spotkanie dwóch par oczu.

– Słucham? Ach tak. – Christine odwróciła wzrok i popatrzyła na Huttnera. – Nie wygląda najlepiej. Przyniosłam panu kawę specjalnie, chciałam bowiem porozmawiać o...

– Ale ze mnie gbur – przerwał jej Huttner. – Panno Beall, to doktor David Shelton. Znacie się może?

– Nie – lodowato odparła Christine. Doskonale знаła obojętność Huttnera na poglądy i sugestie pielęgniarek, z biegiem czasu zrezygnowała z prób dzielenia się z nim swoimi opiniami, ale sytuacja Charlotte była dla niej szczególnie męcząca i uznała, że warto spróbować. Gdyby Huttner zaczął stosować mniej inwazyjne leczenie i odwołał zlecenie przeprowadzenia w razie czego pełnej reanimacji, nie zrobiłaby nic, gdyby nawet Komisja Kwalifikacyjna zaaprobowala propozycję. Spróbowała, ale, jak należało się spodziewać,

przerwał jej, choć tym razem bezmyślnym rytuałem grzecznościowym. Mimo to była zdecydowana wyrazić swe zdanie. To jego zgłębnik tkwił w nosie Charlotte. On wydał zlecenie przedłużania jej cierpienia bez względu na okoliczności. Mógł się bawić w Mistrza Marionetek z innymi pacjentami, ale nie z Charlotte... Albo wysłucha, albo... albo straci pielęgniarkę. Christine przełknęła twardą jak kość irytację, która zaczęła ją uciskać w gardle.

Huttner nic nie zauważył w jej głosie.

– Doktor Shelton będzie się przez kilka dni zajmował moimi pacjentami, w tym panią Thomas – poinformował.

Christine skinęła głową Davidowi i zadała sobie pytanie, czy dostał upoważnienie do odwołania przesadnego leczenia Charlotte, doszła jednak do wniosku, że to niemożliwe.

– Doktorze Huttner, chciałabym przez chwilę porozmawiać o Charlotte Thomas.

Huttner popatrzył na zegarek.

– Oczywiście, panno Beall. Może pozwoli nam pani skończyć omawiać historię choroby i zbadać pacjentkę, potem powie pani, co chce, doktorowi Sheltonowi. Doskonale wie, co zaplanowałem.

Huttner odwrócił głowę, zanim trafiła go pierwsza błyskawica z oczu Christine. David wzruszył z zażenowaniem ramionami, pielęgniarka już się jednak skierowała do drzwi i wyszła.

Ordynator napił się kawy i zaczął mówić, jakby Christine nie istniała.

– Pani Thomas jest dyplomowaną pielęgniarką, jeśli się nie mylę, dochodzi do pięćdziesiątki. – David popatrzył na datę urodzenia, umieszczoną na pierwszej karcie historii choroby. Charlotte Thomas miała prawie sześćdziesiąt jeden lat. – Jej mąż, Peter, jest profesorem na Harvardzie. Ekonomistą. Została do mnie skierowana przez internistę z podejrzeniem raka odbytu. Kilka tygodni temu przeprowadziłem u niej resekcję metodą Milesa, guz okazał się gruczolakorakiem naciekającym ścianę jelita. Badanie węzłów chłonnych, które usunąłem, dało wynik negatywny i czułem, że jest wielka szansa na to, że wyczyszczenie całkowicie usunęło komórki nowotworowe.

David podniósł wzrok znad płamy kawy, którą nieświadomie pocierał palcem. Przeżycie pięciu lat po usunięciu raka odbytu tego rozmiaru zdarzało się w dwudziestu procentach. Szansa? Jak najbardziej. Ale „wielka szansa”? Oparł się i zastanowił, czy warto pytać Huttnera o przyczyny tak wielkiego optymizmu. Uznał jednak, że niemądre jest pytanie go o cokolwiek.

Zadowolony z dźwięku własnych słów, Huttner kontynuował przedstawianie historii choroby.

– Tak jak zawsze się zdarza, jeśli operujemy lekarzy albo pielęgniarki, wystąpiło wszystko, co mogło się pokomplikować. Najpierw zrobił się ropień miednicy – musiałem ponownie ją otworzyć i go zdrenować. Potem dostała zapalenia płuc. W końcu zrobiła się paskudna odleżyna na kości krzyżowej, a wczoraj pojawiła się niedrożność jelita, więc musiałem kazać wprowadzić sondę. Wygląda jednak na to, że problem został skorygowany i mam przeczucie, że teraz będzie już z górki.

Huttner złożył dłonie na stole, co miało oznaczać, że przedstawienie zostało zakończone. W kąciu prawego oka pojawił mu się drobny tik. David uznał, że starszy kolega musi być

krańcowo wycieńczony. Sam czuł się nieswojo i nie wiedząc, co robić, znów zaczął przeglądać historię choroby.

– A jeśli trzeba ją będzie operować z powodu niedrożności? – spytał, żałując, że się odezwał, nim skończył zdanie.

– Wtedy podejmiesz decyzję i jeśli uznasz za konieczne, przeprowadzisz zabieg. Przekazuję ci wszelkie uprawnienia decyzyjne – odparł Huttner nieco drażliwie.

Koniec pytań, uznał David. Cokolwiek chcesz wiedzieć, wymyśl sobie odpowiedź sam. Przebrnij wreszcie przez ten wieczór.

Niestety był jeszcze jeden problem. David próbował rozwiązać go sam, szybko jednak zrozumiał, że odpowiedź może dać jedynie Huttner. Jego zdecydowanie załamało się.

– A jeśli nastąpi zatrzymanie pracy serca?

– Cholera jasna, człowieku, nic takiego się nie stanie! – warknął Huttner z zaskakującą gwałtownością. Zważywszy na to, że wybuch jest nie na miejscu, zrobił głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze i dodał: – Taką mam przynajmniej nadzieję. Gdyby jednak do tego doszło, należy zastosować pełną procedurę... z intubacją włącznie i, jeśli będzie trzeba, z respiratorem. Jasne?

– Jasne. – David znów popatrzył na historię choroby. Cokolwiek krytycznego by powiedzieć na temat Wallace'a Huttnera, nie można mu było zarzucić niedostatecznej opieki nad Charlotte Thomas. Na jej leczenie wydano tysiące dolarów; na badania laboratoryjne, opiekę szpitalną, badania radiologiczne. Mimo to, przynajmniej na papierze, nic nie świadczyło o tym, że powinno „być z górki”.

– To co, obejrzymy pacjentkę. – Ton głosu nie był pytający, ale nakazujący.

David właśnie zamierzał wstać, gdy zauważył wyniki badania radiologicznego wątroby Charlotte Thomas. Słowa zdawały się wyskakiwać z kartki: LICZNE UBYTKI CIENIA ZGODNE Z GUZEM. Wpatrywał się w słowa i czuł, jak cały drętwieje. Rzadko słyszało się o przeżyciu pacjenta z rakiem odbytu, u którego nastąpiły przerzuty do wątroby. Przy tak rozsianych objawach nie było uzasadnienia dla tak intensywnego leczenia, jakie zaordynował Huttner. Jeżeli – jak w wypadku Merchada – Huttner nie zwrócił uwagi na wyniki badania radiologicznego, to cała chęć współpracy zaraz się rozwieje z siłą wybuchu jądrowego...

– Co tym razem, doktorze? – spytał zjadliwie Huttner.

– Nic... prawdopodobnie nic – odparł David żałując, że nie jest daleko stąd. – Tylko... hmm... przeglądałem wyniki badania radiologicznego wątroby...

– Ha! – Okrzyk Huttnera uciszył go. – Liczne ubytki cienia zgodne z guzem, tak? – Nagle wydał się szczęśliwy. – Proszę spojrzeć na nazwisko radiologa, który przeprowadzał badanie. G. Rybicki, żywy polski dowcip radiologiczny. To samo stwierdził przed operacją, więc w trakcie zabiegu dokładnie sprawdziłem wątrobę. Nawet zrobiłem biopsję. To torbiele, Davidzie. Liczne wrodzone, dobrotliwe torbiele. Zdecydowałem się na wysłanie Rybickiemu kopii wyników badania przeprowadzonego przez patologa, ale prawdopodobnie nawet nie rzucił na nie okiem, o czym świadczy powtórzenie pierwszego błędu. Najlepiej będzie, jeśli usuniemy jego opinię z historii choroby. – Wyrwał kartkę, zwinął ją w kulkę i wrzucił do kosza. – A teraz, jeśli nie masz więcej pytań, może rzucimy okiem na pacjentkę?

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. – David z niewiarą pokręcił głową i uśmiechnął się, wdzięczny, że zdjęto go z haka. W szerokim uśmiechu Huttnera było coś, co rozwiało obawy Davida.

Ramię w ramię poszli korytarzem Południe Cztery i weszli do sali numer czterysta dwanaście.

Rozdział czwarty

Jedynе światło w pomieszczeniu pochodziło z lampy ustawionej tak, by oświetlać miejsce tuż nad obnażonymi pośladkami leżącej na boku Charlotte Thomas. Huttner podszedł do łóżka od strony pleców chorej i trochę odsunął lampę. Zesztywniał, zaraz jednak zmusił się do przybrania swobodniejszej pozy. David, który szedł tuż za nim, był zaskoczony, wręcz nieco rozbawiony reakcją doświadczonego chirurga, przestał się jednak dziwić, kiedy przyjrzał się przyczynie zachowania Huttnera. Odleżyna, którą starszy kolega określił mianem „paskudnej”, była znacznie gorsza. W plecach ziała dziura średnicy mniej więcej piętnastu centymetrów, brzegi tworzyły nagie mięśnie, ze śladami wysychających okładów. Ze środka – niczym niewidome oko – wyzierał nagi kawałek kości krzyżowej wielkości sporej monety.

Huttner wzruszył ramionami, jakby chciał stwierdzić: „Bywały gorsze rzeczy, z którymi sobie radziłem, prawda?”.

David spróbował coś powiedzieć, ale udało mu się jedynie pokręcić głową. Widywał niezliczone odleżyny i rany najróżniejszego pochodzenia, ale to...

– Charlotte, to ja, doktor Huttner – powiedział ordynator, wyłączył lampę i zapalił przyćmioną lampkę, umieszczoną u wezłowia łóżka. Podciągnął prześcieradło powyżej pasa chorej i przeszedł na drugą stronę łóżka. David podążył za nim, przyjrzał się zawieszonym na stojakach butelkom z płynami infuzyjnymi, pasom, przytrzymującym ciało Charlotte, ułożone na boku, cewnikowi odprowadzającemu mocz, przewodowi dostarczającemu tlen oraz drenowi. Na pierwszy rzut oka rozumiał celowość użycia każdego przewodu i każdej rurki. Były tak samo narzędziami jego profesji jak wielkie lampy i instrumentarium chirurgiczne na sali operacyjnej.

Od razu zauważył także co innego: pustkę na twarzy pani Thomas – nieruchome, pozbawione emocji spojrzenie oraz oczy, które wyglądały jak płaskie wilgotne krążki i spoglądały tępo w półmrok. Nawet w oddechu – cichym, rytmicznym pojękiwaniu – brakowało życia.

Charlotte Thomas miała „szczególny wygląd”, jak w swym prywatnym słownictwie określał taki stan David. Straciła wolę życia, nie miała tej szczególnej dawki energii, koniecznej do wyjścia z śmiertelnej choroby; zgasła iskra, która często decydowała o tym, że następował medyczny cud i człowiek nie stawał się kolejną pozycją statystyk umieralności.

David zastanawiał się, czy Huttner widzi to samo i czuje tę pustkę. Jakby w odpowiedzi na nie zadane pytanie, wysoki chirurg ukląkł przy łóżku, wsunął dłoń pod głowę Charlotte i przekręcił ją tak, by móc patrzeć jej w oczy. Przez niemal minutę tak tkwili – doktor i pacjentka w niemej bolesti. David stał kilka metrów dalej i przelikał ślinę, aby usunąć coś ciężkiego, co zbierało mu się w gardle. Czułość Huttnera była w takim samym stopniu prawdziwa jak niespodziewana – sytuacja ukazała nowe oblicze tego skomplikowanego jak kalejdoskopowy obraz człowieka.

– Nie czuje się pani najlepiej? – powiedział w końcu.

Charlotte skrzywiła z wysiłkiem wargi – była to chyba próba uśmiechu – i pokręciła głową. Huttner zsunął jej włosy z czoła i przeciągnął dłonią po policzku.

– W każdym razie temperatura jest po raz pierwszy od jakiegoś czasu niemal normalna. Mam nadzieję, że zaczynamy opanowywać zapalenie płuc. – Mówił, starannie mieszając pocieszające wieści z niedobrymi. – Czy ból pleców nieco osłabł? – Kolejne pokręcenie głową. – Jeśli wszystko zacznie się uspokajać, tak jak się spodziewam, za dzień lub dwa będziemy mogli wyjąć sondę z nosa. Wiem, że bardzo przeszkadza. Może teraz, kiedy leży pani na boku, osłucham płuca, potem przewrócimy panią na plecy i sprawdzę, czy nie ma nowych odgłosów w brzuchu. – Zbadał ją pobieżnie, sprawdził poziom płynów w kroplówkach, ilość moczu w worku pod łóżkiem i znów ukląkł przy niej. – Wyjdzie pani z tego, Charlotte. Musi pani w to wierzyć – powiedział łagodnie, ale z naciskiem.

Tym razem Charlotte udało się uśmiechnąć ze smutkiem i znowu pokręciła głową.

– Niech pani będzie cierpliwa, nie traci wiary i jeszcze trochę wytrzyma – naciskał Huttner. – Domyślam się, jak bardzo pani cierpi i dlatego czuję się okropnie, ale wiem, że kroczonek po kroczonek sytuacja się odwraca. Zanim się pani obejrzy, już się będzie malować i szykować na spotkanie ze wspianymi wnukami, o których tyle mi pani opowiadała. – Przerwał. David obserwował go. Huttner miał ściągnięte brwi, usta napięte. Sprawiał wrażenie próbującego siłą woli wlać w duszę chorej nieco energii i nadziei. Charlotte Thomas nie reagowała. – Aha, niemal bym zapomniał – dodał na koniec. – Domyślam się, jak bardzo musi być pani zmęczona oglądaniem dzień w dzień mojej uśmiechniętej gęby. Będzie pani mogła kilka dni ode mnie odpocząć. Wyjeżdżam na konferencję na Cape i zastąpi mnie ten przystojny lekarz. Był przez kilka lat szefem stażystów w White Memorial. To tak świetny szpital, że nie wzięliby mnie tam nawet na internę. Nazywa się David Shelton.

– Huttner dał Davidowi znak, by podszedł.

David zajął jego miejsce, położył ręce na prześcieradle i oparł na nich brodę. Choć głowę miał oddaloną o piętnaście centymetrów od Charlotte, kilka sekund zajęło jej skoncentrowanie wzroku na jego twarzy.

– Jestem David, pani Thomas. Jak się pani czuje? – Cholera, już kilka razy odpowiadała na to głupie pytanie. – Czy czegoś pani potrzebuje? Mógłbym coś dla pani zrobić? – Zaczekał chwilę, aż było jasne, że nie otrzyma odpowiedzi. Kiedy zaczął wstawać, Charlotte Thomas wyciągnęła kruchą, posiniaczoną dłoń i złapała go za rękę z nieoczekiwaną siłą.

– Doktorze Shelton, niech pan posłucha – powiedziała chrapliwym, łamiącym się głosem, w którym kryła się dziwna moc. – Doktor Huttner to wspianym człowiekiem i cudownym lekarzem. Bardzo chce mi pomóc, ale musi mu pan coś uzmysłwić. Nie chcę, by mi pomagano. Chcę, by powymowano ze mnie wszystko i ułożono mnie wygodnie, abym mogła zasnąć. Musi mu to pan uzmysłwić. Proszę. To dla mnie straszna tortura. Koszmar. Niech pan coś zrobi, by zrozumiał.

Jej oczy błysnęły i zamknęły się. Kilka razy głęboko wciągnęła powietrze i opadła ciężko na poduszkę. Oddech spowolniał. David przestraszył się, ale po chwili zaczęła chrapliwie, rytmicznie oddychać.

David był w stanie jedynie wyszeptać:

– Wszystko będzie dobrze, pani Thomas...

Huttner wziął go za rękę i wyprowadził z sali.

Na korytarzu stanęli naprzeciwko siebie. Huttner pierwszy przerwał milczenie.

– Niezły wieczór, co? – rzucił z wyrozumiałym uśmiechem.

– Aha. – David stukał czubkiem stopy w podłogę. Powiedziałby więcej, bał się jednak, że rozklei się na oczach ordynatora.

Huttner popatrzył na niego.

– David, nigdy nie zapominaj, że często beznadziejnie chorzy pacjenci, bardzo osłabieni i cierpiący z powodu bólu, wyrażają chęć śmierci. Naprawdę widziałem wielu pacjentów tak poważnie chorych jak Charlotte Thomas, a nawet w jeszcze gorszym stanie, i wracali do zdrowia. Ta kobieta wyjdzie z tego. Wymaga leczenia inwazyjnego, włącznie z reanimacją. Rozumiemy się?

– Tak jest, sir... to znaczy Wally – automatycznie odparł David, choć nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz słyszał o sześćdziesięciolatce powracającej do zdrowia po chorobie, która zaatakowała tak liczne narządy, jak w wypadku Charlotte Thomas.

– W takim razie zgadzamy się – oświadczył Huttner, rozpromieniony, że udało mu się postawić na swoim. – Uzgodnijmy dla niej kilka zleceń i możemy zakończyć dzień.

Kiedy dochodzili do dyżurki pielęgniarek, David założył się ze sobą o gitarę i sześć miesięcy lekcji gry, twierdząc, że ma już za sobą kulminacyjny punkt pełnego wydarzeń wieczoru.

W chwilę później z poczekalni dla odwiedzających, znajdującej się na końcu korytarza, wyszedł korpulentny mężczyzna w golfie i tweedowym sportowym płaszczu i ruszył w ich kierunku. Był oddalony o jakieś dziesięć metrów, kiedy David pomyślał, że przegrał kolejny zakład. Dostrzegł złość w energicznych krokach mężczyzny; wyrażała ją także zaczerwieniona twarz i ściągnięte, blade wargi. Zaciśnięte pięści trzymał kilka centymetrów przed sobą na zgiętych, naprężonych ramionach.

David popatrzył na Huttnera, którego twarz drgnęła, jakby poznał nadchodzącego, ale nie zdradzała innych emocji.

– Profesor Thomas? – szepnął David.

Huttner lekko skinął głową i ruszył przed siebie. David zwolnił kroku i obserwował mężczyznę i ordynatora, podchodzących do siebie niczym przeciwnicy na średniowiecznym turnieju.

Trybuną starcia miała się stać dyżurka pielęgniarek, gdzie było kilka sióstr, salowa i sekretarka. Kobiety zamilkły i z fascynacją przyglądały się rozwojowi wydarzeń.

– Doktorze Huttner, co tu się, do diabła, dzieje? – wyrzucił z siebie Thomas. – Powiedział pan, że nie będzie więcej żadnego wtykania, a nagle w nosie mojej żony znajduje się czerwona gumowa rurka, podłączona do jakiegoś przeklętego urządzenia.

– Panie profesorze, proszę się uspokoić – neutralnym tonem odezwał się Huttner. – Próbowałem wczoraj wieczór dodzwonić się do pana i przekazać, co się dzieje, niestety nikt nie odbierał telefonu. Chodźmy do poczekalni, omówimy wszystko w spokoju.

Te słowa w najmniejszym stopniu nie ułagodziły Thomasa.

– Nie, załatwmy sprawę tutaj, na oczach ludzi! – Wskazał dłonią na galerię. – Przyszedłem z Charlotte do pana, ponieważ nasz lekarz domowy powiedział, że jest pan najlepszy. Dla mnie bycie najlepszym oznacza nie tylko perfekcję na sali operacyjnej, ale także umiejętność najlepszego podejścia do pacjenta, który przecież jest człowiekiem, a nie jakąś... padliną!

Gwałtowność w głosie Thomasa oraz głębia zawartego w nim bólu były zadziwiające. Stojąca przy dyżurce Christine Beall ostrożnie odwróciła głowę do Janet Poulos, szefowej popołudniowej zmiany pielęgniarek. Poulos beznamiętnie odwzajemniła spojrzenie i niemal niezauważalnie skinęła głową. Choć starsza od Christine o dziesięć lat, była bardzo szczupła, a kruczoczarne włosy miała związane w ciasny kok, co podkreślało wąską twarz i ciemne, kocie oczy. Biegająca równoległe do nosa cienka blizna powodowała, że nawet jej najmilszy uśmiech wydawał się nieco szyderczy, co bez wątpienia wpłynęło na to, że miała wśród pielęgniarek opinię osoby bezkompromisowej i pozbawionej poczucia humoru.

Christine postrzegala ją całkowicie inaczej. To właśnie Janet wprowadziła ją do Stowarzyszenia Sióstr Życia. Organizacja była tak utajniona, że, jak na razie, Janet była jedyną członkinią, którą Christine знаła osobiście. Kiwnięcie głową oznaczało, że Poulos jest świadoma rozgrywającego się dramatu.

– Jak pan chce, profesorze – powiedział Huttner, w którego głosie pojawił się ton zniecierpliwienia. – Jeśli pan sobie życzy, diskutujmy tutaj. Ma pan jeszcze coś do powiedzenia, czy może chciałby się dowiedzieć, co z Charlotte?

– Niech pan mówi – odparł Thomas. Rozluźnił pięści i oparł łokieć na wysokim kontuarze tuż przed nosem kompletnie oglupiałej sekretarki.

Z protekcyjną cierpliwością człowieka, który wie, że prędzej czy później i tak okaże się, że ma rację, Huttner zaczął referować wydarzenia, które spowodowały, że postanowił włożyć w nos Charlotte gumową rurkę. Potem, nieco delikatniej, dodał:

– Może nie wydaje się to panu oczywiste, ale uważam, że nasze metody zaczynają przynosić efekt. Charlotte może w każdej chwili znaleźć się w punkcie zwrotnym.

Peter Thomas spojrział w dół i cofnął się nieznacznie. David miał wrażenie, że Huttner zapanował nad nim, po chwili jednak Thomas podniósł leniwie głowę, jak na zwolnionym filmie, i zaczął mówić. Każde słowo podkreślał ruchem głowy w przód albo w tył.

– Doktorze Huttner, uważam, że moja żona umiera. Nie tylko tak uważam, ale jestem z tym pogodzony. Moim zdaniem z powodu tego, co nazywa pan „leczeniem”, umiera po milimetrze, bez godności. Życzę sobie, aby wyjęto z niej wszystkie rurki.

Pielęgniarka zajmująca miejsce za kontuarem szepnęła coś do siedzącej obok koleżanki. Huttner obrzucił ją spojrzeniem, które uciszyłoby wulkan.

Z nagłą, niemal teatralną, zmianą wyrazu twarzy odwrócił się do Petera Thomasa i spokojnie się uśmiechnął.

– Profesorze, doskonale rozumiem pańskie uczucia. A jednak i pan musi mnie zrozumieć. Mnie i odpowiedzialność, jaką na siebie wziąłem. Rozmawialiśmy o tym, kiedy pierwszy raz przyprowadził pan Charlotte do mojego gabinetu i wyraził zgodę na to, bym o wszystkim decydował. Zaproponowałem, aby zasięgnął pan opinii drugiego lekarza, lecz stwierdził pan, że

to niekonieczne. Teraz podaje pan w wątpliwość moją ocenę. Coś panu powiem. Możemy na miejscu zasięgnąć opinii drugiego lekarza. – Huttner kiwnął na Davida. – To doktor Shelton. Jest znakomitym młodym chirurgiem i był na oddziale chirurgii w White Memorial. Właśnie wyszliśmy od Charlotte, gdyż doktor Shelton będzie przez kilka dni zajmował się moimi pacjentami. David, to jest profesor Peter Thomas. Powiedz mu, co sądzisz o stanie jego żony.

David wyciągnął rękę i Thomas niezdecydowanie ją uściśnął. W ciągu kilku sekund, kiedy się sobie przyglądali, Thomas zdołał trochę ochłonać.

– Doktorze Shelton, czy żona ma szansę wyjścia z tego? David spojrzał na podłogę i zamknął oczy. Głos w dalekim zakamarku jego umysłu nieustannie powtarzał, że jeśli wytrzyma kilka minut, zaraz zacznie dzwonić budzik i wyrwie go ze snu. Z wielkim wysiłkiem uniósł głowę na tyle, by spojrzeć Thomasowi w oczy.

– Panie Thomas, przed chwilą poznałem pańską żonę i po raz pierwszy przejrzałem historię jej choroby – zaczął powoli i ostrożnie. – Nie jestem w stanie całkowicie zanalizować jej stanu... – Thomas otworzył usta, by zaproponować, że nie o to pytał, ale David powstrzymał go ruchem ręki. Miał nadzieję, że ton jego głosu nie zdradza, iż nie ma ochoty kontynuować. – Chcę jednak powiedzieć, że jest poważnie chora, a szansa na pokonanie choroby zależy nie tylko od jakości opieki lekarskiej i pielęgnarskiej, którą nieustannie otrzymuje... ale także od woli przeżycia. Czy ją ma, nie umiem do końca ocenić, faktem jest jednak to, że źródłem koniecznej do przeżycia siły nie może być ona sama. Jest nim doktor Huttner, a także musi być nim pan oraz wszyscy, którzy ją kochają i o nią dbają. Domyślam się, że chciałby pan usłyszeć bardziej kliniczną prognozę, lecz w tej chwili nie jestem w stanie jej przedstawić. Kątem oka widział promieniejącego z zachwytu Huttnera.

O cholera, wybrnąłem! Jeszcze zanim Thomas się odezwał, poczuł mimo wszystko złość na siebie. Nie wspomniał słowem o prawdziwych, ponurych przeczuciach względem chorej. A kiedy odezwał się Thomas, iskra tej złości zamieniła się w potężny płomień.

– Naprawdę tego nie widzicie? – spytał Thomas z wściekłym spojrzeniem. – Nikt z was tego nie widzi. Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat. Od trzydziestu wspaniałych i szczęśliwych lat. Nie sądzicie, że powinniśmy mieć coś do powiedzenia na temat tortur, jakie musi przeżywać, aby przedłużyć agonię bogatego i spełnionego życia?

Tym razem David nie odwrócił oczu. Przez kilka chwil panowała bolesna cisza, lecz w końcu się odezwał. W jego głosie pobrzmiwał niepokój, ale także moc przekonania.

– Cholera jasna, ma pan rację! Czuję dokładnie to, co pan, panie Thomas. Bardzo wyraźnie. – Znow zapadła śmiertelna cisza. David, pod wzrokiem Huttnera, miał wrażenie, że podłoga się pod nim zapada. – Musi pan jednak zrozumieć, że nie jestem lekarzem prowadzącym pańską żonę. Jest nim doktor Huttner, a w każdym aspekcie medycyny i chirurgii ma znacznie więcej doświadczenia niż ja. To do niego należy ostatnie słowo na temat kuracji pańskiej żony. Zamierzam kontynuować jego program terapeutyczny najlepiej, jak umiem.

Thomas popatrzył na Huttnera i wyrzucił z siebie:

– Rozumiem. Jak najbardziej. Całkowicie rozumiem. – Obrócił się na pięcie tak szybko, że omal nie stracił równowagi, i ruszył w stronę pokoju, gdzie leżała pani Thomas.

Jego wybuch był ostatnią deską ratunku dla Huttnera.

Miał za sobą ciężki i wymagający dzień. Cofnął się tak, by widzieć Davida i wszystkie pielęgniarki w dyżurce.

– Powiem to raz i nie zamierzam powtarzać. – Głos miał lodowaty. – Charlotte Thomas ma być leczona intensywnie, tak jak wymaga tego ratowanie życia. Wyraziłem się jasno? Świetnie. Teraz niech wszyscy wracają do swych zajęć. Doktorze Shelton, niech pan pojedzie do domu i odpocznie. Postawienie na nogi mojej praktyki może się okazać wyczerpujące.

Kiedy skończył, ruszył za Peterem Thomasem i wszedł za nim do pokoju czterysta dwanaście.

David został sam na środku korytarza. Grupka przy dyżurce pielęgniarek zamarła i milczała. Rozejrzał się z głupią miną, jaką miałyby sprzątaczką, gdyby podczas zamykania sceny nagle podniesiono kurtynę i okazało się, że teatr jest wypełniony po brzegi. Przez chwilę miał ochotę rzucić się do ucieczki, potem kątem oka zobaczył, że od kontuaru odsunęła się Christine Beall i ruszyła w jego kierunku. Nie była to triumfalna chwila, jaką wybrałby na kolejne spotkanie z tą kobietą.

Kiedy podchodziła, opuścił głowę i zaczął przyglądać się czubkom swych butów. Czuł, że pielęgniarka mierzy go wzrokiem. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, urzekła go jej łagodna siła, a także zdecydowanie. Teraz, lustrowany brązowymi oczami, czuł się nieswojo.

Zanim się odezwała, poczuł perfumy – subtelny zapach wiosny.

– Doktorze Shelton, jesteście dumne, gdyż bronił pan tego, w co wierzymy – powiedziała łagodnie. – Niech się pan nie martwi. Sprawy czasem same się rozwiązują.

Cóż za słowa. Cóż za sposób, w jaki je wypowiadała... nie tego oczekiwał. Powtórzył je sobie po cichu, ale nie mógł pojąć, co się za nimi kryje.

– Dziękuję... dziękuję bardzo... – wydukał. Czekał, by odważyć się spojrzeć w jej oczy, kiedy jednak podniósł głowę, Christine zniknęła. Aktywność w dyżurce wróciła do normy, ale panny Beall nie było.

David postanowił wypisać zlecenie Antonowi Merchadowi, a potem uciec stąd i zakończyć ten obrzydliwy wieczór. Rano będzie sam sobie panem. Kiedy szedł korytarzem, zaczęły napływać obrazy minionego dnia. Niesmaczne wydarzenia z ostatnich pięciu godzin łagodziło poczucie odzyskania panowania nad swym życiem.

– Sprawy czasem same się rozwiązują – powtórzył na głos słowa Christine Beall i pchnął drzwi prowadzące na schody.

Rozdział piąty

Schowana w ciemnej wnęce, Christine obserwowała, jak David opuszcza oddział. Kiedy upewniła się, że nie wróci, wyszła na słabo oświetlony korytarz. Zmiana zbliżała się do końca. W pokoju pielęgniarek, tak jak na pozostałych piętrach, pisano raporty dla zmiany nocnej – cmentarnej.

Za niecałą godzinę dwieście sześćdziesiąt trzy pielęgniarki opuszczają szpital i skierują swe kroki na kolację, do barów, do domów i do mężczyzn, zazwyczaj zbyt zmęczonych, by zachowywać się jak kochankowie. Zastąpią je sto pięćdziesiąt cztery koleżanki, a każda będzie walczyć o zachowanie równowagi biologicznej w pracy wymagającej podejmowania decyzji stanowiących o życiu lub śmierci w czasie, kiedy świat śpi. Przez jakiś czas Christine stała w pustym holu i wsłuchiwała się w pełną dźwięków ciszę panującą nocą na każdym szpitalnym oddziale. Ktoś wzdychał, ktoś inny zakaszał. Słysząc było pojękiwania i ciężkie, głośne oddechy. W kilku przepływomierzach bulgotał tlen. W którejś z sal, w duecie z bezdusznym, sycząco-klapiącym respiratorem, popiskiwał monitor. W ciemnych pokojach leżeli pacjenci – w skrzydle Południe Cztery było ich trzydziestu sześciu, a każdy prowadził nieustanną walkę. Nie o bogactwa, nie o władzę, nie o szczęście – jedynie o powrót do świata. O powrót do życia.

W nocy Christine bardziej niż zwykle odczuwała budzącą respekt odpowiedzialność, jaką niesie ze sobą zawód, który wykonywała. Tak samo jak każda praca, dłuższe zajmowanie się pielęgniarstwem może spowodować popadnięcie w rutynę, ale mimo harówki i narzekania, roboty głupiego i wyniosłej postawy wielu lekarzy w tym zawodzie liczy się przede wszystkim dobro pacjenta. Czasami może się wydawać, że lekarze, administracja i organizacje pielęgniarek zmawiają się, by wybić pielęgniarkom z głów, że ich podstawowym zadaniem jest opieka nad pacjentami. Niekiedy same poddają się temu trendowi – wiele z nich traci chęć dbania o pacjenta oraz dobroć, które to cechy nakłoniły je do pracy w zawodzie.

Christine patrzyła na drzwi pokoju czterysta dwanaście. W milczeniu ponowiła przysięgę, że nigdy nie pozwoli sobie zamącić w głowie i nie podda się negatywizmowi. Nigdy nie przestanie dbać o innych. Jeśli jedynym sposobem wywiązania się z tej przysięgi może być odwołanie się do celów Stowarzyszenia Sióstr, niech tak będzie. Coś dawało jej przekonanie, że dopóki jest częścią Stowarzyszenia, dopóty jest bezpieczna przed rozczarowaniem i bólem serca, doznań, które odstręczyły już tak wiele dziewczyn od dalszego wykonywania zawodu.

Uczestnictwo w Stowarzyszeniu zaczęło się dla Christine pewnej niedzieli. Na dworze szalała śnieżna burza, a w pokoju pielęgniarek na poziomie Południe Cztery szczykował się orkan innego rodzaju. Głównym jego źródłem była sama Christine, a jej złość wywołał niejaki doktor Corkins, który właśnie zlecił tracheotomię osiemdziesięcioletniej staruszce. Pacjentka ta przeszła poważny udar mózgu i była sparaliżowana, do tego straciła wzrok oraz zdolność mówienia. Christine spędziła niezliczone godziny na jej pielęgnowaniu i choć staruszka nie mogła się poruszać ani mówić, umiała się porozumiewać oczami. Dla Christine było jasne, co

chce przekazać: „Proszę, dajcie mi zasnąć. Pozwólcie, by to piekło na ziemi się skończyło”. Christine wiedziała, że po tracheotomii piekło będzie trwało jeszcze nie wiadomo jak długo.

Przez niemal godzinę siedziała w pokoju pielęgniarek, płacząc i dzieląc się złością z Janet Poulos. Powoli, ostrożnie, Janet opowiedziała jej o istnieniu Stowarzyszenia Sióstr Życia.

Dwa dni po tracheotomii nieszczęsnej staruszki Christine spędziła wiele godzin na omawianiu jej fatalnego stanu z Janet, równocześnie dowiadując się coraz więcej o Stowarzyszeniu. W trakcie dotychczasowej pracy umiała znaleźć radość nawet w najmniej przyjemnych czynnościach pielęgniarstka, ale z każdą minutą, którą spędzała na przedłużaniu agonii tej kobiety, jej rozgoryczenie narastało. Co godzina trzeba było odłączać respirator i odsysać rurkę intubacyjną. Trzeba było często przewracać chorą z boku na bok. Często zmieniać cewnik moczowy. Robić głębokie zastrzyki domięśniowe. Gorączkowo starać się nadażyć z pielęgnowaniem kolejnych odleżyn. Do tego cały czas widziała oczy – wpatrujące się w nią, świdrujące ją na wylot. Oczy, które coraz rozpaczliwiej prosiły.

W końcu nie wytrzymała. Poszła za radą Janet Poulos i przedstawiła historię choroby staruszki Rejonowej Komisji Kwalifikacyjnej. Dzień później otrzymała pozwolenie i instrukcje.

Pod koniec zmiany weszła cicho do pokoju chorej. Dudnienie respiratora mieszało się w upiorny sposób z wyciem zamieci za oknami. Wiedziała mimo ciemności, że staruszka jej się przygląda. Pochyliła się nad łóżkiem i przycisnęła zapłakane policzki do skroni chorej. Po chwili poczuła, jak pacjentka kiwa głową – potem jeszcze raz. Zrozumiała! Jakimś sposobem rozumiała. Christine delikatnie pocałowała ją w czoło.

Przysunęła usta tuż do ucha chorej i powiedziała:

– Kocham cię.

Rozłączyła respirator, odczekała pięć minut i znów go podłączyła.

Mniej więcej po czterech godzinach następnej zmiany, w czasie dyżuru nocnego pielęgniarka zanotowała, że nie mogła wyczuć u pacjentki tętna ani zmierzyć jej ciśnienia krwi. Wezwano lekarza i po stwierdzeniu płaskiej linii elektrokardiogramu uznano ją za zmarłą. Rano obaj synowie, którzy odczuli wyraźną ulgę z powodu skończenia się cierpień matki, kazali odwieźć ciało do pobliskiego domu pogrzebowego. O jedenastej na łóżku staruszki leżała młoda rozwódka, przyjęta w celu kosmetycznego powiększenia piersi. Tak jak powierzchnia wody zostaje na chwilę poruszona wrzuconym do stawu kamykiem, tak i tu wkrótce ostatnie fale świadczące o niedawnym życiu staruszki zniknęły i wszystko wróciło do normy.

– Christine?

Odwróciła się gwałtownie. Stała przed nią Janet Poulos.

– Wszystko w porządku?

Christine skinęła głową.

– Wyglądałaś jak modelka pozująca do obrazu pod tytułem „Piękna pielęgniarka”.

– Raczej „Zmartwiona pielęgniarka”.

– Chodzi ci o scenę z Huttnerem i profesorem?

– Aha.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie. Może jednak. Jesteś jedyną osobą, z którą...

Janet uciszyła ją gestem dłoni.

– Sala odwiedzin jest pusta. – Skinęła głową w kierunku pokoju pielęgniarek. – Sądząc po krzątaniu, masz jeszcze dziesięć minut do odprawy. Było tu dziś dość burzliwie, prawda? Słyszałam, że mieliście nieco zamieszania po śmierci pana Chapmana.

Kiedy szły do niewielkiej sali odwiedzin, Christine opowiedziała o tym, co zrobiła wdowa po Chapmanie.

Janet pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Dlaczego twoim zdaniem rzucała kwiatami?

– Innymi rzeczami też rzucała. Nie tylko kwiatami.

Christine opadła na kanapę, Janet usiadła na krześle naprzeciwko.

– Zniszczyła wszystko?

– Prawie. Udało nam się uratować dwa wazony.

– Naprawdę? – Janet poruszyła się na krześle.

– Tak, choć jeden był dość dziwny.

– Co masz na myśli? – Pytanie zostało zadane obojętnie, ale postawa Janet i jej mina wskazywały na to, że jest bardzo zainteresowana.

Christine z niecierpliwością popatrzyła na zegarek. Zostało jeszcze pięć minut do odprawy.

– Właściwie to nic wielkiego. W wazonie były lilie, a na przymocowanej do niego karteczce napisano: „Z najlepszymi życzeniami. Lilia”. To wszystko.

– Rozumiem – powiedziała Janet obojętnie, choć jej oczy wyrażały zupełnie co innego. Podrapała się po bliźnie obok nosa i nagle zmieniła temat. – Czy zamierzasz przedstawić żonę Thomasa Komisji Kwalifikacyjnej?

– Już to zrobiłam. – Powiedzenie tego wytrąciło nieco Christine z równowagi.

– I co?

– I nic, Janet. Jeszcze nie wiem, czy zaakceptowano propozycję. Musisz zrozumieć, że bardzo się zbliżyliśmy z Charlotte i...

– Powiem „brawo”!

– Słucham?

– Mam nadzieję, że opinia będzie pozytywna.

– Janet, nawet nie znasz tej kobiety... ani jej sytuacji. Jak możesz mówić...

– Nie muszę jej znać, znam Huttnera. Ze wszystkich nadętych, zarozumiałych, zadufanych w sobie drani, którzy kiedykolwiek występowali jako doktorzy nauk medycznych, Huttner jest najgorszy.

Wybuch Janet był całkiem niespodziewany, na chwilę Christine odebrało mowę. Co prawda to właśnie nadmiernie zagorzała agresywność lekarzy, często służąca zaspokajaniu egoistycznych potrzeb, spowodowała powołanie Stowarzyszenia Sióstr, lecz dla Christine problem dotyczył konfliktu filozoficznego, a nie spraw osobowości.

– Co... co ma zarozumiałość Huttnera do Charlotte? – Nagle poczuła się zdezorientowana i ogarnął ją dziwny niepokój.

Janet uspokoiła ją szerokim uśmiechem.

– Spokojnie – powiedziała i poklepała koleżankę po kolanie. – Jesteśmy po tej samej stronie. Zapomniałaś? – Christine skinęła głową, ale nie była do końca przekonana. – Wierzę w Stowarzyszenie i to, co robimy tak samo jak ty. Inaczej byśmy cię nie rekrutowały. Próbowałam jedynie powiedzieć, że w takich sytuacjach jak sprawa Charlotte Thomas uzyskujemy... podwójną korzyść. Powodujemy, że uszanowane zostanie życzenie chorej i jej męża, aby życie kochanej kobiety nie straciło godności, a równocześnie przypominamy lekarzowi takiemu jak Huttner, że nie jest Panem Bogiem. Zgodzisz się?

Christine zastanowiła się nad tą logiką, rozluźniła i uśmiechnęła.

– Tak, chyba tak... – Wstała.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, jestem do twojej dyspozycji – powiedziała Janet. – Uważam, że dobrze zrobiłaś, przedstawiając tę pacjentkę Komisji, reszta nie zależy już od ciebie.

Christine skinęła z aprobatą. Kiedy była już przy drzwiach, Janet dodała:

– Christine, nie ma nic złego w odnoszeniu korzyści z robienia tego, w co się wierzy. – Przerwała i przez chwilę przyglądała się młodszej koleżance. – Dobro, które czynisz, nie zmniejsza się, jeśli odnosisz z niego korzyść. Rozumiesz mnie?

– Chyba... chyba tak – skłamała Christine. – Dziękuję, że zechciałaś ze mną porozmawiać. Dam ci znać, kiedy dostanę informację o decyzji Komisji.

– Zrób to Chris? Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Christine, ciągle jeszcze niespokojna, poszła szybkim krokiem do pokoju pielęgniarek. Przed drzwiami zatrzymała się na chwilę, by uspokoić nerwy. Wybuch Janet dotyczący Huttnera zaskoczył ją, ale w sumie nie był tak niepokojący, jak mogło się wydawać. Janet należała do Stowarzyszenia Sióstr od wielu lat i z pewnością zajmowała się już wieloma „przypadkami”. Kierowanie kogoś na śmierć i potem spowodowanie jej – jeśli nawet była to „jedynie” eutanazja – to trudne emocjonalnie, wycieńczające zadanie i nie należało się dziwić, że konieczność wielokrotnego podejmowania tego rodzaju decyzji dużo kosztuje i zostawia ślady. Christine uznała, że Janet po prostu czuje żal do tych, którzy powodują, że podejmowanie tak straszliwie trudnych decyzji jest konieczne.

Spojrzała w głąb korytarza akurat w momencie, kiedy Janet wsiadała do windy. Była doskonałą nadzorczynią, a także – co ważniejsze – pielęgniarką służącą urzeczywistnianiu najszczytniejszych ideałów swego zawodu. Christine poczuła przyływ dumy, że może dzielić tak ważne tajemnice ze swą Siostrą.

Rozdział szósty

Carl Perry zebrał się w sobie, by znieść ból, który zaraz miał przeszyć mu gardło, i jak najłagodniej przełknął. Ból, niemal każdy ból, był lepszy od cholernego ślinienia się, które utrzymywało się od chwili usunięcia polipów, narośli, czy Bóg wie czego z jego strun głosowych. Jeszcze dwa dni miało trwać leżenie w łóżku, wlewy dożylnie i porozumiewanie się za pomocą kartki – potem opuchnięcie strun głosowych minie. Tak przynajmniej powiedział doktor Curtis.

Sięgnął do prawego przedramienia i pociągnął za plaster przytrzymujący wenflon. Plaster szarpnął kilka włosków i Perry zaklął na pielęgniarkę, której nie chciało się wygolić kawałka skóry.

„Taśma do przyklejenia wenflonu – poskarżyć się administr. szpit. „ – napisał na bloczku, oderwał kartkę i włożył ją do szuflady, która szybko się zapełniała podobnymi notatkami.

Podniósł zamocowane przy łóżku lusterko i przyjrzał się sobie. Widok podobał mu się mimo zadrapań, jakie pozostawiły instrumenty doktora Curtisa. Ciemnoniebieskie oczy, opalona skóra, kanciasta szczeka, idealne zęby. Przeciętny czterdziestoosmiolatek mógł sobie jedynie pomarzyć, by tak wyglądać. Kobiety też to dostrzegały – nawet całkiem młode. Wręcz walczyły o okazję spędzenia z nim kilku godzin w jego apartamencie w Ritzu. A potem wracały do domu zadowolone.

Cóż za wspaniały pomysł, by rozsiewać w barach dla samotnych plotkę, że dziewczyna, która najlepiej mu dogodzi w danym roku, dostanie od Perry's Foreign Motors za darmo porsche! Gdyby kiedyś jego wygląd zaczął zawodzić, może rzeczywiście zacznie je rozdawać...

Znudzony i wymęczony leżeniem na zapoconych prześcieradłach, włączył telewizor, ale zaraz go wyłączył. Ponieważ właśnie minęła jedenasta, na każdym kanale nadawali wiadomości. Pomasował krok błękitnej jedwabnej piżamy i poczuł drganie wzrodu. Zdecydował jednak, że jeszcze nie czas. Zaczeka, aż nadejdzie pora spania, wtedy się zabawi.

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka i starannie zamknęła za sobą drzwi. Widział ją już przed operacją – usiadła wtedy na jego łóżku i rozmawiali. Była nieco podstarzała, miała może jakieś czterdzieści lat, ale jej ciało wyglądało znacznie młodziej. Perry poczuł natychmiastowe poruszenie w okłapłym narządzie pod swą dłońią i zaczął go delikatnie masować, wyobrażając sobie, jak pielęgniarka leży naga na łóżku w jego hotelowym apartamencie i czeka, aż przyjdzie jej kochanek.

– Jak się pan czuje, panie Perry? – spytała cicho. Stała maksimum pół metra od łóżka. Wiedział, że to zaproszenie.

Przez chwilę dumał, czy wyjąć rękę, by napisać notkę, i zdecydował się tak zrobić. Napisał: „Świetnie, skarbie. A ty?”.

– Czy mogłabym coś dla pana zrobić przed ciszą nocną? – spytała przysuwając się jeszcze kilka centymetrów bliżej.

Perry spojrział na jej lewą dłoń – nie miała obrączki – ale niewiele to znaczyło dla jego rozbuchanej fantazji. „To zależy” – napisał.

– Od czego?

Drażniła go, zwodziła – ot co! Postanowił skorzystać z okazji.

„Albo zrobimy to teraz, albo jak stąd wyjdę!”.

Zastanawiał się, czy napisać o darmowym porsche, ale uznał, że to niekonieczne.

– Zrobimy to sami, czy zaprosimy pańską żonę? Wyobrażał sobie, że pielęgniarka leży na plecach z nogami zadartymi, że jej stopy opierają się o ścianę nad wezłowiec jego łóżka.

„Żona mnie nie rozumie” – napisał i dorysował na górze kartki uśmiechniętą twarz.

– Zastanowimy się nad tym, kiedy nieco się poprawi pański stan – powiedziała pielęgniarka. – Przyznaję, przeszło mi przez myśl, spędzić z panem trochę czasu. – Zaczęła się bawić górnym guzikiem pielęgniarskiego uniformu i przez chwilę Perry sądził, że go dla niego rozepnie.

„Pani wybierze ten moment” – napisał i wolną ręką objął ją za udo.

– Niedługo. – Uśmiechnęła się i odsunęła poza zasięg ręki. – Na początek mam dla pana dwa prezenty. Jeden od pańskiego lekarza, drugi ode mnie. Który chce pan najpierw?

Perry zastanowił się, w końcu napisał:

„Ten od pani”.

Pielęgniarka wyszła z pokoju i kiedy wróciła, trzymała coś za plecami. Na widok opinającego się na jej piersiach uniformu Perry ze świstem wciągnął powietrze. Na pewno nosiła miseczkę C. Bez najmniejszej wątpliwości. Trzydzieści cztery C. Popatrzył na jej rozpromienioną twarz i po raz pierwszy zauważył biegnącą niemal równoległe do nosa cienką bliznę. Nie była to wielka skaza. Światło świec, trochę makijażu i PUFFF – blizny nie będzie.

Pozwoliwszy mu chwilę popatrzeć, pielęgniarka teatralnym gestem wyciągnęła rękę zza pleców. Trzymała w niej bukiet kwiatów. Jaskrawych, purpurowych kwiatów.

„Piękne” – napisał.

– To orchidee.

Po krótkim poszukiwaniu wazonu włożyła kwiaty do stojącej na stoliku przy łóżku kaczki. Perry lekko jęknął na widok brutalnego akcentu w tak romantycznej scenie. Przeszło mu przez głowę, że pielęgniarka może gustuje w zбочonym seksie – niezdecydowany, czy ma ochotę na udział w jej grze.

„A drugi prezent?”.

– Nowe lekarstwo. – Odsunęła się trochę, wyjęła z kieszeni strzykawkę z przezroczystym płynem, wbiła igłę w rurkę, którą spływała mu do żyły ciecz z kroplówki, i wstrzyknęła to, co przyniosła.

Wyciągnął rękę i znów złapał ją za udo. Tym razem się nie odsunęła. Nagle poczuł w klatce piersiowej dziwny ucisk. Jego uchwyt natychmiast osłabł, po niecałej minucie dłoń zwiotczała. Z trudnością, czując narastające przerażenie, odchylił głowę i popatrzył na pielęgniarkę. Stała bez ruchu i zyczliwie się uśmiechała. Spróbował krzyknąć, opuchnięte, sparaliżowane struny głosowe pozwoliły tylko na ciche syknięcie.

Powietrze zgęstniało i zrobiło się ciężkie jak melasa. Robił, co mógł, ale nie był w stanie wciągnąć go do płuc. Jego lewa ręka zwisała bezużytecznie z łóżka.

– To się nazywa pancuronium albo pavulon – z wyraźną przyjemnością powiedziała pielęgniarka. – Szybko działająca postać kurary. Trucizny, którą zatruwa się strzały. Jak pan widzi, pańska żona lepiej pana rozumie, niż pan sądzi, panie Perry. Rozumie pana tak dobrze, że jest gotowa za pozbycie się pana z tego świata podzielić się z nami pańskim ubezpieczeniem.

Perry próbował coś zrobić, ale nie mógł nawet mrugnąć powieką. Wszystko wokół pokryła matowa warstewka, a przerażenie ustępowało dziwnej euforii. Nieruchomym wzrokiem, przebijając się spojrzeniem przez otaczającą go mgłę, obserwował, jak pielęgniarka rozpina dwa górne guziki munduru i ukazuje zagłębienie między piersiami.

– Niech się pan nie martwi o kwiaty, panie Perry. Zadbam, by nalano im wody. – Tak brzmiały ostatnie słowa, które usłyszał.

Janet Poulos położyła rękę Perry'ego na łóżku, wyjrzała na ciemny korytarz oddziału Zachód Trzy i z zimną krwią go opuściła. Kiedy zamknęły się za nią drzwi na schody, pozwoliła sobie na szeroki uśmiech, który zaczął się pojawiać na jej ustach, gdy wstrzykiwała ostatnią kroplę trucizny. Dziś był niezwykle opłacalny dzień dla Ogrodu. Tak jak Dalia obiecała. Najpierw mistrzowsko zadziałała Lilia, teraz ona – Orchidea – nie gorzej zrobiła swoje. Roześmiała się i wsłuchała w echo, odbijające się od ścian pustej klatki schodowej.

Kiedy doszła do swego gabinetu, leżącego na poziomie Północ Jeden, usiadła za biurkiem, zamknęła oczy i odtworzyła w pamięci scenę w pokoju Carla Perry'ego. Poczucie władzy, całkowitego panowania nad sytuacją, jakie doznawała, było teraz nie mniej podniecające jak w chwili, gdy stała przy łóżku. To podniecenie – odczuwane przez wszystkie członkinie Ogrodu – odkryła dzięki Stowarzyszeniu Sióstr Życia. Stowarzyszenie, ze swą szczytną szlachetnością, mogło być dla niektórych wystarczające, ale idea Dalii, by powołać do życia Ogród, okazała się genialna. To, że ich wysiłek był opłacany – i to sownie – jedynie osładzało zabawę. Janet błogosławiła Dalię za stworzenie Orchidei.

Potem – jak zwykle, kiedy wykonała zadanie dla Stowarzyszenia albo dla Ogrodu – zaczęła myśleć o mężczyźnie, pierwszym mężczyźnie, który ją posiadał, jedynym, którego w życiu kochała. Czy został już, jak zamierzał, profesorem w dziedzinie chirurgii? Dlaczego po tamtej nocy nigdy nie zatelefonował? Dziś z pewnością inaczej by na nią patrzył. Też miała władzę. Tak samo silną jak najbardziej znaczący chirurg świata. Gdyby ją teraz zobaczył, na pewno...

Wzruszyła ramionami.

– Kogo to obchodzi – powiedziała głośno. – Kogo to teraz w ogóle obchodzi?

Podniosła słuchawkę. Był czas podzielić się podniecającymi wieściami z Dalią.

Rozdział siódmy

Nim pielęgniarki z popołudniowej zmiany poziomu Południe Cztery skończyły czytać raporty, a ich koleżanki z dyżuru nocnego przejęły obowiązki, minęło wpół do dwunastej. Christine Beall pojechała minibusem na parking C. Wycieńczona, odrzuciła zaproszenie czterech koleżanek na nocnego drinka i ruszyła do domu.

Trzydzieści kilometrów dalej, w Wellesley, przedmieściu-sypialni, doktor George Curtis wypił brandy i ruszył z wyłożonego dębową boazerią gabinetu do sypialni. Żona, która zapaliła nocną lampkę i siedziała na łóżku, podpierając się kilkoma poduszkami, z niepokojem na niego patrzyła.

– Jak poszło z panią Perry? – spytała.

Curtis opadł na skraj łóżka i westchnął z ulgą.

– Jest dość mocno wstrząśnięta, ale biorąc pod uwagę okoliczności, raczej dobrze się trzyma. Zaproponowałem, że przyjadę porozmawiać, ale uznała, że to niekonieczne, bo są z nią znajomi. Najlepsze, że nie zażądała sekcji.

Żona doktora była mimo to zdenerwowana.

– Jak to najlepsze? George, coś jest nie tak?

– Hm, z tego, co mi powiedział lekarz dyżurny, stażysta, wynika, że Perry albo dostał zawału, albo krwawienia ze strun głosowych, które operowałem. Jego żona mogłaby próbować zarzucić nam niedopatrzenie twierdząc, że powinien się znajdować na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. Bez sekcji nie będzie miała żadnych argumentów, więc nie złożę skargi, a ja mówię „Amen”.

– Amen – powtórzyła jego żona, zgasiła światło i przysunęła się do kochanego męża.

Christine jechała powoli, na pamięć, niemal nieświadoma poruszających się obok samochodów. Na oświetlonych gazowymi lampami chodnikach kipiało nocne życie centrum. Wszędzie krążyły prostytutki i złodzieje, narkomani i alkoholicy, przed knajpami stały grupy młodych mężczyzn. Świat ten zwykle ją fascynował, ale teraz nie zwracała uwagi ani na ludzi, ani na to, co robią. W jej wyobraźni rozgrywała się całkiem inna scena.

Był to mecz tenisa. Dwie kobiety grały na szmaragdowym trawiastym korcie. Może była tylko jedna, nigdy bowiem nie widać było obu naraz. Podskakująca figurka w białym stroju, uderzająca piłkę pełnymi energią, perfekcyjnymi ruchami.

Uwagę Christine tak bardzo zaprzętała „film” wyświetlający się w jej głowie, że przejechała na czerwonym świetle i wjechała na szeroki, prowadzący za miasto bulwar.

Nagle zrozumiała, dlaczego wyglądało to na mecz: z każdym zamachem, z każdym uderzeniem, twarz kobiety się zmieniała. Raz była to twarz Charlotte Thomas – promieniejąca,

wybuchająca śmiechem po każdym uderzeniu, raz ściągnięta, ziemista twarz jej matki, poważnej Holenderki, której poświęcenie dla pięciorga dzieci przyniosło przedwczesną śmierć.

Uderzenia następowały coraz szybciej, twarz wciąż się zmieniała, aż zlała się w jedną rozmazaną plamę.

Christine spojrzała na prędkościomierz. Jechała prawie sto trzydzieści na godzinę! Po kilku sekundach minęła drogowy znak – kierowała się w odwrotnym kierunku, niż mieszkała.

Drżała tak gwałtownie, że nie mogła się opanować. Z piskiem hamulców stanęła na poboczu i siedziała, dysząc tak, jakby właśnie przebiegła maraton. Minęło kilka minut, zanim była w stanie zawrócić i ruszyć w stronę domu.

Kiedy dotarła do cichej, obsadzonej drzewami uliczki, przy której mieszkała od dwóch lat z dwiema koleżankami, było już po północy. Decyzja, by poszukać mieszkania w dzielnicy Brookline, zapadła jednogłośnie. Carole D'Elia określała ją mianem „starego miasta o młodym sercu”, co odnosiło się do faktu, że tutejsze oryginalne budynki-bliźniaki i bloki z mieszkaniami do wynajęcia zamieszkiwały tysiące studentów i młodych pracujących ludzi. Po trzytygodniowych poszukiwaniach znalazły mieszkanie na parterze dwurodzinnego domu i natychmiast się w nim zakochały. Ich gospodyni – błękitnowłosa wdowa Ida Fina – mieszkała na górze. Dzień po ich wprowadzeniu się stojący pod drzwiami wielki garnek zupy poinformował lokatorki o zamiarze zaadoptowania całej trójki. Początkowo Christine nie podobało się, że Ida chce wtykać nos w ich życie, ale gospodyni nie dało się powstrzymać; na szczęście zwykle okazywała się wystarczająco mądra, aby wyczuć, kiedy przesadza z kolegowaniem się.

Christine, Carole i Lisa Heller bardzo się od siebie różniły, ale były jak urodzone do wspólnego mieszkania. Carole – rozpoczynająca karierę pani adwokat specjalizująca się w prawie kryminalnym – zajmowała się rachunkami, Christine dbała o zakupy i inne rzeczy niezbędne do zgodnego wspólnego mieszkania, a Lisa – zaopatrzeniowiec Filene's – była kaowcem.

Z jękiem ulgi, wyrażającym równocześnie zmęczenie, Christine wjechała mustangiem na swe miejsce obok poobijanego volkswagena Lisy. Dwumiejscowy garaż był tak zapchany „skarbami”, które Ida ciągle obiecywała wyrzucić, że mieściły się tam jedynie rowery.

W drodze do frontowego wejścia dotarło do Christine, że we wszystkich oknach palą się światła. Przyjęcie! Była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

– Lisa znów atakuje – mruknęła pod nosem i pokręciła głową.

Kiedy otworzyła drzwi, jej nozdrza podrażnił odór marihuany. Z salonu dochodziła muzyka ze starej płyty The Eagles, zmieszana ze szcękami szkła i odgłosami kilku prowadzonych równolegle rozmów. Właśnie zastanawiała się, czy jest jakieś miejsce, dokąd mogłaby zwać na noc, kiedy z salonu wybiegła Lisa Heller.

Była o trzy lata młodsza i piętnaście centymetrów wyższa od Christine, i miała na sobie ich nieoficjalny domowy mundur: znoszone džinsy i dużą męską koszulę, skubniętą jakiemś kochasiowi. Lisa miała wiecznie intelektualny, wręcz pobożny wyraz twarzy, zdający się jak magnes ściągać mężczyzn „interesujących się” Mahlerem i zdrową żywnością, choć ani jednego, ani drugiego Lisa nie cierpiała.

– Aha! Córka marnotrawna wraca do domu! – oznajmiła z chichotem.

W zachowaniu Lisy było coś rozbrajającego, co powodowało, że nawet najczarniejsze chwile wydawały się Christine łatwiejsze do przeżycia.

– Liso... – powiedziała, uśmiechając się mimo zaciśniętych zębów – ilu jest tam ludzi?

– O... ośmiu, dziesięciu, może dwunastu... Trudno policzyć, bo nie wszyscy są ludźmi.

– Zrób mi przysługę. Weź sznurek, swoje futro z szopów i spróbuj mnie przeprowadzić jako twojego irlandzkiego wilczarza albo coś w tym stylu. Marzę o łóżku.

– Łóżko... – powiedziała tęsknie Lisa, opierając się dla równowagi o ścianę. – Wkrótce białe wino i wspaniały kolumbijski towarek wszystkich zapędzi do łóżek... Pozostaje jedynie pytanie, kto położy się z kim. Jeśli już o tym mówimy...

– Liso, on tu jest?

– Osobiście. Przyniósł towar, powinnaś się domyślić. Christine skrzywiła się. Jerry Crosswaite trzymał się jej jak paskudne przeziębienie. Pokręciła głową.

– To moja wina, wiem – stwierdziła z teatralnym gestem mającym wyrazić żal. – Złamałam swą podstawową zasadę.

– Jaką? – Lisa podkreśliła pytanie czknięciem.

– „Nigdy nie spotykaj się więcej niż raz z mężczyzną, który ma na tablicach rejestracyjnych własne nazwisko”* [W USA można wykupić tablice rejestracyjne samochodu z dowolną kombinacją cyfr i liter (przyp. tłum.)]

– Przyjaciółki roześmiały się i objęły.

Choć spotkanie się z Jerryem miało do dziś pewne plusy, ich randki były coraz rzadsze. Po jednogłośnym oświadczeniu, że „są dla siebie stworzeni”, Jerry rozpoczął wielką kampanię mającą na celu uczynienie z Christine „żony najmłodszego odpowiedzialnego za udzielanie pożyczek urzędnika w historii bostońskiej bankowości i funduszy powierniczych”. Tygodniami zarzucał ją różami oraz prezentami i nękał telefonami. Ku rosnącemu rozgoryczeniu Christine, Lisa i Carole tak się wciągnęły w romantyczną przygodę, że torpedowały wszelkie jej próby zniechęcenia adoratora.

– Przestań narzekać, Chrissy – powiedziała Lisa. – Przekroczyłaś trzydziestkę, a on jest miły i ma alfę romeo. Czego więcej może chcieć dziewczyna?

Christine nie była pewna, czy nie jest podpuszczana.

– Liso, on ma mniej dobrych stron niż kartka papieru...

– Ja tam bym go nie wyrzuciła z łóżka.

– Kręć się w pobliżu, to na pewno będziesz miała okazję sprawdzić, czy się nie pomyliłaś.

– Christine minęła przyjaciółkę i weszła do salonu.

Jerry Crosswaite odstawił kieliszek z winem i zaczął wstawać, by się przywitać.

Christine zmusiła się do uśmiechu i machnęła, by siedział. W pokoju było kilkanaście osób, z czego większość w podobnym stanie co Jerry.

– Brutal – mruknęła Christine pod nosem i uśmiechnęła się do Carole D’Elia, pochłoniętej wymyśloną przez siebie wersją „scrabble’a dla miłośników dobrego towaru”. W grze tej, w której jedynym rekwizytem była marihuana, zaliczano każde słowo – istniejące albo

wymyślone – jeśli ten, kto je proponował, umiał zdefiniować je w sposób zadowalający pozostałych graczy.

Carole przywołała Christine.

– Hej, Chrissy, jesteś jedyną, która cokolwiek kontaktuje! Rozstrzygnij – czy STRONLIĆ to czasownik określający artystyczne układanie martwych salamander?

– Oczywiście – odparła Christine i objęła Carole od tyłu. Żadna z trzech kobiet nie paliła regularnie marihuany, ale od czasu do czasu spontanicznie organizowano prywatki i marycha była zawsze ich elementem. Pomijając fakt, że w salonie praktycznie nic się nie działo, Christine czuła przyływ sił witalnych, co następowało zawsze, kiedy widziała swe współlokatorki. Uznała, że ich towarzystwo i dziś może się okazać kompresem na rany dnia. Jeśli nawet miało to oznaczać kontakt z Jerryem Crosswaite'em.

– A tak poza tym – dodała Carole – był do ciebie niedawno telefon. Kobieta. Powiedziała, że jeszcze się odezwie. Więcej wiadomości nie miałaś.

– Stara, młoda?

– Młoda. – Carole kiwnęła zdecydowanie głową, dopiła wino i zapisała sobie trzynaście punktów.

Crosswaite'owi jakimś sposobem udało się przejść przez salon i znalazł się za Christine. Kiedy położył jej ręce na ramionach, odwróciła się, jakby ją dźgnięto.

– Spokojnie, Christine, to tylko ja. – Był bez eleganckiej marynarki od Brooks Brothers i rozpiął kamizelkę, co oznaczało u niego absolutny relaks. Jedyne siateczka czerwonych żyłek w oczach zaburzała obraz playboya, obraz, który starał się narzucić otoczeniu.

– Cześć, Jerry. Przepraszam, że się spóźniłam.

Jerry zatoczył ręką półkole.

– Spóźniłaś się? Wszystko czeka tylko na ciebie. Lisa powiedziała, że naszyjnik ci się spodobał. Cieszę się.

Christine poszukała wzrokiem Lisę, by spiorunować ją spojrzeniem.

– Jerry, naprawdę chciałabym, byś przestał przysyłać mi prezenty. Niezręcznie mi je przyjmować.

– Ale Lisa powiedziała, że...

Przerwała mu i choć była zła, starała się mówić spokojnie.

– Jerry, wiem, co ci mówi Lisa i wiem, co mówi Carole, ale one to nie ja. Jesteś naprawdę miły, one cię cenią, ja cię cenię, ale czuję się niezręcznie, dostając niektóre z prezentów, tak jak niezręczne są dla mnie pewne twoje oczekiwania.

– Które? – spytał, a w jego głosie pojawił się agresywny podźwięk.

Christine zagryzła dolną wargę, uznała, że nie czuje się na siłach spierać.

– Zapomnijmy o tym. Wrócimy do tego innym razem, kiedy będziemy mieć więcej spokoju i wypijemy mniej wina.

– Nie, Chris, chcę rozmawiać teraz. – Nagle jego opanowanie zniknęło. – Nie wiem, w co pogrywasz, ale doprowadziłaś do punktu, w którym ten związek jest dla mnie ważny. Teraz robisz się nagle zimna. – Powiedział to wystarczająco głośno, by sens dotarł do najbardziej przymulonego gościa. Obecni zaczęli się z zażenowaniem rozglądać, a Lisa i Carole wstały i

ruszyły na odsiecz. Crosswaite ciągnął nieporuszony dalej. – Znaczy się, od początku nie byłaś w łóżku tygrysią, ale przynajmniej do niego wchodziłaś. Teraz zachowujesz się nagle jak lodowiec. Chcę jakiegoś wyjaśnienia! – Wszyscy w salonie zamarli.

Christine cofnęła się o krok, zacisnęła dłonie w pięści i przycisnęła je do boków.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu i Carole poczłapała do kuchni.

– Chrissy, to do ciebie! – zawołała po kilku sekundach. – Ta sama kobieta, która telefonowała przedtem!

Christine rozluźniła pięści, opuściła ręce i odwróciła się. W kuchni były trzy osoby. Jednym spojrzeniem posłała je do salonu i wzięła do ręki słuchawkę.

– Christine Beall przy aparacie – powiedziała tonem, z którego jeszcze nie wyparowała ostrość.

– Christine, tu Evelyn z Rejonowej Komisji Kwalifikacyjnej. Możesz mówić tak, by ci nie przeszkadzano?

– Mogę. – Christine usiadła na wysokim stołku z klonowego drewna, który wypatrzyła na pchlim targu w Gloucester i sama odnowiła.

– Stowarzyszenie Sióstr Życia pochwała twoją głęboką troskę i profesjonalizm – zakomunikowała poważnie Evelyn. – Twoja propozycja dotycząca pani Charlotte Thomas została zaakceptowana.

W ciszy, która zapadła, Christine zaczęła drżeć. Z każdym słowem, które padało jak kropla na twardą, wysuszoną ziemię, jej mięśnie delikatnie się wzbraniały.

– Jako metodę wybrano dożylny zastrzyk siarczanu morfiny, który zostanie podany w odpowiednim momencie w trakcie twojej jutrzejszej zmiany. Ampułka morfiny oraz strzykawka będą leżeć jutro rano pod przednim siedzeniem twojego samochodu. Zadbaj o to, by na noc nie zamknąć drzwi od strony pasażera. Zamkniemy je po dostarczeniu przesyłki. Żądamy, by lek został podany w jednym, szybkim wstrzyknięciu. Nie ma konieczności pozostawiania po tym w sali chorej. Pozbądź się ampułki i strzykawki w bezpieczny i ostateczny sposób. Zgodnie z naszą polityką, po zakończeniu zmiany zatelefonujesz i nagrasz raport na automatycznej sekretarce. Mamy nadzieję i ufamy, że nadejdzie dzień, kiedy to, co robimy, zostanie ujawnione, wtedy takie raporty jak twój – a zbieramy je od czterdziestu lat od pielęgniarek w całym kraju – zostanie odpowiednio uhonorowany. W trakcie przedstawiania raportu nie ma potrzeby powtarzania historii choroby. Masz pytania?

– Nie – spokojnie odpowiedziała Christine, która zaciskała palce wokół słuchawki, aż jej zbiały. – Nie mam pytań.

– No to świetnie. Panno Beall, możesz być bardzo dumna z oddania, z jakim wcielasz w życie swe zasady i wykonujesz swój zawód. Dobranoc.

– Dziękuję. Dobranoc – odparła Christine, ale mówiła do sygnału.

Popatrzyła na zamknięte drzwi do salonu, włożyła zielony sweter Lisy, który wisiał na oparciu krzesła, i cicho wymknęła się tylnymi drzwiami na dwór.

Nocne niebo było nieskończone. Christine wzdrygnęła się z powodu chłodu i owinęła sweter ciaśniej wokół ramion. Na którejś z pobliskich ulic z wyciem silnika skręcał samochód. Kiedy odgłos ucichł, otoczyła ją cisza tak samo głęboka, jak noc była ciemna. Popatrzyła na

gwiazdy – niezliczone słońca, a każde było matką licznych światów. Choć decyzja, którą podjęła, była ogromna, czuła, że jest tylko małą drobiną, a jej żywot na tym świecie jest mgnieniem oka. Ucisk w piersi i gardle powodował, że miała trudności z przełykaniem. Kiedy podeszła powoli do samochodu i odblokowała drzwi pasażera, galopada w głowie, niepewność i poczucie izolacji powodowały, że poczuła się tak, jakby ściskano ją całą w imadle.

Obeszła kwartał budynków, potem jeszcze raz. Na wysokości domu usiadła na niskim murku biegnącym po drugiej stronie ulicy, cofnęła się w cień, by nie można jej było zobaczyć, i czekała, aż ostatni gość wyjdzie, a światła w oknach pogasną. Popatrzyła długo, pożegnalnie na usiane klejnotami niebo, westchnęła i ruszyła do domu. W salonie stało kilka niedopitych kieliszków i paliła się mała lampka, pozostawiona specjalnie przez przyjaciółki.

Zgasiała lampkę. Jeszcze nim doszła do swego pokoju, była rozebrana. Stanęła przed lustrem, rozpuściła długie ciemnoblonde włosy, potrząsnęła nimi i zaczęła je powoli czesać, licząc każde pociągnięcie szczotką.

„Jakiegokolwiek potrzebujesz odpowiedzi, wsłuchaj się w głos swego serca...” – dudniły jej w głowie słowa Charlotte.

Podeszła do łóżka i dopiero po odrzuceniu kołdry dostrzegła kopertę na poduszce. Wyjęła ze środka kartkę, zeszywniała, po czym zmieła ją w małą kulkę i rzuciła na podłogę.

Treść liściku była następująca:

„Christine, odchodzę. Może na zawsze. Jeśli będziesz miała ochotę, zadzwoń, ale tylko jeśli zechcesz mi powiedzieć coś ważnego. Jerry”.

Rozdział ósmy

David rozpoczął dzień, w którym po raz pierwszy miał zastąpić Wallace'a Huttnera, od przypisania utworu Berlioza Mendelssohnowi, zaraz jednak się odegrał dzięki wyczuciu, że za oknem szykuje się zmiana pogody.

Chłód w powietrzu powstrzymał go przed doprowadzeniem się podczas gimnastyki do silnych potów, które tak lubił chłodzić, biegnąc nad rzeką. Na wschodzie anemiczne słońce właśnie przegrywało bitwę o władzę nad dniem z nacierającą armią ciężkich, ciemnych chmur, otoczonych białą obwódką. Dzień niemal idealnie odzwierciedlał jego nastrój: trudny wieczorny obchód z Huttnerem pozostawił posmak zażenowania i złe przecucia; ani sen, ani poranna gimnastyka nie poprawiły jego samopoczucia.

Planował zrobić poranny obchód tą samą trasą, jaką odbył wczoraj z Huttnerem, ale zaraz po przybyciu do szpitala, powodowany niecierpliwością, postanowił sprawdzić, jak Anton Merchado zareagował na nowe leczenie.

Kiedy rybak ujrzał go w progu, na opaloną, ogorzałą twarz wypłynął szeroki uśmiech. Widząc radość chorego, obawy Davida co do czekającego go dnia natychmiast wyparowały.

– Walnąłem klocka, doktorze! – W tubalnym głosie była duma, jakby właśnie urodził. – Z samego rana. Pięknego twardego klocka, który plusnął do wody, jak się masz! Doktorze, nie wiem, jak dziękować. Już myślałem, że to nigdy więcej nie nastąpi!

– Niech się pan zbytnio nie podnieca, panie Merchado – powiedział David, choć sam ledwie mógł ukryć entuzjazm. – Wygląda pan lepiej niż wczoraj, ale nie wiem na pewno, czy biegunka definitywnie się skończyła.

– Gorączka spadła, prawie nie mam skurczów – powiedział Merchado, kiedy David sprawdzał czułe miejsca na brzuchu i przysłuchiwał się odgłosom przez stetoskop.

– Brzmi nieźle – stwierdził w końcu David i schował instrument do kieszeni. – Nie wolno panu jeszcze jeść nic o stałej konsystencji. Wolno popijać, jeszcze kilka dni, potrzymamy pana na nowym antybiotyku i kroplówce. Proszę powiedzieć rodzinie, że jeśli nic się nie wydarzy, zostanie pan w szpitalu jeszcze tydzień. Może dziesięć dni.

– Będzie mnie pan dalej leczył?

– Nie, tylko do powrotu doktora Huttnera. Ma pan szczęście, że jest pod jego opieką, panie Merchado. To jeden z najlepszych chirurgów, jakich znam.

– Może tak... a może nie. – Zmrużenie oka i uśmiech świadczyły o tym, że woli nie rozwijać tematu. – Niech mi pan jednak zostawi wizytówkę. Mam masę kuzynów, którzy napadną pana, by im coś zoperować, choć nic im nie dolega.

Z uśmiechem mającym choć trochę kamuflować, jak bardzo jest zadowolony, David wyszedł i sprawdził listę pacjentów, których musiał obejrzeć z rana. Nazwiska wypełniały obie strony kartki formatu A4. Rozsadzała go radość – od lat nawet w marzeniach nie pozwalał sobie wierzyć, że któregoś dnia będzie miał tylu pacjentów. Zbliżając się do końca korytarza,

wydał z siebie zwycięski okrzyk i tanecznym krokiem dotarł do schodów. Idące z tyłu dwie tłuste pielęgniarki, wyglądające na dziewiętnastowieczne matrony, na widok przedstawienia popatrzyły na siebie pełnymi dezaprobaty spojrzeniami, którym towarzyszyły posykiwania, po czym pompatycznie udały się do swych zadań.

Obchód okazał się bardziej męczący niż cokolwiek, co robił w ciągu ostatnich kilku lat jako lekarz. Nawet Charlotte Thomas jakby odrobinę się poprawiła, choć wrażenie mogło brać się stąd, że oglądał ją w świetle dziennym. Łóżko uniesiono pod kątem czterdziestu pięciu stopni i uczennica-praktykantka karmiła chorą skraweczkami lodu. David kilka razy próbował ustalić, jak się czuje, jedyną odpowiedzią był jednak słaby uśmiech i kiwnięcie głową. Zbadał brzuch, z przerażeniem stwierdzając całkowity brak odgłosów perystaltyki. Co prawda, nie było jeszcze powodu do paniki, ale każdy następny dzień bez odgłosów czynił coraz prawdopodobniejszą konieczność kolejnej operacji. Przez sekundę zastanawiał się nawet, czy nie kazać przerwać karmienia, ale – po ostatnim spojrzeniu na Charlotte – postanowił pozostawić sprawę swemu biegowi.

Stanął przy dyżurce pielęgniarek i zrobił dłuższy wpis do historii choroby oraz dał kilka zleceń, które powinny jego zdaniem poprawić nieco stan pani Thomas. Kiedy skończył, była niemal pierwsza. Miał dwadzieścia minut na kawę i kanapkę, potem musiał znaleźć się w swoim gabinecie. Pięć i pół godziny minęło jak z bicza trzasnął. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tak pracował i doszedł do wniosku, że chyba osiem lat temu. Od dnia wypadku ani razu – stwierdził ze smutkiem.

Nawet popołudniowe godziny przyjęć, zazwyczaj płynące żenująco leniwie, były dziś przyjemnie wypełnione, miał bowiem mnóstwo telefonów od pielęgniarek, pytających o szczegóły zleceń albo chcących podyskutować o pacjentach.

Punkt piąta, kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim chorym, przypisana do niego pielęgniarka, pani Houlihan, zawołała:

– Doktorze Shelton, dzwoni doktor Armstrong! Jej sekretarka łączy. Może pan odebrać na trójce!

– Bardzo zabawne! – odrzyknął David. Miał tylko jeden aparat telefoniczny i tak się przypadkiem składało, że numer kończył się na cyfrze trzy. Mimo wszystko miło było widzieć, że ten bardzo zajęty dzień wprowadził panią Houlihan w równie przyjemny nastrój.

– To do widzenia, doktorze. Idę usmażyć trochę żarcia swojej hałastrze – pożegnała się i wyszła.

– Dobranoc, pani Houlihan.

Po chwili rozmawiał z doktor Margaret Armstrong. Była pierwszą kobietą, która została w tym szpitalu ordynatorem oddziału kardiologicznego i cieszyła się w swojej specjalności niemal taką samą reputacją jak Wallace Huttner w swojej. Ze wszystkich lekarzy w Doctors Hospital była dla Davida najserdeczniejsza i najchętniejsza do pomocy – przynajmniej podczas pierwszego roku. Choć kierowała swoich pacjentów niemal wyłącznie do kardiochirurgów albo do Huttnera, kilka razy podesłała mu kogoś i za każdym razem przysyłała kartkę z podziękowaniami za zapewnienie znakomitej opieki.

– Co słysząc, David? – zaczęła.

– Byłem dziś trochę zajęty, ale cieszyłem się każdą chwilą, doktor Armstrong. – Może wynikało to z jej królewskiej postawy, otaczającej ją arystokratycznej aury, może brało się z dwudziestoletniej różnicy wieku, w każdym razie David nigdy nawet nie pomyślał o tym, by odzywać się do niej po imieniu. Nigdy też nie został do tego zachęcony.

– Telefonuję, aby spytać, czy nie mogłabym ci dołożyć pracy. Powiem szczerze, najpierw zadzwoniłam do gabinetu Wally’ego Huttnera, ale z przyjemnością się dowiedziałam, że go zastępujesz.

– Dziękuję. Proszę strzelać.

– Chodzi o starszego pana, nazywa się Aldous Butterworth. Ma siedemdziesiąt siedem lat, ale jest w pełni władz umysłowych i żwawy jak szczeniaczek. Po niewielkim zawale przez tydzień wszystko było w porządku, lecz niedawno zaczął nagle narzekać na mrowienie i ból w prawej nodze. Od pachwiny w dół zanikło tętno.

– Zator? – spytał David, bardziej z grzeczności niż wątpliwości co do diagnozy.

– Tak sądzę. Noga już się robi biała. Byłbyś w nastroju wyciągnąć zatyczkę?

– Z przyjemnością. – David rozpromienił się. – Powiedziała mu pani o możliwych zagrożeniach?

– Tak, ale nie zaszkodzi, jeśli zrobisz to jeszcze raz. David, nie mam pewności, czy można dać mu narkozę. Sądzisz, że możliwe byłoby...

David był tak podniecony, że uda mu się zakończyć dzień znaczącym zabiegiem, iż jej przerwał.

– Zrobienie tego w znieczuleniu miejscowym? Jak najbardziej. Pójdzie świetnie.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Czekam na wieści. Aldous jest zarówno pacjentem, jak i dobrym przyjacielem. Za godzinę jest spotkanie zarządu i jako lekarz odpowiedzialny za sprawy lecznictwa w tym domu wariatów muszę iść, ale może byśmy się spotkali wieczorem?

– Oczywiście. Muszę przed pójściem do domu zobaczyć jeszcze paru pacjentów. Co pani powie na Południe Cztery? Mam tam do obejrzenia pacjentkę z pełną niewydolnością. Może wpadnie pani na jakiś pomysł.

– Z chęcią spróbuję. O ósmej?

– O ósmej.

Z wymytlami i profilaktycznie złożonymi razem dłońmi David wszedł tyłem do sali operacyjnej numer dziesięć, włożył kitel i zaczął czynić przygotowania do zaaranżowania własnej symfonii i podyrgowania nią. Wyciągnięty na wąskim stole operacyjnym Aldous Butterworth był malutki i bezbronny.

David kazał nałożyć mu na prawą stopę przezroczysty plastikowy worek, dzięki czemu mógł ją cały czas widzieć, a nie brudziła miejsca, gdzie operował. Skóra stopy wyglądała jak wykuta z białego marmuru.

Robiąc małe wstrzyknięcia, znieczulił pachwinę. Ponieważ nie mógł kierować się tętnem, tętnica udowa mogła znaleźć się nawet dwa centymetry od nacięcia. Wystarczyło się przeliczyć

i konieczne mogło się okazać drugie nacięcie. Skup się. Zobacz ją. Kąciki ukrytych za maską ust uniosły się w górę w uśmiechu. Był gotów.

– Skalpel, proszę – powiedział i wyjął instrument z dłoni instrumentariuszki. Zamarł na chwilę, zamknął oczy i wciągnął do płuc powietrze. Uniósł powieki i przypatrzył się twarzom ludzi czekających na jego ruch, widział napięcie w ich oczach. Lekko skinął głową anestezjologowi, po raz ostatni przyjrzał się stopie pacjenta i przystąpił do cięcia. Napięta skóra rozsunęła się, ukazując tętnicę udową. – W dziesiątkę...

W ciągu kilku minut, sztywna i ciężka od zakrzepłej krwi tętnica została odizolowana i podwiązana dwoma cienkimi paskami materiału, umieszczonymi w odległości pięciu centymetrów od siebie. David zrobił niewielkie nacięcie w ścianie tętnicy między podwiązkami, wsunął w tętnicę, w kierunku stopy, cewnik balonikowy, czyli cienką rurkę, zakończoną nie nadmuchanym balonikiem. Kiedy uznał, że balonik znajduje się w odpowiednim miejscu, nadmuchał go i ostrożnie zaczął wyciągać cewnik. Zanim balonik wysunął się z nacięcia, z otworu wydobyło się ponad pół metra nitkowatej skrzepliny. Powtórzył procedurę w drugim kierunku, usuwając grubszą skrzeplinę – będącą pierwotną przyczyną zaburzenia. Przepłukał tętnicę środkiem przeciwzakrzepowym i mógł zamykać naczynie. Zacisnął mocniej podwiązki, by zahamować przepływ krwi, potem zszył otwór kilkoma drobnymi szwami.

Po raz drugi w ciągu dwudziestu minut wymienił się spojrzeniami z asystującymi mu ludźmi. Wziął głęboki wdech, zatrzymał powietrze w płucach i rozwiązał podwiązki. Stopa Butterwortha natychmiast się zaróżowiła. Zespół operacyjny buchnął radosnym okrzykiem. Jak z podręcznika. Zabieg od początku do końca wykonany idealnie. Choć David był zmęczony, wykrzyczał dobrą wieść Butterworthowi, który – jak się w tym momencie okazało – cały zabieg przespał.

– To była NAPRAWDĘ wspaniała robota, doktorze Shelton. To była naprawdę WSPANIAŁA robota, doktorze Shelton. To BYŁA naprawdę wspaniała robota, doktorze Shelton. – David powtarzał słowa doświadczonej instrumentariuszki, próbując powiedzieć to zdanie tak samo jak ona. – Może zadzwoń do niej i poproś, by powtórzyła je jeszcze raz, byś mógł zapamiętać – zażartował sam z siebie. Podyktował raport z operacji, wziął prysznic i ubrał się. Teraz szedł korytarzem skrzydła Południe Cztery, by podzielić się wiadomością o udanym zabiegu z doktor Armstrong.

Popatrzył na zegarek. Za dziesięć ósma. To już drugi kolejny dzień, w którym opuści szpital wieczorem, a minęło ponad półtora roku od czasu, kiedy zatrudniono go na oddziale chirurgicznym w tym szpitalu.

Margaret Armstrong przyszła przed nim i czekała w dyżurce pielęgniarek, popijając kawę i rozmawiając z Christine Beall oraz szefową zmiany, Winnie Edgerly. Kiedy David podszedł, Christine natychmiast przykuła jego wzrok. Jej oczy i uśmiech zdawały się przekazywać mu tysiąc rzeczy naraz... a może to nie były jej słowa i myśli, a jego? Mignął mu przed oczami obraz idealnej jak klejnot twarzy Lauren, zaraz jednak zniknął, gdyż brązowe oczy nie odwracały się, wciąż go obserwowały.

Wyzwolił go głos doktor Armstrong.

– Halo, David! – zawołała radośnie. – Po szpitalu krąży plotka o nowej stopie mojego małego przyjaciela. Brawo! Wznieśmy toast filiżanką tej znakomitej kawy! – Zajrzała do kubeczka, skrzywiła się i dodała: – Jeśli to kawa.

Była ubrana w czarną spódnicę i jasnobłękitny kaszmirowy sweter, ozdobiony jedynie prostą broszką w kształcie złotego motyla. Rozpięty kitel sięgał jej do kolan, co było (nieoficjalnie) zarezerwowane dla profesorów i osób o odpowiednim stażu pedagogicznym. Ciemne falujące włosy miała krótko przycięte. Fryzura znakomicie pasowała do jasnobłękitnych oczu i delikatnych rysów. Promieniowała z niej energia, a całą sylwetkę otaczała aura, każąca natychmiast zwracać uwagę i traktować z szacunkiem. Napisany sześć lat temu artykuł, przedstawiający wkład doktor Armstrong w rozwój nauki o chorobach układu krążenia, przyniósł jej przydomek Wielkiej Damy Amerykańskiej Kardiologii, a miała wtedy dopiero pięćdziesiąt osiem lat.

Przyjrawszy się scenerii w dyżurce, David stwierdził ze zdziwieniem, jak luźna i ożywiona panuje tu atmosfera. Nawet biorąc pod uwagę to, że doktor Armstrong była kobietą, zachowanie jej wobec pielęgniarek i tych ostatnich wobec niej było krańcowo różne niż w wypadku doktora Huttnera. Kontrast stał się jeszcze wyraźniejszy, kiedy wstała, by nalać mu kawy.

Przedstawiła go pielęgniarkom jako „bohatera dnia” i z figlarnym mrugnięciem do Christine dodała, że – jeśli się nie myli – David jest kawalerem. Spłonął się i zasłonił z zażenowaniem oczy, starając się uniknąć kontaktu wzrokowego z pielęgniarką. Doktor Armstrong poprosiła o szczegóły dotyczące zabiegu i na chwilę niebezpieczeństwo minęło.

Kiedy David czerwonym i niebieskim długopisem szkicował niektóre elementy opisu, dołączyła do nich Rona Gold, pielęgniarka bez dyplomu.

David czuł, że doktor Armstrong już zna szczegóły prawdopodobnie od kogoś obecnego na sali operacyjnej, mimo to zachęcała, by opowiadał.

– W każdym razie – oświadczyła na koniec – po drodze weszłam do sali pooperacyjnej rzucić okiem na Aldousa i okazało się, że nic nie pamięta. Przespał cały zabieg. Grozi mu utrata nogi albo jeszcze coś gorszego, a on śpi! To jest znieczulenie, co?

– Chyba go uśpiłem, wyjaśniając, co zamierzam – stwierdził David.

Doktor Armstrong roześmiała się, a wraz z nią trzy pielęgniarki.

– David, wspomniałeś coś o trudnym przypadku. Chodzi o Charlotte Thomas?

– W rzeczy samej. Zajmuje się pani poza kardiologią czytaniem w myślach?

– Niestety nie. Domyśliłyśmy się z siostrami, bo tylko ona pasuje do twojego opisu. Skorzystałam z okazji i przejrzałam historię choroby.

– I co?

– Masz rację. Wszystko świadczy o ogólnej niewydolności organizmu. Do tego, co napisałeś dziś rano, mogę dodać, że pani Thomas ma także jednoznaczne objawy choroby wieńcowej. Przynajmniej tak uważam na podstawie oglądu elektrokardiogramu. Nie widzę, co należałoby dodać do zastosowanych dotychczas metod. Czy twoim zdaniem należy przyjrzeć się dokładniej przyczynom niedrożności jelit?

– Mam nadzieję, że nie. Oznaczałoby to trzecią poważną operację w niecałe trzy tygodnie.

– Doktorze Shelton, mam pytanie – wtrąciła Christine.

Odpowiedział natychmiast:

– Pięć-pięć-pięć-dwa... ee... jeden-sześć.

– Co to jest?

– Mój numer telefonu! – zawołał David, natychmiast łapiąc się na tym, że chyba jeszcze za mało o niej wie, by uszczęśliwić ją swym specyficznym poczuciem humoru.

Gold i Edgerly roześmiali się, ale Christine nawet nie mrugnęła.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedziała. – Nie ma tu nikogo, kto byłby tak chory i tak cierpiał jak Charlotte Thomas.

David wymamrotał przeprosiny, ale zignorowała je.

– Martwi mnie – mówiła dalej Christine – dlaczego, jeśli ma tyle nieuleczalnych schorzeń, doktor Huttner zalecił kod dziewięćdziesiąt dziewięć. Zwłaszcza po tym, co stało się wczoraj wieczór.

– Wczoraj wieczór? – spytała doktor Armstrong. – Co się stało wczoraj wieczór?

David nie odpowiadał, nie bardzo bowiem wiedział, komu zadano to pytanie. Christine opadła na oparcie krzesła i przyglądała mu się, wyraźnie czekając na jego wersję.

– No cóż... – odezwał się w końcu. – Mąż pani Thomas i doktor Huttner zaczęli dyskutować o inwazyjnym leczeniu, na jakie się w jej wypadku zdecydował. Pan Thomas był bardzo rozczarowany i mocno zdenerwowany. Moim zdaniem trzeba go zrozumieć, każdy z nas spotyka się dość często z taką postawą rodziny chorego.

– I co zrobił Wally? – Armstrong pochyliła się do przodu i, jakby nie zdając sobie z tego sprawy, toczyła kubeczek w dłoniach.

– Moim zdaniem to, czego należało oczekiwać. No, może zareagował odrobinę zbyt gwałtownie. Mimo żądania pana Thomasa, który był wyraźnie podenerwowany i zestresowany, odmówił zmiany planu leczenia. W końcu wciągnął mnie w debatę i obawiam się, że zarówno opinia, jaką wyraziłem, jak i sposób, w jaki to zrobiłem, odbiegały od jego oczekiwań. – David uśmiechnął się smutno na tak eufemistyczne określenie swego zachowania.

– A co naprawdę sądzisz, David?

Głos doktor Armstrong był bardzo łagodny. W jej minie było coś, co wskazywało na otwartość na jego spojrzenie na sprawę i dawało pewność, że za to, co powie, nie zaatakuje go.

– Uważam, że to zaskarżająca sytuacja, jeśli wybaczy pani to określenie – odparł. – Chcę powiedzieć, że rezygnacja z leczenia zawsze jest trudniejsza od ordynowania kolejnych leków, podłączania urządzeń i robienia wszelkich możliwych zabiegów. Dlatego mamy tylu pacjentów, którzy wegetują niczym warzywa. W mojej rodzinie byłem świadkiem przedłużającego się bolesnego umierania kilku osób i uważam, że są takie chwile, kiedy lekarz powinien umieć podjąć decyzję i przerwać ingerencję, aby pozwolić naturze działać własnym trybem. Zgadza się pani ze mną?

„... i przerwać ingerencję, aby pozwolić naturze działać własnym trybem...” Słowa te i sposób, w jaki zostały wypowiedziane, coś wyzwoliły. Margaret Armstrong zamknęła oczy i wsłuchiwała się w echo pobrzmiwające w jej głowie. Po chwili usłyszała inne słowa. Do tego wypowiedziane głosem małej dziewczynki.

– Zgadza się pani ze mną, doktor Armstrong?

„Wszystko już dobrze, mam... jestem przy tobie... Mamo, słyszysz mnie? Ciągle tak bardzo boli? Mamo, proszę cię... co mogę dla ciebie zrobić?”.

– Doktor Armstrong?

– Tak, jestem. Cóż, David, obawiam się, że bardziej przychyliam się do podejścia doktora Huttnera niż do twojego. – Na jak długo odpłynęła myślami? Oczekiwano od niej wyjaśnienia?

– Nie do końca rozumiem, co ma pani na myśli. Postanowiła, że nie będzie nic wyjaśniać.

– Moim zdaniem gdyby lekarz kierował się twoją filozofią, byłby nieustannie zmuszany do podejmowania decyzji zastrzeżonych dla Boga. Musiałby decydować, kto ma żyć, a kto umrzeć. Stałby się medycznym Neronem: kciuk w górę – robimy wlew dożylny, kciuk w dół – nie robimy.

David zareagował na to tak emocjonalnie i gwałtownie, aż sam był zdziwiony.

– Uważam, że głównym zadaniem lekarza nie jest nieustanna walka z chorobą, ale zrobienie wszystkiego, co w jego mocy, by zmniejszyć ból i poprawić jakość życia pacjenta! Czy naprawdę powinniśmy stosować wobec każdego pacjenta wszelkie możliwe metody leczenia, przeprowadzać każdy możliwy zabieg, jeśli wiemy, iż istnieje jedna szansa na milion albo jedna na dziesięć tysięcy, że to pomoże? – W ciszy, która zapadła, szybko pojął, że znów wystrzelił z armaty tam, gdzie wystarczyło użycie procy albo aksamitnej rękawiczki.

W tym momencie Winnie Edgerly – waląca prosto z mostu, choć nieco toporna pięćdziesięciolatka – uznała, że należy włączyć się do dyskusji.

– Ja tam jestem po stronie doktor Armstrong – powiedziała poważnie. – Gdyby była choć najmniejsza szansa na to, że zastosowana metoda może się okazać skuteczna, nie chciałabym, aby pozbawiono mnie choć jednej rurki. Kto wie, co może się wydarzyć albo co może w ostatniej chwili pomóc? Nie mam racji?

– Proszę mnie źle nie rozumieć, pani Edgerly – odparł David, starannie dobierając głos. – Nie opowiadam się za wyciąganiem z kogokolwiek jakiegokolwiek rurki, twierdząc jedynie, że powinniśmy się dwa razy... albo nawet i więcej... zastanowić, zanim je wstawimy. Oczywiście, że mogą pomóc, ale czasem jedynie przedłużają beznadziejną agonię. Czy to lepiej wyjaśnia moją opinię?

Edgerly kiwnęła głową, ale jej mina świadczyła o tym, że się nie zgadza.

Po chwili ciszy odezwała się doktor Armstrong.

– Jak to się ma do pani Thomas, David?

– Nijak. Program leczenia został wyraźnie określony przez doktora Huttnera i jestem odpowiedzialny za realizowanie go, najlepiej jak umiem. Na ten temat tylko tyle mam do powiedzenia.

Doktor Armstrong wyglądała tak, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale ożył wiszący nad ich głowami głośnik i wezwano Davida do izby przyjęć.

– Kiedy zaczyna padać, od razu leje – powiedział na odchodne.

– Mam nadzieję, że nie zmokniesz – odparła. – Cieszę się, że wszystko w porządku, David.

– Dziękuję, doktor Armstrong. – Dopił kawę. – Dziękuję za wszystko.

Pozegnał się krótkim skinieniem głowy z Edgerly i Gold, popatrzył nieco dłużej na Christine i ruszył na wezwanie.

Po chwili kobiety rozeszły się, jedynie Christine została. Na jej twarzy pojawił się nieco niezdecydowany, choć raczej ironiczny wyraz. Wsunęła rękę do kieszeni swetra i przez jakieś dwie minuty dotykała owiniętej w chusteczkę strzykawki z morfiną. Potem wstała i z wymuszoną nonszalancją poszła w kierunku pokoju czterysta dwanaście.

Rozdział dziewiąty

– Robi pan ręce, doktorze Shelton?

Harry Weiss, stażysta z haczykowatym nosem, który wezwał Davida do izby przyjęć, bez trudu mógłby dostać rolę Ichaboda Crane’a w ekranizacji Legendy o Sennej Dolinie Washingtona Irvinga.

– Niech mi pan pokaże, co macie.

W izbie przyjęć – jak zwykle wczesnym wieczorem – panował totalny chaos. W pełnej poczekalni siedziało ponad dwudziestu pacjentów w najrozmaitszych stadiach rozkładu i wściekłości. Metalowe łóżka na kółkach zjawiały się i znikwały niczym frachtowce w ruchliwym porcie, odwożąc kolejny towar do rentgena, na salę obserwacyjną albo na któryś z oddziałów. Terkotały telefony, ścierało się ze sobą przynajmniej dziesięć rozmów. Kiedy stażysta prowadził go do sali urazowej numer osiem, David chwycił strzępy kilku rozmów. „Co to znaczy, że nie będziecie mieli wyników w ciągu godziny? Ten człowiek się wykrwawia, potrzebujemy ich natychmiast!”. „Pani Ramirez, wiem, jak się pani czuje, ale nie jestem w stanie nic zrobić. Nie ma tu żadnego Juana Ramireza”. „Nie, to będzie tylko delikatne ukłucie”.

Pacjentem, do którego wezwano Davida, okazał się czterdziestoletni robotnik, który miał krótkie, ale intensywne spotkanie z piłą tarczową. Dwa palce były obcięte do połowy, trzeci trzymał się na wysokości pierwszej kostki na strzępku ścięgna. Jeszcze zanim David zaczął dokładnie oglądać zniszczoną dłoń, wiedział, że to kolejna sytuacja, z której nie istnieje dobre wyjście. Zamienił kilka słów z rannym, który co prawda trochę przestał się pocić, ale wciąż miał twarz koloru zbielełej kości. Kiedy skończył, wyszedł z wyczerpanym nerwowo stażystą na korytarz. Od decyzji Davida zależało, czy przeprowadzi zabieg sam, czy poświęci trochę czasu i poinstruuje stażystę, co ma robić. Zdecydował się na drugie rozwiązanie, doskonale bowiem pamiętał wiele późnych wieczorów, kiedy doświadczeni chirurdzy poświęcali czas, by go czegoś nauczyć. Minęło niemal pół godziny, nim uzyskał pewność, że Weiss może przeprowadzić zabieg samodzielnie.

Kiedy wyszedł z windy i ruszył w kierunku pokoju czterysta dwanaście, w skrzydle Południe Cztery panowała niecodzienna cisza. Wybuch śmiechu w pokoju pielęgniarek sugerował, że trwa przerwa na kawę – przynajmniej dla części personelu. Pomyślał o Christine Beall, niemal miał nadzieję, że zaraz wyjdzie z któregoś z pokoiów.

Samo wspomnienie jej twarzy powodowało niemiłe pieczenie policzków. Cóż, ciekawie wyglądała i miała niezwykle oczy... ale Lauren była piękna i miała niesamowite oczy... Brało go tylko dlatego, że Lauren wyjechała. Otrząśnij się, człowieku, Lauren ma wszystko, czego zawsze szukałeś u kobiety: urodę, umysł, niezależność. Zgadza się? Oczywiście. Wszystko było logiczne – czarno na białym i niepodważalnie. Mimo to jakiś głos w odległym zakamarku jego umysłu szeptał: „Zastanów się... zastanów się...”

Światło w pokoju Charlotte Thomas było zgaszone. David stanął w otwartych drzwiach i wbił wzrok w ciemność otaczającą łóżko. Urządzenie odsysające nadmiar płynu z brzucha, nastawione na pracę z przerwami, zaterkotało, zamilkło, po chwili znów zaterkotało. W wodzie w umieszczonym przy ścianie przepływomierzu zabulgotało kilka pęcherzyków tlenu.

Zastanawiał się, czy zaburzać chorej sen w celu sprawdzenia kilku rzeczy, które najlepiej było pozostawić bez zmian. Zdecydował się jednak podejść do łóżka i zapalił umieszczoną nad nim jarzeniówkę.

Charlotte leżała na plecach, na twarzy miała spokojny półśmiatek. David potrzebował kilku sekund, by zauważyć, że nie oddycha.

Odruchowo wyciągnął rękę ku szyi i dotknął tętnicy. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że wyczuwa tętno, ale był to jego własny puls, wibrujący w opuszkach palców. Zaciśnął dłonie w pięści i szybkim, silnym ruchem, uderzył w środek klatki piersiowej Charlotte. Zrobił dwa oddechy usta-usta, potem kilka razy rytmicznie puciskał mostek. Kolejne dotknięcie tętnicy szyjnej nie wykazało tętna.

Podbiegł do drzwi.

– Cztery dwadzieścia kod dziewięćdziesiąt dziewięć! – wykrzyczał w opustoszały korytarz. – Cztery dwadzieścia kod dziewięćdziesiąt dziewięć! – Wrócił natychmiast do łóżka i kontynuował jednoosobowy zabieg.

Po trzydziestu sekundach ciągnących się w nieskończoność do pokoju wpadła Winnie Edgerly z wózkiem reanimacyjnym, a zaalarmowana przez pielęgniarki operatorka radiowęzła zaczęła powtarzać:

– Południe Cztery kod dziewięćdziesiąt dziewięć! Południe Cztery kod dziewięćdziesiąt dziewięć! Południe Cztery kod dziewięćdziesiąt dziewięć!

Kilka sekund później pokój cztery dwadzieścia zaczął się zapełniać ludźmi i aparatami. Edgerly wsadziła w usta Charlotte Thomas krótką rurkę ustno-gardłową i, najlepiej jak umiała, zaczęła prowadzić sztuczne oddychanie za pomocą aparatu „Ambu”. David przystąpił do zewnętrznego masażu serca. Weszła asystentka pielęgniarska, przesunęła się potulnie pod ścianę i czekała na polecenia. Wbiegły kolejne dwie pielęgniarki, za nimi Christine – z elektrokardiografem. Szybko umocowano elektrody do rąk i nóg Charlotte Thomas.

Zjawili się dwaj studenci-praktykanci, w końcu dotarł anestezjolog – wielki Arab, który przedstawił się jako doktor Kim. Zastąpił Edgerly u wezglowia łóżka i popatrzył na Davida, który przekazał masaż serca jednemu ze stażystów, a sam obsługiwał elektrokardiograf.

– Intubować? – spytał doktor Kim i David skinął głową.

Kim zabrał się do pracy, nie zwracając uwagi na przybywających kolejnych ludzi, w tym technika obsługującego urządzenie inhalacyjne i laboranta. Wziął laryngoskop i włożył zagiętą łyżkę głęboko do gardła Charlotte. Przycisnął ją do podstawy języka, by odsłonić delikatne srebrne półksiężycy strun głosowych.

– Poproszę siódmkę – powiedział do asystującej mu pielęgniarki. Przezroczysta plastikowa intubacyjna rurka dotchawicza o średnicy siedmiu milimetrów była zakończona mankietem z cienkiej gumy. Olbrzym bardzo sprawnie wsunął rurkę między struny głosowe i pchnął ją daleko w głąb tchawicy. Specjalną strzykawką napełnił powietrzem mankiet,

uszczelniając przestrzeń między rurką a ścianą tchawicy, aby zapobiec niepożądanemu przedostawaniu się powietrza. Potem do wystającej z ust końcówki przyłączył aparat „Ambu” z przewodem tlenowym i zaczął podawać Charlotte wzbogacone w tlen powietrze z częstotliwością trzydziestu „oddechów” na minutę.

Christine stała tuż przy Davidzie i obserwowała, jak próbuje wykalibrować igłę elektrokardiografu. Nagle dostrzegła ruch pisaka w górę i w dół. Poruszał się w nieprzerwanym rytmie – stałym, regularnym rytmie. O mój Boże – sprowadza ją z powrotem! Jej myśli wyły. Tej ewentualności nie przewidziała! Z każdym machnięciem pisaka Christine wyraźniej widziała nowy przerażający obraz: Charlotte pod respiratorem. Znowu rurki w jej ciele. Jeden niekończący się dzień za drugim, wpływające na zastanawianiu się, czy mózg, który tak długo nie był zaopatrywany w tlen, obudzi się. Co ona narobiła?

Delikatnie liniowana wstęga papieru wylewała się z aparatu jak lawa, tworząc pod nogami Davida Sheltona rosnącą splątana kupkę. Rytmiczne szarpnięcia pisaka nie ustawały.

– Proszę przerwać na chwilę! – zawołał David do wykonującego masaż serca praktykanta, aby uzyskać rzetelny zapis.

W ułamku sekundy igła zamarła i zaczęła rysować ledwie drgającą kreskę. Linia ukazująca aktywność serca była wywołana sztucznie – uciskami studenta.

Christine zinterpretowała zapis na swój sposób i o mało nie zemdląła.

– Rytm wygląda na migotanie komór. Proszę przestać uciskać. – Głos Davida był dobitny, ale spokojny. Christine czuła, że lekarz panuje nad sytuacją. – Christine, proszę ustawić na czterysta dzuli.

Zareagowała powoli. Zbyt wolno.

– Panno Beall!

– Tak jest, doktorze. Natychmiast. – Podeszła do defibrylatora. Wszyscy na nią patrzą, czy tylko jej się tak wydaje? Nie mogła się zmusić do podniesienia głowy. Obróciła pokrętko na czterysta, posmarowała elektrody, wyglądające jak stalowe kostki mydła, i podała obie Davidowi.

Odsunął studenta, szybko przyłożył jedną elektrodę tuż pod prawym obojczykiem Charlotte, a drugą piętnaście centymetrów pod lewą pachą.

– Wszyscy odejść od łóżka! Gotowe? Już!

Nacisnął czerwony przycisk, znajdujący się na szczycie elektrody w prawej ręce i kiedy przez klatkę piersiową, serce oraz resztę ciała Charlotte Thomas pomknęło czterysta dzuli energii elektrycznej, rozległo się głuchoe tąpnięcie. Jej ramiona podskoczyły wysoko w górę, jak u marionetki, i natychmiast opadły. Ciało na ułamek sekundy wyprężyło się w łuk i bezwładnie opadło. Linia elektrokardiogramu nie wykazała zmiany.

Student znów zaczął uciskać klatkę piersiową, wkrótce jednak dał znak stojącemu obok koledze, że się zmęczył. Szybko się zamienili.

David zaczął wydawać polecenia: wodorowęglan sodowy do neutralizacji wzrostu poziomu kwasu mlekowego we krwi i tkankach. Adrenalinę w celu pobudzenia mięśnia sercowego. Glukozę, na wypadek gdyby jakimś cudem doszło do hipoglikemii. Nic to nie zmieniło. Podano kolejną dawkę adrenaliny i wykonano kolejne dwie defibrylacje energią wynoszącą czterysta

dżuli. W dalszym ciągu nic się nie działo. Dostała wapń, znowu wodorowęglan, czwarte uderzenie prądem. Elektrokardiogram pozostawał płaski, zniknęły nawet drobne drgania. Stojący u wezłowia wielki jak góra anestezjolog uciskał worek aparatu „Ambu”, który w jego wielkich dłoniach wyglądał jak mała czarna piłeczka.

– Proszę podłączyć ampułkę adrenaliny do igły dosercowej – zaordynował David.

Wstrzyknięcie przez wkłucie podobojczykowe powinno spowodować wprowadzenie płynu do serca, ale zawsze istniało ryzyko, że końcówka może się przemieścić. David położył dłoń z lewej strony mostka Charlotte i zaczął palcami odliczać cztery przestrzenie międzyżebrowe. Trzymając w jednym ręku ampułkę adrenaliny, drugą dłonią wbił dziesięciocentymetrową igłę prosto w klatkę piersiową. Niemal natychmiast do ampułki wpłynęła ciemnoczerwona krew. Udało się trafić bezpośrednio i to za pierwszym razem – igła wkłuła się w mięsień sercowy. Christine wstrzymała oddech i odwróciła głowę.

David wstrzyknął adrenalinę. Przez chwilę pisak elektrokardiografu się poruszał – bez niczyjego udziału! David zauważył, że student, nie zdając sobie z tego sprawy, rytmicznie uciska lewą rękę Charlotte. Dał mu znak, by się odsunął i zapis natychmiast zmienił się w linię ciągłą.

Christine poczuła, że napięcie w pokoju zaczyna słabnąć. Wpatrywała się w podłogę. Było już praktycznie po wszystkim.

David popatrzył na anestezjologa i wzruszył ramionami, co miało wyrażać: „Jakiś pomysł?”.

Doktor Kim spokojnie odwzajemnił spojrzenie i powiedział:

– Chce pan otwierać klatkę?

Przez kilka sekund David brał to pod uwagę.

– Jak źrenice? – spytał, wiedział jednak, że to tylko zwlekanie.

– Sztywne i rozszerzone.

David spojrzał w kąt pokoju. Zacisnął z całej siły powieki, potem otworzył oczy, wyciągnął rękę i wyłączył elektrokardiograf.

– To by było na tyle. Dziękuję wszystkim. – Na więcej nie było go stać.

Pokój zaczął pustoszeć, ale David stał i przyglądał się pozbawionej życia cielesnej powłóce Charlotte Thomas. Mimo tkwiących w jej ciele rurek i przewodów, mimo sińców i kolistych przypaleń od defibrylacji na klatce piersiowej, był w tej kobiecie spokój.

Nareszcie znalazła ukojenie.

Nagle zaczął reagować na to, co się stało. Na dłoniach i pod pachami wystąpił mu pot – zimny, kleisty pot.

Kiedy wyszedł z sali czterysta dwanaście, by zatelefonować do Wallace’a Huttnera, cały się trząsł. Gdzieś w głębi jego duszy tkwiło lodowate przeświadczenie, że właśnie otarł się o koszmar. Popatrzył na zegar na ścianie. Ile czasu nad nią pracowali? Trzy kwadransy? Godzinę?

– Co za różnica... – mruknął sam do siebie, kiedy siadał w dyżurce pielęgniarek, by napisać w historii choroby notatkę o zgonie.

– Wszystko w porządku? – delikatnie spytała Christine, stawiając przed nim kubeczek mętnej kawy.

– He? Oczywiście, nic mi nie jest. Dziękuję. – Oparł brodę na kontuarze i z bliska wpatrywał się w styropianowy kubek. – Dziękuję za kawę.

– Przykro mi, że nie wyszło – powiedziała.

David przyglądał się kubkowi, jakby szukał w nim odpowiedzi na kosmicznej wagi pytanie.

– Potas! – wykrzyknął nagle.

Christine, która wychodziła, by uniknąć niezręcznego milczenia, odwróciła się.

– Słucham?

Podniósł głowę.

– Christine, coś w tym wszystkim było nie tak. Coś wykraczającego poza to, co oczywiste. Może się mylę, ale nie pamiętam, bym przy reanimacji uzyskał choć na chwilę wznowienia pracy serca... jeśli nawet do ogłoszenia kodu dziewięćdziesiąt dziewięć upłynęło sporo czasu! Cholera! Szkoda, że nie zbadaliśmy poziomu potasu. Potas, wapń – nie wiem co, ale czuję, że coś było nie w porządku.

– Nie może pan teraz zbadać poziomu potasu?

– Mogę, ale to nic nie da. W trakcie reanimacji i po śmierci tkanki wydzielają potas do krwi, więc poziom jest wysoki. – Zacisnął z rozpaczy dłonie.

Christine poczuła narastający w piersi ucisk.

– Jak mogło dojść do tego, że potas skoczył? – spytała.

– Jest parę możliwości. – David był zbyt zaabsorbowany, by zauważyć zmianę jej wyrazu twarzy. – Nagła niewydolność nerek, skrzeplina, pomyłka w podaniu leków. Teraz to i tak nieważne. Prawdopodobnie tylko się czepiam. Zgon to zgon. – Nagle dostrzegł cierpienie na twarzy Christine. – Przepraszam, nie chciałem tego tak wyrazić. Obawiam się, że konieczność zawiadomienia doktora Huttnera nieco mnie przygnębiła. Nie ma chyba jednak wyjścia... wątpię, by był szczęśliwy, gdybym powiadomił go dopiero po powrocie. Może kiedyś usiądziemy i porozmawiamy o pani Thomas? Co o tym myślisz?

Christine odwróciła się. – Może kiedyś... – szepnęła do siebie.

David znalazł w notatkach numer, który zostawił mu Huttner. Po zwykłej kłótni ze szpitalną telefonistką połączono go. „Halo” Huttnera jednoznacznie świadczyło o tym, że został wyrwany ze snu.

– Niezły początek... – mruknął pod nosem David i uniósł wzrok ku górze, jakby chciał znaleźć jakąś niebiańską pomoc. – Doktorze, David Shelton przy aparacie.

– Słucham, David, o co chodzi?

Już pierwsze słowa świadczyły, że jest zniecierpliwiony i David pomyślał, że powinien być zadowolony z rana.

– Chodzi o Charlotte, doktorze. O Charlotte Thomas. – David miał wrażenie, że spuchł mu język i ma rozmiary grejpfruta.

– Tak, co z nią?

– Mniej więcej półtorej godziny temu stwierdzono u niej brak tętna. Robiliśmy reanimację według procedury dziewięćdziesiąt dziewięć przez niemal godzinę, ale nic to nie dało. Nie żyje, doktorze.

– Jaką reanimację? Co ty gadasz, człowieku? Rano przed wyjazdem badałem ją i stan był stabilny.

David nie liczył na łatwą przeprawę z Huttnerem, ale nie spodziewał się wojny. Jego język dawno przestał być grejpfrutem i zbliżał się wielkością do arbuza.

– Nie... nie wiem, co się stało – powiedział. – Może dostała hiperkaliemii. Elektrokardiogram przez krótki okres wykazywał migotanie komór, potem czynność serca ustała. Linia pozostawała płaska niezależnie od tego, co robiliśmy. Nie działało się absolutnie nic.

– Hiperkaliemia? – Ton głosu Huttnera wyrażał nie tyle złość, ile zdziwienie. – W przeszłości nigdy nie miała problemów z potasem.

– Chce pan, bym zatelefonował do pana Thomasa?

– Nie, pozostaw to mnie. I tak tego chciał. – Głos Huttnera odpłynął w dal, po chwili jednak zadudnił z nową mocą. – Możesz jednak skontaktować się z Ahmedem Hadawim, szefem patologów. Powiedz mu, żeby przeprowadził jutro sekcję. Chcę dokładnie wiedzieć, co się stało. Gdyby z jakiegoś powodu Thomas nie wyraził zgody, przekażę to osobiście Hadawiemu. Powiedz mu, że będziemy jutro u niego punkt ósma rano z pisemną zgodą podpisaną przez Petera Thomasa. Dobranoc.

– Dobranoc. – David jeszcze przez jakiś czas siedział ze słuchawką w ręku. Kiedy ją odłożył, mruknął: – Boże drogi...

W dyżurce oprócz niego była tylko sekretarka, która robiła, co mogła, by go nie zauważyć. Nie wstawał z krzesła, zamknął oczy i zaczął masować sobie skronie. Próbował poukładać kłębiące się w nim niemiłe emocje. Poczucie zagubienia? Nic dziwnego. Przygnębienie? Może trochę, w końcu właśnie stracił pacjentkę. Osamotnienie? Cholera, szkoda, że Lauren nie będzie w domu.

Było jednak jeszcze coś. Inne uczucie. Niewyraźne i mało uchwytnie, trudne do określenia, ale było. Musiało minąć kilka minut, zanim David zaczął pojmować, o co chodzi. Za tym, co przeżywał i co się z nim działo, kryła się mgielka bliżej nie określonego strachu. Zastanawiając się nad jego źródłem, wybrał numer Lauren. Odłożył słuchawkę po dziesiątym dzwonku. Choć miał jeszcze kilka spraw do załatwienia w szpitalu, czuł usilną potrzebę wyjścia z budynku. Postanowił zatelefonować do Hadawiego z domu.

Christine stała we wnęce drzwiowej i obserwowała, jak David wychodzi. Nie miała wątpliwości, że to, co zrobiła, było prawidłowe, ale bolało ją rozczarowanie Sheltona.

Kiedy zmiana się kończyła, usprawiedliwiła się, że nie może wziąć udziału w odprawie i poszła do automatu na końcu korytarza. Numer, pod który miała zadzwonić, był inny niż ten, pod który telefonowała poprzedniego dnia. Jezu – dopiero minął jeden dzień? Tym razem w słuchawce odezwała się automatyczna sekretarka i pisnęła na znak, że należy mówić.

– Telefonuje Christine Beall z Boston Doctors Hospital. W imię współczującej opieki medycznej i zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od Stowarzyszenia Sióstr Życia drugiego października pomogłam za pomocą dożylnego zastrzyku siarczanu morfiny zakończyć beznadziejne cierpienia pani Charlotte Thomas. Przedłużaniem niepotrzebnego cierpienia człowieka należy pogardzać i likwidować go zawsze, kiedy to możliwe. Należy za wszelką cenę dbać o godność ludzkiego życia i umierania. Koniec raportu.

Odwiesiła słuchawkę, potem – kierowana niemożliwym do opanowania odruchem – zdjęła ją ponownie i wybrała numer Jerry’ego Crosswaite’a. Kiedy jednak usłyszała jego głos, natychmiast straciła ochotę na rozmowę z nim.

– Halo? Halo... halo?!

Christine delikatnie odwiesiła słuchawkę.

Skryta w mroku na końcu korytarza, Janet Poulos obserwowała, jak Christine wychodzi z pokoju pielęgniarek i idzie do telefonu, by – w co nie wątpiła – złożyć raport w sprawie Charlotte Thomas.

„Wybadaj ją w kwestii Ogrodu – kilka godzin wcześniej powiedziała Dalia. – Uważaj, co mówisz, ale wymacaj ją”.

Janet odparła, że jej zdaniem Beall jest zbyt krótko w Stowarzyszeniu Sióstr, by mogła być gotowa do działania dla Ogrodu, ale Dalia naciskała.

– Pomyśl tylko, co by się stało z tobą, gdybym trzy lata temu uznała, że nie jesteś gotowa. Jeśli dobrze pamiętam, tuż przed moim telefonem zamierzałaś odebrać sobie życie.

Faktycznie była wtedy w stanie, w którym się nie myśli. Kiedy Dalia zadzwoniła, rozsypała przed sobą na łóżku ponad sto tabletek nasennych. Obrzydzenie do samej siebie oraz poczucie całkowitej niemocy pchnęły ją na skraj samobójstwa.

Przez lata jej siłą napędową była nienawiść – do wszystkich lekarzy w ogólności, a do jednego w szczególności. Wstąpiła do Stowarzyszenia Sióstr w celu natarcia nosa lekarzom. Gdyby okazało się to konieczne, aby uzyskać zgodę Rejonowej Komisji Kwalifikacyjnej, była gotowa fałszować dane pacjentów.

Po sześciu latach i dwudziestu kilku „przypadkach”, jakie „rozwiązała”, działanie dla Stowarzyszenia przestało jej jednak wystarczać. Wszystko zmienił jeden telefon. Jakimś sposobem Dalia dowiedziała się o sfalszowanych wynikach badań laboratoryjnych i rentgenach, o nienawiści Janet do lekarzy z powodu ich niezależności, oraz wielu innych osobistych szczegółach jej życia. Wiedziała o wszystkim, ale nie przeszkadzało to jej.

W ciągu roku od wstąpienia do Ogrodu, Janet była powoli wprowadzana. Co kilka tygodni Dalia przekazywała jej nazwisko pacjenta z północnowschodniego skrzydła, który został zakwalifikowany przez Stowarzyszenie Sióstr do eutanazji i Janet organizowała spotkanie z roztrzęsioną rodziną, w trakcie którego oferowała możliwość miłosiernej śmierci za sowitą opłatą. Po dogadaniu się z rodziną, sprawa była załatwiana przez pielęgniarkę należącą do Stowarzyszenia, która zgłosiła pacjenta.

Była to wspaniała, do tego lukratywna rozrywka, ale Ogród miał Orchidei do zaproponowania jeszcze więcej. W Doctors Hospital kwitły także inne kwiaty. Lilia została zwerbowana ze Stowarzyszenia Sióstr osobiście przez Janet i wkrótce obie kobiety otrzymały

nowe zadania, dotyczące – jak określała Dalia – „bezpośredniego kontaktu z pacjentem”. Ich działalność przestała się ograniczać do „przypadków”, którymi zajmowało się Stowarzyszenie, i nie chodziło już o eutanazję, a nowe „przypadki” okazały się pod każdym względem bardziej interesujące. John Chapman i Carl Perry byli jedynie dwoma z wielu.

Kiedy Christine odwiesiła słuchawkę, Janet ruszyła w jej kierunku. Dalia argumentowała, że po zajęciu się tak traumatyzującym przypadkiem jak Charlotte Thomas, Beall może okazać gotowość przyłączenia się do Ogrodu, ale Orchidea miała obiekcje. Uznała, że porozmawia z nią wtedy, kiedy rozwieją się jej wątpliwości. Uważała, że Beall potrzebuje jeszcze kilku lat opieprzania przez lekarzy i parę dodatkowych niewdzięcznych „przypadków” dla Stowarzyszenia Sióstr.

Potem może dorośnie do tego, by się do nich przyłączyć.

Christine dostrzegła Janet i zaczekała.

– Załatwione? – z powagą spytała Janet, a Christine skinęła głową. – Porozmawiamy kilka minut? – Kolejne skiniecie głową. Poszły w milczeniu do sali dla odwiedzających, Christine opadła na kanapę, Janet usiadła obok. – To nigdy nie jest proste. – Janet podwinęła nogę pod pośladki i obserwowała, jak Christine skubie odłupującą się ze stolika do kawy drzazgę.

– Janet, nic mi nie jest. Naprawdę. Wiem, że to, co zrobiłam... co robimy... jest dobre. Wiem, jak bardzo Charlotte tęskniła za końcem. Wątrobę przeżarł rak, a doktor Huttner podłączał ją do tych wszystkich rurek. Tak należało zrobić. – Głos miała napięty, ale panowała nad nim.

– Nie zamierzam się spierać, mała – powiedziała Janet, wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Christine, która odwzajemniła uścisk. – Chodzi tylko o to, jak straszne jest, że jedynie my musimy brać na swe barki tak wielką odpowiedzialność.

Christine skinęła głową i smętnie wzruszyła ramionami.

Może Dalia miała jednak rację. Janet zdecydowała się pójść krok dalej.

– Tyle odpowiedzialności i co z tego mamy? Nic.

Christine gwałtownie się do niej odwróciła. Jej oczy rzucały gromy.

– Janet! Co to ma znaczyć: „Nic”?!

Należało się wycofać. Po raz pierwszy w życiu Dalia dokonała błędnej oceny. Naiwny, idealistyczny ogień jeszcze nie zgasł w Beall.

– Chcę powiedzieć, że po tylu latach, w czasie których setki, może nawet tysiące osób działało dla Stowarzyszenia, nie zmieniło się nic w podejściu lekarzy.

– Aha...

– I zanim się nie zmieni, musimy działać dalej. Zgadza się?

– Zgadza się.

– Wiesz co, Christine? Chyba powinniśmy niedługo wybrać się razem na kolację. Wiele nas łączy, ale trudno tutaj rozmawiać o interesujących nas problemach. Sprawdź, jaki masz rozkład dyżurów, ja sprawdzę swój i umówimy się w ciągu najbliższych kilku dni. Zgoda?

– Jasne. Aha... dziękuję za troskę. Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam. To był straszny dzień.

Janet ciepło się uśmiechnęła.

– Jeśliby nie można naskoczyć na swą Siostrę, to na kogo? Mam rację?

– Chyba tak.

Janet wstała.

– Muszę zająć się Charlotte, podobno ma przyjść jej mąż. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, dzwoń do mnie do domu. O dowolnej porze. – Machnęła ręką i odeszła. Przynajmniej spróbowała, więc Dalia powinna być zadowolona. Beall po prostu jeszcze nie była gotowa. Jaka szkoda...

Christine wróciła na sam koniec odprawy. Była cała rozdygotana i miała po dziurki w nosie zarówno pielęgniarstwa, jak i Boston Doctors Hospital. Stała pod ścianą i czekała, aż omówiono ostatniego pacjenta, po czym wyszła pierwsza. Na korytarzu ujrzała czekających przy windzie Janet i sanitariusza – stali po obu stronach łóżka na kółkach, na którym leżało przykryte prześcieradłem ciało Charlotte Thomas.

Zamarła na widok tej sceny i przyglądała się, jak wstawiają łóżko do windy. Udało jej się wykonać krok dopiero wtedy, kiedy zamknięto drzwi i winda ruszyła.

Rozdział dziesiąty

Według złotych zasad medycznych Foksa patolog to: „Specjalista, który dowiaduje się wszystkiego dzięki krajaniu na kawałki dopóty, dopóki nie uda mu się stworzyć z tego całości, a z każdego kamienia – żółciowego albo nerkowego – robi milowy”.

Jak zwykle przypomnienie sobie którejs z nieśmiertelnych maksym Geralda Foksa sprawiało, że na ustach Davida pojawiał się uśmiech. I to mimo niemiłej konieczności obserwowania sekcji Charlotte Thomas.

Spóźnił się dziesięć minut, ale wiadomo było, że nie straci niczego poza przygotowaniem ciała i może pierwszym cięciem. Choć poglądy Foksa zazwyczaj były trafne, David nigdy nie uważał, by cyniczna maksyma o patologach odzwierciedlała stan faktyczny. Przypomnił sobie swój pierwszy kontakt z medycyną sądową – wykład wygłoszony przez koronera hrabstwa i następnie obserwowanie przez studentów drugiego roku pierwszej w życiu sekcji.

„Panie i panowie – zaczął stary patolog – zadaniem medycyny sądowej jest ustalenie przyczyny śmierci na żądanie kolegów lekarzy i prawników. Prawda jest taka, że nikt poza Bogiem nie wie, dlaczego człowiek umiera. Nikt tego nie wie, więc tak naprawdę ustalamy jedynie stan każdego narządu w chwili śmierci pacjenta. Na tej podstawie możemy ze sporą dozą pewności wydedukować przyczyny zaprzestania pracy serca, mózgu czy układu oddechowego, a są to jedyne prawdziwe przyczyny zgonu. Podam przykład. Jeżeli ktoś zginie od kuli, która przebiła serce, możemy niemal ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrzymania pracy serca spowodowanej penetracją mięśnia sercowego. Co jednak może się zdarzyć w wypadku pacjenta z taką chorobą jak nowotwór? Bywa, że znajdziemy komórki rakowe w wątrobie, mózgu, płucach oraz innych narządach i wtedy – w pewnym sensie – wolno nam stwierdzić, że przyczyną zgonu był nowotwór, ale określenie bezpośredniej przyczyny śmierci jest niemal niemożliwe. Serce mogło zatrzymać się, ponieważ zostało zatrute nieznaną substancją, wydzielaną przez komórki nowotworowe. A może to niedostateczna objętość płynów w organizmie, spowodowana czymś zupełnie innym niż rak, doprowadziła do takiego osłabienia układu krążenia, że serce nie mogło dalej pracować i stanęło? Musicie zawsze o tym pamiętać, kiedy jako przyczynę zgonu podaje się „nowotwór”, „rozedmę płuc” czy „stwardnienie tętnic”. Może te zjawiska doprowadziły do śmierci, ale jeśli chodzi o bezpośrednią jej przyczynę – ta, moi przyjaciele, w większości wypadków pozostaje tajemnicą”.

Bezpośrednia przyczyna śmierci pozostaje w większości wypadków tajemnicą...

David z niezdecydowaniem zatrzymał się na kilka sekund przed podwójnymi drzwiami o szybach z matowanego szkła, na których złotymi literami napisano: PROSEKTORIUM. Bezsenna noc i będący jednym wielkim chaosem poranek spowodowały, że był napięty i niespokojny. Perspektywa oglądania sekcji Charlotte jedynie nasilała te uczucia.

Huttner już czekał. Cape Cod leżał niecałe sto dwadzieścia kilometrów od miasta, więc bez problemu mógł przyjechać z samego rana. Innym zagadnieniem było oczywiście to, czy zdecyduje się wrócić na konferencję. David założył się sam z sobą, o dawno już konieczną i napawającą go lękiem wizytę u dentysty, że Huttner postanowi zostać w Bostonie i z powrotem przejąć nadzór nad swymi pacjentami. Chwilę się zastanawiał, czy nie zmienić warunków zakładu, by w razie utraty dwóch ostatnich dni zastępowania Huttnera nie być zmuszonym do poddania się znieczuleniu i borowaniu, ale w końcu uznał, że jeśli przegra zakład, wizyta u dentysty będzie najmniejszym nieszczęściem.

Kiedy wszedł na oddział, od razu poczuł odór formaliny. Pomieszczenie, w którym się znalazł, było wielkie, długie na jakieś dwadzieścia pięć metrów. Wysoki sufit i jaskrawe jarzeniowe światło częściowo ukrywały fakt, że nie było okien. Na podłodze pokrytej linoleum w kolorze kości słoniowej stało w równomiernych odstępach siedem stalowych stołów sekcyjnych – każdy miał przewód doprowadzający wodę i był skanalizowany. Poza węzłem, służącym do mycia narządów w trakcie sekcji i stołu po skończonym badaniu, każde stanowisko miało umywalkę, tablicę do pisania i wagę. Jedynym elementem pozwalającym odróżnić kolejne stanowiska były wielkie czerwone cyfry od jeden do siedmiu, wpuszczone niczym intarsja w linoleum obok każdego stołu. Wyjątek stanowił stół numer cztery.

Po obu jego stronach znajdowało się po sześć rzędów amfiteatralnie umieszczonych ławek, które od czasu do czasu zapępniały się studentami o różnym stopniu przerażenia albo fascynacji. Niekiedy w ławkach zasiadali stażyści przygotowujący się do specjalizacji z patologii albo chirurgii, wyciągający szyje, by obserwować kunszt doświadczonego patologa. Stół numer cztery był główną areną prosektorium Doctors Hospital.

Trzeciego października o godzinie ósmej piętnaście pracowano na stanowiskach pierwszym, czwartym i szóstym, a na stole na stanowisku drugim leżało ciało owinięte w prześcieradło. Wallace Huttner stał przy stole numer cztery, na ławkach siedzieli: stażysta, który przywiózł i ułożył ciało na stole numer dwa, oraz trzech studenci. Kiedy David wszedł, pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę, była blada jak kreda twarz Charlotte Thomas i jej otwarte usta. Zagryzł dolną wargę, przełknął podchodzącą do gardła żółć i uznał, że najlepiej będzie skoncentrować się na reszcie jej ciała. Radził sobie dość dobrze z oglądaniem sekcji, jeśli udawało mu się podchodzić do nich jako do badania poszczególnych narządów, ale im bardziej pozwalał sobie na dostrzeżenie człowieka w krojonym ciele, tym nieprzyjemniejsza stawała się cała procedura.

Ahmed Hadawi, żwawy, nieduży śniady mężczyzna o nieproporcjonalnie wielkich dłoniach, zrobił już pierwsze cięcie i wsadził rękę po łokieć do jamy brzusznej, by oddzielić znajdujące się w niej i klatce piersiowej narządy od więzadeł, mocujących je do szyi i ścian tułowia. Cicho pomlaskiwał, poza tym sprawiał wrażenie całkowicie obojętnego. Od czasu do czasu pochylał się i coś mówił do mikrofonu uruchamianego nożnym pedałem dyktafonu.

Huttner lodowato odskłonił się Davidowi. Jego postawa nie miała nic z rozluźnionego, zainteresowanego losem pacjenta, niemal ojcowskiego lekarza, jakim się wydawał półtorej doby temu w pokoju lekarskim. Po kiwnięciu głową skoncentrował uwagę na sekcji, starannie unikając kontaktu wzrokowego ze swym „zastępcą”. David przyglądał się Huttnerowi

bezradnie krzyżującemu ręce na piersi, po chwili jednak – jak często bywało w trudnych sytuacjach – górę wzięło makabryczne poczucie humoru. Pomyślał, że jeśli Huttner jeszcze mocniej zacisnie ramiona, rozpadnie się na kawałki, dzięki czemu będzie mógł się w dalszym ciągu zajmować jego pacjentami, aż ktoś poskleja starego.

Znów popatrzył na twarz Charlotte.

Uspokój się, Shelton! – skarcił się w myśli. To wcale nie jest śmieszne! Przestań! To upomnienie wystarczyło. Kilka razy przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, a potem usiadł i skoncentrował się na tym, co robi patolog.

– No, to jesteśmy gotowi popatrzeć na kilka rzeczy – powiedział Hadawi. Stażysta zszedł z ławek i zbliżył się do stołu, by lepiej widzieć, a Huttner zacisnął mocniej ramiona wokół klatki piersiowej. Patolog zaczął określać stan kolejnych narządów Charlotte w chwili śmierci. – Serce nieco powiększone, ze zgrubieniem mięśnia i powiększeniem komór oraz przedsionków. W lewej komorze widoczna mała, świeża rana kluta, powstała moim zdaniem w wyniku godnego pochwały wklucia, wykonanego przez doktora Sheltona.

David uznał, że może się lekko uśmiechnąć i skinąć głową, stwierdził jednak, że nikt na niego nie patrzy. Mimo to uśmiechnął się i skinął głową. Patolog kontynuował omawianie:

– Widoczne zwężenie wszystkich naczyń wieńcowych w stopniu znacznym, choć nie widać śladów niedawnych uszkodzeń, mogących być wynikiem na przykład zawału serca.

A więc Margaret Armstrong doskonale zinterpretowała elektrokardiogram.

– Pamiętajmy jednak, że ślady ostrego zawału... powiedzmy przebytego nie wcześniej niż dwadzieścia godzin temu... często może ujawnić jedynie badanie mikroskopowe mięśnia sercowego, oczywiście jeśli uda się uzyskać do obserwacji odpowiedni wycinek.

– Chcę, by mnie zawiadomiono o wynikach natychmiast po zbadaniu wycinków – powiedział Huttner, zdaniem Davida po to, aby zwrócić na siebie uwagę.

Hadawi popatrzył na niego bez wyrazu i zajął się płucami, czym zasłużył sobie na uznanie Davida. W obu płucach niemal połowa tkanki była nacieczona gęstym płynem powstałym w wyniku infekcji. Wyglądało na to, że nawet nie mając innych problemów zdrowotnych, Charlotte mogła nie przeżyć tak rozległego zapalenia płuc.

Sekcja okazała się ciekawa głównie z powodu tego, czego nie wykazała. Zastrzegając się, że ostateczną opinię będzie można wyrazić dopiero po mikroskopowym zbadaniu brzusznych węzłów chłonnych, Hadawi oznajmił, że nie jest w stanie stwierdzić śladów rakowatej tkanki. Torbiele wątroby, które zostały błędnie zinterpretowane przez radiologa Rybickiego, były rozrzucone po całym narządzie; podobne niewielkie jamki wypełnione płynem znajdowały się w nerkach.

– Wielotorbielowatość miąższu wątroby i nerek – powiedział Hadawi do dyktafonu.

Zrobił jeszcze kilka drobiazgów i cofnął się od stołu.

– Pozostało kilka rzeczy do wykonania, ale nie będą miały wpływu na diagnozę. Wally, praktycznie biorąc, skończyliśmy. Najważniejsze moim zdaniem jest to, że odleżyna rozwinęła się pod skórą do tego stopnia, iż wątpię, by pomogły nawet rozległe przeszczepy skóry. Rozwinęło się zapalenie kości krzyżowej i byłoby nie do opanowania. Miała na tyle posunięte stwardnienie naczyń wieńcowych, że moim zdaniem dobiło ją serce. W raporcie zamierzam

jako przyczynę zgonu podać niewydolność krążenia, powstałą w wyniku infekcji płuc i odleżyn. Bez wątplenia dodatkowym obciążeniem organizmu była częściowa niedrożność jelita cienkiego, efekt, jak widziałeś, przebytego zabiegu.

– Doktorze Hadawi, doktorze Huttner, gdyby panowie mogli podejść, mam kilka pytań – powiedział David. Nie wyobrażał sobie dyskusji o Charlotte nad pociętym ciałem. Hadawi zareagował krótkim, pełnym zrozumienia uśmiechem i usiadł na jednej z ławek, Huttner – który w dalszym ciągu obejmował się ramionami – z ociąganiem zrobił to samo. David zinterpretował jego minę jako wyraz uczuć, które plasują się między niesmakiem a wściekłością. Nic w postaci oraz mimice Huttnera nie wyrażało rozczarowania ani współczucia. Pomijając wszystko inne, Charlotte Thomas pozostawała w szpitalu jako jego pacjentka, operowano ją i zmarła, co w statystyce czyniło z niej „zgon pooperacyjny”.

Zarówno jej operacja, jak i liczne komplikacje, które się pojawiły, będą dogłębnie omawiane w trakcie posiedzenia Komisji do Spraw Zgonów na Oddziale Chirurgicznym i Huttnerowi na pewno się to nie uśmiechało. Znacznie bardziej zależało mu na zadaniu kilku pytań niż odpowiadaniu na nie.

– Słuchamy, David – zaczął Hadawi. – Cóż cię dręczy po tym, co obejrzelismy?

– Mój zasadniczy niepokój dotyczy serca, które w trakcie reanimacji nie reagowało na żadne moje działanie. Być może stało się tak dlatego, że między zatrzymaniem pracy serca a rozpoczęciem reanimacji minęło zbyt wiele czasu, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Zadaję sobie pytanie, czy możliwy był taki wzrost poziomu potasu, który wyzwolił niemierną pracę serca, co w efekcie spowodowało zgon.

– Zawsze istnieje taka ewentualność – cierpliwie odparł Hadawi. – Pobrałem kilka próbek krwi i z przyjemnością zbadam poziom potasu. Musisz jednak pamiętać, że dokładność tego badania wykonanego pośmiertnie... szczególnie u kogoś, komu przez dłuższy czas uciskano mięsień sercowy... jest nikła.

Wreszcie odezwał się Huttner. Było jasne, że nie podda się bez walki.

– Posłuchaj, Ahmed – powiedział, machając na patologa dwoma palcami, co jednak zdawało się nie wywierać na Hadawim żadnego wrażenia – nie zadowala mnie to. Doktor Shelton ma rację. Ponieważ badanie ogólne nie wykazało żadnej przyczyny nagłej śmierci, zanim napiszemy coś tak nic nie mówiącego jak „zapaść naczyniowo-sercowa”, powinniśmy przeprowadzić dogłębne badanie. Może któraś z pielęgniarek pomyliła się w lekach i spowodowała reakcję anafilaktyczną? Zmarła miała przecież alergię na penicylinę.

Hadawi najwyraźniej przywykł do radzenia sobie z ego Huttnera. Wzruszył ramionami i stwierdził:

– Jeśli sobie życzysz, z przyjemnością każę zbadać poziom penicyliny we krwi. Chciałbyś jeszcze czegoś?

Huttner chwycił okazję pozwalającą na uniknięcie omawiania sprawy na forum Komisji do Spraw Zgonów na Oddziale Chirurgicznym i postępował jak tonący marynarz, który chwyta się przepływającej obok kłody.

– Uważam, że należy zrobić jeszcze kilka rzeczy. – Powiedział to profesorskim tonem, kilka razy odpowiednio zawieszając głos. Zdawał się wręcz pławić we własnych słowach. –

Uważam, że należy przeprowadzić pełen skrining chemiczny. Ustalić poziom antybiotyków, elektrolitów, toksyn.

– Nie określając, czego się szuka, będzie to dość drogie – stwierdził Hadawi łagodnie, jakby wiedział, że nawet po tak delikatnym proteście dostanie burę.

– Mam gdzieś pieniądze, człowieku! – wykrzyknął Huttner, a jego palce jeszcze zwiększyły tempo machania. – Mówimy o ludzkim życiu! Weź się za badania i dostarcz mi wyniki.

– Jak sobie życzysz, Wally.

Huttner skinął z zadowoleniem głową i ruszył do wyjścia. Mijając Davida pstryknął palcami i oznajmił:

– Och, niemal zapomniałem, David. Konferencja nie okazała się zbyt interesująca i postanowiłem nie wracać. Dziękuję za wczorajszą pomoc. Pierwszego stycznia jest symposium, w którym będę chyba chciał wziąć udział, może uda nam się wtedy dogadać co do twego zastępstwa.

Jego słowa były tak samo przekonujące jak słowa Don Juana, mówiącego do kolejnej kochanki: „Oczywiście, że będę cię rano szanować”.

Rozdział jedenasty

Przy wyborze szpitala – podobnie jak we wszystkich innych sprawach – senator Richard Cormier podjął decyzję na podstawie swojej osobistej opinii. Choć większość waszyngtońskich polityków uważała, że tacy jak oni powinni się leczyć w Bethesda Naval, albo w Walter Reed Hospital, Cormiera nie interesowały obiekcje sekretarzy i doradców i uparł się, by operował go doktor Louis Ketchem z Boston Doctors.

– Zawsze należy ufać ludziom podobnym do siebie – stwierdził. – Louie to stary rep wojenny, podobnie jak ja. Albo on będzie ciął, albo nic z tego.

Ściany pokoju Cormiera były po sufit zawieszane pocztówkami, w kącie stało kilka kartonów z kilkuset dalszymi życzeniami powrotu do zdrowia. Poza senatorem i pielęgniarką w sali była sekretarka i dwaj urzędnicy, dzięki czemu panowała atmosfera niemal tak chaotyczna jak w jego waszyngtońskim biurze.

– Panie senatorze, chcę przystąpić do premedykacji, wszyscy muszą wyjść. – Pielęgniarka, wielka matrona o nazwisku Fuller, roztaczała wokół siebie dość autorytetu, by senator zastosował się do żądania.

Cormier przecesał palcami gęste siwe włosy i zmrużył oczy.

– Dziesięć minut – powiedział.

– Dwie – odparła niewzruszona.

– Pięć. – Możliwość potargowania się natychmiast spowodowała, że się ożywił.

– Dobrze, pięć – odparła. – Ale ani sekundy dłużej, bo zrobię zastrzyk kwadratową igłą. – Wyszła z pokoju, odwracając się w drzwiach, ze spojrzeniem mającym dać do zrozumienia, że nie żartuje. Senator pomachał jej.

– Beth, czas się pakować – zwrócił się do sekretarki. – Dopilnuj, by każdy, kto przysłał kartkę z adresem zwrotnym, dostał podziękowania. Wczoraj podpisałem ich z tysiąc, a gdyby miały się skończyć, wydrukuj, ile trzeba, to podpiszę po operacji. Gary, zadzwoń do Lionela Herberta i każ mu pojutrze przylecieć. Niech będzie przygotowany na kilka ustępstw w pakiecie energetycznym albo wróci do deski kreślarskiej i będzie z powrotem robił dla swojego szefa i nafciarzy, z którymi się tak przyjaźni. Bobby, połącz się z moją bratanicą i powiedz, że czuję się dobrze, ma się nie martwić i przede wszystkim nie złościć z tego powodu, że nie mogła tu przysłać dzieciaków. Zatelefonuję do niej. Aha... i jeszcze jedno. Masz nazwiska wszystkich ludzi, którzy przysłali kwiaty? Myślisz, że ktoś poczuje się obrażony, jeśli poproszę, by następnym razem przysłali słodczyce? Pokój wygląda jak dom pogrzebowy, a śmierdzi w nim niczym w burdelu.

Bobby Crisp, młody prawnik, ostry i zapalony do pracy, obdarzył szefa uśmiechem.

– Chyba zaczyna mi pan bardziej ufać, senatorze. Mówi pan to czwarty raz, a kiedy zacząłem dla pana pracować, powtarzał pan polecenia siedmiokrotnie. Będę miał listę, kiedy

tylko będzie pan w stanie pisać, czyli, o ile pana znam, pół godziny po obudzeniu się z narkozy. A poza tym, to zna pan jakąś Kamelię?

– Kogo?

– Kamelię. Widzi pan te białoróżowe kwiaty na stole?

Przyniesiono je rano z karteczką: „Dziękuję za wszystko. Kamelia”.

– Panowie... – wtrąciła Beth. – Te białoróżowe kwiaty, jak je nazywacie, to kamelię. Pokaż notatkę. – Przeczytała kartkę i wzruszyła ramionami. – Faktycznie, nic więcej nie ma.

– Dzięki za pomoc – stwierdził Crisp. – Przez całe studia miałem kiepskie stopnie z czytania.

– Uspokójcie się obydwójce – przerwał im Cormier. – Kamelia to na tyle niecodzienne imię, że powinienem był zapamiętać. Kamelię od Kamelii, tak? – Zamilkł, starając się skojarzyć osobę z imieniem, pokręcił jednak tylko głową. – Cóż, sądzę, że drobne luki pamięciowe to niewielka cena za zamieszanie, jakie mogę wywołać na Kapitolu resztką starczego umysłu. Kimkolwiek jest, będzie się musiała obejść bez podziękowania.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się pani Fuller.

– Powiedziałaś pięć minut, a minęło znacznie więcej. Przysięgam, senatorze, jest pan najbardziej upartym i marudnym pacjentem, jakiego miałam w życiu.

– Dobrze, dobrze, już skończyliśmy – uspokoił ją Cormier, machając ręką, by pozostała trójka sobie poszła. – Pani Fuller, jeśli pani wkrótce nie złagodnieje, będzie musiała pani przejść z eleganckich jachtów na statki wojenne. – Uśmiechnął się i dodał: – Mimo to pozostanie pani moją ulubioną pielęgniarką. No, proszę igielkę.

Pielęgniarka posmarowała spirytusem miejsce na lewym pośladku senatora i zrobiła zastrzyk. Piętnaście minut później poczuł suchość w ustach, a całe jego ciało ogarnęła ciepła obojętność. Kiedy wieziono go na salę operacyjną, lampy na korytarzu migwały jak promień z latarni morskiej.

Louis Ketchem był wysokim, przygarbionym weteranem medycyny o ponad dwudziestopięcioletnim stażu chirurgicznym.

Przeprowadził kilkaset operacji pęcherzyka żółciowego, a żadna nie przebiegała sprawniej niż u senatora Richarda Cormiera. Usunięcie wypełnionego kamieniami pęcherzyka w stanie zapalnym odbyło się bez incydentów. Ponieważ doszło do krwawienia z sąsiadującej wątroby, co zdarza się przy tego rodzaju zabiegu, Ketchem, jak setki razy przedtem, kazał w trakcie ostatniej półgodziny podawać krew.

Anestezjolog John Singleberry wziął torebkę z krwią od pielęgniarki, młodej kobiety o nazwisku Jacqueline Miller. Przed podłączeniem torebki do wlewu dożylnego dwa razy sprawdził jej numer. Aby przyspieszyć przetaczanie krwi, owinał torebkę specjalnym mankietem i napompował go. Znajdujący się w pełnej narkozie Cormier, zaopatrywany w tlen przez respirator, spał snem, w którym nie ma marzeń, nie zdając sobie sprawy ze sphywającego ku jego przedramieniu purpurowego strumienia.

Kiedy krew wpłynęła pod zieloną papierową osłonę, Jacqueline Miller odwróciła się. Środkiem, który kazano jej wstrzyknąć do torebki z krwią, była strofantyna G, glikozyd

nasercowy, działający silnie i nie kumulujący się w ustroju. Środek ten jest tak szybko wydalany z krwiobiegu i tak trudno wykrywalny drogą analizy chemicznej, że nawet tak duża dawka, jaką miała wstrzyknąć, była praktycznie nie do wykrycia. Strofantynie wystarczyły trzy minuty.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, śledzący akcję serca monitor nagle oszalał. John Singleberry popatrzył na migające na ekranie światełko i przez kilka sekund nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Jasna cholera, Louis! – wrzasnął. – Dostał migotania!

Ketchem, któremu od lat nie przydarzyło się na sali operacyjnej zatrzymanie pracy serca, zamarł sparaliżowany, nie zdążywszy nawet wyjąć dłoni z jamy brzusznej senatora. Kiedy w końcu się odezwał, wydał błędne polecenia. Pielęgniarki – w tym Jacqueline Miller – przez kilka minut nie robiły nic konkretnego. Do otwartego brzucha wsadzono dwie sterylne chusty i wykonano dwa bezskuteczne uderzenia prądem elektrycznym. Po kilku sekundach linia elektrokardiogramu zrobiła się płaska.

Ketchem chwycił skalpel, powiększył cięcie, naciął od spodu przeponę i przystąpił do bezpośredniego masażu serca. Podbiegła do niego pielęgniarka, ale wszyscy na sali już wiedzieli, że to daremny trud. Ketchem jeszcze pouciskał, przerwał na sekundę, popatrzył na monitor. W dalszym ciągu linia była płaska. Znow zaczął uciskać.

Kontynuował masaż serca przez dwadzieścia minut, nic nie osiągając. Kiedy przestał, nikt nie był w stanie się poruszyć. Ketchem zagryzł dolną wargę i popatrzył znad maski na ciało przyjaciela. Podeszły dwie pielęgniarki, ujęły go pod ręce i delikatnie odciągnęły od stołu operacyjnego. Pomogły mu dojść do pokoju lekarskiego.

Idąca z lewej strony Jacqueline Miller zamknęła oczy z obawy, że ktoś mógłby dostrzec ich wyraz. Największa przygoda jej życia skończyła się triumfalnie. Oczywiście Dalia powiedziała, co robić i mówić, ale to ona wcisnęła tłoczek strzykawki. To ona, mała Jackie Miller, zrobiła, co chciała z jednym z najpotężniejszych, najbogatszych magnatów naftowych świata.

Ironia sytuacji powodowała, że czuła na całym ciele mrowienie. Przeszła daleką drogę od dzieciństwa spędzonego w rozpadającej się czynszówce do tajnego spotkania w Oklahomie z prezesem Beecher Oil. Ciekawe, co by powiedział pan Jed Beecher, gdyby wiedział, że wydająca mu instrukcje kobieta, która wzięła od niego dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i kierowała każdym jego krokiem, odbyła właśnie pierwszy w życiu lot samolotem?

Jacqueline w milczeniu podziękowała losowi, który postawił na jej drodze Dalię i Ogród. W dalszym ciągu mało wiedziała zarówno o niej, jak i organizacji, ale na razie jej to nie przeszkadzało.

Dopóki będzie odczuwać podniecie związaną z comiesięcznymi wypłatami, zawsze zrobi to, co jej każą, a oczy i uszy będzie mieć otwarte, aby trafić na pacjentów, którzy mogą zainteresować Ogród. Jeśli chodzi o Stowarzyszenie Sióstr Życia, będzie musiało sobie radzić bez niej. Koniec z darmową robotą.

Meksyk, Jamajka, Grecja, Paryż. Wyliczała w pamięci miejsca, które zobaczy. Jeszcze jedna taka akcja i będzie mogła je wszystkie odwiedzić. Perspektywy były oszalamiające.

Leżący za jej plecami senator Richard Cormier, przykryty po szyję prześcieradłem, wyglądał, jakby właśnie przeszedł operację z jak najlepszym skutkiem, ale jego pozbawiony marzeń sen będzie trwał wiecznie...

Rozdział dwunasty

– Panie i panowie, jeśli będziecie łaskawi usiąść, zaczniemy i może uda się ograniczyć to spotkanie do rozsądnego czasu.

Podobnie jak starzejąca się gwiazda filmowa, Amfiteatr imienia Morrisa Tweedy’ego w Boston Doctors Hospital zniósł nieuchronny upływ lat z gracją i w świetnym stylu. Choć przytulna, zwieńczona kopułą sala wykładowa była tu i ówdzie mocno nadgryziona zębem czasu, trzymała się dumnie w trzykrotnie odnawianym, zachodnim skrzydle. Był w przeszłości taki okres, kiedy na siedemdziesięciu pięciu krzesłach, ustawionych stromo wznoszącymi się rzędami, mieścił się cały personel Boston Doctors Hospital – lekarze, pielęgniarki i studenci. W 1929 roku, po niemal pięćdziesięciu latach „służby”, aula przestała pełnić swoją dotychczasową funkcję, gdyż w południowowschodnim skrzydle zbudowano znacznie większy amfiteatr przeznaczony na główne pomieszczenie wykładowe i demonstracyjne.

Wielogodzinne zażarte dyskusje, w trakcie których wysuwano liczne argumenty za wyburzeniem wysłużonej auli, a także przeciwko wyburzeniu, skończyły się jak nożem uciął w 1952 roku, kiedy kongres stanowy uznał Amfiteatr imienia Morrisa Tweedy’ego za zabytek. W ten sposób świetliki z szybami zdobionymi kwasorytami, twarde drewniane siedzenia i płaskorzeźby przedstawiające ważne wydarzenia w historii medycyny zostały zachowane dla nowych pokoleń gorliwych adeptów.

W całej stuletniej służbie Amfiteatr imienia Morrisa Tweedy’ego nie był jednak miejscem takiego zebrania, na jakie wezwano obecnie pięćdziesiątkę kobiet i mężczyzn, falującą już w nerwowym oczekiwaniu. Była sobota, ósma wieczór piątego października – dwa dni po sekcji Charlotte Thomas.

Na środku za masywnym dębowym stołem, z widokiem na rzędy krzeseł, siedziała doktor Margaret Armstrong, odpowiedzialna za sprawy lecznictwa w Boston Doctors Hospital. Obok, próbując zaprowadzić na sali nieco porządku, stał porucznik detektyw John Dockerty – chudy mężczyzna pod pięćdziesiątkę, w wymiętym gabardynowym garniturze, w którym wyglądał, jakby był na niego przynajmniej o dwa numery za duży. Rozejrzał się zmęczonymi oczami po sali, potem popatrzył w dół, by zatrzymać wzrok na leżących przed nim dokumentach. Kiedy pochylił głowę, na czoło opadł mu kosmyk przerzedzających się, rudawych włosów. Odruchowo odgarnął je, po chwili musiał jednak powtórzyć tę czynność.

Jego powolność i wygląd osoby będącej myślami gdzieś daleko, zdawały się świadczyć o tym, że niewiele jest na tym świecie rzeczy, których jeszcze nie widział. Prawda była taka, że od piętnastu lat pracy w policji bostońskiej starannie pielęgnował ten styl bycia i uczył się, jak go najlepiej wykorzystać.

Znów rozejrzał się po auli, potem zwrócił się do Margaret Armstrong, nie patrząc na nią.

– Ci ludzie najwyraźniej są znacznie bardziej przyzwyczajeni do wydawania poleceń niż do ich słuchania.

Doktor Armstrong roześmiała się, po czym kilka razy walnęła w stół notesem.

– Mogę prosić o zajęcie miejsc?! – zawołała. – Jeśli nie umiemy w niczym pomóc porucznikowi Dockerty’emu, przynajmniej pokażmy mu, że umiemy się zachować. – Nie minęła minuta, jak wszyscy siedzieli.

Niedaleko wejścia – otoczony asystentami – siedział dyrektor administracyjny szpitala. Był to udający dandysa brzuchaty człowieczek. Jeszcze jako siedemnastolatek zwał z domu i zmienił nazwisko z Isaac Lifshitz na Edward Lipton III. Zachowywał swe stanowisko od lat, napuszczając swych przeciwników na siebie, a robił to w tak sprawny sposób, że żaden nie uzyskiwał tak dużego poparcia, żeby mieć szansę skutecznego wystąpienia o usunięcie go.

Z drugiej strony auli zebrał się zarząd szpitala. Należący do niego mężczyźni byli bardzo do siebie podobni (sprawiali wrażenie rzymskich patrycjuszów) i znacznie bardziej od wpływu, jaki mogli wyrzucić na działalność Boston Doctors Hospital, interesowało ich to, w jakim stopniu przynależność do zarządu może poprawić ich notowania na liście najznakomitszych obywateli miasta. Symboliczny Murzyn w zarządzie różnił się od reszty osób jedynie kolorem skóry, a cztery kobiety wręcz trudno było zauważyć. Dochodzenie było pierwszą od lat sytuacją, w której zebrał się w jednym miejscu i czasie wszyscy członkowie zarządu – dwadzieścia cztery osoby.

W środkowej części amfiteatru siedzieli Wallace Huttner, Ahmed Hadawi i pozostali członkowie Komitetu Wykonawczego Personelu Medycznego. Po prawej stronie Huttnera usiadł Peter Thomas.

W głębi sali dominowały pielęgniarki. Przyszło ich osiem, wszystkie w „cywilnych” strojach, i otaczały niczym rozeta Doty Dalrymple, ubraną w prostą czarną sukienkę. Była Janet Poulos, Christine Beall, Winnie Edgerly i jeszcze kilka pielęgniarek z poziomu Południe Cztery, wśród nich Angela Martin.

Z prawej strony, kilka rzędów za Edwardem Liptonem III, zajął miejsce David.

Niemal do rozpoczęcia obrad siedział sam, dopiero w ostatniej chwili zszedł do niego i usiadł obok Howard Kim, anestezjolog, który pomagał mu prowadzić nieskuteczną reanimację Charlotte Thomas.

Listę osób zaproszonych na spotkanie ustalił detektyw Dockerty, a doktor Armstrong zajęła się ich ściąganiem.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – zaczął Dockerty. – Proszę mi wierzyć, że tego typu dochodzenia zdarzają się znacznie częściej w takich serialach jak Colombo i w powieściach Agaty Christie niż w rzeczywistości. Chciałbym jak najszybciej wyjaśnić wszelkie wątpliwości związane ze zgonem Charlotte Thomas, sprawy, która w ten czy inny sposób dotyczy wszystkich zebranych. Że tak powiem, teatralne wystąpienia nigdy nie były moją mocną stroną, ale uznałem, iż spotkanie takie jak to może okazać się najskuteczniejszym źródłem wstępnych ustaleń oraz informacji, na które czekają wszyscy zainteresowani. W najbliższych dniach część z państwa zostanie zaproszona na indywidualne przesłuchanie. – Popatrzył na Margaret Armstrong, która kiwnęła z aprobatą głową. Po kolejnym odgarnięciu włosów z czoła,

Dockerty wywołał Ahmeda Hadawiego i wskazał mu krzesło naprzeciwko „prezydialnego” stołu, skąd patolog mógł patrzeć na niego, nie odwracając się plecami do audytorium.

– Doktorze Hadawi, czy mógłby pan zrekapitulować swój udział w sprawie dotyczącej Charlotte Thomas?

Hadawi rozłożył przed sobą notatki i zaczął mówić:

– Trzeciego października przeprowadziłem sekcję kobiety, o której mówimy. Badanie ogólne wykazało głębokie odłężyny na kości krzyżowej, średniego stopnia zwężenie tętnic wieńcowych oraz rozległe zapalenie płuc. Początkowo sądziłem, że pacjentka zmarła z powodu nagłego zatrzymania pracy serca, spowodowanego procesami zapalnymi oraz ogólnym złym stanem zdrowia po dwóch przebytych operacjach.

– Czy podtrzymuje pan tę opinię?

– Nie. Lekarze, którzy zajmowali się panią Thomas – doktor Huttner i doktor Shelton – byli obecni na sekcji i zażądali przeprowadzenia szczegółowej analizy krwi denatki.

– Proszę mi coś wyjaśnić, doktorze – powiedział Dockerty. – Nie prowadzi się takiej analizy rutynowo u każdego... hm... pacjenta?

Hadawi uśmiechnął się sardonicznie i splótł leżące na stole dłonie.

– Chciałbym, by to było możliwe, niestety koszt sekcji ponosi kasa chorych, a nie jest on niski, jeśli chce się wykonać skomplikowane barwienie tkanek, analizy fizykochemiczne i tak dalej. My, patolodzy, niechętnie pomijamy jakiegokolwiek badanie, ale musimy hamować nasz zapał, by się zmieścić w przyznanym budżecie. – Przerwał na chwilę i rzucił wrogie spojrzenie Edwardowi Liptonowi III.

– Proszę kontynuować – stwierdził Dockerty, zapisując kilka słów w leżącym przed nim notesie.

Hadawi zajrzał w notatki.

– Jeśli chodzi o analizy chemiczne, to dwa testy dały wyniki przekraczające średnią. Poziom potasu wynosił siedem koma cztery, podczas gdy górny poziom normy to pięć koma zero, drugim związkiem, którego znajdowało się we krwi zbyt wiele, okazała się morfina. Wykryłem jej wielokrotnie więcej, niż powinno być w wypadku pacjenta otrzymującego siarczany morfiny dla uśmierzania bólu.

– Doktorze Hadawi, czy mógłby pan powiedzieć, co sądzi o tych wynikach? – W głosie Dockerty’ego nie było śladu napięcia.

– Uważam, że wzrost poziomu potasu... ale proszę nie zapominać, że to jedynie moja osobista opinia... był wynikiem procesów odbywających się w tkankach w trakcie pracy serca i po jej ustaniu. Zupełnie co innego z morfina. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że stwierdzony u denatki poziom tego związku był bardzo wysoki. Taka ilość morfiny we krwi bez trudu może, choć oczywiście nie musi, spowodować zatrzymanie oddechu i w efekcie śmierć.

Dockerty przez kilka sekund przeczesywał palcami włosy.

– Doktorze, czy sugeruje pan, że śmierć została spowodowana przedawkowaniem morfiny?

– Hadawi skinął głową. – Czy pańskim zdaniem tak duże przedawkowanie mogło być przypadkowe?

Hadawi wciągnął gwałtownie powietrze, popatrzył na detektywa i pokręcił głową.

– Nie. Nie sędzę, by mogło być przypadkowe.

W amfiteatrze panowała absolutna cisza, nikt się nie poruszał. Przez kilka sekund Dockerty pozwałała trwać upiornemu milczeniu. W końcu powiedział cicho:

– To czyni, panie i panowie, ze śmierci Charlotte Thomas morderstwo. Z tego powodu się zebraliśmy.

Znów zapadła cisza. Tym razem Hadawi niespokojnie się poruszył, nie mogąc się doczekać, by go zwolniono z dalszych odpowiedzi.

– Dziękuję za pomoc, doktorze – oświadczył Dockerty. Kiedy Hadawi wstał, detektyw dodał: – Jeszcze jeden drobiazg. Wspomniał pan, że badanie chemiczne zostało zlecone przez lekarzy pani Thomas... – popatrzył w notatki – doktorów Huttnera i Sheltona. Pamięta pan, który je zlecił?

Hadawi zmrugał oczy, jakby chciał dokładniej obejrzeć detektywa i lepiej zrozumieć, co się kryje za jego pytaniem. W końcu odparł ze wzruszeniem ramion:

– O ile pamiętam, doktor Shelton zazaądał badania poziomu potasu, resztę badań zlecił doktor Huttner.

Dockerty skinął patologowi głową, że może wracać na miejsce, i wyszeptał: „Dziękuję”. Rozejrzał się po sali i nie patrząc na Davida, powiedział:

– Doktor Shelton?

Kiedy David przeciskał się wąskim przejściem do schodków, olbrzymi Howard Kim poklepał go po plecach.

David mniej więcej od poprzedniego dnia wiedział o wynikach badania krwi, docierały do niego nawet krążące po oddziale plotki, że ma zostać przeprowadzone policyjne dochodzenie. Choć doktor Armstrong nie uprzedziła go, że ma złożyć oświadczenie, nie był zdziwiony wezwaniem.

Dockerty uśmiechnął się, uściśnął mu mocno dłoń, wskazał krzesło, które opuścił Hadawi, i zaczął pytać dokładnie o wydarzenia, które nastąpiły po zatrzymaniu pracy serca u Charlotte Thomas. W krótkim czasie opowieść Davida stała się swobodniejsza i bardziej obrazowa. Styl bycia Dockerty'ego ułatwiał mówienie i długo nie trwało, a dzielił się informacjami z kiepsko ubranym porucznikiem jak z kumplem z pubu. W pewnej chwili, nie zmieniając tempa mowy ani tonu, Dockerty stwierdził:

– Jeśli jestem dobrze zorientowany, doktorze Shelton, to tuż zanim pani Thomas została znaleziona przez pana bez tętna i oddechu, rozmawiał pan o niej i ciężko chorych ludziach z doktor Armstrong i kilkoma pielęgniarkami, dokładnie... – sprawdził w notatkach – z pielęgniarkami: Edgerly, Gold i Beall. Nie miałby pan nic przeciwko temu, by powtórzyć poglądy przedstawione przez siebie w trakcie tej rozmowy?

Przez pięć, dziesięć, piętnaście sekund David nie mógł zebrać myśli. Pytanie do niczego nie pasowało. Nie miało sensu, chyba że... wzięło się pod uwagę zainteresowanie tym, który z lekarzy zlecił analizę chemiczną krwi, umożliwiającą wykrycie podwyższonego poziomu morfiny. Nieokreślony lęk, który czuł tamtej nocy na oddziale, zamienił się teraz w strach. Zaczęły mu pulsować skronie, dłonie nagle zrobiły się sztywne i odrętwiałe. Jasna cholera, on chce się do mnie dobrać! Zamierza dobrać mi się do dupy! W tym momencie dostrzegł, że oczy

Dockerty'ego nie są rozmyte, a przypominają stal, i jego wzrok wbija się w niego jak twarde ostrze. Sonduje go, ocenia, wwierca się. David czuł, że za długo zwleka z odpowiedzią – o wiele za długo.

Wciągnął głęboko powietrze i spróbował powstrzymać uczucie paniki. Nakazywał sobie, że musi się uspokoić i przestać doszukiwać się czegoś, czego nie ma... Wystarczy, jak odpowie policjantowi.

– Doktorze Shelton, czy pamięta pan zdarzenie, o którym mówię? – za cierpliwością w głosie Dockerty'ego kryła się natarczywość.

Jeszcze zanim zaczął mówić, David wiedział, że jego zdania będą dukane i niezdarne. Tak też się stało. Przeplatając słowa masą „ccc” i „u”, powiedział:

– Po prostu im tłumaczyłem, że... że pacjent, który cierpi... wielki ból i u którego nie ma nadziei na przeżycie choroby... mógłby być leczony z pewnością... wstrzemięźliwością. Zwłaszcza że planowane leczenie jest... szczególnie bolesne albo... odczłowiecza... jak na przykład podłączenie do respiratora. – Zduślił w sobie chęć powiedzenia więcej, świadomie unikał komplikowania i tak skomplikowanej sprawy, co zawsze się zdarza, kiedy próbuje się wyjaśnić wyjaśnienia.

Dockerty przeciągnął językiem po zębach. Powoli stuknął zakończonym gumką końcem ołówka w stół, potem podrapał się po głowie.

– Doktorze Shelton – rzekł wreszcie – nie sądzi pan, że odmawianie choremu pacjentowi leczenia to forma zabójstwa z litości? Coś w rodzaju eutanazji?

– Nie, nie uważam, by miało to cokolwiek wspólnego z zabijaniem. – Spod powłoki lęku zaczynała się w duszy Davida Sheltona wyzwać złość. Zaczął mówić zbyt dobitnie, a słowa wystrzeliwały zbyt szybko. – Chodzi jedynie o dobrą, wrażliwą ocenę kliniczną. Taką, która jest sednem pracy lekarza. Na Boga, nigdy nie opowiadałem się za wyłączeniem komukolwiek respiratora ani podawaniem czegokolwiek, co mogłoby zaszkodzić!

– Nigdy?

Choć pytanie było zadane pozornie neutralnie, David wybuchnął.

– Do jasnej cholery, poruczniku! Mam dość pańskich insynuacji! – Pozostałe osoby w amfiteatrze przestały dla Davida istnieć. – Jeśli chce mnie pan oskarżyć, niech pan oskarża, ale niech nie zapomni pan wyjaśnić, dlaczego akurat ja ciągle powtarzałem, że w trakcie reanimacji coś było nie tak. Dlaczego właśnie ja zażądałem zbadania poziomu potasu... – Słowo zamarło mu w ustach. Jeszcze zanim Dockerty się odezwał, David wiedział, do czego policjant zmierza. – Cholera... – syknął pod nosem.

– Panie doktorze, miałem okazję krótko rozmawiać z paroma lekarzami i pielęgniarkami, którzy przebywali z panem w pokoju Charlotte Thomas. Podobnie jak pan, część uważała, że coś jest nie w porządku. Najwyraźniej było to tak ewidentne, że nie tylko pan zwrócił uwagę na nieprawidłowości. Tego, czy posunęliby się w swych podejrzeniach tak daleko, by zażądać badania krwi, nigdy się nie dowiemy, ponieważ to pan je zlecił. Przynajmniej jeśli chodzi o zbadanie poziomu potasu.

– Próbuje pan powiedzieć, że zrobiłem to, by mieć alibi i aby nikt nie wpadł na pomysł zbadania poziomu morfiny? – spytał David. Dockerty wzruszył ramionami. – To absurd! To naprawdę szalone!

– Doktorze Shelton, niech się pan weźmie w garść – spokojnie upomniął go Dockerty. – Nie oskarżam pana ani nikogo innego.

– Jeszcze nie.

– Słucham?

– Nic. Skończył pan ze mną?

– Tak, dziękuję. – Dockerty znów zachowywał się jak automat.

Kiedy David szedł na sztywnych nogach na miejsce, zauważył, że doktor Wallace Huttner wbija w niego lodowate, twarde spojrzenie. Mimo woli się wzdrygnął.

Dockerty poszeptał chwilę z doktor Armstrong i wezwał Dorothy Dalrymple. Przełożona pielęgniarek podnosiła się z krzesła poruszając się na boki, co trochę przypominało wyciąganie opornego korka z butelki. Kiedy udało jej się wstać, ruszyła schodkami w dół, z parodią gracji. Po kobiecemu uściśnęła dłoń Dockerty'ego, usiadła na krześle dla przepytywanych i dała uśmiechem znak, że jest gotowa.

Dockerty kazał jej opisać na podstawie raportów pielęgniarskich stan i wygląd Charlotte Thomas w dniu śmierci. – Raporty pielęgniarskie są pisane pod koniec zmiany – wyjaśniła Dalrymple. – W związku z tym popołudniowa zmiana zrobiła wpis dopiero po jej śmierci. Opiekująca się panią Thomas pielęgniarka, Christine Beall, widziała ją jednak około siódmej, czyli mniej więcej dwie godziny przed zapaścią. Znakomicie sporządzona notatka określa chorą jako... cytuję: „świadomą, zorientowaną w czasie i miejscu, może nawet mniej depresyjną niż ostatnio”. Panna Beall dodała, że symptomy procesów życiowych, tętno, oddech, temperatura i ciśnienie krwi, były stabilne. – Dalrymple odwróciła masywny tułów do widzów i spojrzała w kierunku pielęgniarek. – Panno Beall! Ma pani coś do dodania?

Christine, załamana i rozkojarzona z powodu wybuchu Davida, nie słuchała. Dowiedziała się dobę wcześniej o odkryciu w ciele Charlotte Thomas morfiny – od Peg, która prosiła ją o przygotowanie opisu stanu Charlotte Thomas dla Stowarzyszenia Sióstr. „Christine, chcę informować cię na bieżąco, o tym co się dzieje, ale proszę, byś się niepotrzebnie nie denerwowała – wyjaśniła przez telefon. – Powiedziano mi, że jutro wieczór ma się odbyć dochodzenie z udziałem jakiegoś policjanta, ale nasza Siostra Janet Poulos przejrzała twoje notatki w historii choroby i uważa, że nie ma tam nic, co mogłoby ściągnąć na ciebie jakiegokolwiek podejrzenia. Uważamy, że śledztwo będzie pobieżne i bezowocne, a śmierć Charlotte Thomas zostanie przypisana nieznaney osobie, której tożsamości oraz motywów nikt nigdy nie pozna. Działalność Stowarzyszenia Sióstr zostanie na jakiś czas zawieszona i wkrótce wszystko powinno się rozmyć. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo... uwierz mi”.

Kiedy Dalrymple zadała jej pytanie, Christine zaciskała mocno wargi i patrzyła w górę na błękitno-złotą kopułę.

Kilka miejsc od niej siedziała Janet Poulos i bezradnie obserwowała, napięta do granic możliwości ze strachu, że Christine zaraz przyzna się do wszystkiego i głośno wypowie nazwisko jedynej Siostry, którą zna, czyli wskaże na nią. Boże, dlaczego nie otrzymała żadnego

ostrzeżenia? Mogłaby wtedy zadzwonić do Dalii, która na pewno by wiedziała, co z tym fantem zrobić.

Janet minęła wzrokiem Christine i spojrzała na Angelę Martin, wpatrującą się chłodnymi błękitnymi oczami w rozgrywającą się poniżej scenę. Złote włosy miała idealnie ułożone i wyglądała jak uosobienie spokoju. Janet uważała, że gdyby to jej nazwisko znała Christine Beall, Angela zachowywałaby się tak samo niewzruszenie. Przez niemal dziesięć lat należały do Stowarzyszenia Sióstr i nic o sobie nie wiedziały, a teraz były najlepszymi przyjaciółkami, dzieliły się podniętą i pieniędzmi, które dawało działanie dla Ogródu, i zastanawiały się nad tożsamością kobiety, która je złączyła.

Janet rozglądała się i zastanawiała, czy Dalia ma tu swoje uszy i oczy poza Lilią i Orchideą. Całkiem możliwe. Choć pozostawała dla niej jedynie szeptem przez telefon, Janet była raz za razem zaskakiwana chłodną logiką oraz zakresem informacji Dalii. Dzięki niej Ogród stale się rozrastał – zarówno wewnątrz Boston Doctors, jak i w innych szpitalach. Wszędzie, gdzie znajdowała się członkini Stowarzyszenia Sióstr, tam mógł zakwitnąć następny kwiat. Zasada działania obu organizacji opierała się na tym samym: konieczne było przebywanie pielęgniarki sam na sam z pacjentem. Dalia może źle oceniła Beall, ale w dalszym ciągu pozostawała niemal nieomylna i Janet bardzo chciały ją poznać.

W tej chwili była jednak bezradna, więc jedynie poprawiła się na krzeselku i patrzyła.

– Panno Beall?! – znów zawołała Dalrymple. Winnie Edgerly trąciła Christine. – Zadałam pytanie, czy chciałaby pani coś dodać panu porucznikowi?

Christine przełknęła raz, potem drugi. Kiedy spróbowała coś powiedzieć, z jej gardła wydobył się jedynie chrapliwy szept. Odchrząknęła i mocniej zacisnęła dłoń.

– Przepraszam... Nie, nie mam nic do dodania. Janet westchnęła i zamknęła oczy. Beall prześlizgnęła się. Christine popatrzyła na Davida, który oparł głowę na dłoni i niewidzący wzrok skierował na Dalrymple i Dockerty'ego. Nie tylko widziała, ale niemal czuła, jak jest osamotniony, tak samo bowiem było z nią. Mimo telefonów od Peg, rozmów z Janet i świadomości, że stoi za nią ogromne Stowarzyszenie Sióstr Życia, Christine czuła się pozostawiona sama sobie. Miała ochotę pobiec do Davida i dodać mu otuchy. Powiedzieć mu, że doskonale wie, iż nie ponosi on winy za śmierć Charlotte Thomas. „Wszystko będzie dobrze – powtarzała sobie raz za razem. – Pozostaw sprawy swemu biegowi i wszystko się ułoży”. Zmusiła się do skoncentrowania uwagi na wydarzeniach na scenie.

– Panno Dalrymple – mówił Dockerty – ma pani spis leków podawanych pani Thomas?

Dalrymple skinęła głową.

– Otrzymywała chloramfenikol, antybiotyk, oraz demerol, środek znieczulający.

– Nie dostawała morfiny?

– Nie dostawała morfiny – odpowiedziała, podkreślając swe słowa ruchem głowy.

– Nie dostawała morfiny... – powtórzył teatralnie Dockerty, by usłyszeli go wszyscy obecni. – Niech mi pani powie, czy któraś z pielęgniarek może zdobyć taką ilość morfiny, jaką zdaniem doktora Hadawiego podano pani Thomas?

Dalrymple zastanawiała się dłuższą chwilę. – Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi następująco: jeżeli ktoś ma odpowiednią sumę pieniędzy i jest gotów zaopatrzyć się w

nielegalnym źródle, może zdobyć każdą ilość dowolnego narkotyku. Dla moich pielęgniarek – oraz kogokolwiek innego – jest jednak praktycznie niemożliwe wyniesienie znaczącej porcji narkotyków ze szpitala. Na każdym piętrze przechowywane są niewielkie ilości nadających się do wstrzyknięcia środków odurzających, a zapas jest starannie kontrolowany pod koniec każdej zmiany przez dwie pielęgniarki, przy czym jedna należy do zmiany schodzącej, druga zaś do grupy zaczynającej dyżur. Dostęp do apteki szpitalnej ma szefowa pielęgniarek z nocnej zmiany, ale nawet tam narkotyki są zamknięte w skrytkach, a klucze do nich mają jedynie farmaceuci. Tak więc – zaczęła końcowy wniosek, poruszyła się niespokojnie na krześle i splotła dłonie w pulchną kulę – w sposób legalny znaczącą ilość morfiny może zdobyć jedynie lekarz albo farmaceuta.

Dockerty skinął głową i znów szeptem pokonferował z doktor Armstrong.

– Panno Dalrymple – powiedział w końcu – czy z raportu pielęgniarskiego wynika, kto był w pokoju pani Thomas w wieczór jej śmierci?

– Zazwyczaj nie odnotowuje się innych wizyt niż lekarskie, ale mogę powiedzieć z pamięci, że tego wieczora nie zanotowano żadnych wizyt.

– Nawet lekarza, który znalazł ją bez tętna i oddechu? Mina Dalrymple świadczyła o tym, że pytanie jej się nie podoba.

– Nie. Nie było wzmianki o wizycie doktora Sheltona. Muszę jednak zaznaczyć, że w czasie gdy mogło nastąpić zatrzymanie pracy serca, większość pielęgniarek miała przerwę. Kiedy lekarz szedł korytarzem, nie było tam nikogo, kto mógłby go zobaczyć.

Dockerty zignorował ostatnie stwierdzenie.

– To byłoby wszystko, bardzo dziękuję. – Dał jej głową znak, że może odejść.

David znów nie wytrzymał.

– Poruczniku, mam tego dość! – Wstał i oparł się ciężko o pulpit przed sobą. Howard Kim przyglądał mu się obojętnie. – Nie wiem, co pan sobie myśli ani do czego dąży, ale proszę pozwolić mi oświadczyć, że nigdy nie podałem leku ani nie zastosowałem leczenia, które mogłoby zaszkodzić pacjentowi! – Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że znów żegluje na maleńkiej łupinie przez kipiel. Wewnętrzny głos podpowiadał mu: „Siadaj, na Boga! On ci nic nie może zrobić. Tylko ty jesteś w stanie sobie zaszkodzić. Siadaj i zamknij się!”.

Wściekłość i przerażenie zdławiły ostrzegawczą refleksję. David mówił w dalszym ciągu.

– Dlaczego ja? W pokoju byli u niej przedtem na pewno inni ludzie... mąż, rodzina, przyjaciele. Dlaczego mnie pan oskarża?

– Doktorze Shelton – spokojnie odrzekł Dockerty – o nic pana nie oskarżam. Już to powiedziałem. Jeśli jednak pan o tym wspomina, to profesor Thomas miał tego wieczora seminarium, w którym uczestniczyło dwudziestu trzech studentów. Od siódmej do dziesiątej. O ile wie, nikt nie zapowiadał odwiedzin u jego żony. Jeśli więc stanowi to wystarczającą odpowiedź na pańskie pytanie, może moglibyśmy kontynuować...

– Nie! – wrzasnął David. – To całe dochodzenie to oszustwo! To jakiś zdegenerowany sąd kapturowy! Student pierwszego roku prawa mógłby przeprowadzić bardziej bezstronne przesłuchanie. Jeśli chce mnie pan w coś wpakować, to niech pan to robi w sądzie, gdzie przynajmniej będzie pan musiał odpowiadać na pytania sędziego. – Przerwał, próbując

resztkami sił zapanować nad sobą. Wewnętrzny głos ostrzegał go w dalszym ciągu: „Nie widzisz, głupku, że ta cała impreza została zorganizowana, byś zrobił dokładnie to, co zrobiłeś? Próbowałem cię namówić, byś zachował spokój, ale nie wiesz nawet, co to znaczy...”

– No dobrze – oświadczył Dockerty. – Chyba jak na razie dość usłyszeliśmy. W najbliższej przyszłości skontaktuję się z częścią z Państwa osobiście. Dziękuję za przybycie. – Szepnął kilka ostatnich słów doktor Armstrong, spakował notatki i wyszedł, nawet nie rzucając okiem na bladą statwę, w jaką zamienił się Shelton.

Zanim David na tyle się uspokoił, żeby zdjąć ręce z pulpitu i rozejrzeć się, Amfiteatr imienia Morrissa Tweedy’ego niemal całkowicie opustoszał. Christine i pozostałe pielęgniarki wyszły, tak samo Howard Kim. Kiedy popatrzył w głąb sali, napotkał spojrzenie Huttnera. Oczy wysokiego chirurga zwęziły się, po czym z drwiącym ruchem głowy odwrócił się i opuścił aulę, pod rękę z Peterem Thomasem.

David został sam, wpatrzony w czerwony napis WYJŚCIE nad drzwiami. Aż drgnął, kiedy ktoś dotknął jego ręki. Gwałtownie się odwrócił i spojrzał w błękitne oczy Margaret Armstrong.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– Nie, skąd, czuję się wspaniale. – Nawet nie próbował kamuflować chrypy.

– David, tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Gdybym wiedziała, jak ostro porucznik Dockerty zamierza się za ciebie zabrać, nigdy bym nie pozwoliła, by doszło do tego spędu. Powiedział, że chce rzucić okiem na spontaniczne reakcje paru osób i jesteś jedną z nich. Nagle wybuchłeś i nie miałam szansy... – Uznała, że nie warto dalej wyjaśniać. – Posłuchaj mnie, naprawdę bardzo cię lubię. Polubiłam cię od pierwszego dnia, kiedy się zjawiałeś. Daj mi szansę i zechciej mnie wysłuchać. Wiem, że po tym, co zaszło, nie będzie to łatwe, ale spróbuj. Chcę ci naprawdę pomóc.

David popatrzył na nią, zagryzł zęby i skinał głową.

– Może za godzinę w Popeye’s? – Jej uśmiech był ciepły i prawdziwy.

– Niech będzie Popeye’s. – David wziął marynarkę i nowi sojusznicy wyszli razem z sali.

Popeye’s, miejsce, bez którego trudno sobie wyobrazić Boston, od ponad trzydziestu lat gościło lekarzy i pielęgniarki, pozostawiających tu swoje problemy i historie życia. Na zewnątrz restauracji znajdował się ruchomy neon – duma i radość kierownictwa – na którym postacie z komiksu goniły dookoła budynku Wimpy’ego z naręczem hamburgerów. Kiedy weszli, David dostrzegł cztery pielęgniarki, które uczestniczyły w przesłuchaniu. Nie było wśród nich Dotty Dalrymple i Christine Beall.

– Nie wpadałam tu od lat – powiedziała doktor Armstrong, gdy usiedli przy jednym ze stolików w głębi. – W kilku tutejszych wnękach podrywaliśmy się z mężem. Praktycznie nic się tu nie zmieniło... poza tym jaskrawym neonem na zewnątrz.

David zauważył, że doktor Armstrong nie ma obrączki.

– Pani mąż żyje?

– Arne? Nie, zmarł osiem... dziewięć lat temu.

– Oczywiście, ale ze mnie głupiec... – zaczął tłumaczyć się David, przypominając sobie, że tak jak każdy inny pracownik Doctors Hospital słyszał o tym, iż doktor Armstrong jest wdową po Arne Armstrongu, światowej sławy neurofizjologu, a także – gdyby żył i dokończył badania – kandydacie do Nagrody Nobla. – Przepraszam.

– Nie wygłupiaj się... – odparła doktor Armstrong, przerywając jednak w połowie zdania, kiedy pojawiła się blondyna o świetnej figurze w czarnej minispódnicy i obcisłej czerwonej bluzce, by przyjąć zamówienie. – Ja poproszę piwo z beczki, a moja „randka...” – popatrzyła na Davida.

– Colę. Dużą, z dużą ilością lodu.

Kelnerka odeszła.

– Nawet po tym co się dziś stało? – wyraziła zdziwienie doktor Armstrong.

Wiedziała. Oczywiście, że wiedziała. Wszyscy wiedzieli, ona jednak nie powiedziała tego po to, by go sprawdzić. W jej głosie było uznanie.

– Niedługo minie osiem lat, odkąd nie tknąłem alkoholu. Ani żadnej tabletki – dodał. – Trzeba czegoś znacznie mocniejszego niż jest w stanie wymyślić Dockerty, by zmusić mnie do zmiany tej sytuacji. Jeśli nawet od ilości coli, jaką spożywam, mają rozpuścić mi się zęby. – Zamilkł. Obraz wpatrującego się w niego nieruchomo Dockerty’ego zastąpiły wspomnienia innych starców, jakie był zmuszony przetrzymać przez lata od śmierci Ginny i Becky.

Jakby czytając w jego myślach, Armstrong powiedziała:

– Musisz wiedzieć, że mam sporo informacji o tym, co działo się z tobą w minionych latach. – Kiedy skinął głową, dodała: – Nie wolno ci zapominać, że o wielu sprawach wie również porucznik Dockerty. Nie mam pojęcia, skąd je czerpie, ale chyba jest po prostu dobry. Sam wiesz, jakim szklanym domem jest szpital. Każdy interesuje się życiem każdego, a kiedy nie ma o czym plotkować, wymyśla się brakujące „fakty”.

David smutno się uśmiechnął.

– Byłem już kiedyś głównym obiektem szpitalnych plotek i dokładnie wiem, o czym pani mówi. Tylko że tym razem to nie niewinne spekulacje. Nigdy nie zrobiłbym nic, by kogokolwiek skrzywdzić, nie wspominając o zabiciu.

– Nie musisz mi tego mówić. Wierzę ci. Jak powiedziałam, moim zdaniem porucznik Dockerty jest bardzo skrupulatny i efektywny w tym, co robi i uważam, że wyjdzie ci to na dobre. Wygląda na człowieka, który nie zamyka sprawy, dopóki nie jest stuprocentowo wyjaśniona.

Przyniesiono napoje i David z przyjemnością wykorzystał chwilę na milczenie.

– Może do zakończenia śledztwa powinienem poprosić o zawieszenie w czynnościach? – stwierdził w końcu.

Doktor Armstrong walnęła kuflem w stół, aż rozprysnęła piwo.

– Cholera jasna, młody człowieku! Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto byłby dla siebie takim wrogiem jak ty! W świetle tego, co dziś usłyszałam, i moich przekonań, nasz przyjaciel porucznik musiałby przedstawić znacznie więcej obciążających poszlak, bym pozwoliła komukolwiek, w tym tobie, nawet myśleć o zawieszeniu cię w czynnościach zawodowych. Jeśli nie wierzysz, że mam na to dość władzy, to popytaj tu i ówdzie.

Uśmiech przyszedł Davidowi ze znacznie większą łatwością niż przez cały dotychczasowy wieczór.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– No to dobrze. – Popatrzyła na zegarek. – Jutro mam dużo roboty, więc zakończmy dzień. Porozmawiamy jeszcze. Odpocznij i uzbrój się w cierpliwość. Takich ludzi jak porucznik Dockerty i twój przyjaciel Wallace Huttner nie da się przekonać... muszą o wszystkim upewnić się sami. – Wyglądziła na stole banknot pięciodolarowy i, nie czekając na kelnerkę, wyszli.

Kiedy doktor Armstrong wsiadła do samochodu i opuściła szybę, David powiedział:

– Już to tyle razy powtarzałem, że czuję się jak stara płyta, ale... dziękuję. Chyba nie ma lepszych słów. Dziękuję.

– Dbaj o siebie i przejdź przez to w dobrej formie. To będzie dla mnie najlepsze podziękowanie.

Patrzył, aż jej samochód zniknął za rogiem i otumaniony poszedł na sąsiedni parking, gdzie zostawił wóz. Żółty saab, którego miał od mniej więcej roku, stał na felgach. Wszystkie cztery opony pocięto na strzępy, a na szybie po stronie kierowcy ktoś natryskał czerwoną farbą: MORDERCA.

– Wielki szklany dom... – mruknął David, patrząc na efekt chuligańskiego wybryku. – Dobre określenie. Wielki, jebany, szklany dom.

Rozdział trzynasty

Barbara Littlejohn czekała przed terminalem TWA tylko minutę na taksówkę, co jednak wystarczyło, by wieczorna chłodna wilgoć Nowej Anglii przeniknęła jej ubranie, sprawiła, że zeszywniały stawy, a skóra naciągnęła się niemal do bólu. Już lot z Los Angeles był wyzwaniem, teraz na dodatek to... Jeszcze drżała, kiedy taksówka mijala kasę opłat za wjazd na autostradę i w kolumnie aut zaczęła, metr po metrze, wjeżdżać w Sumner Tunnel – wilgotną, pełną spalin „rure”, łączącą wschodni Boston z resztą miasta. Kiedy znaleźli się po stronie centrum, zaczęło padać.

Barbara uparła się, by kierowca podjechał jak najbliżej wejścia do Copley Plaza. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem kiedyś określała pogodę Nowej Anglii jako „kapryśną” i „czarującą”.

Była atrakcyjną kobietą tuż przed pięćdziesiątką – wysoka, opalona i niemal tak szczupła jak wtedy, gdy jako modelka zarabiała na naukę w szkole pielęgniarstwa. Recepcjonista, choć co najmniej dziesięć lat młodszy, natychmiast zaczął ją rozbierać oczami.

– Jestem z Fundacji Donalda Knighta Clintona – oznajmiła, ignorując jego wzrok. – Mamy spotkanie zarządu.

– Tak jest, proszę pani. O ósmej, w pokoju sto trzydzieści trzy. Pierwsze piętro, windy są po tamtej stronie holu. – Popatrzył na torbę. – Będzie pani u nas mieszkać? – spytał znów się gapiąc.

– Nie, dziękuję. Zatrzymam się u przyjaciół. – Odeszła, zostawiając go z jego fantazjami.

W holu dostrzegły ją dwie znajome – z Dallas i z Chicago – i podeszły szybko do windy. Kobiety przywitały się serdecznie i pojechały na górę.

Był poniedziałek, od dochodzenia w Boston Doctors Hospital nie minęła jeszcze doba. Zbierające się kobiety – było ich w sumie szesnaście – w pośpiechu pozmieniały plany i wyruszyły na zjazd do Copley Plaza. Przyjechały z Nowego Jorku, Filadelfii, San Francisco i Miami, ponieważ wezwała je Peggy Donner. Każda była dyrektorką Stowarzyszenia Sióstr Życia, działającego w danym regionie.

Salę sto trzydzieści trzy urządzono bardzo luksusowo: ściany zdobila jasnozielona tapeta o strukturze gnieczonego aksamitu, wisiały na nich litografie ze scenami z wyścigu konnego w Punchestown w 1862 roku, na środku stał stół konferencyjny, po bokach stoliki na napoje, pod jedynym oknem obita zieloną skórą kanapa.

Barbara przywitała się z wcześniej przybyłymi kobietami i przeliczyła obecne. Zebrało się jak na razie dwanaście. Czwórka z Bostonu, w tym Peg, spóźniła się.

– Nie ma kawy? – rzuciła w przestrzeń, po czym otworzyła aktówkę, wyjęła grubą kartonową teczkę z napisem FUNDACJA CLINTONA i położyła ją u szczytu błyszczącego stołu z luksusowego drewna.

– Właśnie był kelner – poinformowała jedna z kobiet. – Powiedział, że zaraz kogoś przyśle.

W pokoju panowało spore napięcie – jeszcze nigdy nie zwoływano zebrania nadzwyczajnego, a z obecnych tylko Barbara wiedziała, jaki był powód jego zwołania. Spojrzała na zegarek. Minęło dziesięć po ósmej. Regularne kwartalne zebrania zawsze rozpoczynano punktualnie, ale to odbywało się w Bostonie, więc choć miała potem jeszcze kilka spraw do załatwienia, postanowiła poczekać.

Rozrzucone w małych grupkach kobiety wymieniały się nowościami dotyczącymi rodzin, pracy i instytucji, w których były zatrudnione. Każda miała tam pozycję, władzę i wpływ. Susan Berger, koordynatorka służb pielęgniarских Hospital Consortium z San Francisco, plotkowała z June Ullrich, dyrektorką do spraw działalności terenowej największej amerykańskiej firmy farmaceutycznej. Wszystkie obecne zdawały sobie sprawę z tego, że zajmowane przez siebie stanowiska zawdzięczają w sporej części przynależności do Stowarzyszenia Sióstr Życia. Pod przykrywką Fundacji Donalda Knighta Clintona Stowarzyszenie publikowało raz w miesiącu biuletyn informacyjny, przedstawiający najnowsze dane dotyczące swych licznych działań dobroczynnych oraz listę wolnych wyższych stanowisk pielęgniarских, przy obsadzaniu których ze szczególną uwagą będą rozpatrywane kandydatury aktywnych członkiń.

Jako dyrektor-koordynator Stowarzyszenia Sióstr, Barbara Littlejohn administrowała także Fundacją Clintona, na której konto corocznie wpływało pół miliona dolarów z dobrowolnych składek od należących do Stowarzyszenia pielęgniarek. Choć tytułarnie była najważniejsza, faktycznie największy wpływ na działalność Stowarzyszenia miała jednak Peggy Donner. Barbara rozłożyła notatki i znów spojrzała na zegarek. Postanowiła, że bez względu na to czy Peg się zjawi, czy nie, za pięć minut zacznie.

Zamiast Peg do sali wkroczył kelner z wózkiem – przypominający łasicę mężczyzna o posmarowanych olejem włosach. Rozłożył na stoliku do kawy serwetę i zamaszystymi ruchami poustawiał filiżanki i dzbanek z kawą oraz porozkładał łyżeczki. Na chwilę wyszedł z pokoju, wrócił z wielkim bukietem kwiatów i ceremonialnie ustawił go między filiżankami.

– Kwiaty – mruknęła Susan Berger. – Najwyraźniej Peggy chce nas na coś przygotować. Mimo wszystko piękne.

Kelner uśmiechnął się, jakby komplement był skierowany do niego. By jeszcze przez kilka chwil pozostać w centrum uwagi, poprawiał ułożenie kwiatów i wreszcie – ciągle z uśmiechem na ustach – wyszedł. Mimo jego wysiłków bukiet wyglądał tak, jakby dalej zaraz miały wypaść z wazonu. Kwiaty ostrzegały, że Ogród z uwagą będzie obserwował spotkanie i mu się przysłuchiwał. Informacja, że potomstwo będzie oceniać rodziców, była skierowana tylko do jednej z zaproszonych osób i tylko ona mogła ją zrozumieć.

Pierwszą przybyłą z grupy bostońskiej okazała się Ruth Serafini, krzepka, energiczna kierowniczka szkoły pielęgniarskiej przy White Memorial Hospital. Peggy Donner założyła Stowarzyszenie Sióstr życia w Bostonie i choć ruch szybko się rozprzestrzenił po szpitalach w całym kraju, „filia” bostońska była w dalszym ciągu najsilniejszą reprezentacją regionalną. Do nadzoru działalności w stanach Nowej Anglii potrzebne były trzy dyrektorki – jedną z nich była Ruth. Peggy nie uczestniczyła w wykonywaniu codziennych zadań.

– Czy reszta wkrótce się zjawi? – spytała Barbara po krótkim uścisku ręki.

– Nie wiem, ja utknęłam w korku. – Ruth nalala sobie filiżankę kawy i usiadła.

– Przepraszam za opóźnienie – powiedziała w końcu Barbara, zwracając się do ogółu. – Chyba powinniśmy zacząć od omówienia bieżących spraw fundacji. Od ostatniego zebrania minęło sześć tygodni, więc nie będziemy robić sprawozdania finansowego. – Kto jeszcze stał, teraz usiadł. Barbara popatrzyła po kolei na dyrektorki i uśmiechnęła się. Jak długą przeszły drogę od spotkań w piwnicy u Peggy, gdzie maleńka grupa zwykłych pielęgniarek schodziła się, aby dzielić się wizjami i ideałami, które doprowadziły do powołania Stowarzyszenia... Kiedy otworzyła usta, by kontynuować zebranie, zjawiała się brakująca dwójka. Sara Duhey – wspinała Murzynka, która uzyskała najpierw magisterium a potem doktorat z zakresu opieki nad ciężko chorymi, i Doty Dalrymple.

– Witamy – z sympatią zwróciła się do nich Barbara. – Nie ma nic lepszego od spóźnienia się dwadzieścia minut na własne przyjęcie.

– To nie nasze przyjęcie – odparła Dalrymple. – To impreza Peggy. Niedługo się zjawi. Prosiła, byś zaczęła bez niej.

– Świetnie. – Barbara popatrzyła na kartkę z porządkiem obrad. – Uważam zebranie za otwarte. Dostałyśmy sprawozdania z regionów rolniczych. Zarówno w klinikach w Kentucky, jak i w Wirginii Zachodniej ilość kontaktów naszych Sióstr z pacjentami wzrosła niemal o sto procent i działające tam pielęgniarki uważają, że w ciągu roku oba miejsca staną się samodzielne. – Wszystkie dyrektorki zaczęły klaskać, a te, które siedziały po obu stronach Tanii Worth z Cincinnati, poklepały ją po plecach. Rozpoczęcie działalności właśnie tam było jej pomysłem i wyrażono na to zgodę głównie dzięki jej zaangażowaniu w tamtejszą działalność. Tania promieniała.

Szybko omówiono pozostałe projekty: finansowanie organizacji przedszkola dla dzieci pracujących pielęgniarek, zakupy nowoczesnego sprzętu dla niedofinansowanych szpitali, przydzielanie stypendiów dla osób pragnących robić magisteria i doktoraty z zakresu pielęgniarstwa, organizację działań mających na celu poprawę pozycji pielęgniarek w hierarchii zawodowej oraz ułatwienie im funkcjonowania w szpitalach. Susan Berger przedstawiła krótki raport na temat działań obejmujących cały kraj, mających na celu wprowadzenie tak zwanej Woli Życia, czyli dokumentu umożliwiającego każdemu określenie z góry pożądanej przez niego granicy czynności służących ratowaniu życia i utrzymaniu procesów życiowych. Jak na razie akcja – wymyślona dość dawno przez Peggy Donner – nie dawała wielkich rezultatów.

– Na koniec chciałabym przedstawić list od Karen – powiedziała Barbara. – Część z was jej nie zna, musiała bowiem kilka lat temu zrezygnować z funkcji członkini zarządu, ponieważ skierowano jej męża do pracy w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu. Przesyła pozdrowienia i słowa nadziei, że dobrze nam się wiedzie. W ciągu niecałych dwóch lat awansowała na stanowisko zastępczyni szefowej pielęgniarek w jednym z tamtejszych szpitali. – Kilka starszych kobiet zaczęło klaskać i Barbara uśmiechnęła się. – Wygląda na to, że Karen umieściła tam pięć naszych Sióstr z otrzymanej ode mnie listy tych, które przeprowadziły się do Europy. Informuje, że lada chwila stworzą Komisję Kwalifikacyjną, ale nie mogą się dogadać, czy nazwać filię po angielsku, francusku, holendersku czy niemiecku.

– Może powinniśmy się dowiedzieć, jak brzmi „Stowarzyszenie Sióstr Życia” w esperanto zaproponowała jedna z obecnych.

Jeszcze się śmiano, kiedy weszła Peggy Donner. Natychmiast zapadła cisza.

Peggy popatrzyła po kolei na zgromadzone Siostry. Choć chyba niezamierzenie, powagę w jej spojrzeniu zastąpiła duma: obecne na sali kobiety były najukochańszymi z kilku tysięcy jej „dzieci”.

– Wasz widok podnosi mnie na duchu jak nic innego na świecie. Przepraszam za spóźnienie. – Ruszyła do szczytu stołu, zatrzymała się jednak przy olbrzymim bukietie dali. Uśmiechnęła się tajemniczo, wzięła do ręki bielusię, królewski kwiat i z zamyśleniem objęła go delikatnie dłońmi. Po kilku sekundach, spojrzawszy na Barbarę, która potwierdziła wzrokiem, że czas na zmianę przewodniczącej zebrania, Peggy zabrała głos.

– Ponad czterdzieści lat temu... czterdzieści lat!... stworzyłyśmy z czterema innymi pielęgniarkami tajną grupę, która stała się Stowarzyszeniem Sióstr Życia. – Jej głos hipnotyzował. – Niedawno jedna z nich, Charlotte Thomas, zmarła w Boston Doctors Hospital. Kiedy się poznałyśmy, nazywała się Charlotte Winthrop i choć była dopiero studentką ostatniego roku szkoły pielęgniarskiej, nie tylko tryskała energią, ale na wszystkich sprawiała wrażenie osoby szczególnej. Uczestniczyła w naszym ruchu jedynie przez jakieś dziesięć lat, lecz to jej, nie mniej niż każdej z was, zawdzięczamy tak wielki rozrost Stowarzyszenia. Chorowała nieuleczalnie, pojawiły się komplikacje w postaci jamistych odleżyn i powiedziała mi, że pragnie umrzeć. To samo życzenie wyraziła swemu lekarzowi, ale, jak często bywa u przedstawicieli tego zawodu, udał głuchego i stosował najbardziej inwazyjne metody, które jedynie przedłużały beznadziejną agonię. Kilka dni temu zadzwoniłam do członkini naszego Stowarzyszenia, wyjątkowej młodej pielęgniarki Christine Beall, i poprosiłam ją o przedstawienie Charlotte Rejonowej Komisji Kwalifikacyjnej. Z wielu powodów, osobistych oraz zawodowych, nie mogłam zrobić tego sama. Komisja wyraziła zgodę i zaleciła dożylnie podanie morfiny. Zbieg nieszczęśliwych i niemożliwych do przewidzenia okoliczności sprawił, że przeprowadzono szczególnie staranną sekcję i stwierdzono znacznie podwyższony poziom morfiny we krwi.

Kobiety siedziały w bezruchu i z napięciem słuchały opisu wystąpienia Johna Dockerty’ego w starej auli Boston Doctors Hospital. Peggy, opowiadając, chodziła, odruchowo podkreślała swe słowa machnięciami kwiatem. Mówiła spokojnie i miarowo, przedstawiając beznamiętnie fakty. Dopiero kiedy doszła do Davida Sheltona, w jej głosie pojawiły się emocje. Zapoznała słuchaczki z jego życiorysem, szczególnie podkreślając problemy spowodowane nadużywaniem alkoholu i leków. Zarówno jej mina, jak i ton głosu wyrażały niesmak.

– To zaburzony młody człowiek – oznajmiła kategorycznie – i uczyniłby medycynie przysługę, odchodząc z niej. – Przyśpieszyła kroku, jakby potrzebowała czasu na dobranie słów. W końcu powiedziała z powagą: – Drogie siostry, system Rejonowych Komisji Kwalifikacyjnych został zorganizowany dwadzieścia lat temu. W tym okresie rozwiązałyśmy – bez najmniejszego podejrzenia o naszą albo czyjąkolwiek interwencję – ponad trzy tysiące pięćset „przypadków”. Istnieją wszelkie podstawy do tego, by sądzić, że sytuacja podobna do tej, jaka powstała w Bostonie, nigdy się nie powtórzy, ale niestety wpadka się zdarzyła. Od

początku śledztwa trzymam się bardzo blisko porucznika Dockerty'ego i wiem, że choć podejrzewa Sheltona, nie jest do końca przekonany o jego winie. Dowiaduje się coraz więcej o specyficznym związku, jaki łączył Charlotte Thomas z Christine Beall, i nawet wspomniał o możliwości wezwania jej na badanie za pomocą wykrywacza kłamstwa. Nie zamierzam do tego dopuścić!

Po raz pierwszy kilka siedzących przy stole kobiet wymieniło się zaniepokojonymi spojrzeniami. Jeszcze nigdy nie widziały, by Peggy była tak blisko utraty panowania nad sobą. Atmosfera w pomieszczeniu robiła się coraz bardziej nieprzyjemna.

Peggy kontynuowała.

– Jesteśmy Siostrami, nasz związek jest święty i nierozzerwalny jak związek krwi. Jeśli jedna z nas cierpi, pozostałe muszą dzielić jej ból. Jeśli jednej z nas grozi ujawnienie, tak jak teraz Christine, wszystkie musimy biec na pomoc. Zarówno ja, jak i każda z Sióstr mamy prawo oczekiwać tego od pozostałych. Dlatego musimy ją chronić! – Głos był zduszony i rozpaczliwie natarczywy. Na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie uderzeniami ołowianych kropel deszczu o szybę. Ciężące nad stołem napięcie zmieniło się w niepokój. Ze zgniecionego w dłoniach Peggy kwiatu oderwały się płatki i opadły na podłogę.

Barbara Littlejohn postanowiła rozpocząć debatę, by odzyskać panowanie nad zebraniem.

– Dziękujemy, Peggy – powiedziała, starając się stłumić niepokój w głosie. – Wiesz, że nasz stosunek do ruchu jest taki sam jak twój i na pewno zapewnimy Christine Beall wszelką niezbędną pomoc. – Miała nadzieję, że ta obietnica zmieni pogląd Peggy, domyślała się bowiem, czego zażąda. Spojrzenie Peggy dowodziło jednak, że nadzieja była płonna.

– Chcę, by uznano tego człowieka za winnego. – Wyszczone przez zaciśnięte zęby słowa były ledwo słyszalne.

Wszystkie obecne wbiły w nią pełen niewiary wzrok. Dotty Dalrymple zakryła twarz dłońmi.

– O czym ty mówisz? – Pierwsza zareagowała Susan Berger. W jej głosie słyhać było niedowierzenie i złość.

Peggy spiorunowała ją wzrokiem, ale Susan nie odwróciła głowy.

– Susan, chcę zdjąć z Christine Beall ciężar. Nie muszę chyba mówić, co mogłoby się stać z nią oraz Stowarzyszeniem, gdyby policja ją złamała. Zbyt wiele sił kosztowało mnie stworzenie tej organizacji, by pozwolić wszystko zepsuć. Nasza praca jest ważna. Żądam zgody zarządu na poczynienie kroków chroniących Christine i nasze interesy. Sądzę, że przy pewnej dawce pomysłowości uda nam się przekonać policję o winie doktora Sheltona. Biorąc pod uwagę jego przeszłość, czeka go kilka miesięcy odosobnienia w jakimś szpitalu i rok albo dwa lata odsunięcia od pracy w medycynie. To chyba niewielka cena za...

– Peggy, nie mogę się na to zgodzić – przerwała jej Ruth Serafini. – Nie interesuje mnie Shelton, ale taka akcja to wystąpienie przeciwko godności człowieka i ideałom, które reprezentujemy. – Jej słowa wywołały pomruki aprobaty i poparcia. Serafini rozejrzała się wokół stołu. Wiedziała, że z piętnastu obecnych, siedem poprze Peggy bez względu na to, czego zażąda, ale co z pozostałymi? Głosowanie mogłoby się rozstrzygnąć jednym głosem. Ruth postanowiła się jednak nie poddawać.

– Może zostawmy sprawy swemu biegowi i poczekajmy na rozwój wypadków? Jeśli będzie taka konieczność, zdobędziemy Christine adwokata, damy pieniądze, zapewnimy wszystko, czego będzie potrzebowała. W obecnej chwili nie ma jeszcze pewności, czy...

– Nie! – Okrzyk był niczym smagnięcie. Ruth Serafini odwróciła wzrok od Peggy, jakby spojrzenie koleżanki ją ukłuło. – Nie rozumiesz?! Wystarczy trochę czasu i bez względu na to, jak będzie się opierać, wyduszą z niej prawdę o nas. Nie wyobrażasz sobie bzdur, jakie zaczną wypisywać gazety? Zrujnują nas! Nasze marzenie zostanie zniweczone! Nie pozwolę na to! – Peggy rzuciła zmasakrowany kwiat na stół i odwróciła się do okna. Oddychała tak gwałtownie, że jej ramiona skakały w górę i w dół, jakby szlochała. Przez długą chwilę słychać było jedynie świszczący oddech i walenie kropel o szyby. Kiedy się odwróciła, na jej ustach gościł uśmiech. – Drogie Siostry, rok temu przedstawiłam plan poinformowania opinii publicznej o naszym istnieniu oraz świętym zadaniu, którego wykonania się podjęłyśmy. Uważałam, że wykorzystując tysiące nagrań magnetofonowych z raportami najlepszych i najbardziej szanowanych pielęgniarek w kraju, dałoby się rozpocząć kampanię na rzecz legalizacji naszej działalności, która byłaby tak zmasowana, że nasi przeciwnicy musieliby się pogodzić z tym, co robimy. Byłoby to zarówno dla mnie, jak i dla was wszystkich zwyciężenie dzieła życia. Tak jak zwykle czynimy, projekt został poddany głosowaniu i odrzucono go. Przyjęłam – jak zawsze – opinię Stowarzyszenia bez protestu. Oświadczam jednak, że jeśli nie podejmiemy dziś decyzji o ochronie Christine Beall, prędzej rozpocznę realizację mego zeszłorocznego planu, niż zgodzę się na deprecjonujące, nieprawdziwe i sensacyjne odkrycie przez prasę i policję istnienia Stowarzyszenia Sióstr Życia. Ujawnię taśmy. Mam je – wszystkie – i zrobię to!

Siedzące wokół stołu kobiety zaczęły się nerwowo wymieniać spojrzeniami. Przekazywane przez nie raporty były niczym przysięga krwi i nierozzerwalnie je ze sobą wiązały. Przekazanie raportu – złożenie przez pielęgniarkę już pierwszego w życiu raportu – powodowało, że nie było dla niej odwrotu od działalności w Stowarzyszeniu. Od początku stosowano taką procedurę, choć kiedyś sprawozdania pisano, teraz zaś nagrywano. Raporty składała każda z obecnych na sali kobiet – niektóre wielokrotnie – a teraz Peggy zamierzała je ujawnić! Resztką oporu dyrektorek natychmiast stopniała.

Peggy zwróciła się do Barbary Littlejohn.

– Proszę o przeprowadzenie głosowania w sprawie przyznania mi uprawnień do poczynienia kroków dowodzących winy doktora Davida Sheltona oraz ochrony interesów Christine Beall i Stowarzyszenia Sióstr Życia.

Barbara wiedziała, że dalsza dyskusja jest bezprzedmiotowa. Miny wokół stołu potwierdzały to. Wzruszyła ramionami i ogłosiła głosowanie. Sara Duhey po jej lewej stronie z ociąganiem podniosła rękę. Barbara przenosiła następnie wzrok z jednej osoby na drugą i ręce unosiły się niczym fala. Nie było ani jednego sprzeciwu.

Zapadła potem cisza, ale przerwała ją Dotty Dalrymple, która odezwała się po raz pierwszy.

– Peggy, jak z pewnością wiesz, Christine Beall pracuje pod moim kierownictwem. Tak się składa, że dość dobrze ją poznałam, choć jeszcze nie zdecydowałam informować jej o mojej działalności dla Stowarzyszenia Sióstr. Jak powiedziałas, jest niezwykłą pielęgniarką, oddaną

ideałom, które przyświecają naszej działalności. Czy możemy być pewne, że, bez względu na decyzję, jaką podejmiemy dziś wieczór, pozwoli, by Shelton odpowiadał za to, co zrobiła?

Wszystkie obecne zadawały sobie to samo pytanie.

– Dorothy, o to musimy zadbać we dwie. Musisz iść do niej w odpowiednim czasie i wyjaśnić sytuację tak, jak tylko ty umiesz. Może będziesz musiała podzielić się z nią swoją tajemnicą, ale chyba zasłużyła na tyle zaufania. Jeśli okaże się konieczne, ja i reszta tu obecnych też podzielimy się z nią naszą tajemnicą. Odpowiada ci to?

Dalrymple uśmiechnęła się.

– Znam cię zbyt długo i za dobrze, by pytać, czy mam wybór. Porozmawiam z nią.

Peggy odwzajemniła uśmiech.

Dorothy Dalrymple faktycznie dobrze знаła Peggy. Od dawna obserwowała, jak się rozwija – miała swój wkład w podjęcie przez nią decyzji o wyborze Akademii Medycznej, do tego w czasach, kiedy studia medyczne były dla kobiety – nawet pielęgniarki – czymś bardzo trudnym. Śledziła jej znakomitą karierę kardiologa, była świadkiem małżeństwa z jednym z najbardziej znanych naukowców i rzeczników praw człowieka na świecie. Widziała, jak obejmuje kierownictwo jednego z największych szpitali w Stanach Zjednoczonych.

Miała pewność – było to oczywiste jak fakt, iż jutro wszędzie słońce – że Margaret Donner Armstrong może osiągnąć wszystko. Wyrok, jaki wydała na Davida Sheltona, był w zasadzie wykonany.

Barbara Littlejohn w kilku końcowych słowach rozwiązała zebranie. Żegnając się, Dotty zatrzymała się przy wielkim bukecie, pochyliła, by wciągnąć w nozdrza mocny aromat dalii, i dotknęła dłonią kwiatów. Popatrzyła ostatni raz na Peggy i wyszła.

Salon szybko pustoszał i wkrótce zostały tylko dwie osoby: Peggy Donner, wyglądająca z powagą przez okno, i Sara Duhey, która wyszła już z pomieszczenia, ale zatrzymała się tuż za drzwiami i wróciła. Była jakieś dziesięć metrów od okna, kiedy Peggy, nie odwracając się, powiedziała:

– Saro, jak miło, że przyszedłeś. Tak rzadko mamy okazję rozmawiać.

Szczupła Murzynka zawahała się w połowie kroku, zaraz jednak dostrzegła swe odbicie w okiennej szybie.

– A więc to tak Peggy Donner pracuje na opinię głoszącą, że ma oczy z tyłu głowy...

– To jeden ze sposobów. – Margaret Armstrong odwróciła się i ciepło uśmiechnęła. Sara została zrekrutowana przez nią osobiście. – Widzę w twoich pięknych oczach zmartwienie, Saro. Niepokoisz się tym, co się tu przed chwilą zdarzyło?

– Trochę, ale nie dlatego chcę porozmawiać.

– O!

– Peggy, kilka dni temu z powodu silnej reakcji alergicznej zmarł w twoim szpitalu John Chapman... podobno w wyniku reakcji na jakiś lek. Słyszałeś o nim i jego pracy? – Armstrong skinęła głową. – Znałam go od lat. Pracowaliśmy razem w tak wielu różnych komisjach, że straciłam rachubę.

– I co?

– Rozmawiałam z paroma ludźmi o jego śmierci, wiesz, z mojego środowiska. Przynajmniej jeden uważał, że to nie przypadek. Chyba się domyślasz, że Johnny przez lata był niczym cierń wbity w nogę, dla wielu ważnych ludzi w tym kraju.

– Moja droga, kiedy umiera ważna albo wpływowa osoba, zawsze znajdzie się ktoś głoszący teorię, że jego śmierć nie mogła być przypadkowa. Te pomysły jednak okazują się bzdurą.

– Rozumiem i mam nadzieję, że i w tym wypadku się nie mylisz. Nigdy nie dowiemy się prawdy, ponieważ wiara Johnny'ego zabrania robienia sekcji, co wiem od jego żony. Napisała to wielkimi czerwonymi literami na pierwszej stronie historii choroby... razem z listą środków, na jakie miał alergię.

Armstrong nerwowo się poruszyła.

– Do czego zmierzasz?

– Peggy, człowiek, z którym rozmawiałam, powiedział mi, że słyszał plotki, iż John Chapman nie wyjdzie żywy z Doctors Hospital. I tak się stało. Dwa dni po śmierci Johnny'ego nagle dostał wstrząsu anafilaktycznego i zmarł na stole operacyjnym z powodu zatrzymania pracy serca senator Cormier. Z dokumentacji wynika, że był to rozległy zawał, a ponieważ doprowadził do natychmiastowej śmierci, sekcja nie wykazała uszkodzenia mięśnia sercowego.

– Saro, ciągle jeszcze nie rozumiem...

– Peggy, w dwóch wypadkach, którymi zajmowałam się dla Stowarzyszenia, podano dożylnie strofantynę G i oba wypadki wyglądały na zawał serca. Środek jest niewykrywalny. Czy to możliwe, by ktokolwiek...

– Młoda damo, chyba starczy! Twoje insynuacje są w złym guście i nie ma podstaw, by je wysuwać. Gorzej, pojawiają się w chwili, kiedy nasz ruch wymaga całkowitej jedności.

Sara Duhey zeszytniała.

– Peggy, proszę... nie naskakuj na mnie. Nie zamierzam wbijać kija w mrowisko, pytam tylko, czy to możliwe, by ktoś w twoim szpitalu stosował nasze metody. W Boston Doctors Hospital jest znacznie więcej członków Stowarzyszenia niż w jakimkolwiek innym szpitalu w kraju.

– I każdą znam osobiście. Każda jest znakomitą pielęgniarką i godnym zaufania człowiekiem. Jeśli nie masz nic konkretniejszego, proponuję... nie, żądam, byś zachowała te naciągane insynuacje dla siebie. Mamy znacznie ważniejsze sprawy na głowie, musimy się zająć człowiekiem, który stanowi zagrożenie dla ciebie, dla mnie i dla całego naszego ruchu. – Armstrong zauważyła, że chyba przesadza i szybko się poprawiła: – Saro, kiedy rozwiążemy problem Sheltona, omówimy ze szczegółami twoje niepokoje. Zgoda?

Sara Duhey przyjrzała się starszej Siostrze i skinęła głową.

– Zgoda.

– Dziękuję ci...

Wyszły razem z sali sto trzydzieści trzy. Burza jeszcze się nasiliła i szalała, wstrząsając budynkami.

Rozdział czternasty

– Pęknięcie, które ma ochotę wyglądać jak królika tropy... – David badał siateczkę cienkich linii, przecinających sufit jego pokoju, i raz za razem powtarzał słowa wierszyka: „... ma dziwną ochotę wyglądać jak królika tropy”. Gdzie on to czytał? Czy to zdanie właśnie tak brzmiało? Nieważne. Żadne pęknięcie i tak nigdy nie wygląda jak ślady królika, poza tym administrator obiecał zatynkować nierówności, więc zajmowanie się tym było bezowocne.

Przewrócił się na bok, wsunął rękę pod głowę i zaczął spoglądać w okno. Zimny siekący deszcz rozmywał kontury budynków znajdujących się po drugiej stronie ulicy.

Od koszmarnej przeprawy z Dockertym minęły niemal dwie doby. W dniu po przesłuchaniu David starał się wykonywać szpitalne obowiązki jakby nigdy nic, ale przypominało to pracę w zamrażalniku. Żaden wirus nie rozprzestrzenił się szybciej niż wieści o postawionych mu zarzutach. Większość pielęgniarek i lekarzy robiła wszystko, co możliwe, by go unikać. Kiedy przechodził, szeptano za jego plecami, niektóre pielęgniarki wręcz wytykały go palcami. Nieliczne osoby, które chciały z nim rozmawiać, dobierały słowa z ostrożnością, z jaką stawia kroki saper idący przez pole minowe.

Nie minęło południe, a już miał dość. Aldous Butterworth i Edwina Borroughs byli jego jedynymi pacjentami, przy czym Butterworth właściwie wrócił pod opiekę doktor Armstrong. Krążenie w zoperowanej nodze było lepsze niż w nie zoperowanej. Edwina Borroughs chciała iść do domu i w sumie nie było wielkiej różnicy, czy wypisałby ją jutro, czy dziś. Zanotował w historii choroby Butterwortha uwagę o zdjęciu szwów za trzy dni, wypisał zalecenia poszpitalne Edwinie Borroughs i posłał ją do domu.

Właśnie szedł do głównego wyjścia, kiedy wpadła na niego Dotty Dalrymple. Przeprosili się, po czym pielęgniarka spytała:

– Idzie pan do swego gabinetu? Miał ochotę skłamać, odparł jednak:

– Nie. Zwolniłem się i idę do domu.

Zaskoczyło go zainteresowanie i troska w jej oczach. Choć znali się sporo czasu, nigdy ze sobą długo nie rozmawiali.

– Doktorze, chciałabym, by pan wiedział, jak bardzo mnie przygnębiła wczorajsza impreza.

– Była pierwszą osobą, która powiedziała coś wprost na ten temat.

– Mnie też.

– Nie mieliśmy dotychczas okazji się lepiej poznać, ale słyszałam od moich pielęgniarek sporo na temat pańskiej pracy... same komplementy. – Twarz Davida stężała w półśmiechu. – Ta gadka nie jest warta żetonu telefonicznego, tak pan sądzi, prawda? – Uśmiech Davida zrobił się nieco szerszy i mniej napięty. Dalrymple oparła mięsiste ramię o ścianę. – Obawiam się, że nie mam dobrych wieści, powiem więc tylko tyle, że był u mnie dziś rano porucznik Dockerty. Pańskie nazwisko pojawiło się tylko raz i moim zdaniem, mimo wczorajszego cyrku, nie uważa pana za winnego.

– Sądząc po reakcji w szpitalu dziś rano, panno Dalrymple, muszę powiedzieć, że jeśli naprawdę tak uważa, to jest w mniejszości. Mam poczucie, że panuję nad własnym życiem tak samo jak mysz laboratoryjna i... przynajmniej w tej chwili... porucznik Dockerty zajmuje dalekie miejsce na liście moich ulubieńców.

– W pańskiej sytuacji czułabym się chyba tak samo. – Dalrymple pomilczała przez chwilę, jakby szukała słów mogących przedłużyć konwersację, wzruszyła jednak tylko ramionami, kiwnęła głową i odeszła.

Kiedy oddaliła się kilkanaście kroków, David ruszył za nią.

– Panno Dalrymple, przepraszam! Jeśli miałaby pani jeszcze chwilę czasu... jest chyba coś, w czym może mi pani pomóc. – Przełożona pielęgniarek zwołniała kroku i odwróciła się majestatycznie jak szkuner. Patrzyła z oczekiwaniem. – Wczoraj miała pani historię choroby Charlotte Thomas. Czy mógłbym ją pożyczyć na jeden dzień? Nie mam pojęcia, czego szukać, ale może jest tam coś ważnego, co wszyscy przeoczyli...

Mina przełożonej posmutniała.

– Przykro mi, doktorze, ale to była kopia. Oryginał ma porucznik. – Zawahała się. – Właściwie nawet i tej kopii już nie mam. – David przyglądał się uważnie. Zastanawiał go sposób, w jaki wyważała każde słowo. – Dziś... ee... rano ją... oddałam, doktorze... Wallace Huttner, mąż zmarłej i... ee... jej adwokat... przyszli do mnie z nakazem sądowym i musiałam ją wydać. Najwyraźniej była to jedyna kopia, jaką pozwolił zrobić porucznik.

David poczuł, że zziębły mu dłonie. Lodowata fala rozchodziła się od nich na całe ciało. Nie miał wątpliwości, co się dzieje; przygotowywano oskarżenie o postępowanie niezgodne z etyką zawodową. Nie było innego wyjaśnienia. Peter Thomas chciał przystąpić do działania natychmiast, jak tylko policja postawi zarzuty. David wzdrygnął się. Thomas zamierzał go oskarżyć o niegodne postępowanie i pomagał mu w tym szef Davida, ordynator oddziału chirurgicznego.

Dalrymple wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia Davida, w ostatniej jednak chwili zmieniła zdanie.

– Przykro mi, doktorze – powiedziała chłodno. – Chciałabym pomóc, ale nie mogę.

David zacisnął usta, by zmusić się do milczenia.

– Dziękuję... – wymamrotał i pognął do wyjścia.

Gdy dotarł do domu, dominującą emocją było kompletne rozczarowanie. Przeszedł kilka razy wzdłuż i wszerz mieszkania, potem – duszony poczuciem bezradności – opadł na łóżko i chwycił za telefon. Postanowił zatelefonować do doktor Armstrong, Dockerty'ego albo choćby Petera Thomasa. Kogokolwiek, byle tylko mieć poczucie, że nie siedzi beczynn timer. Nie mógł się jednak zdecydować na wybranie numeru. Otworzył leżący przy łóżku notes z telefonami i zaczął przewracać kartki z nadzieją, że rzuci mu się w oko jakieś nazwisko. Kogoś, kto mógłby pomóc.

Większość kartek była pusta.

W notesie miał numery telefonów braci – jeden mieszkał w Kalifornii, drugi w Chicago, ale nie zadzwoniłby do nich, gdyby nawet mieszkali przez ścianę. Po wypadku, fазie alkoholowo-

lekowej i szpitalu po cichu usunęli go ze swego życia. Ich kontakt ograniczał się do wysyłania sobie kartek bożonarodzeniowych i zdawkowych telefonów raz na pół roku.

Było kilka nazwisk kumpli z White Memorial. W ciągu ostatnich ośmiu lat niektórzy zapraszali go nawet od czasu do czasu na przyjęcia. Lubiano jego obecność, bo był śmieszny... dopóki nie przestał być śmieszny. Im więcej opowiadał o tym, jak potoczyło się jego życie, tym rzadziej go zapraszano. Od nikogo z tej grupy nie należało się spodziewać rzetelnej pomocy.

Wśród lekarzy, których życie wyznaczają najpierw studia ogólne, potem specjalistyczne w Akademii Medycznej, następnie staż na internie, staż specjalistyczny, małżeństwo, przyjęcie na świat dzieci oraz praktyka prywatna, bliskie przyjaźnie są bardzo rzadkie. W wypadku Davida konieczność powtarzania wielu spośród powyższych etapów sprawiła, że nawiązanie bliskiego kontaktu z drugą osobą okazało się niemożliwe.

Czuł, jak całun samotności zaciska się mocniej i mocniej – nie miał na świecie nikogo. No, poza Lauren, ale była osiemset kilometrów stąd i prawdopodobnie jadła obiad z kongresmanem. Sekundę! Był ktoś: Rosetti. Od dziesięciu lat, zawsze kiedy lądował na dnie albo potrzebował porady, miał do dyspozycji Joeya Rosettiego. Joeya i Terry. W ciągu kilku miesięcy, odkąd był z Lauren, rzadko się z nimi widywał, ale Joey był typem kumpla, który bardzo się czymś takim nie przejmuje.

Podniecony, David znalazł numer restauracji Joeya w Northside i zadzwonił. Jeśli nawet Rosetti nie będzie miał mądrej rady – co było wątpliwe, miewał bowiem rady na wszystko – doda mu otuchy i prawdopodobnie opowie jakąś historyjkę. Już sama perspektywa pogadania z nim podnosiła na duchu.

Grzeczny, poważny głos w Northside Tavern poinformował, że pana Rosettiego nie ma. Radość Davida natychmiast przygasła.

– Nazywam się Shelton, doktor David Shelton. – Podkreślił swój tytuł zawodowy tonem, jakiego używał jedynie wtedy, gdy chciał zarezerwować stoliki w restauracji i pokoje hotelowe albo musiał przebić się przez centralę telefoniczną nieznanego szpitala. – Jestem przyjacielem pana Rosettiego. Może mi pan powiedzieć, kiedy wróci lub gdzie mogę go znaleźć?

Nie trując się zasłanianiem mikrofonu, mężczyzna zawołał:

– Hej, dzwoni jakiś doktor i mówi, że jest przyjacielem Rosettiego. Powiedzieć mu, gdzie jest? – Po kilku sekundach zwrócił się do Davida. – Proszę pana, pan Rosetti pojechał z żoną do domu w North Shore. Ma tu być późnym wieczorem. – David usłyszał jeszcze: – Coś przekazać? – i odłożył słuchawkę.

Cisza i bezruch stały się nie do wytrzymania. Z czystej rozpaczy zatelefonował do Wallace'a Huttnera. Kiedy telefon po tamtej stronie zaczął dzwonić, David musiał pokonać odruchowe, bezwiedne ciążenie ręki w stronę widełek, co udało się jedynie dzięki tak silnemu przyciśnięciu słuchawki do ucha, że aż mu w nim dudniło.

– Słucham, doktorze Shelton, o co chodzi? – powiedział Huttner z taką wyniosłością, że gdyby chciał zmierzyć, jak wysoko się stoi, trzeba by jako jednostek miary użyć lat świetlnych.

– Doktorze Huttner, jestem bardzo zaniepokojony i zdenerwowany tym, co się działo wczoraj wieczór, a także pewnymi sprawami, które zdarzyły się w dniu dzisiejszym. Zastanawiałem się, czy... czy zechciałby pan kilka minut ze mną porozmawiać.

– Mam masę zaległości w wypełnianiu dokumentacji i...

– Proszę! Przepraszam, że unoszę głos, ale niech mnie pan wysłucha. – Przerwał, a ponieważ Huttner nie zaprotestował, westchnął z ulgą. David starał się mówić powoli i spokojnie. – Panie doktorze, wiem, że pomógł pan profesorowi Thomasowi i jego adwokatowi zdobyć kopię historii choroby Charlotte Thomas, musi mi pan jednak uwierzyć, że nie mam nic wspólnego z tym morderstwem. Może wywarłem na panu i paru osobach wrażenie osoby opowiadającej się za zabójstwem z litości, ale tak nie jest. Potrzebuję... potrzebuję pana pomocy... czyjejs pomocy... by przekonać Petera Thomasa i porucznika. Chcę... – W tym momencie David pojął, jak idiotyczny był pomysł tego telefonu. Tak naprawdę nie wiedział, co chce powiedzieć i o co zapytać. Huttner wyraźnie to wyczuwał.

– Doktorze Shelton – oświadczył chłodno – proszę mnie też zrozumieć. Ani nie feruję na pana wyroku, ani nie ogłaszam pańskiej niewinności. Dziś rano towarzyszyłem Peterowi w ramach przysługi należnej staremu przyjacielowi. Nic więcej.

Przysługi należnej staremu przyjacielowi? Jeszcze kilka dni temu Peter Thomas dał wyraźnie do zrozumienia, że ledwie się znają, a teraz byli „starymi przyjaciółmi”. David zacisnął dłoń mocniej na słuchawce i zmusił się do wysłuchania tego, co Huttner miał do powiedzenia. – Rano był u mnie porucznik; wygląda na to, że prowadzi bardzo szczegółowe dochodzenie. Zaczekajmy, w jakim kierunku się potoczy. Jeśli – zgodnie z pańskimi słowami – nie ma pan nic wspólnego ze śmiercią Charlotte Thomas, jestem pewien, że porucznik to udowodni. Jeżeli nie ma pan więcej pytań...

David bez odpowiedzi odłożył słuchawkę.

Kiedy się obudził – w ubraniu – o wpół do szóstej rano, bolały go mięśnie szczęki.

Zabawiał się niemal godzinę liczeniem sekund między błyskiem a następującym po nim grzmotem. Trzy kolejne „pomiarzy” były takie same, co oznaczało, że burza szaleje jakieś dwa i pół kilometra od jego domu. Na tle rozczarowań minionych dwóch dni to matematyczne osiągnięcie było jak zdobycie medalu olimpijskiego. Potem przez piętnaście minut czytał głupią książkę. Dwie minuty podnosił hantle. Kolejne kilka minut czytał. Szarpał się jak człowiek, który nie wie, co z sobą zrobić, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Czuł ten sam niepokój i rozedrganie, co w pierwszych kilku tygodniach na odwyku w Briggs Institute.

Wbił wzrok w telefon i zastanowił się, czy nie zadzwonić ponownie do Lauren. Już kilka razy próbował ją złapać – pod numerem domowym oraz w waszyngtońskich hotelach, w których zazwyczaj się zatrzymywała. Na pewno niedługo wróci. Jeśli nie dziś, to jutro. Jedyne kontakty, jakie z nią miał, to krótka rozmowa tuż przed obrzydliwym przesłuchaniem przez Dockerty’ego w starej auli – zatelefonowała, by przekazać, że będzie cały czas w ruchu, musi bowiem śledzić nastroje po śmierci senatora Cormiera. Przyznała jednak, że dzwoni głównie po to (poza powiedzeniem „cześć”), by się dowiedzieć, czy David mógłby zdobyć dla niej informacje niedostępne dla dziennikarzy, mające związek ze zgonem senatora. Obiecał, że może się o to i owo popytać... jak miał przewidzieć, że w kilka godzin zrobią z niego osobę wyklętą?

Poszedł do kuchni po wodę.

Powiedziała, że będzie dziś w Springfield na pogrzebie. Zostanie tam dzień lub dwa. A może Lauren zatelefonuje i będą mogli się spotkać w Springfield? Może pojedą razem do Nowego Jorku albo... do Montrealu?

Przypadkowe ruchy, nie uporządkowane myśli.

Ponownie otworzył zniszczony kryminał, trochę poczytał, by odkryć, że brakuje ostatnich dziesięciu stron. Niemal na to nie zareagował – praktycznie wzruszył tylko ramionami – i poszedł pod prysznic. Drugi tego dnia. Kiedy zakręcił wodę, zadzwonił telefon.

Pognał do sypialni.

– Hej, gdzie byłeś? – wydyszał. – Martwiłem się. Nawet nie wiedziałem, w jakim jesteś mieście.

– David, mówi doktor Armstrong. Wszystko w porządku?

– Hej? – O cholera... – Przepraszam, doktor Armstrong. Nie, nic mi nie jest. Czekałem tylko na telefon od Lauren i... to znaczy kobiety, z którą...

– David, opanuj się. Zadzwoń za parę minut?

– Nie, nic się nie dzieje. Naprawdę czuję się świetnie. – Rozciągnął sznur telefonu, by podejść do komody, i włożył spodnie. Westchnął i opadł na łóżko. – Tak naprawdę wcale nie czuję się świetnie. Od rana siedzę w domu, połowę czasu czekam, przez drugą zastanawiam się, na co.

– Ale nie...

– Nie, nawet nie miałem zamiaru – odparł, zmuszając się do śmiechu. – Żadnej tabletki ani kropelki. Mówiłem przecież w restauracji, że nic mnie nie zmusi do powrotu. – Prawda była jednak taka, że kilka razy miał chęć napić się i choć potrzeba była przelotna i zbyt krótkotrwała, by stać się zagrożeniem, po tylu latach sam fakt jej pojawienia się był zatrważający.

– To dobrze. Cieszę się. I bardzo przepraszam, że tak długo nie telefonowałam.

– Rozumiem. – Wtrącił to z nadzieją, że oszczędzi doktor Armstrong niemiłych opisów kłębiącej się wokół niego... i jej... burzy w szpitalu. – Jest coś nowego?

– Właściwie nic. Nasz przyjaciel porucznik od niedzieli siedzi na okrągło w szpitalu. Wpada do mnie albo do Eda Liptona, ale tylko po to, by się pokazać, i znika.

– Wczoraj miałem okazję rozmawiać z panną Dalrymple i poprosiłem ją o kopię historii choroby Charlotte Thomas. Pomyślałem sobie, że może dokładne jej przejrzenie oświeci mnie.

– Dała ci ją?

David nie dosłyszał zdradzającego zainteresowanie charakterystycznego uniesienia głosu.

– Nie. Już jej nie ma. – Streścił rozmowę z Dotty Dalrymple i Huttnerem.

– A więc jastrzębie krążą – stwierdziła doktor Armstrong.

David uśmiechnął się sam do siebie.

– Krążą i czekają. Czuję się tak cholernie bezradny... Chciałbym coś zrobić, by pokazać, że żyję i walczę, ale nie mogę nawet znaleźć kija, by mieć czym pomachać.

– Rozumiem cię, ale na twoim miejscu siedziałabym i czekała na rozwój wypadków.

– Pewnie ma pani rację, ale bierność nigdy nie była moją mocną stroną. Jeśli nie zrobię czegoś, by wybrnąć z tego bałaganu, to kto to zrobi?

– Ja.

– Słucham?

– Powiedziałałam w restauracji, że zrobię, co się da.

– Pamiętam.

– Mam zaprzyjaźnioną osobę wśród personelu; sprawdza bazę danych pracowników szpitala pod kątem przebytych chorób psychicznych, problemów z narkotykami, wyroków więzienia itepe.

David od razu się podniecił.

– To znakomity pomysł! A może sprawdzić, czy ktoś był zatrudniony w tej samej agencji pośrednictwa pielęgniarek, w której pracowała Charlotte Thomas?

– Możemy spróbować.

– Ustalić, kto kończył tę samą co ona szkołę pielęgniarską i... i aktywistów ruchu praw pacjenta, zwolenników eutanazji i tak dalej... i...

– Hola! Przyhamuj, David. Wszystko po kolei. Nie wyjeżdżaj i nie wychodź nigdzie na długo, żebym mogła się na bieżąco z tobą kontaktować, i zduś w sobie wszelkie autodestrukcyjne odruchy. Ja załatwię resztę, nie martw się o nic. Zamierzasz wrócić do pracy?

– Jutro. Chyba jutro spróbuję. Nie wyobrażam sobie nic gorszego od siedzenia i czekania na zmiłowanie. Dziękuję za telefon, znacznie łatwiej będzie mi się skoncentrować na pracy, wiedząc, że ktoś coś robi.

– Nie martw się, ktoś coś robi...

Margaret Armstrong odłożyła słuchawkę i spojrzała przez uchylone drzwi na czekających przed gabinetem pacjentów. Choć każdy stanowił skomplikowany problem, z każdym bez wątpienia sobie poradzi. Nawet po tylu latach zadziwiała ją, jak wiele może.

„Mamo, proszę cię... co mogę dla ciebie zrobić?”

Teraz wiedziała. Teraz miała wiedzę i władzę, a także rozumiała, ale skąd miała wiedzieć wtedy, co dobre, a co złe? Była wówczas niemal dzieckiem, kończyła dopiero piętnaście lat.

„Zabij mnie. Na Boga, proszę, zabij mnie!”

„Mamo, przestań. Nie wiesz, co mówisz. Pozwól, że dam ci coś na ból. Kiedy poczujesz się lepiej, przestaniesz tak mówić. Wiem, że tak będzie”

„Nie, moje dziecko. Leki nie pomagają. Od dawna nic nie może złagodzić bólu. Tylko ty możesz mi pomóc. Musisz mi pomóc”

„Mamo, boję się. Nie mogę jasno myśleć. Ta pani w głębi korytarza ciągle krzyczy i nie mogę myśleć. Tak się boję. Nienawidzę tego miejsca”

„Weź poduszkę, dziecko. Połóż mi ją na twarzy i przyciśnij najmocniej jak możesz. To długo nie potrwa”

„Mamo, proszę cię. Nie mogę tego zrobić. Musi być jakiś inny sposób. Coś innego. Pomóż mi zrozumieć. Pomóż mi dowiedzieć się, co trzeba...”

Recepcjonistka nacisnęła kilka razy brzęczyk interkomu, a kiedy Margaret Armstrong nie zareagowała, podeszła do drzwi gabinetu i zapukała.

– Doktor Armstrong?

Pchnęła uchylone drzwi i od razu wiedziała, że powinna mieć więcej cierpliwości. Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy pani dyrektor szpitala tak się pogrążyła w myślach, że

zapominała o bożym świecie. Jedna z chwil, kiedy patrzyła przed siebie i, nieobecna duchem, owijała wokół palca pasek materiału. Sytuacje takie były rzadkie i długo nie trwały.

Recepcjonistka przymknęła drzwi i wróciła za biurko. Kilka minut później zahuczał interkom.

Rozmowa z Margaret Armstrong i wspólny plan działania – choć chaotyczny – wlały odrobinę optymizmu w duszę Davida. Dalszą poprawę nastroju zapewniło mu dwadzieścia minut muzyki Bacha i intensywnych, niemal przesadnie ostrych ćwiczeń hantlami. Kiedy wziął prysznic, ubrał się i wyciągnął na łóżku, by przejrzeć czasopismo, w zamku zgrzytnął klucz. Pobiegnął przez hol i niemal już dotarł do drzwi wejściowych, kiedy stanęła w nich Lauren. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz z oklapłym rondem, ale poza tym wyglądała, jakby właśnie wracała z gardenparty.

Jej jasnobłękitna sukienka kleiła się do ciała, w opalonym dekolcie migotał cienki złoty łańcuszek.

Przez kilka sekund jedynie stał i patrzył – nic się nie liczyło. Kiedy spróbował spojrzeć jej w oczy, odwróciła głowę. Nagle poczuł lęk przed dotknięciem jej.

– Witaj w domu – powiedział niepewnie i wyciągnął rękę. Ujęła podaną dłoń i nieco się przysunęła, ale w geście nie było ciepła. Jej chłód i zapach perfum – te same miała w chwili wyjazdu – sprawiły, że poczuł niepokój i pustkę. – Nie miałem pojęcia, kiedy wrócisz – szepnęła z nadzieją, że Lauren zrobi coś, co rozwieje jego obawy.

– Mówiłam przez telefon, że będę się zajmować sprawą Cormiera – stwierdziła i usiadła na krześle w salonie. David dostrzegł, że ominęła kanapę. – Co za cholerstwo, że to się musiało przydarzyć. Ze wszystkich ludzi, z którymi robiłam wywiady w Waszyngtonie, ufałam wyłącznie Cormierowi. Wszyscy mu ufali. Pogrzeb był wzruszający. Przemawiali... prezydent, przewodniczący Sądu Najwyższego...

David nie mógł dłużej wytrzymać napięcia, jakie w nim rosło, i jej nerwowej paplaniny.

– Lauren, jest jeszcze coś, prawda? Chodzi nie tylko o senatora. Coś cię jeszcze gryzie. O co chodzi? Jest mi bardzo... nieswojo z atmosferą, jaka panuje. Mam ci dużo do powiedzenia, ale najpierw musimy trochę oczyścić powietrze. – Przeszło mu przez głowę, że chodzi o innego mężczyznę. Lauren spotkała innego mężczyznę. Jej mina potwierdzała to. Stała przy oknie, zagryzała dolną wargę, przez chwilę wydawało się, że zamierza zapłakać, kiedy się jednak odezwała, w jej głosie nie było smutku, lecz irytacja.

– Gdy przyjechałam pod dom, czekał na mnie policjant. Spędziłam ponad dwie godziny na komisariacie, odpowiadając na pytania porucznika Dockerty'ego... niektóre bardzo osobiste... dotyczące ciebie, nas.

– Wyjaśnił, czego chce? – Davidowi ulżyło, że nie chodzi o innego mężczyznę.

Lauren pokręciła głową.

– Właściwie nie. Z początku był miły, ale stawiał coraz bardziej uszczypliwe pytania, coraz agresywniejsze. W końcu wyszłam, mówiąc, że nie będę rozmawiać bez adwokata. Sugerował, że jesteś poważnie zaburzony i niepotrzebnie cię chronię. Nie mam zielonego pojęcia...

– Niech go cholera weźmie! Kiedy to się wszystko skończy, odpowie za to. Mam tego dość! – David zacisnął pięści, aż zbieleły. – Lauren, to jakiś koszmar. Ten człowiek rozgrywa wendetę. Od samego początku podchodzi do mnie, jakby miał klapki na oczach. Nic złego nie zrobiłem. Zebrał stek bzdur i próbuje mi ukręcić z nich stryczek. – David zaczynał tracić panowanie nad sobą. Czuł to, ale nie umiał się pohamować. Słowa wyskakiwały mu z ust nierównomiernie, były coraz głośniejsze i bardziej piskliwe. – Poradzę sobie z tym stkiem bzdur, które naopowiadał w szpitalu! Ale wciągać ciebie... skurwiel posunął się za daleko! – David chodził po pokoju i walił się pięścią w udo.

– David, przestań! Zachowujesz się jak wariat. Weź się w garść. Umieram ze strachu, kiedy tak się zachowujesz!

David stanął i zmusił się do otworzenia pięści. Wziął głęboki oddech.

– Przepraszam, skarbie. Albo nadmiar żartów, albo szaleństwa. – Słabo się uśmiechnął. – Chyba jestem zbyt... zbyt... – Opadł ciężko na kanapę. – Mogłabyś mnie chwilę przytrzymać? – spytał wyciągając ręce.

Lauren zacisnęła usta. Popatrzyła na podłogę.

– David, musimy porozmawiać – oświadczyła.

– No to mów.

– Moja agencja informacyjna ma wszędzie swoich informatorów. W tutejszym wydziale policji też. Mój szef jest bardzo konserwatywny i niczego nie owija w bawełnę, a jeśli się dowie, że mam do czynienia z... że byłam przesłuchiwana na policji...

– Boże drogi! Przedstawiasz to, jakbym specjalnie chciał ci zaszkodzić! Nie rozumiesz, że niczego nie zrobiłem? Jestem bezzasadnie molestowany przez szaleńca, który wbił sobie coś do głowy, grozi mi zakończenie kariery... albo gorzej... a moja dziewczyna martwi się, że krzywo na nią spojrzysz szef! To chore. Kompletnie popaprane!

– David – choć Lauren powiedziała to cicho, jej głos przepelniała złość. – Powtarzałam nieraz, że nie lubię określenia „dziewczyna”. Teraz, proszę, uspokój się i spróbuj zrozumieć moje stanowisko.

Tak go zatkało, że mógł jedynie patrzeć i kręcić głową. Lauren poprawiła sukienkę, usiadła sztywno i odpowiadała na niedowierzanie agresywnym spojrzeniem.

– Na pewno z przyjemnością się dowiesz – zaczęła – że ze wszystkich niemiłych spraw, które cię czekają, odpadło ci czwartkowe przyjęcie Towarzystwa Sztuki. Po tym jak porucznik odwiózł mnie do domu, zadzwonił Elliot May i spytał, czy się wybieram. Ponieważ wiedziałam, jak niechętnie byś poszedł, wykorzystałam okazję i uwolniłam cię od nieprzyjemnego obowiązku. – Wściekłość w jej oczach była przerażająca. Wydęła wargi niczym dumna dziedziczka fortuny i odwróciła się do okna.

Wstał i zrobił krok ku niej. W przerażającej chwili, w której wszystko zdawało się zatrzymane, czuł, jak traci resztki panowania nad sobą. Zaciskając rozpaczliwie pięści, zrobił kolejny krok w jej stronę.

Nagle zabuczał domofon. David obrócił się na pięcie i pomaszerował na sztywnych nogach do aparatu w holu.

– Słucham?! – wrzasnął do słuchawki.

– Doktorze, tu porucznik Dockerty – zaskrzeczał głos policjanta. – Mógłbym wejść?

– A mam wybór?

Przez najbliższe sekundy jedynym odgłosem w korytarzu był oddech Davida – pełne goryczy, gwałtowne łyknięcia powietrza, powoli się uciszające wraz z odzyskiwaniem przez niego spokoju. Od dwóch dni czekał na wizytę policjanta, a Dockerty musiał sobie wybrać akurat taki moment! Za drzwiami rozległ się nierównomierny chrzęst, informujący o tym, że rozklekotana winda ruszyła w górę. David stał tuż przy drzwiach, wsłuchiwał się w pojękiwanie liny i pogardliwie kręcił głową. Staruszka potrzebowała ponad minutę, by dotrzeć na trzecie piętro. Rozległo się kolejne szczęknięcie i klekot wewnętrznych drzwiczek oznajmił przybycie kabiny. David otworzył drzwi mieszkania w tym samym momencie, w którym Dockerty wychodził z windy. Był w towarzystwie wysokiego policjanta w mundurze.

– Doktorze Shelton, to jest oficer Kolb – przedstawił kolegę Dockerty. – Możemy wejść? – Nie było to pytanie, ale polecenie. David przez sekundę pomyślał o Lauren, wzruszył jednak ramionami i wpuścił funkcjonariuszy.

– Panno Nichols... – Dockerty skinął głową, nie uczynił jednak nic, by przedstawić Kolba.

Lauren wstała i wzięła do ręki płaszcz.

– Jeśli panowie wybaczą... – powiedziała oficjalnie. – Właśnie wychodziłam.

Zrobiła krok ku drzwiom, kiedy Dockerty rzucił:

– Chyba lepiej będzie, jeśli pani zostanieie, panno Nichols.

Lauren popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, zeszywniała, lecz podeszła do krzesła.

David czuł, jak ogarnia go i zmieszanie, i przerażenie.

Dockerty przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w podłogę, potem sięgnął do kieszeni i wyjął szarą kopertę. Wyciągnął z niej bloczek zielonych kartek.

– Doktorze Shelton, poznaje pan to? – spytał, podając bloczek Davidowi.

David przerzucił kilka kartek, po czym wymamrotał:

– Tak, to moje recepty C dwieście dwadzieścia dwa. Nie rozumiem jednak...

– Zamawia się na nich narkotyki?

– Tak, ale...

– Na wszystkich nagłówkach jest wydrukowane pańskie nazwisko, zgadza się?

– Dość tego! – gwałtownie wykrzyknął David. – Mam tego dość! Albo pan powie, czego chce, albo... albo zaraz pan wyjdzie! – niemal wyrzeszczał David. Czuł, jak w żołądku i klatce piersiowej rosą mu i gęstnieją wielkie gule.

– Doktorze Shelton, wysłałem do wszystkich aptek w mieście zapytanie o nazwiska ludzi, którzy w minionym miesiącu kupowali morfinę do wstrzyknięć. – Wyjął z kieszeni na piersi pojedynczą zieloną receptę. – Na tę receptę typu C dwieście dwadzieścia dwa kupiono w aptece Quigga w West Roxbury trzy ampułki siarczanu morfiny. Jest na niej data drugi października, czyli dzień, w którym zamordowano Charlotte Thomas. To pańska recepta, doktorze. Jest na niej wydrukowane pańskie nazwisko.

David wyrwał mu receptę z ręki.

– To nie mój podpis – powiedział odruchowo. Wpatrzył się w podpis, po czym zamknął oczy. Od lat żartowano... sam to robił... z jego podpisu przypominającego drapnięcie kury

pazurem. Kiedyś zażartował nawet, że jego pacjentom mógłby przepisywać leki pozbawiony skrupułów szympanś. Podpis na recepcie, którą trzymał w dłoni, bez problemu uszedłby za jego.

– Może – stwierdził Dockerty – ale zakładam, że jest pański. Doktorze, to nie wszystko. Nakaz rewizji pańskiego gabinetu pozwolił mi nie tylko zatrzymać recepty, ale i to. – Znów sięgnął do kieszeni, by wyjąć niewielką, oprawioną w złotą ramkę fotografię. – Właściciel apteki pan Quigg jednoznacznie zidentyfikował pana jako osobę, która kupowała u niego morfinę.

David wbił wzrok w zdjęcie. Nie umiał się go pozbyć. Zostało zrobione w Boston Public Garden na łódkach z łabędzimi głowami i ukazywało całą rodzinę – jego, Ginny i trzyletnią Becky. Zostało zrobione dwa miesiące przed wypadkiem.

Dockerty jakiś czas milczał, po czym pokręcił głową.

– Davidzie Sheltonie, aresztuję pana pod zarzutem dokonania zabójstwa Charlotte Thomas.

Słowa trafiły Davida jak uderzenie młotem. W jego głowie pojawiło się nieprzyjemne, wysokotonowe buczenie. Kiedy policjant odczytywał mu to, do czego ma prawo, z naklejonej na tekturkę, postrzępionej po rogach kartki, potrząsał energicznie głową, by pozbyć się straszliwego dźwięku. Słowa wypowiedane przez policjanta były niewyraźne i wydawały się chaotyczne. David jakby z oddali obserwował wyciągające się ku niemu umundurowane ręce, które spięły go kajdankami na plecach. „Przeprosiny” Dockerty’ego, że musi zastosować ten środek przymusu, zostały zagłuszone tym niemożliwym do zniesienia buczeniem.

David był tak zdezorientowany i przerażony, że nie wiedział, co robi. Szarpnął się, ale policjant natychmiast wzmocnił uchwyt.

Skonsternowana i zawstydzona Lauren cofnęła się, kiedy wyprowadzano Davida, który potrzebował wsparcia, by móc iść.

Dockerty ruszył za więźniem, odwrócił się jeszcze jednak do Lauren i powiedział:

– Będzie potrzebował adwokata, panno Nichols. Na pani miejscu zadbałbym o bardzo dobrego.

Skinął głową i wyszedł.

Wiatr ustał, ale ciągle jeszcze padał zimny, gęsty deszcz. Dockerty zarzucił Davidowi na ramiona wiatrówkę i zapiął suwak z przodu. Choć do radiowozu było niedaleko, David dotarł tam przemoczony do nitki. Przed oczami przesuwwały mu się absurdalne, nie powiązane ze sobą obrazy. Migocząca na dachu radiowozu niebieska lampa... drobne, idealnie sześciokątne oczka siatki dzielącej tył radiowozu od przedniej części... grupki zaglądających przez szyby zmokniętych przechodniów. Obrazy były nieruchome, jak groteskowy pokaz slajdów.

Komisariat... światła... mundury. Potem dołączyły się głosy.

– Proszę opróżnić kieszenie... synu, słyszysz mnie? Synu... To jego portfel... spis, co potrzebujesz, z prawa jazdy... Daj prawą rękę, najpierw kciuk... Tutaj, stań tutaj... teraz druga ręka... Posłuchaj, człowieku, to tylko numer, niech wisi... Głowa prosto... teraz się odwróć, nie, nie tak, w drugą stronę... Trójka jest pusta, wsadź go tam.

A jeszcze później zaczęły rozlegać się hałasy. Drapanie metalu o metal... głośny brzęk – może to winda? – nie, nie w tym miejscu... To nie może być winda. Muzyka... skąd? Skąd dolatuje ta muzyka?

Znowu dotarły do niego głosy.

– ... tutaj, szefie, tutaj... światła, dajcie więcej światła. Ten zasrany szlug rozmiękł... Gdzie ten kurewski obiad? Nie karmią tu?

W końcu zaczęły migotać szerokie, rozmazane pasma. W górę i w dół, przed samymi oczami. Powoli migotanie ciemniało, a pasma robiły się węższe... Kraty! To kraty!

I nagle wszystko zaczęło zagłuszać buczenie. W głowie eksplodowały mu obrazy innych krat i przepierzeń.

– Nie! Boże, tylko nie to! – zawył. Gwałtownie się odwrócił, opadł na kolana obok klozetu i zaczął niepohamowanie wymiotować do wody, już i tak mętnej od środka dezynfekującego.

Nie zdając sobie sprawy, że z ust i nosa sączy mu się żółć, David popęzł po kamiennej podłodze i rzucił się na metalowe łóżko. Jeszcze zanim przestał pochlipywać, zapadł w lodowate objęcia nienaturalnego snu.

Rozdział piętnasty

– Czas wstawać, synu. W filizance masz trochę listeryny. Ochlap sobie twarz wodą i przepłucz usta. Pomoże ci się obudzić.

David nieco uchylił powieki. Pierwszy widok dzisiejszego dnia niczym nie różnił się od ostatniego widoku wczoraj. Widział kraty. Tym razem była to biało-niebieska kratka na spoczonej poduszce, na której leżał.

Strażnik miał nalaną twarz, mógł niedawno przekroczyć pięćdziesiątkę, a brzuszko zwisało mu dziesięć centymetrów nad paskiem. Opierał się o ramę otwartych drzwi i cierpliwie przyglądał się, jak David wstaje i wyciera z kącików oczu resztki snu.

– Możesz mówić, synu?

David skinął głową, przyjrzał się strażnikowi zmrużonymi oczami i zaczął płukać usta. Strażnik zdawał się nie śpieszyć, więc David porozciągał mięśnie karku i pleców, by pozbyć się bólu, równocześnie próbował dojść ze sobą do ładu. Wczorajsze zamieszanie i przerażenie odpłynęły na kilka chwil. Zastąpiła je dziwna, ale dość wygodna iluzja dobrego samopoczucia. Trzymając kolana wyprostowane, David skłonił tułów i przytknął do podłogi czubki palców. Spokój... Był na dnie szamba, świat wokół zwariował, a on czuł spokój...

Przypomniał sobie. Było to w trakcie obozu letniego. Miał jedenaście – nie, dwanaście – lat i kiedy odpłynął daleko od pomostu, złapał go nagły skurcz żołądka. Natychmiast znalazł się na dnie, ból przeszywał trzewia, a woda wciskała się do płuc. Wtem – tak samo nagle jak się zaczął – ból i przerażenie zniknęły i zastąpił je ten sam co teraz obojętny spokój. Umierał tak jak wtedy – był bezradny i umierał.

Przypominające rzodkiewki policzki sierżanta poruszyły się, a usta ułożyły w uśmiech.

– Cieszę się, że lepiej się pan czuje. W nocy chłopcy mocno się niepokoiли. Powiedzieli, że nie był pan w stanie nawet utrzymać monety, by zadzwonić, na co pozwolili. – Kiedy David nie odpowiedział, dodał: – Czuje się pan lepiej, prawda?

– O tak, czuję się świetnie, dzięki. – David szukał w ciele i duszy kolejnych bolesnych śladów. – Gdzie... gdzie jestem?

– W pierwszej dzielnicy – strażnik popatrzył z niepokojem. – Jest pan w areszcie pierwszego komisariatu w Bostonie. Rozumie mnie pan? – David skinął głową. – Musimy iść. Mam pana dostarczyć do sądu. Sędzia i ludzie w sądzie pomogą panu. Niech się pan nie martwi.

David ze zdziwieniem patrzył, jak policjant zatrzaskuje mu na prawym nadgarstku kajdanki i wyprowadza go z celi. Uśmiechnął się grzecznie do siwego Murzyna, któremu zatrzaśnięto na rękę drugą obrączkę. Ze spokojem, całkowicie mechanicznie, wbił wzrok w uwięzione dłonie – czarną i białą – i poszedł za nimi na tylne siedzenie radiowozu.

– Lyons – mruknął Murzyn, kiedy samochód ruszył. – Reggie Lyons. – Na jego mądrej twarzy były niezliczone drobne zmarszczki, wyrzeźbione przez lata ciężkiego życia, oraz parę grubszych, które musiały być efektem bardziej konkretnych przeżyć.

– David. Ja jestem David.

– Pokonujesz tę drogę po raz pierwszy, co? – spytał Lyons.

David wzruszył ramionami i nie przestając wyglądać przez okno, pokręcił głową. – To się dobrze przygotowuj. Dołek w Suffolk jest najgorszy. Dziura jak cholera. – David patrzył na jadącego obok radiowozu motocyklistę i skinął głową. – Hej, nic ci nie jest? Zresztą co to mnie obchodzi, zwariować to i tak pewnie lepiej. Trzymaj się tylko starego Reggiego, zajmie się tobą.

„Dołek” był w rzeczywistości klatką – poczekalnią dla więźniów oczekujących na rozprawę. Wepchnięto do niej dwudziestu mężczyzn – gwałcicieli, pijaków, włóczęgów, morderców, ekshibicjonistów – a wszyscy byli „do udowodnienia winy niewinni”. Na zewnątrz kilku adwokatów przekrzykiwało kolegów po fachu i hałas w klatce.

– Perkins, który z was jest Perkins?

– Naprawdę, Arnold, mam w dupie, czy chłopak jest winny, czy nie. Albo uda się zbić pierwsze oskarżenie policji i oszczędzi nam to procesu, albo osądzą go za obydwa i spędzi trzy do pięciu lat w Walpole...

– Posłuchaj, dzieciaku, wiem, co widziałeś w serialu o Perrym Masonie, ale to się tak nie odbywa. Dziś nie rozmawiamy o winie, lecz o pieniądzech. Jeśli je masz albo możesz zdobyć, wyciągniemy cię, inaczej będziesz czekał na proces przy Charles Street. Nikogo dziś nie obchodzi, co masz do powiedzenia. Dziś chodzi o zwolnienie za kaucją. Rozumiesz? Zwolnienie za kaucją.

David wbił się w kąt klatki i patrzył przez gęstą siatkę na umieszczone wysoko okno, tak brudne, aż żółtoszare. Krok po kroku powracała rzeczywistość, wraz z przerażeniem. Pomyślał o szpitalu. Na salach operacyjnych najprawdopodobniej zajmowano się już drugą zmianą pacjentów.

– David, masz adwokata? – Reggie Lyons stał tuż obok. Kiedy mówił, w kąciku ust podskakiwał mu pognieciony i złamany papieros.

– Co? Nie, nie mam. Przynajmniej nic o tym nie wiem. – Poczuł za mostkiem nieprzyjemny ucisk. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł.

Kiedy ostatni raz biegł wzdłuż rzeki. Rozejrzał się po klatce, coraz bardziej uświadamiając sobie rzeczywistość i popadając w beznadziejną rozpacz.

– Shelton? David Shelton. Który z was to Shelton? – Przysadzisty woźny miał może sześćdziesiątkę. W jego wyglądzie i spojrzeniu było coś, co sugerowało, że w wolnym czasie uwielbia wyrywać skrzydła owadom.

Reggie Lyons pochylił się do Davida i szepnął:

– Teraz się tylko nie bój. Idź, gdzie każą i myśl o plaży albo jakiejś lasce. Mundury to tylko przebranie, a frajerzy się bawią, by zrobić jak największe wrażenie i nas przestraszyć.

David odwrócił się i spojrzął w starą... nie... w pozbawioną wieku twarz Reggiego.

– Dzięki – powiedział zachrypłym głosem. – Wielkie dzięki.

Stary Murzyn uważnie popatrzył na Davida, potem ujął jedną z jego dłoni w swoje. Były pełne zgrubień.

– Trzymaj się, człowieku – szepnął. – Nie daj się. Zanim David wyszedł z klatki, woźny zapiął mu kajdanki.

Po chwili siedział na miejscu dla więźniów – ogrodzonym kwadratowym podwyższeniu o boku mniej więcej półtora metra i wysokości metra, drewnianej wyspie, oddzielającej siedzącą w niej osobę od reszty sali. Kazano Davidowi stać, więc oparł nogi o niskie obramowanie i wchłaniał nowe słowa, głosy i obrazy, wdzierające się w koszmar, którego był elementem.

Oskarżenie czytała wyglądająca na starą pannę kobieta, która sprawiała wrażenie urodzonej na tej sali sądowej.

– Sprawa trzy-jeden-dziewięć-cztery-siedem; powód John Dockerty wnosi w imieniu hrabstwa Suffolk oskarżenie, według którego drugiego października w mieście Boston w tym samym hrabstwie David Edward Shelton, łamiąc kodeks karny, rozdział dwa sześć pięć, punkt pierwszy, dokonał zabójstwa Charlotte Winthrop Thomas, wstrzykując jej siarczan morfiny.

Do sądu dotarł wniosek o uznanie oskarżonego niewinnym.

David oparł się mocniej o obramowanie i słuchał krótkiego przedstawienia sprawy przez prokuratora okręgowego, sprytnego młodzieńca, z dwoma pierścieniami na każdym ręku. Docierały do niego jedynie strzępy słów i kawałki zdań.

– ... z premedytacją... pozbawione skrupułów nadużycie wiedzy fachowej i umiejętności... dokonując wstrzyknięcia... jednoznacznie ujawnione... morderstwo, tak haniebne jak każde...

– Doktorze Shelton, czy rozumie pan stawiane panu zarzuty? – automatycznie spytał sędzia i David kiwnął głową. – Proszę potwierdzić na głos. Czy rozumie pan zarzuty?

– Rozumiem – wydusił z siebie David.

– Czy ma pan adwokata?

Przez kilka sekund panowała cisza, po czym odezwał się głos z ostatnich rzędów.

– Tak, ma, Wysoki Sądzie. – Chudy człeczyna w trzyczęściowym garniturze z tenisu wstał i szybkim krokiem ruszył w kierunku sędziego przejściem między rzędami krzeseł.

– Reprezentuje pan tego człowieka, panie Glass?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Proszę zapisać, że oskarżony jest reprezentowany przez pana Benjamin Glassa.

David zmrużył oczy i zaczął przyglądać się człowiekowi, który podał się za jego adwokata. Miał czarne przerzedzające się włosy, starannie zaczesane tak, by zakrywały początki łysiny, podniszczoną brązową aktówkę, szeroką złotą obrączkę z wrytymi skomplikowanymi zawijasami...

Glass podszedł i uśmiechnął się w sposób mający dodać otuchy.

– Wszystko gra? – spytał łagodnie. David skinął głową. – Jest pan blady jak duch. Potrzebuje pan lekarza albo coś w tym stylu? – David pokręcił głową. Adwokat miał śniadą, niemal oliwkową cerę, i twarz, która choć nie była pomarszczona i sprawiała wrażenie młodej, zdawała się emanować doświadczeniem i pewnością siebie. Ciemne obwódki pod oczami podkreślały intensywność spojrzenia. – Przepraszam, że się spóźniłem, Lauren skontaktowała się ze mną dopiero dziś rano. Wyciągnę pana stąd i pójdziemy porozmawiać.

Ben Glass podszedł do sędziego.

– Wysoki Sądzie, chciałbym złożyć wniosek o zwolnienie za kaucją oraz przeprowadzenie rozprawy wstępnej w celu ustalenia zasadności oskarżenia. – Spojrzał na Davida kątem oka, niemal omdlewająco, ale jego postawa i ułożenie głowy świadczyły, że wie, co robi.

David doszedł do wniosku, że to musi być świat Glassa – jego sala operacyjna – i cicho szepnął: „Dziękuję, Lauren”. Po raz pierwszy w ciemnym tunelu zamigotało światelko.

– Z powodu? – spytał sędzia.

– Wysoki Sądzie, doktor Shelton jest szanowanym chirurgiem bez przeszłości kryminalnej i w ostatnim czasie nie zrobił nic, co sugerowałoby konieczność prowadzenia obserwacji psychiatrycznej.

– Świetnie. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce.

– Wysoki Sądzie – powiedział Glass z niedowierzaniem. – Ten człowiek jest lekarzem, a nie milionerem. Proszę nam oszczędzić wycieczki do sędziego Sądu Najwyższego z zażaleniem. Niech będzie sto tysięcy, ale proszę pozwolić zapłacić firmie wpłacającej kaucje.

Sędzia przez chwilę stukał czubkami palców obu rąk i w końcu stwierdził:

– Niech będzie, panie Glass. Sto tysięcy kaucji.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Adwokat ujął Davida pod ramię i wyprowadził go z sali. Woźny szedł tuż za nimi.

– Już jest pan prawie w domu, David. Mój przyjaciel, który zajmuje się wpłacaniem kaucji, zechce dziesięć tysięcy. Ma pan tyle?

– Chyba... chyba nie.

– Co z rodziną? Może pan pożyczyć od rodziców albo kogoś innego?

– Moi rodzice nie żyją. Mam... dwóch braci i... może mogłaby pomóc ciotka. Co będzie, jeśli nie zdobędę pieniędzy?

– Nic przyjemnego. Miejsce, w którym spędził pan minioną noc, to pałac w porównaniu z Charles Street, gdzie zapewne by pana posłali. Coś panu powiem. Maury Kaufman, ten gość od kaucji, tak się na mnie napasł, że jest mi co nieco winien. Prędzej zgodzi się poczekać jeden dzień, niż stracić dopływ klientów. Dziś jest środa, wystarczy, jeśli dostarczy pan gotówkę do piątku rano. Może być?

– Niech będzie. – Woźny rozpiął Davidowi kajdanki i wepchnął go z powrotem do klatki. – No... i dziękuję, panie Glass.

– Mam nadzieję, że nie odbierze to panu pewności siebie, ale podczas gdy pan uczył się w Akademii Medycznej naśladować Boga, ja byłem hipisiastym dzieckiem-kwiatem, którego pałowano na demonstracjach antywojennych. Jestem Ben. Możesz mi mówić per „panie Glass”, jeśli pomoże ci to lepiej strawić myśl o moim honorarium. – Odwrócił się i ruszył przed siebie, a woźny zatrzaskał drzwi klatki.

– Ten Glass to twój adwokat? – Papieros w kącie ust Reggiego Lyonsa zastąpiła wykałaczka.

– Chyba... chyba tak. – David z przyjemnością dosłyszał w swym głosie ślad życia.

– No, to dobrze. Mogę przestać się martwić. Nie wygląda specjalnie, ale widziałem go kilka razy w sądzie. Ten koleś to tygrys. Nie ma lepszego.

– Dzięki, że to mówisz, podnosisz mnie na duchu. – David nawet się uśmiechnął. – Naprawdę mi pomogłeś. A tak poza tym, za co tu jesteś?

Lyons uśmiechnął się i machnął ręką.

– Jestem tylko chwilowo. Wpadłem na sekundę...

Napis nad barem oznajmiał:

DELIKATESY PADDYEGO O'BRIENA MIEJSCE, GDZIE SIĘ PODAJE NAJLEPSZĄ
SIEKANĄ WĄTRÓBKĘ I GDZIE URZĘDUJE NAJSŁAWNIEJSZY IRLANDZKI ŻYD OD
CZASÓW MAJORA BRISCOE.

– Nigdy o tym miejscu nie słyszałem. – David uśmiechnął się i usiadł na drewnianej ławce naprzeciwko Bena. Wszędzie było widać koniczyny i Gwiazdy Dawida. Na ścianie nad boksem, w którym siedzieli, obok fotografii grupy obdartych irlandzkich rewolucjonistów wisiało zdjęcie wymuskanego jak na paradę oddziału izraelskich czołgistów.

– Jesteś Żydem? – spytał Ben.

– Nie.

– Irlandczykiem?

– Też nie.

– To nic dziwnego, że nie znasz tego miejsca. Prędzej czy później większość ludzi tu jednak trafia... tak jak i ty.

– Dzięki tobie.

– Taka moja robota – odrzekł Ben, jakby stwierdzał oczywisty fakt. – Jeśli któregoś dnia pęknie mi wyrostek, może dzięki tobie uda mi się wrócić tu, by rozkoszować się wątróbką. Tak ten świat działa, czyż nie?

– Chyba tak. – Zdawał sobie sprawę z tego, że zarówno luzacka rozmowa, jaką prowadzili od opuszczenia gmachu sądu, jak i wybór hałaśliwej i tętniącej życiem restauracji to świadomie przemyślane działania. Były w samej rzeczy bardzo mądre. Po trochu się rozluźniał. Pojawiała się nadzieja.

Ben zamówił „talerz przystawek”, który mógł nasycić dziesięć osób. Przez chwilę jedli w milczeniu, potem oświadczył:

– Może to niezbyt eleganckie, że czekałem, aż zjesz, z omówieniem sprawy mojego honorarium, ale dzieciaki też zawsze trzeba najpierw nakarmić, zanim sprawi im się burę. Będzie mi się należeć dziesięć tysięcy.

David zamarł, potem wzruszył ramionami i napił się wody. Uświadomienie sobie w tak krótkim czasie, że jest winien ludziom dwadzieścia tysięcy dolarów, to nie byle co.

– Nie mam tyle – powiedział głucho.

– Jeśli chodzi o moje honorarium, będę trochę cierpliwszy niż Maury od kaucji, ale oczekuję zapłaty.

David zacisnął usta.

– Sądzę, że po oskarzeniu o morderstwo i spędzeniu nocy w celi nie czas na fałszywą dumę. Na pewno uda mi się pożyczyć pieniądze, jeśli na tyle zegnę karku, by poprosić parę

osób. Sądzę, że bracia zechcą pomóc. Mam też przyjaciela, do którego należy Northside Tavern...

– Rosettiego?

– Znasz Joeya?

– Nie bardzo, ale wystarczająco, by wiedzieć, że dobrze mieć takiego kumpla. Jakoś godzi kolegowanie się z ludźmi z North End i z establishmentu i nie popada w konflikt z żadną ze stron. Jeśli jest twoim przyjacielem, proponowałbym do niego zatelefonować.

– Jeżeli trzeba będzie, nie omieszkam.

– Cóż, jak powiedziałem, oczekuję zapłaty. – Kiedy David skinął głową, Ben dodał: – No to jesteśmy dogadani – i wyciągnął rękę do uścisku. – Powiem teraz, czego możesz oczekiwać za swoje pieniądze i co musisz robić, by mnie nie stracić. Dostaniesz wszystko, czym dysponuję... czas, przyjaciół, wpływy... co zechcesz. W zamian za to chcę tylko jednego, oczywiście poza pieniędzmi. – Zawiesił głos dla podkreślenia słów. – Chcę szczerości. Pełnej szczerości, bez bzdetów i kręactwa. Nie dostaniesz drugiej szansy. Jeśli przyłapię cię na najmniejszym bujaniu, będziesz mógł szukać nowego adwokata. W tej robocie jest dość zaskakujących sytuacji, nawet bez zastanawiania się, czy z kolejną nie wyskoczy klient.

– Nasza umowa w dalszym ciągu obowiązuje.

– To świetnie. Może na początek opowiedz mi trochę o sobie. Zakładaj, że kompletnie nic nie wiem.

W tym momencie podszedł do ich stolika żwawy, nieduży mężczyzna, z piegami i ryżą czupryną, i oparł się o blat. Wokół talii miał zawiązany poplamiony tłuszczem fartuch z wielką Gwiazdą Dawida. Jego akcent powodował, że każde słowo brzmiało jak piosenka.

– Benny, mój chłopcze... Widzę, że znów otwierasz przybudówkę biura.

– Cześć, Paddy, kopę lat. – Ucisnął dłoń przybyszowi. – Lokal nieźle wygląda. Mój kumpel David jest chirurgiem, więc póki nie skończymy pracować, najlepiej trzymaj tę hałaśliwą hałastrę w ryzach, bo każę mu przyszyć twoje klejnoty do tarczy do rzucania strzałkami.

Paddy O'Brien roześmiał się i poklepał Davida w ramię.

– Jeśli dzięki temu zaczną lepiej działać, nie krępuj się. Ale uważaj – zwrócił się do Davida – Benny jest nie tylko mistrzem w kręactwie prawem, ale także w niepłaceniu rachunków. Zabierajcie się do roboty, chłopcy, już wam nalewają dwa duże... od firmy.

– Jedno, Paddy – sprostował Ben. Jego spojrzenie na ułamek sekundy spotkało się ze spojrzeniem Davida. – Dla mnie.

– Duże piwo i cola w drodze – powiedział mały człowieczek bez mrugnięcia okiem.

– A więc mam zakładać, że nic nie wiesz, tak? – stwierdził David z uśmiechem.

– Spóźniłem się do sądu, bo uciałem sobie pogawędkę z Johnem Dockertym – wyjaśnił Ben. – Nie rozmawialiśmy na tyle długo, żeby mógł przekazać zbyt wiele, ale z tym akurat wyjechał od razu. Zrób mi jednak przyjemność i załóż, że nic nie wiem.

– Nie ma sprawy. Jak daleko się cofać?

– To twoja opowieść.

– Moja opowieść... – Na chwilę David zamilkł, przypomniały mu się bowiem fragmenty wydarzeń, mignęło kilka twarzy. – Chyba wszystko zaczęło się dość niewinnie. – Wzruszył ramionami. – Dwóch starszych braci, łagodni, kochający rodzice. Biały płot wokół domu, codzienna harówka. Wszystko się zmieniło, kiedy miałem czternaście lat. Matka zachorowała na raka... zagnieździł się nieodwracalnie w mózgu, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Żyła jeszcze osiem żalosnych miesięcy. Ojciec miał sklepik ze sprzętem elektrycznym i sprzedał go, żeby móc płacić za opiekę nad matką między pobytami w szpitalu. Kilka tygodni przed jej śmiercią dostał zawału. Powiedziano mi, że nie żył, zanim upadł na podłogę. Nie wiem dlaczego, ale od tego czasu chciałem zostać lekarzem. Chirurgiem. Już wtedy.

Minęło wiele lat, odkąd David ostatni raz o tym wszystkim opowiadał. Był zaskoczony, jak łatwo słowa układają się w zdania.

– To jest to, co chcesz wiedzieć? – spytał, na co Ben kiwnął głową. – Do czasu pójścia na uniwersytet zajmowało się mną wujostwo, potem musiałem dbać sam o siebie. Nigdy nie byłem geniuszem, ale wiedziałem, czego chcę i walczyłem. Przez Akademię Medyczną przebrnąłem dzięki stypendiom i dorywczym pracom. Osiągnąłem stan, który wydawał mi się granicą możliwości, ale przekroczyłem ją. Mniej więcej w połowie stażu na internie zacząłem się wykańczać. W szpitalu robiłem za cudowne dziecko, ale poza nim się rozlatywałem. Palilem za dużo, za mało spałem, popadałem w depresję. Walczyłem z tym w jedyny znany sobie sposób, to znaczy, zmuszałem się do jeszcze cięższej pracy. Patrząc wstecz, wiem, że gdyby jakiś dzieciak nie ukradł znaku stopu, runąłbym w przepaść.

Ben zmarszczył czoło na tak dziwne skojarzenie, zaraz się jednak uśmiechnął.

– Kobieta?

David potaknął.

– Ginny. Zderzyliśmy się na skrzyżowaniu, bo nie było znaku. Ironia tego zdarzenia do dziś mnie boli. Poznałem ją dzięki wypadkowi samochodowemu, potem... – Po raz pierwszy w trakcie rozmowy słowa utknęły Davidowi w gardle.

Ben uniósł dłoń.

– Jeśli to zbyt trudne, nie musisz mówić wszystkiego naraz. Prędzej czy później i tak o różne rzeczy zapytam.

David przez chwilę bawił się szklanką, po czym znów zaczął opowiadać.

– Nic mi nie będzie. Przerwij tylko, jeśli zrobię się zbyt rzewny albo nudny.

Ben uśmiechnął się i machnął ręką.

– Pół roku później wzięliśmy ślub. Była dekoratorką wnętrz. Niezwykłą, delikatną osobą. Całe moje życie zmieniło się. Przez cztery lata cokolwiek tknąłem, zamieniało się w złoto. Ordynator oddziału chirurgicznego w White Memorial poprosił mnie, bym został przez dodatkowy rok szefem stażystów, a to praktycznie jedyny sposób dla chirurga, żeby dostać tam etat. Wszystko szło jak po maśle, przynajmniej przez jakiś czas... Urodziła się Becky, skończyłem staż i dostałem kontrakt. Wtedy miałem wypadek. Prowadziłem... szczegóły nie są chyba zbyt istotne, w każdym razie Ginny i Becky zginęły. Ot tak. Ja miałem kilka zadrapań, nic mi się nie stało. Choć wewnętrznie też umarłem. Nigdy tak naprawdę nie wróciłem do pracy i z niemal całkowitego abstynenta stałem się alkoholikiem. Byłem non-stop w cugu, na

szczęście zostało mi dość rozumu, by trzymać się z dala od sali operacyjnej. Próbowałem zajmować się ambulatoryjnie drobiazgami, ale zacząłem brać leki. To tak jakby zamienić się miejscami na Titanicu, aby nie utonąć.

Rano pobudzacie, wieczorem usypiacze. Wiesz, jak to jest. Z początku znajomi byli tolerancyjni, nawet starali się pomagać, ale udało mi się zachowywać tak brutalnie, że po kolei odchodzili. Trwało to niemal rok, w efekcie zostałem zwolniony ze szpitala. Nawet nie wiedziałem, że mnie wywalili, bo byłem w kolejnym ciągu.

– Cholernie trudno się z czegoś takiego wyrwać.

– Samemu tak. W każdym razie któregoś dnia obudziłem się w klatce. Mój ostatni przyjaciel nie wytrzymał, na szczęście dostarczył mnie do szpitala. Briggs Institute. – Ben skinął głową, że zna ten ośrodek. – Miejsce okazało się zbawieniem, choć przez kilka pierwszych tygodni wcale nie było różowo. W drzwiach nie ma klamek, w oknach są kraty. Atmosfera jest tam... nie śpisz?

Ben krótko się roześmiał.

– Lauren i Dockerty powiedzieli mi co nieco, ale nie wspominali o tym. Zamknąć cię po czymś takim... tak jak wczoraj...

David wzdrygnął się.

– Nie mam klasycznej klaustrofobii, przynajmniej tak mi się wydaje. Od pobytu w Briggs myśl o zamknięciu albo uwięzieniu w ciasnym miejscu powoduje jednak, że czuję w brzuchu obrzydliwe szarpanie i jest mi tak zimno... – Przerwał i uśmiechnął się. Nie wygląda to na klaustrofobię prawda?

– Nie lubię etykietek.

– Nieważne. – David przełknął ślinę, by pozbyć się suchości w ustach i wypił pół szklanki wody. – Lećmy dalej... dużo nie zostało. Po kilku miesiącach na odwyku byłem gotów do powrotu do medycyny, ale nie na chirurgię. Prawie trzy lata spędziłem jako lekarz ogólny w jednej z klinik w mieście, potem powtórzyłem ostatnie dwa lata stażu chirurgicznego. Zostałem przed dwoma laty zatrudniony na oddziale chirurgicznym w Boston Doctors. Nie było łatwo, ale trzymałem się krzywej wznoszącej. Przynajmniej do tygodnia wstecz.

– David, to znacznie więcej, niż spodziewałem się usłyszeć. Jestem wdzięczny, że tyle powiedziałaś. To bardzo ułatwi mi sprawę.

David popatrzył ze zdziwieniem.

– Jestem ciekaw, dlaczego nie spytałaś, czy jestem winny morderstwa.

Ben uśmiechnął się i oparł podbródek na dłoniach.

– Pytałem. Wiele razy i na kilka różnych sposobów. Włożyłaś tyle wysiłku w to, by osiągnąć, co osiągnęłaś, że moim zdaniem trzeba poruszyć niebo i ziemię, byś nie musiał więcej krwawić.

– Dziękuję. Ben, kiedy rozmawiałaś z Lauren, czy... no wiesz, pokłóciliśmy się i...

– David, nie zamierzam wtrącać się w niczyje sprawy, ale mogę ci coś powiedzieć. Znam Lauren Nichols od lat. Jest bystrą, niesamowicie piękną kobietą, która, dzięki umiejętnościom albo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, nie spotkała się w życiu ze zbyt wieloma przeciwnościami. Prosiła... hm... poprosiła, bym ci to dał. – Wyjął pochodzącą z papeterii

Lauren różową kopertę i podał ją Davidowi, – Nietrudno się domyślić, co jest w środku, mam rację? – David złożył kopertę w pół i schował ją do kieszeni.

– Chyba nie – łagodnie odparł Ben. – Możesz iść do domu? To znaczy, jeśli potrzebujesz miejsca na noc...

– Dzięki, Ben. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

– Zatelefonuję jutro.

– Jutro...

Stalowego koloru popołudniowe niebo mogło napawać trwogą, ale padający bez przerwy od kilku dni deszcz ustał. Z restauracji Paddy'ego O'Briena do domu Davida było trochę ponad trzy kilometry. Nie mając się gdzie śpieszyć, David narzucił sobie spacerowy krok, wszedł nawet na cmentarz, gdzie leżał Paul Revere. Uznał, że będzie to najlepsze miejsce do przeczytania listu od Lauren.

Po fakcie doszedł do wniosku, że nie było się czym przejmować. Napisała dokładnie to, czego się spodziewał – w dość formalnym tonie w jednej trzeciej dziękowała „za wszystko”, w pozostałych dwóch trzecich wyrażała opinię, że „nie wygląda na to, by sprawy między nami mogły się poukładać”. „Chyba wzięła mnie za kogoś lepszego” – powiedział na głos, drąc list na kawałeczki i ceremonialnie rozsypując różowe skrawki nad jakimś starym grobowcem. Zaskakiwało go, jak mało wzrusza go to rozstanie. Może strata tego związku była po prostu kolejną cegłą, dołożoną do rosnącego muru, który odgradzał go coraz bardziej od życia. Kiedy jednak ruszył w kierunku Boston Common, dotarło do niego, że w obecności Lauren tak naprawdę nigdy nie czuł się swobodnie. Popelnił błąd, próbując zapełnić przy jej pomocy przestrzenie, które opustoszały po śmierci Ginny. Pojął, że od samego początku skazał ich związek na porażkę z powodu nadmiernych nadziei.

Chodniki Common zaczęła wypełniać pierwsza fala idących do domów pracowników. Wymizerowani biznesmeni, chichoczące grupki sekretarek, eleganckie pracownice wyższego szczebla – wszyscy przecinali trawiasty park, dzielący ich dzień od wieczora. Przez jakiś czas David zabawiał się nawiązywaniem kontaktu wzrokowego z każdą osobą, która go mijała. W ciągu kilku minut nie udało mu się to ani razu, choć usiłował ściągnąć wzrokiem jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści osób. W końcu założył się sam ze sobą, że jeśli uda mu się, zanim dotrze do domu, nawiązać z kimś jednoznaczny kontakt wzrokowy, koszmar wywołany śmiercią Charlotte Thomas wkrótce się skończy.

Kiedy doszedł do Commonwealth Avenue, znów zaczął padać deszcz – tym razem drobny, przypominający mgłę. Popatrzył w niebo i przyśpieszył kroku.

Przecznice przed jego domem siedział na ławce starszy pan i czytał popołudniowe wydanie „Boston Globe”. Wyciągnął przed siebie rękę, by sprawdzić, jak mocno pada, i zdecydował doczytać do końca artykuł o dokonanym w Doctors Hospital zabójstwie z litości.

Był na trzeciej stronie, gdzie na dwóch kolumnach opisywano szczegóły aresztowania i oskarżenia Davida. Ponieważ reporterowi sądowemu nie udało się zdobyć zdjęcia Davida, wyciągnął z archiwum zdjęcie Bena Glassa.

Elegancki dżentelmen dokończył lekturę gazety, złożył ją, wsadził sobie pod ramię i ruszył w kierunku domu. Zadumany nad tym, co właśnie przeczytał, nie zwrócił uwagi na mężczyznę próbującego nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

Rozdział szesnasty

– Christine, sprawdź łazienkę! Wszystko jest jak należy? – zawołała Lisa, zapinając suwak spódnicy.

– Liso, w łazience wszystko jest w najlepszym porządku. Już mówiłam, że nie musisz się martwić. Mam do jej przyścia jeszcze godzinę. Zdażę posprzątać. – Christine włożyła płytę w okładkę i odstawiła ją na miejsce na regale. Od telefonu Dotty Dalrymple jej niepokój i rozedrganie ciągle wzrastały. Nie mogła się doczekać wyjścia współlokatorek, aby mieć chwilę spokoju i przygotować się duchowo na przybycie gościa.

Dotty nie wspomniała, dlaczego chce ją odwiedzić, ale Christine nie wyobrażała sobie, by wizyta mogła mieć związek z czymkolwiek innym niż śmierć Charlotte Thomas. Zamierzała nawet zadzwonić do Rejonowej Komisji Kwalifikacyjnej z prośbą o radę, jak się zachować, ale doszła do wniosku, że to głupie – nie wiedziała przecież, o co chodzi.

Lisa wpadła do salonu naga od pasa w górę.

– Carole, włożyć biustonosz, czy dla tego faceta iść bez?

– To przecież randka w ciemno – krzyknęła ze swojego pokoju Carole. – Nie daj się pomacać, to się nie domyśli, czy masz biustonosz.

– A co ty sądzisz, Chrissy? Biustonosz czy bez?

Christine przez chwilę przyglądała się przyjaciółce.

– Ostatnio był kiepski okres – stwierdziła w końcu. – Uważam, że powinnaś iść na całość.

– W jej głosie było znacznie mniej wesołości, niż zaplanowała.

Lisa wzruszyła ramionami i włożyła bluzkę.

– Jesteś napięta jak struna. Chcesz pogadać?

– Przecież wiesz, że gdybym miała coś ważnego, już byśmy rozmawiały. Po prostu panna Dalrymple jeszcze nigdy nie składała mi oficjalnej wizyty. Może chce mnie awansować, ale może chce wywalić. Nie mam pojęcia. Bawcie się, miejcie obie miły wieczór. I dzięki za pomoc w sprzątaniu!

– Hej, momencik! – Lisa pstryknęła palcami i pognąła do swego pokoju. Biegając, mówiła.

– To przyszło w ciągu dnia, kiedy cię nie było. – Wróciła z wazonem kwiatów. – Będą wspaniale wyglądać na oknie... nie, na stole... zaraz, może tam...

– Liso, są przepiękne. Kto je przysłał?

– Kominek! O tak, będą idealnie wyglądać na kominku!

– Liso... kto?!

– Arnold. Arnold Ringer, nasz biurowy łamacz serc. Wariat myśli, że pomogą mu się do mnie dobrać. I wiecie co?

– Ma rację! – zawołały chórem Christine i Carole. Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Christine sprzątała w kuchni. Lisa i Carole pożegnały się i wyszły do czekających amantów.

Jej samotność potrwała dwie chwile i trzy kroki po salonie. Z symbolicznym stuknięciem w tylne drzwi weszła Ida Fine. Pod pachą miała wieczorne wydanie „Globe” i zaczęła paplać, nim Christine zdążyła powiedzieć, że przyszła w złej chwili.

– Gdzie moje pozostałe dziewczyny? Wyszły na randkę? Dlaczego siedzisz sama? – Ida zwykle zadawała pytanie i natychmiast sobie odpowiadała albo dodawała kolejne, zazwyczaj z całkiem innej beczki.

– Poumawiały się, Ido – powiedziała Christine z nadzieją, że tonem głosu da do zrozumienia, iż chce być sama, a nie będzie to zbyt obraźliwe.

– A ty, najładniejsza z całej trójki, z nikim się nie umówiłaś? Jesteś chora, tak? Na pewno źle się czujesz. Mam na górze zupę. Wiem, że wy, pielęgniarki, jesteście zbyt uczone, by wierzyć w takie rzeczy, ale...

– Nie, Ido, nic mi nie jest. – Poza powiedzeniem wprost nie było sposobu na pozbycie się gospodyni. – Jestem dziś wieczór zajęta. Lada chwila ma przyjść moja szefowa z pracy i muszę się przyszykować. Może umówmy się na pogadanie na jutro albo na późny wieczór?

Ida plasnęła o stół gazetą.

– Założę się, że myślisz o tym doktorze, który zamordował tę nieszczęsną kobietę w twoim szpitalu. No, przynajmniej doktor. Moja matka zawsze chciała, bym wyszła za męża za doktora, ale nie, musiałam się uprzeć i wyjść za mojego Harry’ego... Panie miej jego duszę w opiece...

Christine wbiła wzrok w Idę, która nie zamierzała przestać gadać.

– Nie powiem, by był złym człowiekiem, nie pomyśl tak. Potrafił być bardzo dobry, choć czasami...

– Ido, o czym ty mówisz?

– O morderstwie. David jakiś tam. Musi być Żydem. Nie, nie może być Żydem. Żeby żydowski chłopak zamordował pacjentkę? Nie mogę w to...

– Ido, proszę! – Krzyk Christine spowodował, że gospodyni umilkła. – O czym ty mówisz?

– Wszystko tu jest. W „Globe”. Myślałam, że wiesz. Masz, zatrzymaj gazetę, oddaj tylko część telewizyjną. Kiedy byłam na bazarze, zapomniałam kupić „TV Guide”.

Mówiła dalej, ale Christine nie słuchała. Gazeta szeleściła jej w rękach jeszcze po otworzeniu na odpowiedniej stronie i złożeniu w pół. Tytuł brzmiał:

CHIRURG OSKARŻONY O ZABÓJSTWO Z LITOŚCI. ZWOLNIENIE ZA KAUCJĄ.

Najpierw krew napłynęła jej do twarzy, potem odpłynęła.

– O mój Boże... – szepnęła czytając akapit o aresztowaniu i oskarżeniu Davida. – Mój ty Boże...

Ida dalej paplała, ale mówiła wolniej i wreszcie przestała. Christine czytała artykuł słowo po słowie, nieświadoma, że gospodyni wpatruje się w nią z uwagą.

Gospodyni przyniosła z kuchni krzesło i Christine ciężko na nie opadła. Ostatni akapit brzmiał następująco:

„Z godnego zaufania źródła redakcja »Globe« dowiedziała się, że w dniu śmierci pani Thomas doktor Shelton wykupił receptę na dużą ilość morfiny. Mecenas Glass odmówił komentarza, potwierdził jednak przekonanie o niewinności klienta. »Kiedy wszystkie fakty będą zebrane, jestem pewien, że prawda wyjdzie na jaw i mój klient zostanie zrehabilitowany« – powiedział. Doktor Shelton został zwolniony za kaucją stu tysięcy dolarów, nie wyznaczono terminu procesu”.

Ida podeszła do zlewu, zmoczyła szmatkę i wytarła nią czoło Christine. Przez niemal minutę dziewczyna nie reagowała. W końcu skinęła głową i odsunęła dłoń Idy.

– A więc nie wiedziałas? – powiedziała gospodyni. – Znasz tego Davida? – Jakimś cudem ograniczyła się do dwóch pytań.

– Tak. Znam go. – Od momentu kiedy ujrzała go w części Południe Cztery, co rusz myślała o Davidzie Sheltonie. Nie były to myśli uporczywe ani przemożne, ani bliżej określone, ale chodził jej po głowie. Przesłuchanie Dockerty’ego dało pretekst do rozmawiania o nim z innymi pielęgniarkami, bez wzbudzania podejrzeń.

Ida Fine nerwowo zatarła dłonie.

– Chrissy, twoja twarz ma kolor bluszczu. Zaprowadzić cię do łóżka albo... wezwać lekarza?

Christine pokręciła głową.

– Ido, nic mi nie jest. Naprawdę. Muszę tylko przez chwilę posiedzieć sama. Proszę...

– Jak chcesz. Już wychodzę. Już mnie nie ma. – Wydęcie warg, które sprawiło, że słowa wydawały się wypowiedziane obrażonym tonem, było odruchowe. – Gdybyś mnie potrzebowała, jestem u siebie. Mam też coś do jedzenia... gdybyś zgłodniała. I zatrzymaj gazetę. – Mówiła jeszcze po wyjściu z mieszkania.

Christine drugi raz przeczytała artykuł, potem wpisała do notesu nazwisko Bena Glassa i adres jego kancelarii. Po co David kupował tyle morfiny? Do tego w dniu śmierci Charlotte? Czy mógł istnieć aż taki zbieg okoliczności? Możliwe, choć trudne do zaakceptowania. A może tym razem szpitalne plotki były prawdziwe? Może zażywał narkotyki... handlował nimi... albo jedno i drugie... choć intuicja nie pozwalała jej uwierzyć.

Kiedy każdemu uderzeniu serca zaczął towarzyszyć tępy, pulsujący ból, przycisnęła palce do skroni. W sumie nieistotne, po co kupował morfinę – wiedziała, co zrobiła z ampułkami od Stowarzyszenia Sióstr i nie mogła pozwolić, by ktoś za to ucierpiał. A takie się to wydawało słuszne... Nie! To, co zrobiła, było dobre! Chciała tego i Komisja zaaprobowwała propozycję. Nie działała w pojedynkę! Zamknęła oczy, by opanować pulsowanie, które zmieniło się w łomot. Najdrobniejszy ruch powodował, że ból narastał.

– Połóż się... – powiedziała sama do siebie. – Znajdź aspirynę, valium, byle co... i połóż się. – Kiedy spojrzała na kuchenną lampę, musiała zmrużyć oczy, żarówka bowiem zamieniła się w rozpalone słońce. Z trudem wstała. W tym momencie zaterkotał dzwonek u drzwi.

Zrobiła kilka niezbornych kroków w kierunku kuchenki. Herbata – przeszło jej przez głowę – muszę zrobić herbatę. Dzwonek znów zagrzecotał – tym razem natarczywiej.

Christine odwróciła się z jękiem i pobięła do drzwi wejściowych.

Dotty Dalrymple, ubrana w płaszcz koloru ciemnej purpury, wyglądała jeszcze bardziej imponująco niż zwykle. Uśmiechnęła się spod kapelusza z szerokim rondem, o tym samym kolorze co płaszcz, i weszła do środka.

– Jest mokry – powiedziała mając na myśli czarny parasol, który trzymała jak pałkę. – Mogę go gdzieś odstawić? – Zachowywała się bardzo swobodnie.

Kiedy Christine postawiła parasol przy drzwiach i powiesiła podobny do namiotu płaszcz, dudnienie w jej głowie zaczęło słabnąć.

– Herbaty? – spytała, nawet nie zaprosiwszy gościa do środka. – Ma pani ochotę na herbatę?

– Filizanka nie zaszkodzi, Christine. – Uśmiech Dalrymple zrobił się jeszcze szerszy, nie proszona ruszyła przed siebie. – Może w salonie?

Christine trochę się uspokoiła.

– Oj, przepraszam, panno Dalrymple. Nie chciałam być niegrzeczna. Proszę do środka. Przepraszam... przepraszam za bałagan, ale...

– Nonsens – przerwała przełożona pielęgniarek. – To piękne mieszkanie. Rozluźnij się, Christine. Obiecuję, że nie ugryzę. – Rozejrzała się szybko po salonie, wybrała pozbawiony podłokietników, tapicerowany stół, który stał naprzeciwko kanapy, i usiadła. – Mówiłaś coś o herbacie?

– Tak, oczywiście, na kuchence stoi gorąca woda. Muszę tylko podgrzać – powiedziała Christine i ruszyła do kuchni.

– Poproszę z cytryną, jeśli masz – zawołała w kierunku kuchni panna Dalrymple. – Jeśli nie, to bez niczego.

– To potrwa sekundę. – Christine kręciła się chaotycznie po kuchni, odgryzła kawałek herbatnika z jedynej paczki, jaką udało jej się znaleźć. – Cholera... – syknęła i wyrzuciła stare jak świat ciastko do pojemnika na śmieci.

W ciągu kilku minut, potrzebnych do zrobienia dwóch filizanek herbaty i położenia na talerzyku kilku plasterków cytryny, Christine sparzyła się w przedramię i zacięła w kciuk. Kiedy wchodziła do salonu, o mało nie potknęła się o własne nogi: Dotty Dalrymple trzymała na kolanach otwarty egzemplarz „Globe”.

– Sądzę po twojej reakcji, że czytałaś gazetę – stwierdziła na widok Christine.

Dziewczyna zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Jeśli panna Dalrymple wiązała ją z Charlotte Thomas, było bardzo źle. Żałowała, że nie zadzwoniła do Rejonowej Komisji z prośbą o radę.

– Moja... gospodyni przyniosła ją kilka minut temu. To okropne.

– Dobrze znasz doktora Sheltona? – spytała Dalrymple i dała znak, by Christine usiadła.

– Niespecjalnie. Właściwie zamieniliśmy jedynie kilka słów. Spotkałam... poznałam go tydzień temu. – Wiedziała, że mówi zbyt wiele. Czego chciała przełożona?

– Znasz jego życiorys?

Życiorys? Pytanie zaskoczyło Christine. Dlaczego Dalrymple o to pyta? Coś podejrzewa? Zamierza ją kryć? Christine postanowiła kontynuować nic nie znaczącą wymianę zdań, dopóki zamiary przełożonej pielęgniarek nie staną się jaśniejsze.

– Jego życiorys? Nie bardzo. Znam tylko krążące po szpitalu plotki.

– Ten człowiek jest narkomanem i prawdopodobnie także alkoholikiem – prosto z mostu walnęła Dalrymple. – Wiedziałaś o tym? – Christine była tak zszokowana, że nie umiała nic powiedzieć. Po chwili oczekiwania Dalrymple mówiła dalej: – Kilka lat temu usunięto go z White Memorial, w naszym szpitalu został zatrudniony wbrew protestom wielu lekarzy. David Shelton nie jest chlubą medycyny.

W wyobraźni Christine zaczął się tworzyć obraz twarzy Davida – łagodnej i poważnej, z miłymi, uczciwymi oczami. Słowa Dalrymple nie pasowały do wizji.

– Nie wiem... co powiedzieć.

Panna Dalrymple pochyliła się do przodu i wbiła wzrok w Christine.

– Dzielę się z tobą tymi faktami nie bez powodu. – W jej głosie było coś dziwnego, wręcz mistycznego. – Christine, ty i ja jesteśmy Siostrami. Siostrami. Tamtego wieczoru w szpitalu chciałam ci tyle powiedzieć, ale nasze zasady na to nie pozwalają. Należę do Stowarzyszenia Sióstr Życia od początku pracy jako pielęgniarka. Tak naprawdę reprezentuję w zarządzie północny wschód kraju.

– Nigdy bym nie pomyślała... to znaczy, nie podejrzewałabym...

Dalrymple roześmiała się.

– Christine, jest nas kilka tysięcy. Rozsianych po całym kraju. Należą do nas najlepsze pielęgniarki Ameryki, złączone ideałem i przysięgą kazającą pamiętać o ludzkiej godności.

– Czyli wiedziała pani o Charlotte?

– Oczywiście, moja droga. Wszystkie wchodzące w skład zarządu dyrektorki wiedziały, wiedziała cała Rejonowa Komisja Nowej Anglii i Peggy oczywiście też. Reprezentuję je wszystkie. Przyszłam pomóc.

– Pomóc? Mnie?

– Tak jest.

Christine pokręciła głową.

– A kto pomoże doktorowi Sheltonowi?

– Moja droga, nie zrozumiałaś tego, co powiedziałam. – Dalrymple pochyliła się do przodu dla podkreślenia swych słów. – Ten człowiek to...

Christine przerwała uniesieniem ręki i przyłożeniem palca do ust. Kiedy spojrzała w bok, Dalrymple zrobiła zdziwioną minę, ale po chwili popatrzyła w tym samym kierunku. – Coś słyszałam – szepnęła Christine. – Za oknem.

Dalrymple przechyliła głowę i też zaczęła słuchać.

– Nic tam nie ma – powiedziała w końcu. Christine nie była przekonana. Podeszła na palcach do okna i wyjrzała w noc. Podjazd i widoczny fragment ulicy były puste. Stała kilka minut przyciśnięta do ściany, ale nic się nie działo. W końcu wzruszyła ramionami, zaciągnęła zasłony i wróciła na kanapę.

– Był jakiś hałas. Metaliczne szczęknięcie.

– Pewnie kot.

– Możliwe – powiedziała bez przekonania Christine. Dalrymple popijała herbatę i czekała, aż jej podwładna skoncentruje się na tyle, by mogły kontynuować. – Przepraszam... – wreszcie wydukała Christine.

Dalrymple uśmiechnęła się.

– Wiem, przez co przechodzisz, moja droga. Wszystkie przez to przechodziłyśmy, choć jeszcze nigdy przedtem nie miałyśmy, i mam nadzieję, że nigdy więcej nie będziemy miały, do czynienia z czymś takim, co ciebie spotkało. Nasze zadanie nie jest łatwe. Raz za razem trzeba podejmować trudne decyzje, a prawie wszystkie są bolesne. – W jej głosie było coś niepokojącego.

– Co więc pani zdaniem mam robić?

– Nic, moja droga. Zupełnie nic.

Christine wbiła w nią pełne niewiary spojrzenie.

– Panno Dalrymple, nie mogę pozwolić komuś cierpieć za coś, czego nie zrobił. Nie mogłabym z tym żyć.

– Obawiam się, Christine, że jeśli spróbujesz go oczyścić, skrzywdzisz wiele osób...

– Nie... nie rozumiem...

– Peggy – kobieta, z którą rozmawiałas – to Peggy Donner. Niemal czterdzieści lat temu założyła Stowarzyszenie Sióstr Życia i poświęciła jego rozwojowi całe swoje życie.

– I co?

– Christine, ona nie pozwoli na to, byś ty albo którakolwiek z Sióstr została skrzywdzona za robienie tego, co jest dobre. Obawia się, że wyeksponowanie twojej osoby prędzej czy później doprowadzi do ujawnienia Stowarzyszenia.

– To nieprawda! Nigdy nie ujawniłabym niczego o...

– Christine, nieważne, co sądzisz, liczy się to, co sądzi Peggy. Aby odsunąć ryzyko ujawnienia Stowarzyszenia i wzięcia go na języki przez stronnictwą policję i szukającą sensacji prasę, będzie wolała sama ich poinformować. Ma nasze taśmy, Christine. Wszystkie. Obiecała zarządowi, że jeśli pójdziesz na policję, wszystko ujawni. Od kilku lat i tak to planuje, a przed ujawnieniem naszej działalności powstrzymywało ją jedynie zdanie większości, uważałyśmy bowiem, że jeszcze nie nadszedł czas.

Dudnienie w głowie Christine odezwało się na nowo.

– To... to niemożliwe – wymamrotała bezradnie. – To nie dzieje się naprawdę.

– Dzieje się, Christine. Dalsza kariera wszystkich członkiń Stowarzyszenia zależy od ciebie. Cała ta sprawa wcale mi się nie podoba, pomijając to, że nie lubię zdegenerowanych lekarzy w typie doktora Sheltona, ale musisz mi uwierzyć. Znam Peggy od lat i jeśli będzie trzeba, spełni swą groźbę.

Christine mogła jedynie pokręcić głową.

– Chciałybyśmy, byś wzięła kilka dni wolnego – wyjaśniała łagodnie Dalrymple. – Udzielę ci urlopu na, powiedzmy, trzy albo cztery tygodnie. Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekać stanowisko szefowej zmiany. Może masz ochotę pojechać do Grecji? O tej porze roku wyspy są piękne. Spędzisz miesiąc na słońcu i wszystko samo się rozwiąże.

– Nie wiem... nie wiem, czy mogę...

– Musisz, dla dobra nas wszystkich! Uwierz mi, groźba Peggy to nie blef. Uważa, że jeśli jest nas tak dużo, a wszystkie Siostry są szanowanymi pielęgniarzkami, Stowarzyszeniu nic się nie stanie po ujawnieniu. Jeśli udasz się na policję, nic i nikt jej nie powstrzyma. Może ma rację, ale ja nie zamierzam ryzykować kariery i życia.

– Zapanuje chaos...

– Przynajmniej.

– Potrzebuję czasu do zastanowienia.

– Im szybciej wyjedziesz, tym lepiej. Uwierz mi, jeśli opuścisz miasto, łatwiej ci będzie wszystko znieść. – Dalrymple wstała, wyjęła z torebki kopertę i dała ją Christine. – To powinno ci ułatwić podjęcie decyzji. Gdybym mogła w czymś jeszcze pomóc, dzwoń. Christine, skrzywdzenie nawet pojedynczej osoby dla ochrony większej grupy jest niełatwe, ale wybór jest jednoznaczny.

Christine odprowadziła przełożoną do holu, a kiedy ta się ubierała, stała jak sparaliżowana.

– Twoje Siostry – powiedziała na koniec Dalrymple – są wdzięczne za to, co robisz. – Ścisnęła dłoń Christine, odwróciła się i wyszła.

Niebieski samochód, zaparkowany na wysepce cienia, która utworzyła się między dwiema latarniami, był niemal niewidoczny. Leonard Vincent siedział za kierownicą, wpatrywał się w dom i próbował złapać oddech. Czekanie pod oknem i bieg do samochodu spowodowały, że mimo nocnego chłodu zadyszał się i spocił. Jego prawa ręka poruszała się w sposób kolisty, przeciągając ostrze noża po oselce ruchami tak eleganckimi, jak koncertmistrz przeciąga smyczkiem po strunach skrzypiec. Ostrze miało dwadzieścia centymetrów długości, zwężało się ku szpicowi i lekko zakręcało. Uchwyt z rzeźbionej kości niemal ginął w jego dłoni. Sztylet był dumą Leonarda Vincenta – idealnym instrumentem do „pracy na najbliższą odległość”.

Otworzyły się frontowe drzwi i Vincent wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok wielkiej baby, schodzącej pokracznie z betonowych schodów. Kiedy przecinała ulicę, idąc do samochodu, zabawiał się planowaniem tekstu, jaki wpisze do raportu: „Punkt w pół do szóstej do domu wleciał sterowiec”.

Na jego ziemistej twarzy rozkwitł pozbawiony wesołości uśmiech. „Wytoczyła się z domu i poturlała w dół schodami do samochodu. Dokładnie piętnaście po szóstej zaczęła się wpychać do środka, o w pół do siódmej siedziała za kierownicą”.

Zdekoncentrowany własnym dowcipem, zbyt wolno zareagował, kiedy kobieta nagle zakręciła o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęła jechać w jego kierunku. W ułamku sekundy, zanim światła reflektorów rozjaśniły kabinę jego samochodu, zanurkował pod tablicę rozdzielczą, waląc przy tym głową w klamkę drzwi. Sklął klamkę, drzwi, na koniec tłustą babę, z powodu której się walnął. Przede wszystkim jednak sklął siebie za przyjęcie roboty, choć nie wiedział, kto go zatrudnia ani co dokładnie ma zrobić.

Wszystko zaczęło się od telefonu zaprzyjaźnionego barmana.

– Leo, chyba mam coś dla ciebie. Była laska, która pytała, czy nie znam kogoś, kto zechciałby szybko sporo zarobić. Powiedziała, że człowiek musi umieć trzymać głowę na kłódce

i robić, co mu się każe. Próbowałem dowiedzieć się szczegółów, ale tylko popatrzyła, położyła na kontuarze pięćdziesiątka i rzuciła, że będzie więcej, jeśli przyślę kogoś, kto zadaje mniej pytań. Jesteś zainteresowany? Coś ci powiem, Leonard – świrięta, ale z klasą. W każdym razie miała ekstracyce.

Vincentowi od początku nie spodobała się ani baba, z którą gadał, ani układ. Imię, które mu podała – Orchidea – było na milion procent lewe. Ale co tam. Poza nagraniem roboty miała jedynie przynieść po wszystkim szmal.

Na początek dostał dwa i pół kawałka z góry, numer telefonu i kolejne imię – Dalia. Następna lewizna.

Pomasował guza, który zaczął mu się robić nad lewym okiem. Sklął cholerną Dalię, przez którą siedział w huraganie i walił łbem o kretyńską klamkę. Ze smutkiem powiedział sam do siebie: „Spójrz, stary, prawdzie w oczy. Nieważne, ile dostajesz, tym razem spadłeś na dno”.

Obserwował dom. Kiedy nabrał pewności, że Christine Beall nigdzie nie zamierza wychodzić, wsunął nóż do ręcznej roboty w skórzaną pochwę i ruszył wokół kwartału budynków, by znaleźć budkę. Podniesiono po drugim dzwonku. Rozmawiał z kobietą.

– Słucham.

– Leonard. – Jego głos był pozbawionym modulacji chrypieniem.

– Tak?

– Chciała pani, by informować ją o wszystkich osobach, które będą rozmawiać z tą Christine.

– I?

– Właśnie wyszła od niej wielka tłusta baba. Przyszła jakieś trzy kwadransy temu.

– Panie Vincent, miał pan dzwonić natychmiast po tym, jak się z kimś spotka, a nie kiedy gość wyjdzie.

– Hej, nie masz głosu jak Dalia! Mówię z Dalią?

– Panie Vincent, niech się pan uspokoi. Kiedy Orchidea płaciła, podała panu ten numer telefonu, aby składać raporty. Albo zacznie pan pracować zgodnie z instrukcjami, albo będzie pan miał kłopoty. Poważne. Mówię jasno?

Groźba była skuteczna – Leonard Vincent nie bał się rzeczy ani ludzi znajdujących się w zasięgu jego wzroku, ale zimny, bezosobowy głos, to co innego. Znow przeokłął się za wzięcie tej roboty.

– Oczywiście – odparł.

– To świetnie. Jak długo obserwował pan dom po wyjściu kobiety?

– Dziesięć, piętnaście minut. Dokładnie nie wiem. Chyba wystarczająco długo. Beall siedzi w mieszkaniu.

– Bardzo dobrze. Proszę wrócić na stanowisko.

– A co ze spaniem?

– Dostał pan pieniądze, konkretne pieniądze, za obserwowanie i informowanie o tym, co robi obiekt.

Proszę wracać na stanowisko. I nie zapominać, że chcemy być powiadamiani natychmiast, w trakcie spotkania, a nie po wyjściu gościa. Proszę zadzwonić pod ten numer o drugiej w

nocy, to porozmawiamy o śnie. Aha, i jeszcze jedno: zanim dostał pan zaliczkę, sprawdzono pana i wiemy o pańskiej skłonności do ranienia ludzi, czasem bez powodu. Nikt nie zostanie tknięty bez naszego polecenia. Czy to jasne?!

Vincent wzruszył ramionami.

– To wasze pieniądze. – Odwiesił słuchawkę, chwilę popatrzył na automat, a potem splunął na niego. Sprawdził jeszcze, czy nie wypadła moneta i wrócił pod dom Christine.

Światło przebłyskiwało jedynie przez zasłony w salonie. Co kilka minut pojawiała się i znikła sylwetka Christine. Leonard Vincent wziął oselkę, wyjął ze schowka drugi nóż i zaczął pod nosem nie tyle śpiewać, co gdakać melodię na jedną nutę.

Od wyjścia Dotty Dalrymple Christine nie mogła usiedzieć na miejscu. Chodziła z pokoju do pokoju, postukując nie otwartą kopertą o wnętrze dłoni. Nagle popatrzyła na nią, jakby dopiero teraz ją ujrzała, i rozerwała papier.

W środku było pięć paczuszek banknotów, w każdej dziesięć studolarówek.

– Wybór jest jednoznaczny – powiedziała głośno, sprawdzając jak brzmią słowa panny Dalrymple. Znów ujrzała twarz Davida. Popatrzyła na pieniądze i rzuciła je na komodę. – Wybór jest jednoznaczny... – szepnęła.

Rozdział siedemnasty

W czwartek dziewiątego października – kolejny dzień z rzędu – bostońscy spikerzy pogodowi zapowiedzieli koniec głębokiego nizu i deszczu. Czwarty raz się pomylili.

W Huddleston w stanie New Hampshire, półtorej godziny jazdy samochodem na północ od Bostonu, na Crystal Brook, który w sierpniu jest wąskim strumyczkiem, zmyło stu pięćdziesięcioletni zadaszony most.

Na gorącej Route 128, gdzie wypadki nie są rzadkością, ich liczba się potroiła.

David Shelton – jak większość mieszkańców miasta – odczuwał także zdradziecki wpływ deszczu. Mieszkał prawie dwa kilometry od dzielnicy finansowej i kancelarii Wellmana, MacConella, Enrighta i Oilassa. zirytowany i sfrustrowany bezczynnością, postanowił machnąć ręką na burzę i pójść na spotkanie z Benem na piechotę. „Woda zdrowia doda” – stwierdził mądrze i ruszył przez deszcz z głową wciśniętą w ramiona.

Biura kancelarii zajmowały większą część dwudziestodwupiętrowego budynku, obłożonego lustrzanymi szybami, znajdującego się przy Bay State Square pod jedyneką.

– Nic dziwnego, że trzeba mu płacić dziesięć patoli – mruknął David podchodząc do recepcji.

Klientów obsługiwały z pełnym rutyny spokojem trzy kobiety, poruszające się w boksie wielkości gabinetu Davida.

Wyglądał i czuł się jak przytopiony gryzoń. Przez chwilę miał ochotę poprosić poważną recepcjonistkę o ręczniki i nowe ubranie, ale jej wzrok nie zachęcał do tego typu frywolności.

– Pan Glass – zaczął cienko. – Mam spotkanie z panem Glassem. – Recepcjonistka, walcząc z rozbawieniem, wskazała rząd skórzanych foteli. Zadzwoiła do Bena, informując, że przybył klient.

David doszedł do wniosku, że niezależnie od tego, co wydumał sobie dekorator wnętrz, na pewno nie zamierzał czynić mniej podejrzany klientów wyglądających jak zmokłe szczury. Gruba wykładzina w kolorze złota, obrazy olejne na ścianach i dżungla z bambusa oraz olbrzymich paproci tworzyły atmosferę sterylnego przepychu. Za szklanymi szybami znajdowała się dobrze wyposażona biblioteka. Szczególne wrażenie robiło to, że kilka osób korzystało z książek.

Ben wypadł zza rogu, uśmiechnął się i wyciągnął na powitanie obie ręce.

– Albo szedłeś na piechotę, albo mamy jesienną odpowiedź na Burzę z Siedemdziesiątego Ósmego.

– Jedno i drugie. – David ujął dłonie adwokata i mocno je uściskał.

Ben był promykiem słońca, przebijającym się przez gęste chmury, wyspą na oceanie szaleństwa i zamętu.

– Jadłeś już obiad? – spytał, kiedy szli do jego gabinetu.

– Tak, wczoraj. Ale nic nie chcę. Jeśli ty masz ochotę, jedz.

– Pieczeń à la Amy? – Wyjął z szuflady biurka brązową papierową torbę. – Mam jej dużo. Naprawdę nie chcesz?

David pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. – Rozejrzał się po gabinecie. Zagracone pomieszczenie wyraźnie kontrastowało z poprzednimi, które były przy nim ascetyczne. Wszędzie leżały czasopisma – wiele pootwieranych albo pozakładanych charakterystycznymi żółtymi kartkami z adwokackich notatników. Ściany zawieszono poprawianymi w ramki zdjęciami i rysunkami piórkiem.

– Wspólnicy pozwalają ci na tak przyziemny wygląd gabinetu? – spytał David wskazując na bałagan.

– Uważają, że jestem afektowany. – Ben uśmiechnął się. – Jeden z nich określił nawet kiedyś ten gabinet jako „luzacki”. Tysiąc dolców miesięcznie za wynajem, a on mówi luzacki! – Ugryzł kanapkę i żując, kontynuował. – Nawet przemoczony, wyglądasz lepiej niż wczoraj. Trzymasz się jakoś?

– Zostałem pozbawiony prawa wykonywania pracy w szpitalu.

– Co?

– Zawieszony w czynnościach. Była u mnie dziś rano doktor Margaret Armstrong – dyrektor szpitala i jedyna osoba, którą cokolwiek interesuje mój los. Zadzwoiła i spytała, czy może wpaść. Domyślałem się, co ma do powiedzenia, więc poprosiłem, by poinformowała mnie przez telefon, ale nalegała, że chce przekazać złe wieści osobiście. Taka już jest.

– I co?

– Wczoraj wieczór zarząd przegłosował, przy jej sprzeciwie, abym do chwili wyjaśnienia sprawy poprosił o rezygnację z praw należnych mi jako etatowemu pracownikowi szpitala i chirurgowi.

Ben pokręcił głową.

– Ten zarząd nie marnuje czasu.

– Według doktor Armstrong głównym atakującym był Wallace Huttner, ordynator oddziału chirurgicznego. Pomaga mężowi zmarłej przygotować przeciwko mnie pozew o działanie niezgodne z etyką lekarską. Jeśli uzna się mnie winnym zabicia Charlotte Thomas, będą od razu gotowi do oskarżenia z powództwa cywilnego. Doktor Armstrong powiedziała, że umożliwienie mi złożenia podania o zawieszenie mnie w czynnościach na własną prośbę to pójdzie mi na rękę... dzięki temu nie będę miał w aktach adnotacji o zwolnieniu. Chyba zdecydowali się na to, by oszczędzić sobie papierkowej roboty.

– Cholera jasna...

– To dobre wyjście. Już przed aresztowaniem szpital był dla mnie jak góra lodowa. To szalone... nie mam pojęcia, co robić. Spróbowałbym kontratakować, gdybym miał pojęcie, z kim albo z czym walczyć, ale tak...

– Spokojnie. Walka dopiero się zaczyna. Na razie ja będę zadawał ciosy, ale nie martw się, też będziesz miał okazję. Dziś zastanowimy się, kto i dlaczego, jutro zaczniemy planować, co robić. Odpowiedź zjawi się wkrótce. Bądź cierpliwy i nie zrób nic pochopnego ani zwariowanego. Wszystkiego się dowiemy.

David skinął głową i z wysiłkiem się uśmiechnął.

– O, niemal zapomniałem – powiedział i wyjął z kieszeni przemoczoną kopertę. – Dobrze, że woda nie zmywa ołówka. – Podał kopertę adwokatowi. – Doktor Armstrong nie chciała, bym narobił sobie kolejnych kłopotów w szpitalu, więc za obietnicę, że nie będę przychodził, sprawdziła kilka rzeczy. Na kartce są cztery nazwiska ze szpitalnego komputera centralnego. Dwaj sanitariusze z przeszłością kryminalną, pielęgniarka, która kiedyś brała narkotyki, i pielęgniarka opowiadająca się za wprowadzeniem Karty Praw Pacjenta. Nie znam nikogo z tej czwórki. Może to niewiele, ale doktor Armstrong powiedziała, że przekaże nazwiska porucznikowi Dockerty’emu...

Ben przerwał mu.

– Już to zrobiła.

– Co?

– Porucznik niedawno telefonował. Żąda, byście z doktor Armstrong przestali się bawić w Sherlocka i Watsona i pozwolili mu w spokoju wykonywać jego obowiązki.

– Wykonywać jego obowiązki? Ben, ten człowiek spędził tydzień na kamienowaniu mnie. Stoi po drugiej stronie... z nim powinniśmy walczyć.

Ben pokręcił głową.

– Nie, stary, to nieprawda. Jest cholernie dobrym gliną, znam go, odkąd pracuję w zawodzie. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie zależy mu na tym, by ciebie wykończyć.

– To dlaczego mnie aresztował?

– Bo musiał. Ze wszystkich stron wywierano na niego naciski, do tego doszła tona poszlak. Motyw, okazja, narzędzie... no wiesz...

David zacisnął pięści.

– Ale wiem też, że nie zabiłem tej kobiety.

– John Dockerty nie jest w stu procentach pewny, że to zrobiłeś. Inaczej nie próbowałby przyciskać Marcusa Quigga, aptekarza, u którego...

– Mówił o nim, tyle że nie widziałem człowieka na oczy. Dlaczego mnie wrabia?

– Widzę trzy powody: zemsta, strach albo pieniądze.

David pokręcił głową.

– Ben, na sto procent, nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Marcus Quigg to nie tuzinkowe nazwisko jak John Jones. Gdybym kiedyś leczył jakiegoś Quigga... nie, zemsta nie wchodzi w rachubę.

– Może to była jego siostra albo córka. O innym nazwisku.

– Możliwe. – David ze złością klepnął w blat biurka. – Zbyt wiele w tym wszystkim nieprzewidzianych wydarzeń, by dało się uwierzyć, że ktoś chciał mnie zrobić. Zbyt wiele...

– David, nie zrobimy na razie nic więcej poza przemyśleniem tej historii. Nie mamy dość informacji... na razie. – Ben przerwał i szukając słów, kręcił obrączką na palcu. – Cóż, nie zamierzałem o tym wspominać, ale może trzeba. Wczoraj powiedziałem ci, że oczekuję pełnej szczerości. – Kiedy David skinął głową, dodał: – Nie wspomniałeś, że cię oskarżano o świadome przedawkowanie leków u pacjenta z nowotworem.

To prawda?

David zeszytniał. Z niedowierzania wybałuszył oczy.

– Ben, to... szaleństwo. Zdarzyło się dziewięć lat temu. Nie... skąd o tym wiesz?

– Od Dockerty'ego. Nie wiem kto, ale ktoś mu to podsunął.

– Pielęgniarka, to musiała być ta cholerna pielęgniarka! Skąd, do diabła...

– Co się wtedy stało?

– Nic. Naprawdę. Zleciłem podawanie leków przeciwbólowych umierającej staruszce, co cztery godziny, w razie potrzeby. Uwierz, miała naprawdę silne bóle. W którymś momencie stwierdziłem, że cholerna pielęgniarka jest za leniwa, by sprawdzać, czy pacjentka potrzebuje leku, czy nie, zmieniłem więc zlecenie na podawanie co dwie godziny, zmniejszyłem dawkę i wykreśliłem „wedle potrzeb”. Następnego dnia pielęgniarka złożyła na mnie zażalenie. Przeprowadzono dochodzenie i, jeśli się nie mylę, dostała nagane.

– Więc chyba ci się odpłaciła. David, naprawdę musisz mówić o wszystkim. Tobie może się coś wydawać nieważne, ale musisz mi powiedzieć... wszystko muszę wiedzieć. Pojawienie się tej pielęgniarki po tylu latach może być kolejnym zbiegiem okoliczności, ale dlaczego we wczorajszej gazecie był na ten temat artykuł? Jeśli ktoś ją podstawił, to mamy znacznie poważniejsze problemy, niż myślałem. Możliwe też, podkreślam... możliwe, że odpowiedź na wszelkie pytania kryje się w twojej głowie.

– Może... – David zamyślił się i mechanicznie drapał nad uchem.

– Co jest? Co się stało? Przypomniałeś sobie coś?

David pokręcił głową.

– Mógłbym przysiąc, że tak, ale niestety odleciało. Jakies zdanie, które ktoś powiedział o Charlotte Thomas. O tym, że... – Wzruszył ramionami. – No tak, cokolwiek to było... jeśli było... odleciało.

– Idź do domu i odpocznij. Spotkajmy się jutro. O tej samej godzinie?

– Jak najbardziej.

– A może byś przyszedł o czwartej? Masz jutro wolne popołudnie? Pogadalibyśmy, a potem wpadłbyś do nas na kolację. Poznasz Amy i dzieciaki i zjesz coś porządnego...

– Brzmi ciekawie – odparł David bez większego entuzjazmu.

– To ci dobrze robi. Poza tym Amy ma siostrę... – Uśmiechnął się i nagle obaj wybuchnęli śmiechem. David nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak się śmiał.

„Przegrywasz, Shelton – mówił do siebie, krążąc po mieszkaniu. – Przegrywasz i doskonale o tym wiesz”. Uplęły dwie godziny od rozmowy z Glassem, jemu wydawało się, że minęło co najmniej dziesięć.

Deszcz nieustannie padał, od czasu do czasu rozlegało się przytłumione dudnienie dalekiego grzmotu. Trzy pokoje chwilami wydawały się wielkie jak pusty stadion, zaraz potem robiły się ciasne jak klatka. Coraz trudniej mu było usiedzieć, coraz trudniej się skoncentrować... skupić na czymkolwiek. Może powinien do kogoś zatelefonować? Zatelefonować albo zignorować deszcz i pobiegać. Byle tylko przestać maszerować po pokojach. Wziął do ręki buty do biegania i podszedł do okna. Strugi deszczu rozmazywały ponure popołudniowe niebo, nagle – jak dla ostrzeżenia – pokój rozjaśniła błyskawica, kąpiąc

go w upiornym biało-niebieskim świetle. W kilka sekund później zadudnił cichy grzmot, odbijając się echem po mieszkaniu. David wrzucił buty z powrotem do szafy.

Tak samo było po wypadku. Właśnie tak. Niepokój ciągle narastał.

Ciekawe, czy ma coś w apteczce – Lauren zawsze trzymała tam leki od bólu głowy. Jeśli nie uda mu się przestać chodzić, mogą się przydać. Gdyby samotność zrobiła się jeszcze gorsza. Jeszcze niczego nie potrzebował, ale warto się było przygotować na wszelką ewentualność. Gdyby sen nie nadszedł. Gdyby noc nie chciała się skończyć.

Przeszedł kolejny raz wzdłuż korytarza, potem jeszcze raz. Za każdym razem, kiedy mijał łazienkę, myślał: Ot, na wszelki wypadek...

Nagle okazało się, że stoi przed umywalką i wyciąga rękę do wyłożonych lustrem drzwiczek apteczki. Umysłowił sobie, że sięga po własną rękę. Kiedy dotknął odbicia, zamarł. Jego oczy – szkliste z przerażenia i poczucia izolacji – wbiły się w oczy w lustrze. Minęła minuta, potem następna. Powoli drzenie ust zaczęło przechodzić, oddech spowolnił i pogłębił się.

– Nie jesteś sam – powiedział cicho. – Masz przyjaciela, który przez osiem lat nauczył się ciebie kochać i to bez względu na okoliczności. Masz siebie. Otwórz te cholerne drzwi, dotknij jednej pieprzonej tabletki, a stracisz go. Tyle lat, a stracisz go. Wtedy dopiero będziesz sam.

Ręka mu opadła. Na twarzy pojawiło się zdecydowanie, kąciki ust uniosły się i powoli rozciągnęły w uśmiechu. Kiwnął głową... raz, potem drugi. Zaczął kiwać szybciej i szybciej. Widział, jak w jego oczach pojawia się siła i stanowczość.

– Nie jesteś sam – powtórzył, idąc do salonu. – Nie jesteś sam – szeptał, wyciągając się na kanapie. – Nie jesteś...

Dwadzieścia minut później, kiedy zadzwonił telefon, David w dalszym ciągu leżał na kanapie. Przebiegł wzrokiem ostatnie linijki wiersza Frosta, przekręcił się na bok i podniósł słuchawkę.

– David, obawiałem się, że nie dotarłeś jeszcze do domu – odezwał się Ben.

– Nie, siedzę sobie – odparł David i uśmiechnął się. – I to jak!

– Ciesz się wolnym czasem, bo chyba za dzień lub dwa będziesz z powrotem w pracy.

David poczuł przyływ podniecenia.

– Ben, co się stało? Mów powoli, by wszystko do mnie dotarło.

– Właśnie miałem telefon od pielęgniarki z twojego szpitala. Powiedziała, że może cię całkowicie uwolnić od podejrzenia o zabicie Charlotte Thomas. Mam się z nią spotkać w kawiarni za parę godzin. Chyba mówi poważnie i jeśli się nie mylę, koszmar lada chwila się skończy.

David popatrzył w kierunku łazienki.

– Dzięki Bogu – powiedział trochę do siebie, trochę do słuchawki. – Mogę przyjechać? Nie powinienem w tym uczestniczyć?

– Póki nie będę wiedział, co ma do powiedzenia, nie chcę byś się mieszał. Czekał na mnie u siebie około dziewiątej... nie, wpół do dziesiątej. Przyjdę i o wszystkim opowiem. Jeśli będziemy mieć szczęście, jutrzejsza kolacja będzie świętem.

– To byłoby cudownie – tęsknie stwierdził David. – Co to za pielęgniarka?

– Powiedziała, że się znacie. Nazywa się Beall. Christine Beall.

Na dźwięk nazwiska David aż podskoczył.

– Ben, nad tym właśnie zastanawiałem się u ciebie. Pamiętasz? Mówiłem, że coś mi chodzi po głowie, ale nie bardzo mogłem sobie przypomnieć.

– Pamiętam.

– Chodziło o jej słowa. Zaraz po tym jak skończyłem rozmawiać z mężem Charlotte Thomas, szepnęła, że jest dumna ze sposobu, w jaki postawiłem się Huttnerowi i żebym się nie martwił, bo „sprawy czasem same się rozwiązują”. Potem się odwróciła i odeszła. Ben, sądzisz, że...

– Stary, zrób nam obu przysługę i nie kombinuj. Za kilka godzin wszystko będzie jasne. Możemy się tak umówić?

– Możemy. Ale chyba rozumiesz, że się denerwuję.

– Rozumiem. Wpół do dziesiątej?

– Tak jest! – David popatrzył na zegarek. – Moglibyśmy zsynchronizować zegarki, żebym za długo nie wariował, czekając?

Ben się roześmiał.

– Za pięć piąta, stary. U mnie jest za pięć piąta.

– Czwarta pięćdziesiąt pięć – powiedział David i odłożył słuchawkę.

Jego radość długo nie trwała. W ciągu kilku ostatnich dni myśli o Christine były zagłuszane przez inne – koszarne – teraz jednak dotarło do niego, że były cały czas tuż pod powierzchnią.

– Ale to nie byłaś ty, prawda? – szepnął. – Wiesz, kto to zrobił, ale nie byłaś to ty, prawda?

Niepokój o Christine zniknął, kiedy zrozumiał w pełni znaczenie telefonu Bena. Zacisnął pięści, potem kilka razy zgiął i wyprostował ręce w łokciach. Uśmiechnął się, zachichotał, na koniec zaczął się śmiać. Poszedł do kolekcji płyt i chwilę później tańczył po salonie, wyrzucając ręce w górę i boksując powietrze jak triumfujący sportowiec. Mieszkanie wypełniły dźwięki ścieżki muzycznej z Rocky’ego.

Poszedł w towarzystwie fanfar do łazienki i stanął przed apteczką.

– Udało ci się, stary – powiedział do swego odbicia w lustrze. – Jesteś silniejszy niż kiedykolwiek. Jestem z ciebie dumny, naprawdę.

Ze zwykłej ciekawości otworzył drzwiczki. Półki były puste.

Prysznic i zaległe listy do braci pozwoliły zabić półtorej godziny. Przygotowanie i zjedzenie spaghetti z sosem zajęło kolejne pół. Kiedy skończyły się wiadomości o siódmej, do przyjścia Bena zostały dwie godziny.

David przez chwilę niespokojnie maszerował, po czym wyjął z szafy pudełko z szachami, szachownicę i podręcznik dla debutantów. Gra szybko mu się znudziła, dokładniej mówiąc nie pozwalały mu się skoncentrować myśli o Christine. Choć odbyli jedynie krótką rozmowę, a ich kontakty były zdawkowe, jej osoba go poruszyła. W zachowaniu Christine było coś rozbrajającego, niewinnego, była energia, która zwykle zanikała u absolwentek szkoły pielęgniarstwa. Dochodziły do tego oczy – duże, szeroko rozstawione, pełne ciepła oczy... w jednej chwili badawcze i zapraszające, w następnej błyskające złością. Coraz bardziej życzył

sobie, ba – wręcz modlił się, by nie okazało się, że Christine ma związek ze śmiercią Charlotte Thomas. Do dziewiątej był prawie przekonany, że to niemożliwe.

Przez jakiś czas zajmował się porównywaniem Christine – to znaczy nielicznych jej cech, o których wyrobił sobie opinię – z Lauren i szybko pojął, że – jak zwykle z kobietami – przypisuje jej właściwości, które chciał, by miała.

– Kiedy zmądrzejesz, Shelton? – skarcił się na głos i wrócił do szachownicy.

Piętnaście po dziewiątej znów krążył po mieszkaniu. W pewnej chwili usłyszał, jak rusza winda i pognął do drzwi, zaraz jednak przypomniał sobie, że Ben wejdzie na klatkę schodową dopiero, kiedy sam go wpuści za pomocą domofonu. Na wszelki wypadek zaczął przy drzwiach, winda zatrzymała się piętro niżej.

Wrócił do salonu i przez pięć minut wyobrażał sobie rozmowę z Wallace'em Huttnerem, przepraszającym za wyciągnięcie błędnych wniosków i dającym do zrozumienia, że mogliby porozmawiać o zostaniu partnerami. David przeciwczył mowę odrzucającą propozycję oraz – w razie gdyby Huttner okazał się naprawdę skruszony – wersję akceptującą.

Punkt wpół do dziesiątej zadzwonił domofon. David nacisnął przycisk.

– Tak?

– David, to ja. – Podniecenie w głosie Bena było wyraźne mimo kiepskiej jakości głośnika. – Ta kobieta nie żartowała. Sprawa jest smutna, ale prawdziwa. Już po wszystkim, stary, po wszystkim.

Do Davida dotarło przede wszystkim „sprawa jest smutna”.

– Wchodź – powiedział i nacisnął guzik zwalniający zamek na dole. W jego głosie było zadziwiająco mało entuzjazmu.

Trzydzieści sekund później winda ruszyła. Cholera – pomyślał David – więc to jednak ona. Stał w otwartych drzwiach i słuchał pojękującej liny. Nie marzył o tym, by koniec koszmaru okazał się zrzuconiem sprawy na barki Christine Beall – niezależnie od tego, w co go wpakowała. Był w połowie korytarza, kiedy w okienku zewnętrznych drzwi kabiny pojawiło się światło. Sekundę później winda zahamowała i automatycznie otwierane wewnętrzne drzwi szczęknęły.

David podszedł jeszcze kilka metrów i czekał, aż Ben wyjdzie. Minęło pięć sekund. Dziesięć. Zrobił kolejny niezdecydowany krok. Drzwi się nie otwierały. W końcu zajrzał do środka przez brudne okienko. Ben stał pod ścianą i spokojnie się o nią opierał.

– Hej, co się dzieje? – spytał David i otworzył ciężkie drzwi. Prawnik wpatrywał się w niego pustymi oczami, twarz miał bladą jak kreda. Nagle wykrzywił kąciki ust w uśmiechu. – Ben, to wcale nie jest śmieszne. Uspokój się i wychodź. Chcę się wszystkiego dowiedzieć.

Ben rozchylił nieco wargi i zrobił krok do przodu i w tym momencie z ust chlusnęła mu purpurowa struga. David złapał go, by nie upadł na podłogę. Na plecach adwokata rozlewała się czerwona plama, wokół rzeźbionej białej rączki noża.

Kiedy odciągał przyjaciela od windy, na dłoniach poczuł lepka, ciepłą krew.

– Ratunku! – zawołał. – Niech ktoś mi pomoże! Wyciągnął nóż z pleców rannego i rzucił broń na podłogę, by móc położyć Bena na plecach. Ciemne oczy prawnika wpatrywały się

nieruchomo w sufit. David przytknął mu dwa palce do tętnicy szyjnej, ale i bez tego wiedział, że sącząca się z ust krew oznacza śmiertelną ranę, zadaną w serce albo którąś z dużych tętnic.

– Proszę, niech ktoś mi pomoże... – jęknął David. – Proszę...

Gwałtownie otworzyły się drzwi na znajdującą się w głębi holu klatkę schodową i stanął w nich Leonard Vincent – z powodu światła za plecami widoczny jedynie jako potężny cień. Niemal obojętnie sięgnął za pasek i wyjął zza niego rewolwer. Na końcu lufy tkwił obrzydliwy cylinder tłumika.

– Kolej na ciebie, panie Shelton – wychrypiał przekonany, że ma przed sobą człowieka, którego opisała Dalia. Poszedł za Christine Beall do kawiarni i bez trudu rozpoznał adwokata, z którym się spotkała. Reakcja Dalii na jego telefon była natychmiastowa: najpierw Glass, potem Shelton, na koniec dziewczyna. Teraz – dzięki adwokatowi – mógł załatwić pierwszą dwójkę niemal jednocześnie.

David zatoczył się do tyłu i próbował wstać, ale śliska od krwi ręka obsunęła się po ścianie i upadł na podłogę. Kilkanaście centymetrów dalej leżał nóż. Złapał go za czubek i rzucił w kierunku nieznanego. Rzut okazał się niemal o metr za krótki. Vincent podniósł nóż i spokojnie wytarł ostrze w spodnie. Był niecałe pięć metrów od Davida, mężczyźni dzieliło jedynie nieruchome ciało Bena Glassa. W świetle lampy sufitowej David ujrzał twarz napastnika. Leonard Vincent uśmiechał się, a kiedy unosił rewolwer, uśmiech coraz bardziej się poszerzał.

Podpierając się rękami, z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku, David sunął do tyłu po podłodze. Jego umysł zarejestrował wyskakujący z lufy płomyk i w tym samym ułamku sekundy wyrwało kawałek drzwi przy jego uchu.

Zanurkował głową naprzód do mieszkania i usiłował nogami zatrzaskać za sobą drzwi. Zamek szczęknął, wskakując w gniazdo, ale po chwili rozległy się dwa ciche trzaski i w masywnym drewnie tuż obok gałki pojawiły się dwa otwory wielkości dziesięciocentówek.

David gorączkowo się rozejrzał i drżąc na całym ciele, wstał. Pognał do salonu. Schody pożarowe! Otworzył okno i popatrzył na swe stopy – miał jedynie skarpetki. Pomyślał o leżących w szafie butach do biegania, ale uznał, że nie ma szansy się do nich dostać. Z jękiem wyszedł na metalowy podest za oknem. Z mieszkania doleciał łoskot – napastnik wyważył drzwi. W sekundę później David gnał ku znajdującej się trzy piętra niżej alejce.

Noc była czarna jak smoła i zimna. Metalowe stopnie, śliskie od deszczu, raniły mu stopy, ale ledwie to zauważał. Mniej więcej na wysokości drugiego piętra zahaczył piętą o metalowy występ i upadł ciężko; stoczył się niemal pół piętra po stalowych stopniach. Upadając, zerwał sobie kawał skóry z przedramienia. W górze głośno, metalicznie szczęknęło – Leonard Vincent wyszedł na schody pożarowe. Davidowi przeszedł przez myśl absurdalny pomysł, że trzeba było otworzyć okno na schody pożarowe, a schować się w szafie.

Był się gotów założyć, że przyniosłoby to znakomity rezultat. Dysząc, pełził na dół. Znów się ześlizgnął i kiedy spadał z ostatnich stopni, kręgosłup przeszły mu przypominająca elektro wstrząs błyskawica bólu. Przez ażurowy metal nad głową widział prześladowcę – niewyraźny cień na tle nocnego nieba.

Kłęcząc i podpierając się dłońmi, szarpał zamek zwalniający wysuwaną drabinę do schodzenia z pierwszego piętra na ulicę. Kłujące jak igły krople deszczu waliły przez koszulę w plecy. Metalowe poprzeczki wpijały się w kolana, zatrząsk nie chciał puścić.

David spojrział w górę, chwycił się mocno poręczy i przetoczył na drugą stronę. Przez chwilę wisiał na rękach, starając się ocenić odległość do asfaltu, w końcu się puścił. Kiedy upadł na ziemię, nie tylko poczuł ból w kostce, ale usłyszał chrupnięcie. Noga natychmiast się pod nim ugięła. Syknął z bólu, zaraz jednak zagryzł palec – tak mocno, że poczuł w ustach krew.

Leżał na mokrym asfalcie, słysząc metaliczne stąpnięcia oraz pomrukujące oddechy mężczyzny w górze. Zabójca zbliżał się do pierwszego piętra.

David podskoczył na jednej nodze, zawahał się jednak. Jeśli kostka była skręcona, zaboli, ale będzie mógł iść. Jeśli została złamana – czekała go tu śmierć. Zacisnąwszy zęby, postawił lewą stopę na ziemi. Kostkę przeszył ból, ale mógł stać. Zrobił jeden krok, potem drugi i nagle zaczął biec.

Na końcu uliczki spojrział za siebie. Mężczyzna opuścił drabinę i ze spokojem schodził na dół.

Clarendon Street praktycznie opustoszała. David stanął, nie bardzo wiedząc, co robić i zdecydował skierować się ku Boylson Street, na której powinien panować większy ruch. W tym momencie dostrzegł przed następną przecznicą idącego ku rzece, czyli oddalającego się od niego, mężczyznę. Odruchowo skierował się w jego stronę. Poruszał się dość dziwnie, każdy krok był męczarnią, ale biegł.

– Ratunku! – zawołał. – Proszę mi pomóc... – Krzyk zagłuszyła burza. – Proszę mi pomóc...

David był jakieś trzy metry od mężczyzny, kiedy ten się odwrócił. Okazał się stary, bezzębny, nie ogolony i pijany. Z runda poszarpanego kapelusza spływały krople łączące się w strumyki. David otworzył usta, by coś powiedzieć, ale jedynie pokręcił głową. Dysząc, oparł ramię o stojący obok samochód. Bez żadnego ostrzeżenia tylna szyba auta rozprysła się na drobne kawałki. David obejrzał się – przez mrok i deszcz dostrzegł niewyraźny cień prześladowcy kłęczącego na jednym kolanie, by znów strzelić. Kiedy David zerwał się do ucieczki, z tłumika wytrysnął płomyczek. Biegł, gdy przeznaczona dla niego kula trafiła starego włóczęgę i rzuciła nim o asfalt.

Mimo bólu i deszczu zmuszał się do biegu. Walczył ze sobą jak jeszcze nigdy w życiu. Kiedy pięty stawały na drobnych kamyczkach, nogi przeszywały ukłucia, jakby wwiercano w nie sztylety. Biegł jednak dalej – przeciął Marlborough Street, przeciął Beacon Street i zbliżał się ciągle do rzeki. To była jego trasa – pokonywał ją tak wiele razy w obiecujące, słoneczne poranki. Teraz uciekał od śmierci. Olbrzymi zabójca za jego plecami zbliżał się.

Na Storrow Drive praktycznie nie było ruchu. David przeciął ulicę, nie zwalniając, i wbiegł na kamienny mostek dla pieszych, rozpięty nad połyskującą wodą. W przodzie migotały przez deszcz światła Cambridge, podskakujące na czarnej jak noc rzece.

Zawróć, krążyło mu po głowie. Zatocz koło, zawróć i pomóż Benowi. Może cię potrzebuje. Może jeszcze żyje. Na Boga, zrób coś!

Zaryzykował spojrzenie za siebie. Mężczyzna, którego na chwilę zatrzymały jadące Storrow Drive samochody, pozostał nieco w tyle, ale zbyt mało. David wiedział, że pogoń jest już niemal zakończona. Napędzał go i narzucał mu rytm jedynie strach, w rzeczywistości był bliski omdlenia. Rozejrzał się po pustej promenadzie szukając miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Zabójca był zbyt blisko. Nadzieja wiązała się z rzeką.

W jego ciele nie zostało wiele miejsca na nowy ból, ale lodowate sztylety bezbłędnie odszukiwały wszystkie jeszcze wolne receptory i wściekle się w nie wbijały. Tymczasem Leonard Vincent minął mostek i zaczął podchodzić do brzegu. David wciągnął jak najgłębiej powietrze i zanurkował. Był jakieś siedem metrów od brzegu i odpychając się rękami i nogami od dna, próbował sunąć wzdłuż niego. Ubranie natychmiast zrobiło się ciężkie jak ołów, co z początku pomagało utrzymać się pod wodą, zaraz jednak zaczęło grozić utonięciem. Wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza, po chwili znowu zanurkował. Nie wolno mu było jeszcze odpocząć. Woda kłuła w oczy i powodowała, że nic nie widział. Usta i nos wypełniał gryzący, obrzydliwy smak, którego nie usunęły z rzeki lata dbania o czystość.

Walnął głową w coś twardego. Otumaniony i praktycznie ślepy, zaczął macać przeszkodę rękami. Był to zamocowany do dna pływający drewniany pomost w kształcie litery T, służący do cumowania łódek. Przez kilka minut panowała cisza, maćona jedynie pluskiem deszczu o pomost i rzekę. Trzymając się desek, David stanął w wodzie o głębokości mniej więcej półtora metra i zaczął przecierać oczy. Nagle dotarł do niego dźwięk kroków – ostrożnych, miarowych kroków. Zabójca! David przycisnął policzek do szorstkiego, porośniętego śliskimi wodorostami drewna. Kroki były coraz głośniejsze, zbliżały się nieuchronnie. Wsunął dłoń pod pomost. Jak był skonstruowany? Czy było pod nim dość powietrza do oddychania? Jeśli zanurkuje, może się okazać, że nie będzie miał czym oddychać, ale jeśli nie zaryzykuje...

Powoli, głęboko wciągnął powietrze, zdając sobie sprawę, że może to być ostatni wdech w jego życiu. Zamknął mocno oczy i zanurkował pod pomost. Kiedy uderzył szczytem głowy o drewno, wpadł w panikę – był w pułapce, płuca miał niemal puste – na szczęście zaraz zauważył, że to tylko poprzeczka. Przesunął się nieco w bok i natychmiast usta wynurzyły się nad wodę. Powietrze! Uśmiechnął się, ale zaraz radość przeszła – kroki stukały mu dokładnie nad głową. Przez szpary między deskami mógłby dotknąć palcem czubka buta, oddalonego od jego oczu o kilka centymetrów. Zabójca stał w miejscu. David odchylił głowę do tyłu, przycisnął czoło do spodu pomostu i zaczął powoli, bezgłośnie wciągać powietrze.

Buty nad jego głową skrzypnęły – najpierw dźwięk skierował się w lewo, potem w prawo – najwyraźniej napastnik się rozglądał.

Potem, przerażająco powoli, ruszył w kierunku drugiego ramienia T.

David zaczął drzeć w lodowatej wodzie. Zacisnął z całej siły zęby, by nie szczekać. Od szyi w dół nic nie czuł. Kroki oddalały się coraz bardziej. W końcu ich odgłos ucichł. Zamknięta przestrzeń doskwierała Davidowi. Ciekawe, czy ten człowiek gdzieś usiadł? Usiadł i czeka? Jak długo będzie go pilnować? Jak długo można tak wytrzymać?

David zaczął liczyć. Do stu, potem z powrotem do jednego. Przypominał sobie głupie pioseneczki z dzieciństwa. Stopniowo przestawał panować nad szczękaniem zębami, ale w dalszym ciągu się nie poruszał.

„Ten staruszek ładnie gra, zrobił mi na bucie znaki dwa... Raz znalazłem człowieka miał siedem żywotów, miał siedem też żon, także siedem miał kotów Red Sox, White Sox, Yankees, Dodgers, Phillies, Pirates...”

Zięb przenikał ciało. Nie mógł powstrzymać drżenia. Jak długo tu siedzi? Nogi miał jak sparaliżowane. Czy kiedyś uda mu się jeszcze nimi poruszyć?

„Baranku kochany, chodź bliżej do mamy... Założę się, że nie złapiesz mnie, nie złapiesz, nie złapiesz...”

Założę się... założę się... założę się, że w wodzie umrę tej...”

Rozdział osiemnasty

Joey Rosetti zamknął oczy i wciągnął zapach podniecenia Terry. Zapach ten, jej smak, sposób, w jaki ciemne sutki twardniały mu pod dłonią... po dwunastu latach wszystkie te odczucia były tak samo świeże i podniecające jak dawniej, na dodatek były pełne ciepła i zaufania.

Potaął policzki o jedwabistą skórę jej ud, potem pociągnął językiem w górę między wilgotnymi fałdami.

– Jakie to przyjemne, Joey... jakie przyjemne... – jęknęła Terry, przyciskając jego głowę mocniej do łona. Uśmiechnęła się i wbiła palce w kruczoczarne włosy męża.

Drżąc, przysunął usta do jej ust. Kiedy pocałunek rozpałił mocniej ich żądzę, objęła go nogami i wszedł w nią – powoli, stopniowo zagłębiając się coraz bardziej.

– Joey, kocham cię – szepnęła Terry. – Tak bardzo cię kocham...

Ssała jego wargi i pieściła pośladki. Kiedy jej palce wślizgnęły się głębiej, silne mięśnie napięły się.

Uderzenia Joeya stały się szybsze, gwałtowniejsze. Wiedzieli, że zaraz dojdą do końca.

Nagle zadzwonił telefon przy łóżku.

– O, nie... – jęknęła Terry. – Niech dzwoni. – Natychmiast poczuła, że Joey zwalnia. – Niech dzwoni... – poprosiła ponownie. Natarczywe dzwonicie nie chciało się skończyć. Napięcie w niej opadło. Ósmy dzwonek, dziewiąty...

– Cholera! – warknął Joey i wyplątał się z uścisku. Oby to nie była pomyłka... – Wymamrotał „halo”, przez pół minuty słuchał, potem zapytał: „Gdzie?” i już zrzucił z siebie kołdrę. – Terry, to doktor Shelton. Jest ranny i potrzebuje pomocy. – Zapalił lampkę przy łóżku i pognął do szafy.

– Pojadę z tobą – powiedziała Terry, siadając.

– Nie, skarbie. Proszę, nie. Uniósł dłoń, by gestem przerwać dyskusję. – Zachowuje się jak szalony. Ledwie zrozumiałem, o co mu chodzi, ale ma kłopoty. Nie chcę, byś ze mną jechała. Zadzwoń do restauracji i sprawdź, czy Rudy Fisher jeszcze pracuje. Jeśli tak, niech natychmiast przyjeżdża na promenadę przy rzece. Na wysokości Hatch Shell, będę tam czekać.

– Joey, nie może tego załatwić kto inny? Wiesz, co myślę o tym czło...

– Nie mam czasu na dyskusję. Znam Rudy’ego znacznie dłużej od ciebie i jeśli rzeczywiście szykują się kłopoty, chcę go mieć w pobliżu.

Dwanaście wspólnych lat nauczyło Terry, że debaty z mężem na podobne tematy nie mają sensu. Mimo to jego naleganie na obecność Rudy’ego Fishera, olbrzymia lubiącego przemoc, przerażało ją.

– Joey, proszę cię, bądź tylko ostrożny. Nie wdaj się w jakąś awanturę. Obiecuj mi. Jeśli jest ranny, zawieź go do szpitala i wracaj do domu.

– Dziecinko, ten człowiek uratował mi życie – odparł Joey wkładając spodnie. – Dam mu wszystko, czego będzie potrzebował.

– Ale obiecałeś...

– Opanuj się! – rzucił. – Będę ostrożny. Nie martw się. – Nadał głosowi nieco swobodniejszy ton. – Jestem teraz przedsiębiorcą, przecież o tym wiesz.

Jeśli jest ranny, zawiozę go do szpitala. Nie martw się, zrób tylko to, o co prosiłem. – Zdjął z wieszaka koszulę.

Terry siedziała na skraju łóżka i z zachwytem obserwowała, jak się ubiera. Mimo czterdziestu dwóch lat miał cyzelowane rysy i żylaste ciało idola z filmów dla młodzieży. Otaczała go aura spokoju i równowagi, znakomicie ukrywająca wszystkie przeżyte, śmiertelnie groźne sytuacje. Pamiątką po nich były przecinające tułów czerwone blizny. Na lewym boku miał półksiężycowaty, niemal półmetrowej długości ślad z czasów, kiedy dowodził młodzieżowym gangiem na północnym zachodzie Bostonu, tuż nad pępkiem biegła blizna, pamiątka po strzelaninie podczas napadu na bank w Northside... dziesięć lat temu.

Rosetti był jednym z pierwszych prywatnych pacjentów Davida w White Memorial. Zrobił mu operację, która trwała ponad dwanaście godzin. Jeszcze teraz niektórzy mówili o tym z szacunkiem. W trakcie rekonwalescencji Joeya zaprzyjaźnili się.

– Terry, przestań paplać i zadzwoń – powiedział z napięciem w głosie, kiedy wkładał buty. Zaczekał, aż żona się odwróci, by wziąć spod swetrów kaburę z rewolwerem.

Szedł do drzwi, gdy Terry powiedziała:

– Joey, nie używaj tego.

Rosetti podszedł do żony i delikatnie ją pocałował.

– Oczywiście, skarbie. Chyba, że będę musiał. Obiecuję. Terry Rosetti czekała, aż drzwi się zatrzasnęły, westchnęła i zwróciła się w stronę telefonu.

David siedział na chodniku i trzymał zwisającą słuchawkę. Dygotał straszliwie i nie czując ochlapującego go błotem deszczu, to odpływał w nieświadomość, to wracał do rzeczywistości. Kiedy mocno zmrużył oczy, widział przez deszcz Hatch Shell Amphitheater. Wielka kopuła, mająca w odległości kilkuset metrów, była jedynym punktem orientacyjnym, jaki umiał podać Joeyowi.

Powoli, pokonując straszliwy ból, puścił słuchawkę, przekręcił się w kałuży i zaczął pełznąć w kierunku nocnego światła, palącego się na ścianie amfiteatru. Przez dziesięć, piętnaście minut czołgał się przez błoto. Maleńka żarówka, z początku odległa jak boja, wkrótce stała się całym jego światem. Z każdym ruchem wydawała się jednak oddalać. Raz za razem próbował wstać, ale ból w kostce i ziąb w całym ciele na to nie pozwalały i padał w błoto. Udało mu się na szczęście klękać i podpierać rękami i wtedy zmuszał się do posunięcia o kilka dalszych centymetrów. Dwa razy zwinął się wpół, gdyż trzewiami wstrząsnęły skurcze, po których z ust i nosa wypłynęła śmierdząca rzeczna woda i żółć. Szydercze światło ciemniało i oddalało się.

– Nie mogę tak skończyć... – David powtarzał to zdanie jak automat, używając go niczym rytmicznego nakazu, by posunąć do przodu rękę, potem nogę. – Nie mogę tak skończyć...

Nagle trawa przeszła w beton, potem w gładki marmur. Był na schodach u podstawy amfiteatru. Dygot całego ciała zmienił się w paroksyzmy skręcające ręce, szyję i barki – zwiastuny ataku drgawek. Kiedy szczękające zęby trafiły w czubek języka, z kącika ust poleciało kilka kropel krwi. Światło w górze zamigotało i zgasło. David czuł bezgraniczny spokój ogarniającej go śmierci. Resztką sił, ostatkiem koncentracji próbował walczyć z tym uczuciem. Christine wie – pomyślał. Wie, dlaczego Ben nie żyje i teraz ona zginie. Muszę się trzymać... trzymać się i pomóc jej. Nie mogę tak skończyć... nie mogę...

Poczucie pustki zaczęło się już w kilka minut po tym, jak odrzuciła propozycję Bena, który chciał ją podwieźć, i samotnie ruszyła do domu. Czowała się, jakby miała w sobie jakiś kran, który odkręcono i teraz wyciekały z niej wszelkie emocje. Postanowiła nie kryć się w podcieniach budynków i szła środkiem chodnika, nie zwracając uwagi na ulewę.

Rozmowa z Benem okazała się łatwa – przynajmniej łatwiejsza, niż oczekiwała. W swobodny, nie osadzający sposób raz za razem zapewniał, że zrobiła dobrze, decydując się na ujawnienie prawdy, bo było to jedyne wyjście. Przyjął wersję, którą sobie ułożyła: działając całkowicie samodzielnie, wypełniła wolę umierającej w bólach szczególnie ważnej przyjaciółki. Najtrudniejszy moment nadszedł, kiedy wspomniał o recepcie C dwieście dwadzieścia dwa.

– Słucham? – spytała, aby zyskać na czasie.

– Recepta. Ta, którą, według słów aptekarza Quigga, zrealizował u niego doktor Shelton.

Zaczęła gorączkowo myśleć. A więc panna Dalrymple albo któraś z Sióstr użyła tego wybiegu, by ją chronić. Ponieważ nie ostrzeżono jej, nie miała gotowej odpowiedzi.

– Zrealizowałam ją... a potem... potem przekupiłam aptekarza.

– Jak ją pani zdobyła? – spytał, nie okazując żadnych podejrzeń.

– Wolę... na razie nie mówić. – Wstrzymała oddech w nadziei, że adwokat na tym poprzestanie. W ciągu najbliższych dni coś wymyśli. Jeśli panna Dalrymple zechce dalej chronić Stowarzyszenie, będzie musiała coś zrobić, by aptekarz ją krył. Będzie musiała przekonać Peggy, że Christine jest zdecydowana zachować istnienie ich organizacji w tajemnicy.

Ben przez chwilę ją obserwował, w końcu skinął głową.

– No, świetnie – powiedział. – Teraz porozmawiajmy o tym, co moim zdaniem powinna pani robić dalej. Oczywiście, jeśli życzy pani sobie mojej rady.

– Nawet więcej, panie Glass. Ben. Chciałabym, by mnie pan reprezentował.

– Muszę się zastanowić. Upewnić, czy nie spowoduje to konfliktu interesów różnych klientów. – Uśmiechnął się. – Na pierwszy rzut oka nie sędzę jednak, by tak było. Proszę przyjść do mnie w poniedziałek rano do kancelarii, o dziewiątej. Zajmę się tym, by przyszedł także porucznik Dockerty. Proszę się nie martwić, powiem pani przed spotkaniem, co ma mu pani mówić. A więc do poniedziałku, zgoda?

Christine skinęła głową.

Poniedziałek. Człapiąc przez deszcz, raz za razem powtarzała to słowo. Jeszcze trzy dni do dnia, w którym skończy się jej życie. Cholera jasna – przecież już się skończyło. Minał ją

autobus, opryskując buty i płaszcz brudną wodą. Nawet nie zwolniła kroku. Strumień obrazów zaczął ilustrować jej przyszłość: areszt... sędzia... panna Dalrymple... bracia i siostry... gazety... ojciec, już przebywający w domu opieki... przydomki: Anioł Śmierci, Łaskawa Morderczyni... koleżanki z pokoju i ich rodziny... Największą karą ze wszystkich będzie jednak wzrok Davida i nienawiść, jaką wobec niej poczuje.

Minęła skręt do swego domu. Powoli wielka czarna dziura w jej duszy rosła. Ulga i spokój, które poczuła podczas rozmowy z Benem, zniknęły. Strugi deszczu były jej łzami, miała bowiem w sobie zbyt wielką pustkę, by móc płakać. Poniedziałek.

Nic nie widząc, oglądała wystawy i nagle okazało się, że stoi przed apteką – jej „domową” apteką. Starszy farmaceuta dobrze ją znał – tak naprawdę znał wszystkie trzy współlokatorki – i wszystkie dziewczyny lubił. Czując się jak postać z czyjegoś snu, weszła do środka, zamieniła kilka wymuszonych grzecznościowych słów i poprosiła o darvon, który czasami brała z powodu skurczów mięśni. Ostatnia recepta – zrealizowana pół roku temu – leżała w domu w biurku, fiolka leku była jeszcze niemal pełna. Po krótkim sprawdzeniu jej karty aptekarz wydał lek.

W drodze do domu Christine zaczęła układać list pożegnalny.

– Rudy, tutaj! – zawołał Joey. – Matko Boska, co za syf! Chyba nie żyje.

Nieruchomy David leżał na prowadzących do amfiteatru schodach – twarzą w kałuży. Udało mu się wpełznąć na kilka stopni i schować za marmurowym występem, nie było go więc widać z chodnika. Joey delikatnie obrócił przyjaciela na plecy. Siekący deszcz zmywał z twarzy Davida błoto i krew. Ranny jęknął tak cicho, że dźwięk niemal znikł w nocnym wichrze.

– Jezu, idź po koc! – wrzasnął Joey. – On oddycha! – Ujął głowę Davida dłonią i zaczął go klepać po policzku, coraz szybciej i mocniej. – Doktorze, to ja, Joey! Słyszysz mnie? Wszystko będzie dobrze. Doktorze...

– Christine... – Pierwsze słowo Davida było niemal niesłyszalnym bulgotem z głębi gardła. – Christine... musisz znaleźć Christine. – Na chwilę otworzył oczy, spróbował skoncentrować wzrok na Joeyu i zamknął je.

Rosetti położył Davidowi dłoń na piersi. Z podnieceniem pokiwał głową, kiedy poczuł, że klatka rytmicznie unosi się i opada.

– Trzymaj się. Zawieziemy cię do szpitala. Wyjdiesz z tego, doktorze, tylko się teraz trzymaj. – Podniósł głowę i zaklął na deszcz. Jakimś cudem po chwili wiatr niemal ustał, a ulewa przeszła w mżawkę. Joey ze zdziwieniem popatrzył w górę i kiwnął z aprobatą głową. – Od jutra rana masz u mnie podwyżkę, Panie – powiedział i uśmiechnął się.

David słyszał głos Rosettiego, ale zrozumiał jedynie „szpitala”. Nie! Tylko nie do szpitala. Z wysiłkiem próbował trzymać się tej myśli, ułożyć ją w słowa, ale ona zaczęła odpływać z jego świadomości i stracił przytomność.

Pięć minut później zawinięto go w koc i leżał oparty o Joeya na tylnym siedzeniu chryslera Rudy’ego Fishera. Nieopanowane drżenie trwało, ale powoli odzyskiwał przytomność. Joey kazał Fisherowi jechać do Doctors Hospital. Niczym odbijające się w tunelu echo, David

słyszał własne słowa – rwane, niezborne szepty: Ben nie żyje... Christine nie żyje. Nie do szpitala... muszę znaleźć Christine... tak mi zimno... tak zimno. Pomóż mi się ogrzać...”

Przed wejściem do izby przyjęć stało kilka karetek, światła na dachach migotały hipnotyzująco. Joey wyskoczył z samochodu i po kilkunastu sekundach wrócił z wózkiem inwalidzkim.

– W środku jest jak w zoo dla wariatów – powiedział wyciągając Davida z samochodu. – To pewnie przez ten deszcz. Jakby kręcili tam film wojenny. Rudy, zaczekaj w tamtej luce. Wszystko gra doktorze?

David próbował kiwnąć głową, ale światła, szyldy i twarze wirowały i rozmazywały się, aż robiło mu się niedobrze. Kiedy Joey wjechał z nim przez odsuwające się automatycznie drzwi do rozświetlonej rejestracji, Davida chwyciły torsijskie. Tutejsza atmosfera i krzątanie naprawdę miały w sobie coś z lazaretu na polu bitwy. Nieustannie wwożono i wywożono jakichś ludzi – jedni krwawili, inni siedzieli zgięci w ból. Joey rozejrzał się i zaczął przebijać przez tłum otaczający pielęgniarkę selekcyjną pacjentów według stopnia urazu czy choroby.

Schludna, krótko ostrzyżona kobieta, która pracowała dopiero drugi miesiąc na tym stanowisku, z wielkim zdziwieniem wysłuchiwała Rosettiego i natychmiast podeszła do Davida. Cicho pojękiwał, a głowa mimo prób trzymania jej w miejscu przetaczała się to na jedną, to na drugą stronę.

– Boże, jest lodowaty – powiedziała pielęgniarka, ująwszy Davida pod brodę. – Niech pan mu przytrzyma głowę, ja zawołam sanitariusza. Co mu się stało? – Odeszła, zanim Joey zdążył odpowiedzieć. Kilka sekund później zjawiała się matronowata urzędniczka z blokiem w ręku.

– Imię i nazwisko?

– Joey Rosetti. Popatrzyła na Davida.

– To nie Joey Rosetti, lecz doktor Shelton.

– O! Myślałam, że pyta pani o moje nazwisko. Jeśli pani go zna, to po co pytać?

Urzędniczka rzuciła mu wściekle spojrzenie i oderwała wierzchnią kartkę bloku.

– Imię i nazwisko? – spytała nie zmienionym tonem. Joey wyjął Davidowi przemoczony portfel, dzięki czemu udzielił odpowiedzi na część pytań. Kilka razy o mało nie stracił panowania nad sobą, ale hamował się ze strachu, że baba oderwie kolejną kartkę z bloku i zacznie przesłuchanie od nowa. Na pytanie o imię i nazwisko najbliższej osoby zamierzał powiedzieć, że nie wie, ale uznał, że może to wywołać straszliwy chaos, więc podał własne dane.

– Religia z wyboru? – spytała beznamiętnie kobieta.

Joey popatrzył na Davida, którego skóra nabrała gruszkowej zieleni.

– Proszę pani, ten człowiek jest ranny! Czy z tymi pytaniami nie można poczekać?

– Przykro mi, proszę pana. Nie ja ustalę wymagania szpitalne, jedynie postępuję zgodnie z nimi. Religia z wyboru?

Joey musiał walczyć ze sobą, by nie złapać babsztyla za gardło. W tym momencie ciemnowłosa pielęgniarka wróciła z sanitariuszem, co oszczędziło mu podjęcia decyzji.

– Kazałam opróżnić dwunastkę na urazówce – powiedziała. – Zawieźcie tam doktora Sheltona. Proszę pana, kiedy koleżanka skończy spisywać dane, może pan poczekać na którymś

z tamtych foteli. Przyjdę zaraz po tym, jak ktoś go zbada. – Popatrzyła Joeyowi w twarz i dopiero teraz zauważyła, jaki jest przystojny. Jej uśmiech rozkwitł. – Ma pan pytania?

– Nie, ale może mogłaby pani uświadomić tej... hm... miłej damie, że nie wiem, jaka jest religia z wyboru doktora Sheltona. – Pomachał młodej pielęgnowarce, a ona natychmiast się sploniła, potem wziął urzędniczkę od zapisywania danych pod rękę i poszedł z nią do okienka.

W gorączkowej krzątaninie w izbie przyjęć para oczu szczególnie uważnie obserwowała, jak sanitariusz odjeżdża z Davidem. Tylko Janet Poulos usłyszała i zrozumiała słowo, które wyjękiwał: „Christine”.

Z powodu kilku karamboli i dwóch ran postrzałowych Janet zgodziła się pozostać po godzinach, do czasu aż sytuacja się unormuje. Teraz los chciał, że decyzja ta mogła przynieść całkiem nieoczekiwany zysk. Janet gorączkowo rozmyślała, jakie znaczenie może mieć to, co właśnie zobaczyła i usłyszała.

Janet wiedziała, że Ogród zatrudnił Leonarda Vincenta do pilnowania Beall i ewentualnego zadziałania, ale dopiero wtedy, kiedy Dalia uzna, że Christine postanowiła złożyć zeznanie i zdekonspirować Stowarzyszenie Sióstr. Dalia podjęła taką decyzję, ponieważ chciała za wszelką cenę chronić Ogród, a każda obdarzona kwiatowym imieniem kobieta była członkinią Stowarzyszenia (choć niekoniecznie aktywnie się w nim udzielała).

Dziewczyna doszła do wniosku, że Beall i Shelton musieli się skontaktować. Musiała do niego pójść i powiedzieć mu o Stowarzyszeniu. Jak inaczej wytłumaczyć to, że bez przerwy powtarza jej imię? Dalia kazała Vincentowi działać, ale Sheltonowi udało się uciec. To było jedyne wyjaśnienie. Orchidea zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli ma rację, było wielkim szczęściem, że w odpowiednim czasie znalazła się w odpowiednim miejscu. Zadrzała z podniecenia. Taki prezent od losu... Jeśli właściwie wszystko rozegra i podejmie dobre decyzje, Dalia może uznać, że zasłużyła na wprowadzenie w najbardziej wewnętrzne sprawy Ogrodu. Nagroda byłaby niesamowita.

Rozejrzała się – zawsze obecni w izbie przyjęć policjanci byli zajęci ofiarami strzelanin i wypadków. Czowała, że jeśli zrobi to szybko, nikt jej nie zauważy. Może powinna zatelefonować do Dalii? Spojrzała w korytarz prowadzący do sali numer dwanaście, stwierdziła, że nikogo tam nie ma. Druga taka szansa może się nie powtórzyć.

Adrenalina, potas, insulina, neparstnica, pancuronium... Idąc szybkim krokiem do dyżurki pielęgniarek, wyliczała w głowie możliwości. Pomyślała przez chwilę o Christine Beall – czy Vincent już się z nią załatwił? Nie warto było nad tym dumać. Jedyne problem, jaki mogła w tej chwili rozwiązać, znajdował się w sali numer dwanaście.

– Doktorze Shelton, nazywam się Clifford. Czy mógłby pan podnieść tyłek, żebym ściągnął panu spodnie? – Pulchny sanitariusz był po trzydziestce, ale wyglądał tak, jakby pierwsze golenie miał przed sobą.

David coś odmruknął i z wielkim wysiłkiem spełnił prośbę mężczyzny-chłopaka. Powoli w lodowate głębiny jego organizmu zaczynało wpływać ciepło. Im bardziej wracała mu świadomość, tym dotkliwiej czuł pulsujący ból w ramieniu i kostce nogi, a towarzyszyły mu – na szczęście nieco słabsze – nieprzyjemne sensacje nad prawym uchem i na podeszwach stóp.

– Wygląda na to, że poleżał pan trochę na deszczu – wesoło powiedział Clifford i zawiesił przemoczone spodnie Davida na oparciu krzesła.

– Rzeka... byłem w rzece... – Głos Davida był pozbawiony wyrazu i bardzo cichy. – Ben nie żyje...

– Mógłby pan wsadzić go sobie pod język? – zapytał sanitariusz, wsuwając Davidowi do ust termometr.

– Gdzie Ben? – wymamrotał David, próbując przytrzymać termometr.

– Niech pan go nie bierze do ręki! – zawołał Clifford. – Zaraz przyjdzie lekarz i pana zbada. Niech go pan trzyma pod językiem, aż wrócę.

Idioto, nigdy nie badaj u zamarzającego człowieka temperatury, wsadzając mu termometr do ust! Kiedy korpulentny sanitariusz wychodził z pokoju, w oczach Davida błysnęła dezaprobata. Zaraz potem uśmiechnął się – działanie codziennych odruchów oznaczało, że wraca do siebie. Powoli chaotyczne myśli zaczynały się logicznie łączyć. Nagle ujrzał oczami wyobraźni twarz Bena i wylewającą się z ust krew i znów ogarnęło go przerażenie. Rozpaczliwym wysiłkiem uniósł tułów – najpierw podparł się na łokciu, potem na wyprostowanej ręce.

– Christine... – wydyszał, wypluwając termometr. – Muszę ją znaleźć... – Kiedy wyprostował tułów, ściany wokół zawirowały – powoli, ale nabierały pędu.

David walczył z zawrotami głowy i mdłościami i po dłuższym wysiłku udało mu się usiąść na łóżku. Tak się tym zmęczył, że strużki potu ściekały z czoła po skroniach. Podłoga zdawała się drgać. Pochylił tułów do przodu i świat pociemniał; wiedział, że zaraz spadnie na podłogę. Przez niesamowity ułamek sekundy nic nie ważył – unosił się w oceanie jaskrawego światła. Potem nastąpiła pustka.

Janet Poulos złapała go za ramiona i położyła z powrotem na łóżku. Oddychał szybko i płytko, puls w nadgarstku miał nitkowaty. Pomyślała, że może warto unieść go znów do pozycji siedzącej – spowodowany tym gwałtowny spadek ciśnienia mógłby sprawić, że użycie strzykawki z adrenaliną, którą miała w kieszeni, okaże się zbędne. Uznała jednak, że to zbyt mało pewne, więc podciągnęła mu nogi i też ułożyła je na łóżku. Wyrzała na korytarz – kilka pokoi dalej ktoś musiał dostać zapaści, gdyż właśnie wjeżdżał tam wózek ze sprzętem reanimacyjnym. Nie mogło być lepiej. Wróciła do sali i zamknęła za sobą drzwi. Przez najbliższe kilka minut nikt tu nie przyjdzie.

– Doktorze, słyszy mnie pan? Założę panu opaskę uciskową na ramię, by pobrać krew. To potrwa chwileczkę.

David jęknął i kiedy zaczęła owijać mu gumowy mankiet wokół ramienia, cofnął rękę.

– Ależ, David... – powiedziała słodziutko – niech się pan nie rusza. To nie zaboli.

Klepnęła w zgięcie łokcia, by znaleźć żyłę. Miejsce było blade i zimne, naczynia krwionośne maksymalnie skurczone. Janet jęknęła i klepnęła mocniej, zła na siebie, że zapomniała, jak organizm reaguje na bardzo silny stres i znaczne obniżenie temperatury.

Davidowi znów wracała świadomość i zaczął kręcić głową. Spanikowana Janet byle jak wbiła igłę w ramię – w nadziei, że może trafi na żyłę. W tym momencie do pokoju wpadł

Clifford. Kiedy Janet się odwróciła, by sprawdzić, co to za hałas, igła wysunęła się z ramienia Davida. W miejscu wkłucia pojawiła się kropelka krwi.

– Jestem z powrotem, doktorze. Przepraszam, że... – Clifford zamarł w bezruchu, przyszpilony spojrzeniem Janet.

– Niech cię cholera... – syknęła, zerwała z ramienia Davida mankiet i błyskawicznym ruchem złapała strzykawkę. Tak, by Clifford nie mógł dostrzec, strzyknęła adrenaliną pod łóżko i odwróciła się. – Nie wiesz, że kiedy drzwi są zamknięte, trzeba pukać? Właśnie zamierzałam pobrać krew i wszystko zepsułeś.

– Przepraszam... – Sanitariusz przestępował nerwowo z nogi na nogę i wbijał wzrok w podłogę.

– Jeszcze do tego wrócimy! – wyrzuciła z siebie. Gorączkowo zastanawiała się, co dalej robić. Nagle zamarła... w drzwiach stał Harry Weiss, lekarz stażysta z chirurgii.

– Wszystko w porządku? – spytał spokojnie.

Janet skinęła głową.

– Nie... nie wiedziałam, kiedy ktoś przyjdzie zająć się doktorem Sheltonem, więc pomyślałam, że pobiorę krew, by coś już się zaczęło dziać.

– Dziękuję, to było rozsądne.

Weiss uśmiechnął się.

– Jeśli jeszcze pani jej nie pobrała, proszę zaczekać, aż go zbadam.

– Oczywiście, doktorze. – Janet ponownie przyszpiliła Clifforda lodowatym spojrzeniem, po czym wyszła, by pognać do telefonu.

– Doktorze, to ja, Harry Weiss. – Stażysta z orlim nosem, ten sam, którego David przygotował do przeprowadzenia skomplikowanego zabiegu zranionej ręki, przyglądał mu się z niepokojem. David otworzył oczy, ale miał wyraźne trudności ze skupieniem wzroku. Weiss bardziej się nachylił. – Widzi mnie pan dobrze?

David zmrużył oczy i skinął głową. Po chwili spróbował usiąść.

– Christine... Pozwól mi zatelefonować do Christine – wymamrotał. Zamęt w głowie powracał, ale próbował się go pozbyć, machając rękami jak cepami.

Harry Weiss złapał Davida za nadgarstki i pchnął, by położyć go na plecy.

– Proszę, doktorze, nie chcę pana wiązać – powiedział błagalnie. Kiedy David zaczął jeszcze mocniej machać, poszukał wzrokiem Clifforda, ale sanitariusz wyszedł. – Pielęgniarka! – zawołał na korytarz. – Niech ktoś przyśle sanitariusza i sprzęt do unieruchamiania!

Nie minęła minuta, jak David był przypięty do łóżka skórzanymi pasami obejmującymi nadgarstki i kostki. Przestał się wrywać, jedynie pochlipywał.

– Proszę... pozwól mi ją znaleźć... pozwól mi zadzwonić... – mówił, ale słowa były kompletnie niezrozumiałe.

Weiss przyglądał mu się i ze smutkiem kręcił głową.

– Chyba wszystko będzie już dobrze – powiedział do grupki, która przyszła mu pomóc. – Zostawcie nas samych, żebym mógł go zbadać. Zadzwonię do laboratorium. Chcę mieć pełen zestaw badań plus oznaczenie ilości krwinek.

Niech zbadają krew na zawartość narkotyków. Kiedy skończę, zaczniemy podawać dożylnie roztwór soli fizjologicznej z prędkością trzystu mililitrów na godzinę – do momentu aż więcej się dowiemy. Niech ktoś sprawdzi, kogo mamy dziś wieczór na psychiatrii. Jeśli kogoś dobrego, może go wezwiemy, jeśli kogoś ze świrów bardziej zwariowanych od pacjentów, pewnie nie. – Obecni uśmiechnęli się na tę uwagę, ale tylko sanitariusz się roześmiał. Harry Weiss spiorunował go wzrokiem, podniósł kawałek rozbitego termometru i dodał: – Clifford, kiedy się nauczysz, że nigdy nie mierzymy człowiekowi z hipotermią temperatury w ustach? Pomiar będzie zbyt niedokładny. W takich wypadkach konieczny jest pomiar rektalny. Nie chcę więcej słyszeć, że zrobiłeś coś podobnego. – Skinął głową, co miało oznaczać, że zakończył wydawanie poleceń, i pokój szybko opustoszał.

– Super, Harry – chciał powiedzieć David, ale nie mógł. Przerazenie, wstrząs i hipotermia dawały się straszliwie we znaki. Gdyby nawet sanitariusz zmierzył mu temperaturę rektalnie, termometr nic by nie wykazał. Patrzył, jak wysoki stażysta go bada. Powiedz mu, przeszło Davidowi przez myśl. Usiądź i powiedz mu, że nie potrzebujesz pieprzonego psychiatry. Powiedz, że Ben nie żyje. Powiedz, że musisz znaleźć Christine, że być może ona też już nie żyje. Powiedz, że nie zwariowałeś. A... a jeśli zwariowałeś? Może tak to właśnie wygląda? Obmacują cię, opukują i nawet nie możesz rozmawiać. Może to właśnie jest szaleństwo? Przecież ludziom nie zapala się nagle na klatce piersiowej neonowy napis: TEN CZŁOWIEK STRACIŁ ROZUM. UWAGA SZALENIEC! Gdzie, do cholery, jest Joey? Był tu przed chwilą. Gdzie on się podział?

Kiedy Weiss zaczął badać kostkę, nogę Davida przeszył gwałtowny ból. Jęknął i spróbował usiąść, ale pasy mocno trzymały.

– Przepraszam – delikatnie powiedział Weiss.

– Nie chciałem sprawić panu bólu. Doktorze, rozumie mnie pan? Może mi pan powiedzieć, co się stało?

Tak, oczywiście, że mogę powiedzieć. Daj mi tylko chwilę czasu. Nie poganiaj. Wszystko ci powiem.

Harry Weiss zauważył skinienie głową i czekał na więcej. Po dłuższej chwili oświadczył:

– Chyba zaczyna się pan rozgrzewać. Zleciłem kilka badań. Prześwietlimy panu kostkę, ramię i, na wszelki wypadek, przebadamy tomografem głowę. Moim zdaniem nic panu nie jest, może z wyjątkiem kostki. Rozumie pan, co mówię?

– Joey. Gdzie mój przyjaciel Joey? – Przez chwilę David nie był pewien, czy wypowiedział słowa, czy jedynie je pomyślał.

Stażysta rozpromienił się w uśmiechu.

– Joey? Ten, który pana przywiózł? – Kiedy David skinął głową, dodał: – Wspaniale, chyba wraca pan do normy. Porozmawiam z pańskim przyjacielem, potem poproszę, by z panem posiedział, aż będą gotowe zdjęcia rentgenowskie. Mamy dziś wieczór masę roboty, więc chyba trzeba będzie trochę poczekać. Zgaszę górne światło, niech pan spróbuje zasnąć i nie zrzucić z siebie koca.

– Dziękuję... – szepnął David. – Dziękuję.

Weiss obrzucił go szybkim spojrzeniem, pokręcił głową i wychodząc, zgasił światło.

David sprawdził po kolei pęta. Nie było szansy na uwolnienie się. Zrobił głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze i rozluźnił mięśnie. Już nie dygotał, niemal całkowicie zniknęło siedzące w głębi ciała lodowate zimno. W cichym półmroku pokoju i znajomych odgłosach na korytarzu było coś uspokajającego.

– Czas odpocząć... – powiedział sam do siebie. – Odpocząć i odzyskać siłę. Kiedy Joey przyjdzie, pojedziemy po Christine. Kiedy przyjdzie Joey... – Powoli zamknął oczy, oddech stał się płytszy i bardziej regularny.

David słyszał przez sen, jak jego przyjaciel wchodzi do pokoju. Nie budź mnie, Joey. Daj mi jeszcze kilka minut i pojedziemy. Wiem, że się o mnie martwisz... Otworzył oczy i w ułamek sekundy później potężna dłoń Leonarda Vincenta zatkała mu usta i brutalnie przycisnęła głowę do materaca.

Ubrany w kitel sanitariusza, który dostarczyła Orchidea, Vincent bez trudu pokonał drogę pomiędzy tylnym wejściem a salą numer dwanaście. Z niechęcią musiał przyznać, że polecenie Dalii, by czekał przy budce telefonicznej niedaleko szpitala, okazało się bardzo mądrą decyzją. Określiła to mianem „przecucia”. Wzdrygał się przed wejściem na izbę przyjęć, ale przekonało go zapewnienie, że przebywający tam policjanci są zajęci, oraz obietnica premii. Teraz w milczeniu pogratulował sobie, że się zgodził.

– Strasznie byłeś upierdliwy, Shelton – powiedział chrapliwym głosem. – Niemal mam ochotę sprawić ci więcej bólu, niż trzeba. Nie będę jednak taki. Załatwię cię szybko i bez bólu.

David przyglądał się bezradnie rozszerzonymi oczami, jak Vincent unosi nóż, ukazując w całej okazałości obrzydliwą klingę. Nie zdejmując dłoni z ust Davida, zabójca przeniósł dwa grube paluchy pod brodę i podciągnął nieco skórę.

– Jedno cięcie, chirurgiczne – szepnął i powoli przeciągnął tępą stroną ostrza po wyeksponowanej szyi Davida.

– Na Boga, zaczekaj! Niczego nie zrobiłem! – Więcej David nie mógł wymyślić. Zamknął oczy i czekał na własny przedśmiertny okrzyk. Zamiast niego usłyszał głośnie tąpnięcie i odgłos noża uderzającego o posadzkę. Otworzył oczy i ujrzał, jak ciało zabójcy osuwa się i pada zgięte wpół na podłogę. Joey Rosetti uniósł ciężki rewolwer, którym posłużył się niczym pałą, przygotowując się w razie konieczności do zadania następnego ciosu.

– Niezły burdel tu macie, doktorze – powiedział, szybko rozpinając Davidowi pasy. – Gdybym kiedykolwiek miał być operowany, przypomnij, bym poszedł do White Memorial.

– To on! – z podnieceniem wyrzucił z siebie David. – To on zabił Bena. Chciał też... chciał...

– Wiem, co chciał zrobić. Już się kiedyś spotkaliśmy z panem Leonardem. Żyje z tego. Jeśli cię szukał, to znaczy, że wplątałeś się w coś poważnego.

David usiadł. Zawroty głowy były do zniesienia. Odruchowo pomasaował szyję. Stres wywołany przerażeniem niemal całkowicie go otrzeźwił.

– Joey, zabierz mnie stąd. Zastrzel to bydlę i zabierz mnie stąd. Musimy odnaleźć Christine.

Joey popatrzył na Vincenta, który leżał na boku, jakby wtulony twarzą w kafelki na podłodze.

– Gliny się nim zajmą. Obiecałem Terry, że nie użyję broni, przynajmniej otworu w lufie, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Ktoś go znajdzie. Możesz iść? Gdzie masz spodnie?

– Na krześle. Chyba będę mógł iść... z drobną pomocą. – David zsunął się z łóżka i oparł o Joeya. Ból przeszył mu kostkę, ale po chwili zelżał. Włożył mokre, zabłocone dżinsy. – Joey, jest taka kobieta, Christine Beall, tylko ona może wyciągnąć mnie z bagna, w jakie wpadłem. Musimy ją znaleźć. – Westchnął z ulgą, myśli bowiem jako tako mu się uporządkowały.

– Świetnie, ale najpierw musimy się stąd wydostać, nie robiąc zamieszania. Dobrze, że zauważyłem tego przebranego za lekarza goryla, jak idzie do twego pokoju. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, ale od razu pomyślałem sobie, że nie zamierza cię badać. Przed wejściem parkuje kierownik mojego lokalu. Wezmę wózek, wsiądziesz i będę cię wieźć. Jeśli coś wyjdzie nie tak, trzeba będzie biec. Mój człowiek siedzi w czerwonym samochodzie, oldsie, chryslerze czy coś w tym stylu. Znasz ten wóz?

David pokręcił głową.

– Nie, ale znajdę go. Nie martw się. Najważniejsze jest to, by się stąd wydostać.

Rosetti pomógł Davidowi usiąść na wózku, po czym, jakby nigdy nic, przewiózł go przez korytarz i rejestrację. Kiedy otwierały się przed nimi automatyczne drzwi, rozległ się kobiecy głos.

– Hej, wy dwaj, co to ma znaczyć?

David wstał z wózka, uwiesił się ramienia Joeya i przebiegł kilka ostatnich metrów do samochodu. Wskoczyli na tylne siedzenie, a Joey wydyszał:

– Nie gap się!

Rudy Fisher skinął głową i ruszył. Ominął dwa parkujące radiowozy, wyjechał z kolistego podjazdu i skierował się ku North End.

Janet Poulos stała bezradnie w rejestracji i patrzyła, jak znikają. Nie powiedziała Dalii o nieudanej próbie „załatwienia problemu”. Teraz musiała podjąć kolejną decyzję – iść do sali numer dwanaście, sprawdzić, co się dzieje z Leonardem Vincentem i ewentualnie mu pomóc. Ponieważ była jedyną osobą, którą w wypadku aresztowania mógłby rozpoznać, decyzja nie przyszła jej z trudem.

Zatrzymała się na chwilę przy wózku ze sprzętem reanimacyjnym, wzięła kilka ampułek pancuronium i wrzuciła je do kieszeni. Środek ten powoduje paraliż ośrodka oddechowego, a podaje się go pacjentom podłączanym do respiratora. Teraz załatwi kolejny problem... Jeśli nie, będzie musiała coś wymyślić, by pomóc Vincentowi uciec. Może jednak utrzyma dobrą opinię u Dalii.

Przekląła swe parszywe szczęście i Davida Sheltona, który sprawiał tyle kłopotu. Potem ruszyła korytarzem do sali numer dwanaście, z nadzieją, że Leonard Vincent nie żyje.

– Rany! Co to jest?! – zawył David. Terry Rosetti czyściła brud, wbity w głębokie otarcie na jego ramieniu.

– Środek do mycia okien – odpowiedziała. – Siedź spokojnie i daj mi skończyć.

Mieszkanie Rosettich na North End było stare, ale duże i niedawno odnawiane. Terry urządziła je z gustem, właściwie wykorzystując kolekcję mebli przekazywanych w jej rodzinie

z pokolenia na pokolenie. Meble te z przyjemnością przyjęto by do każdego z eleganckich sklepów z antykami przy Newbury Street.

David leżał na wielkim dębowym łóżku dla gości, rozkoszował się zapachem i dotykiem świeżych prześcieradeł i zastanawiał, czy kiedyś będzie mu ciepło. Czuł się słabo, kręciło mu się w głowie i bolało go w kilku miejscach, ale z każdym centymetrem unoszenia się mgły, która wskutek hipotermii przyćmiła umysł, wracała mu zdolność koncentracji. Podziękował w myśli Joeyowi za namówienie go do tego, by wszedł pod gorący prysznic, a dopiero potem myślał o odszukaniu Christine.

Terry Rosetti, piersiasta, pełnokrwista piękność, fachowo założyła mu opatrunek na ramię.

– Umiesz robić fettuccini i udzielać pierwszej pomocy... – stwierdził David. – Jesteś idealną kobietą.

Uśmiech Terry rozświetlił pokój.

– Powiedz to swemu przyjacielowi, który właśnie sobie wyszedł, bo powoli zaczyna mnie traktować jak coś oczywistego. Wiesz, że kiedy dzwoniłeś, przestał kochać się ze mną, żeby odebrać telefon?

– Nie dziwię się więc, że telefon dzwonił i dzwonił – odparł David. – Właśnie miałem zamiar odwiesić słuchawkę.

– Na szczęście nie odwiesiłeś – powiedziała Terry. – David, Joey nie zabił tego gościa?

Strach w jej oczach nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jak ważna była odpowiedź.

– Poprosiłem go, żeby pociągnął za spust, Terry. Naprawdę. Ten bydlak zamordował mojego przyjaciela, ale Joey zostawił go w spokoju, bo obiecał ci nie strzelać.

Terry Rosetti przełknęła kulę w gardle. W tym momencie do pokoju wrócił Joey. Przyniósł naręcze ubrań, kule i książkę telefoniczną Bostonu.

– To musi być ona – oświadczył. – C. Beall, Belknap trzysta dziewięćdziesiąt jeden, Brookline. Posprawdzałem w innych książkach i to jedyne nazwisko, które pasuje do inicjału imienia. Tak poza tym ubrania i kule to dar od Stowarzyszenia Biznesmenów North End.

– A to kto?

– Paru prostych przedsiębiorców, takich jak ja, którzy lubią pomagać biednym, nieszczęśliwym ludziom, zapędzonym do rzeki przez goryla. – Joey uśmiechnął się konspiracyjnie do Terry i machnął jej ręką. Jego uwagi uszło, że nie zareagowała. – Masz tyle siły, by podróżować, doktorze?

– Oczywiście. Która godzina?

– Wpół do pierwszej. Mamy nowy dzień.

– Trzy godziny... – David pokręcił ze zdziwieniem głową. – To były tylko trzy godziny...

– Słucham?

– Nic, daj mi, proszę, telefon. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

Joey zmarszczył czoło.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Jasne, dlaczego pytasz?

– Cóż, ty kończyłeś szkoły, masz stopień naukowy itepe, ja wiem tylko to, czego nauczyłem się na ulicy, ale mógłbym wymienić pięć lub sześć powodów, dlaczego lepiej do

niej nie dzwonić, a porozmawiać osobiście. Pamiętaj, już raz zostałeś aresztowany pod zarzutem morderstwa. Ta kobieta jest twoją jedyną szansą na wyplątanie się z kłopotów.

David natychmiast zrozumiał. Jeśli Christine miała coś wspólnego z zabójstwem Bena, wiadomość o tym mogłaby popchnąć ją do nieprzemyślanego, być może grożącego śmiercią działania. Jeżeli była wmieszana w wynajęcie Leonarda albo wiedziała, kto to zrobił... nie pozwolił sobie na dokończenie myśli.

– Kiedy to się skończy, napiszę do Akademii Medycznej i zarekomenduję cię jako wykładowcę – powiedział do Joeya. – Mógłbyś uczyć studentów medycyny, jak sobie radzić w prawdziwym świecie. Teraz chodźmy poszukać Christine Beall.

Dziesięć minut później siedzieli znów w samochodzie Rudy'ego Fishera i jechali w kierunku Brookline.

– Jedź spokojnie, Rudy – zarządził Joey. – Nie chcę, by nas zatrzymano. Jeśli Vincent dostał na nią zlecenie, pośpiech i tak nic nie da. – David skrzywił się i wyjrzał przez okno.

Po kilku minutach Rosetti przerwał milczenie.

– Doktorze, chcę ci coś wyjaśnić. Ponieważ sam stwierdziłeś, że powinienem zostać nauczycielem, możesz to nazwać lekcją.

David odwrócił się do przyjaciela, spodziewając się ujrzeć przebiegły błysk w oku, który towarzyszył wszystkim jego historyjkom, ale oczy Joeya były zwężone, ciemne i śmiertelnie poważne.

– Wal – rzucił David.

– Leonard Vincent może i nie jest najsprytniejszy w swoim fachu, ale to zawodowiec i dopóki on albo ktokolwiek w jego stylu znajduje się na scenie, będziesz zachowywał się według jego zasad. Czy to jasne? – David skinął głową. – Nie mamy wiele czasu, więc lekcja będzie uproszczona. Musisz pamiętać o jednej tylko zasadzie. Podstawowej zasadzie przeżycia w prowadzonej przez Vincenta grze. Nie zastosowałem jej w szpitalu, ponieważ dałem obietnicę Terry, ale ty nie masz Terry, więc dobrze posłuchaj, co mam do powiedzenia: Jeśli masz choć najlżejsze przeczucie, że ktoś zamierza się do ciebie dobrać, musisz go uprzedzić. Rozumiesz? – Wsunął Davidowi do kieszeni rewolwer.

– Bez względu na to, co ma się stać, podejrzewam, że będziesz go potrzebował bardziej niż ja. Terry cię pokocha, jeśli się dowie, że mi go zabrałeś.

John Dockerty klęczał przy drzwiach mieszkania Davida i obserwował, jak ekipa z sądówki kończy pracę nad ciałem Bena Glassa, kładzie zwłoki na wózek i wjeżdża nim do windy. Popatrzył na policjanta w mundurze, rozmawiającego z ludźmi w sąsiednich mieszkaniach, ten jednak tylko pokręcił głową.

– Zero – poruszył bezgłośnie wargami.

Nie zaskoczyło to Dockerty'ego. Sztuka przeżycia w mieście zawiera taki punkt jak: „nic nie słyszałem, nic nie widziałem i nic nie wiem”. Obejrzał dziury po pociskach w drzwiach i prześledził etapy tego, co się wydarzyło w kolejności, jaką uważał za prawidłową. Na podłodze w holu mieszkania i na ścianach pokojów były ślady krwi, rozmazała się także na dolnej

framudze okna sypialni. Zrobił notatkę, by sprawdzić w dokumentach wojskowych i medycznych Davida, jaką ma grupę krwi.

Śmiertelna rana zadana nożem, ślady po kulach, wszędzie krew, zastrzelony dwie przecznice dalej stary pijak i ani jednego świadka. Dockerty potarł kłujące ze zmęczenia oczy i spróbował odtworzyć bieg wydarzeń. Dostrzegał kilka wariantów, ale żaden nie wyglądał różowo dla Sheltona. Bardzo prawdopodobne, że doktor nie żył.

W tym momencie zadzwonił telefon. Dockerty zawahał się, jednak podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Proszę z porucznikiem Dockertym.

– Przy aparacie.

– Poruczniku, mówi sierżant McIlroy z Czwórki. Właśnie dostaliśmy telefon od jednego z naszych ludzi w Doctors Hospital. Wygląda na to, że David Shelton... wie pan, ten, którego pan zamknął za zabójstwo z litości...

– Tak, wiem.

– No więc zjawił się jakiś czas temu na izbie przyjęć poharatany jak cholera. Zadzwoniłem pod pański numer służbowy i powiedziano mi, że na pewno będzie pan chciał jak najszybciej się o wszystkim dowiedzieć.

– Niech pańscy ludzie zatrzymają go w szpitalu.

– Nic z tego. Uciekł. Zwiął kilka minut po przybyciu z jakimś gościem. W szpitalu połapali się, kiedy było po wszystkim. Nasi ludzie przesłuchiwali dwóch palantów, którzy zaczęli do siebie strzelać w barze High Five.

– Kim był facet, który mu pomógł? – Dockerty poczuł, że zaczyna mu pulsować w głowie.

– Nie mam pojęcia.

– Nie zapisano nazwiska na karcie przyjęcia Sheltona?

– W tym właśnie problem. Urzędniczka twierdzi, że ją wypełniała, ale nikt nie może znaleźć karty.

– Boże Wszchemogący! Co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia, panie poruczniku.

– Niech pan powie swoim ludziom w szpitalu, że zaraz tam będę. Mają nie puszcząć nikogo, kto widział Sheltona. Nikogo! Jasne?

– Tak jest.

– Jezus Maria... – Dockerty odłożył słuchawkę, odgarnął z czoła kilka pasm włosów i wsunął je pod kapelusz. Zapowiadała się cholernie długa noc.

Rudy Fisher trzy razy przejechał przed domem Christine, zanim Joey Rosetti doszedł do wniosku, że nie spotkają ich żadne „niespodzianki”. Kazał olbrzymowi czekać pół przecznicy dalej, po czym pomógł Davidowi wejść na prowadzące do drzwi wejściowych stopnie.

– Stary Leonard prawdopodobnie właśnie się poci – powiedział ze śmiechem Joey. – Wyobrażam sobie, jak próbuje się wykręcić, używając dziesięciu albo dwunastu słów, jakie zna.

David oparł się o kule i zajął do środka przez szereg biegnących obok drzwi małych szybek. Poruszał się ostrożnie, ale nawet lekkie przekręcenie albo opuszczenie głowy przyprawiało go o zawroty. Długie przebywanie w niskiej temperaturze zaburzyło ośrodek równowagi albo zdolność adaptacji organizmu do nagłych zmian ciśnienia krwi.

Dom był ciemny, jedyne światło, do tego dość przyciemnione, płynęło z pokoju po prawej stronie – David przypuszczał, że z salonu. Popatrzył na zegarek. Zbliżała się pierwsza w nocy.

– No to chyba zadzwonimy, co? – spytał nerwowo.

– Biorąc pod uwagę możliwości, sądzę, że to najlepszy wybór, doktorze. Cieszę się, że nie jesteś zbyt spięty w podejmowaniu decyzji.

Davidowi udało się roześmiać, po czym nacisnął guziczek dzwonka. Czekali na jakąś reakcję, ale nic się nie działo. David wzdrygnął się. Chłód, który czuł, był skutkiem czegoś znacznie poważniejszego od gnanej wiatrem mżawki. Zadzwonił ponownie. Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia.

– Włamujemy się?

– Możemy, ale proponuję najpierw spróbować drzwi od tyłu – odparł Joey.

Wyszedł na ulicę i dał znak Rudy'emu, że idą za budynek. David ostatni raz zadzwonił, chwilę postać, by zdusić atak mdłości, i ruszył za Rosettim.

Trzeci dzwonek obudził Christine. Leżała w poprzek łóżka, śniąc jeden ponury sen za drugim. Na podłodze wałała się sterta podartych na strzępki kartek, pod nimi dwie butelki lekarstw. Obie były pełne.

– Chwileczkę, już idę! – Czyżby obie koleżanki zapomniały kluczy? Znając je, było to dość prawdopodobne. Wstała z łóżka i wbiła wzrok w podłogę. Popatrzyła na podarte notatki i buteleczki z pomarańczowo-szarą śmiercią... jak blisko była krawędzi. Włożyła lekarstwa do szuflady, pozbierała podarte kartki i wrzuciła je do kosza. Po straszliwej godzinie, spędzonej po powrocie do domu, doszła do wniosku, że nic jej nie zmusi do odebrania sobie życia. Nic poza taką chorobą, jaka dotknęła Charlotte Thomas. Spojrzył w twarz swemu przeznaczeniu.

Znów rozległ się dzwonek do drzwi, tym razem tylnych.

– Idę! Idę! – Przeszła szybko przez kuchnię i zeszła do połowy prowadzących do tylnych drzwi schodków, kiedy ją zamurowało. Na zewnątrz stał wsparty na kulach David Shelton i zaglądał do środka przez szybki w drzwiach. Zapaliła zewnętrzne światło i ciężko westchnęła. Miał ściągniętą twarz, oczy ginęły w wielkich, czarnych dołach. Za nim stał – odwrócony plecami – drugi mężczyzna. Tętno Christine gwałtownie przyśpieszyło, ogarnęło ją złe przeczucie.

– Christine, to ja, David Shelton. – Jego głos był słaby i zdawał się dochodzić z oddali.

– Tak... wiem. Czego pan chce? – Była przerażona, nie mogła się poruszyć.

– Christine... proszę... muszę z panią porozmawiać. Coś się stało. Coś strasznego.

Joey chwycił go za ramię.

– Oszalałeś? – szepnął i zbliżył się do drzwi. – Panno Beall, nazywam się Joey Rosetti – powiedział spokojnie. – Jestem bliskim przyjacielem doktora. Jest ranny. – Przerwał, przyglądając się minie Christine, by oszacować, czy musi więcej wyjaśnić, żeby ich wpuściła.

Christine zawahała się, zeszła jednak niżej i otworzyła zasuwę.

– Przepraszam... – wydyszała, kiedy obaj mężczyźni weszli. – Zaskoczyli mnie panowie i... proszę do salonu. Poradzi pan sobie? To coś poważnego?

Przez następne piętnaście minut słuchała streszczenia nocnych wydarzeń. Z każdym szczegółem w jej oczach pojawiały się gwałtowne błyski.

David obserwował je: było w nich zaskoczenie, bezgraniczne zdziwienie, przerażenie, ból, otepienie. Zastanawiało go, czy ta kobieta byłaby w stanie skutecznie skłamać. Bez względu na to, co zrobiła, uzyskał stuprocentową pewność, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Bena.

Mimo to była jakoś we wszystko zamieszana. Rozsądek kazał Davidowi przestać się koncentrować jedynie na jej twarzy.

– Christine, co pani powiedziała Benowi? – Wyglądało na to, że dziewczyna nie jest w stanie wypowiedzieć słowa. – Proszę, niech mi pani powie to samo, co jemu. – W jego głosie był ślad natarczywości i złości.

– Powiedziałam mu... powiedziałam, że ja to zrobiłam. Że to ja... podałam Charlotte morfinę.

Serce Davida załomotało. Jego aresztowanie, zbrukanie i poniżenie nocą spędzoną w więzieniu, ujawnienie wszystkich szczegółów jego kariery, śmierć Bena Glassa – za to wszystko ona była odpowiedzialna!

– A co ze sfalszowaną receptą? Za to też pani odpowiada?

– Nie! To znaczy... nie wiem. – Twarz jej stężała, wargi zaczęły drżeć. Jedyne wyjaśnieniem, jakie mogła dać, była prawda, ale jak brzmiała prawda? Stowarzyszenie najwyraźniej poświęciło Davida, aby ją chronić, ale dlaczego zabito Bena? Już posłanie niewinnego człowieka do więzienia trudno zaakceptować, a tu doszło do morderstwa... – O mój... Bo... że... – wydukała. – Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nie rozumiem, co się dzieje. Nic nie rozumiem.

– Słucham? – gwałtownie zareagował David. – Czego pani nie rozumie? – Jego oczy błysnęły w głębi zapadniętych oczodołów.

Christine zaczęła płakać.

– Nic nie rozumiem... Tyle się wydarzyło i nic nie ma sensu. To straszne. Cierpienie, na które pana naraziłam, Ben... to, że zabili Bena... Dlaczego? Po co? Potrzebuję... muszę mieć trochę czasu... żeby wszystko poukładać. To szaleństwo. Dlaczego mieliby to wszystko robić?

– Kto? – Kiedy Christine nie odpowiedziała, krzyknął: – Cholera jasna, o kim pani mówi?! Kim są ci „oni”?

– Poczekajcie sekundę – wtrącił się Joey. – Uspokójcie się obydwójce albo narobimy sobie kłopotów. Co prawda Leonard Vincent prawdopodobnie zniknął ze sceny, ale nie ma gwarancji, że działał sam. Im dłużej będziecie na siebie naskakiwać, tym większe ryzyko, że zaraz ktoś tu wpadnie i da nam popalić. – Przerwał, by do Christine i Davida dotarło, co powiedział. Po chwili napięcie zelzało. – Świetnie. Panno Beall, nie znam pani, ale znam obecnego tu doktora i wiem, przez jakie szambo przeszedł. Moim zdaniem dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana, oboje jesteście w niebezpieczeństwie. Widzę, że wieści, jakie przekazaliśmy, wstrząsnęły panią, ale David zasługuje na wyjaśnienie.

– Nie... nie wiem, co powiedzieć – stwierdziła łagodnie, bardziej do siebie niż do gości.

Joey widział, że Christine pęka. Popatrzył na Davida, którego mina świadczyła o tym, że też to dostrzega.

– Proszę pani, może powinniśmy w takim razie wezwać gliny i...

– Nie! – wykrzyknęła Christine. – Proszę nie. Jeszcze nie teraz. Zbyt wiele spraw nie rozumiem i jeśli zrobię coś nie tak, może ucierpieć mnóstwo niewinnych ludzi. – Przerwała i zamarła, ciężko oddychając. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie był nowy ton. – Proszę mi uwierzyć, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Bena. Bardzo go polubiłam. Zamierzał mi pomóc.

David opuścił nisko głowę i objął twarz dłońmi.

– No dobrze... – powiedział w końcu i spojrzał na nią. – Załatwmy to bez policji... na razie. Czego pani chce?

– Trochę czasu. Tylko trochę czasu, aby wszystko przemyśleć. Potem powiem, co wiem. Obiecuję.

David poczuł, że mięknie na widok smutku w jej oczach i odwrócił się.

– Doktorze, nie żartuję – niecierpliwie oświadczył Rosetti. – Naprawdę nie robimy mądrze, zostając tu dłużej, niż to jest konieczne. Chcecie bez policji, niech będzie bez policji, chcecie rozmawiać, rozmawiajcie. Ale nie tutaj.

Do Davida dotarła natarczywość w głosie przyjaciela, po raz pierwszy dostrzegł w jego oczach płomyk strachu.

– Masz rację. Chodźmy stąd. Tylko dokąd? Gdzie możemy pójść? Na pewno nie do mnie. Co z restauracją... albo twoim domem? Myślisz, że Terry się wścieknie, jak przyjdziemy?

– Wpadłem na lepszy pomysł – odparł Rosetti. – Mamy z Terry taką małą kryjówkę w North Shore. Jeśli uda wam się beze mnie nie poszarpać na kawałki, miejsce byłoby idealne. Doktorze, nie widzisz się, ale wyglądasz, jakbyś uciekł grabarzowi spod łopaty. Pojedźcie tam i prześpij się, jutro będziecie mogli wszystko w spokoju obgadać. – David otworzył usta, by zaprotestować, ale Rosetti powstrzymał go gestem. – Stary, nie czas na kłótnie. Jesteś moim przyjacielem, także przyjacielem Terry, wiesz więc, że nie chcę jej wplątywać w cokolwiek niebezpiecznego. Jedźcie do North Shore albo zostawiam was samym sobie. Co ty na to?

David popatrzył na Christine. Siedziała zgięta w pół w fotelu i wpatrywała się tępo w podłogę. Dostrzegał w niej coś niewinnego, bezbronnego, z czym trudno mu się było pogodzić ze względu na piekło, jakie ściągnęła mu na głowę. Kim ty właściwie jesteś, dziewczyno? Co tak naprawdę zrobiłaś? Dlaczego to zrobiłaś?

– Jeśli... Christine się zgodzi, nie mam nic przeciwko temu.

Christine zacisnęła usta i skinęła głową.

– No, to postanowione – rzekł Joey. – W domku jest jedzenie, o tej porze roku w okolicy Rocky Point nie ma wielu ludzi, więc nikt nie powinien zwracać głowy. Narysuję wam mapę. Weźcie wóz Christine, na wszelki wypadek pojedziemy za wami do autostrady. Okolica jest ładna, zwłaszcza jeśli przestanie padać. W garażu stoi stary rozklekotany dżip, kluczyki są w skrzynce z narzędziami. Możecie bez problemu z niego korzystać. Wszystko jasne?

– Poproszę o minutę, spakuję kilka rzeczy – powiedziała Christine. – Muszę też zostawić koleżankom wiadomość, by się nie zdziwiły, kiedy wrócą z randek.

– Oczywiście, ale niech to nie trwa długo. Christine – niech pani im napisze, aby na wszelki wypadek dobrze zamknęły drzwi.

– Panie Vincent, spał pan to dokładnie. Prawdopodobnie sytuacja jest nie do uratowania. Orchidea bardzo ryzykowała, pomagając panu uciec ze szpitala, ale zrobiła to po raz ostatni. Tym razem chcę mieć konkretne wyniki... najpierw dziewczyna, potem doktor Shelton.

– Tak, jasne... rozumiem... – Leonard Vincent huknął słuchawką o widełki, potem pomacał cienką warstewkę zaschłej krwi, która utworzyła się na szwach na jego głowie. Wściekała go ta przygłupiasta Orchidea, choć musiał przyznać, że umiała zachować zimną krew. Kiedy odzyskał przytomność, nie był w stanie utrzymać się na nogach. Zaprowadziła go do noszy, po chwili przyszedł lekarz. Wtedy zrobiła niezłe przedstawienie; opowiedziała, jak biedny sanitariusz się poślizgnął i uderzył głową o podłogę. A potem poprosiła lekarza o założenie kilku szwów, obiecując, że zajmie się papierkową robotą.

O tak, musiał przyznać, że Orchidea to niezły numer. Potem przypomniał sobie, jak popatrzyła na niego, kiedy wyprowadzała go ze szpitala – rzadko widywał w czyichś oczach tyle nienawiści.

– Ty kutasie... – wydyszała. – Ty denny kutasie.

Wspomnienie wywołało w nim falę mdłości i kolejne odruchy wymiotne – od opuszczenia szpitala miał to po raz trzeci. Musiał złapać się za drzewo i poczekać, aż atak minie.

– Komuś jeszcze przyjdzie umrzeć – mruknął i splunął, zwalczając frustrację i ból w jedyny znany sobie sposób. – Parę osób będzie musiało odwalić kitę...

Usiadł ostrożnie za kierownicą i pojechał na Brookline. Skręcił w Belknap Street w chwili, kiedy do rogu kilkaset metrów przed nim zbliżał się jakiś samochód. Vincent tak mocno się w niego wpatrzył, aż niemal zdrętwiał, auto zaraz jednak skręciło. Było czerwone jaskrawoczerwone. Zabójca rozluźnił się i opadł na fotel. Stał naprzeciwko domu Christine i rozejrzał się po podjeździe. Niebieski mustang zniknął.

Zmełł w ustach przekleństwo i sięgnął do schowka po kopertę, którą dostał od Orchidei.

– Cóż, Dalio, kimkolwiek, kurwa, jesteś, to, czy chcesz, czy nie, najpierw dostaniesz na talerzu doktora.

Rozerwał kopertę i rozłożył na siedzeniu kartę Davida z izby przyjęć. W poprzek rubryki „raport lekarski” napisano czerwonymi literami: UCIEKŁ BEZ LECZENIA. Kratki na górze formularza zostały jednak dokładnie wypełnione. Drżącą ręką Vincent otoczył kołem linijkę z nazwiskiem i adresem „najbliższej osoby”.

Rozdział dziewiętnasty

Nabrzeże było ciemne, ciche i jeszcze bardziej upiorne niż zazwyczaj. John Dockerty schował się w głąb wnęki w murze i zaczekał, aż noc pochłonie echo jego kroków. Potrzebował kilku minut, by zacząć rozróżniać rozlegające się wokół dźwięki. Szczęk łańcuchów, którymi przycumowano statki. Skrzek mew walczących o jedzenie. Plaskanie fal uderzających w basenie portowym o grube pale. Uspokajające dudnienie syreny przeciwmgielnej.

Powoli napięcie w jego karku puszczało. Był sam na nabrzeżu.

Lustrował przez srebrno-czarną mgłę szeregi magazynów – przypominających duchy wartowników wewnętrznej części portu. Przeszedł szybko wąski pasek asfaltu i wszedł w wąską uliczkę. Na jej końcu spod nie oznakowanych drzwi do magazynu sączyła się strużka światła. Dockerty lekko zapukał.

– Wchodź, Dock, jest otwarte – przerwał ciszę głos Teda Ulansky’ego.

Dockerty wślizgnął się do środka i szybko zamknął za sobą ciężkie metalowe drzwi.

– Jezu, Ted... Dwadzieścia minut sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi, a witasz mnie głośniej niż syrena przeciwmgielna.

– To tylko po to, by okazać, jakie mam do ciebie zaufanie, Dock. Chodź tu i zaparkuj swój tyłek. – Ulansky energicznie uściśnął Dockerty’emu dłoń, po czym wskazał stojące obok biurka krzesło z wysokim oparciem. Był energicznym mężczyzną; jego wygląd zewnętrzny nie nasuwał na myśl jednego z najlepszych w Ameryce bocznych obrońców, jakim był dwadzieścia pięć lat temu w Boston College.

– Ładne miejsce – sarkastycznie stwierdził Dockerty, rozglądając się po wielkim, ale kiepsko oświetlonym biurze. – To wszystko?

– Jak najbardziej – odpowiedział Ulansky z parodią dumy. – Legendarna kwatera główna Massachusetts Drug Investigation Force* [Jednostka śledcza do spraw narkotyków stanu Miami (przyp. tłum.)].

Oprowadzić cię?

– Nie, dziękuję. Chyba widzę stąd wszystko.

Choć MDIF była mało znaną agencją, miała niemal legendarną sławę za skuteczność, bez rzucania się w oczy, oraz aresztowania spełniające wszelkie wymogi prawne. Sam Ulansky, który dowodził jednostką, miał opinię nadczołowieka. Z wyglądu biuro MDIF nie było jednak materiałem na legendy – urządzone je niezwykle spartańsko i zimno. Pod ścianami z gołego betonu stały oliwkowe, metalowe standardowe szafy na akta – przynajmniej dwanaście sztuk i Dockerty wiedział, że jest tam praktycznie wszystko na temat prowadzonego w tym stanie nielegalnego handlu narkotykami.

W kącie, częściowo przykryty niedbale rzuconym płaszczem Ulansky’ego, stał komputer, połączony przez Waszyngton z agencjami zajmującymi się śledzeniem i zwalczaniem biznesów narkotykowych w całym kraju.

Ulansky usiadł na krześle.

– Drinka? Kawy? – Dockerty pokręcił głową. – Musi być coś poważnego, jeśli przyjeżdżasz w tak zasaną pogodę i odmawiasz drinka.

– Tak sędzę – odparł Dockerty, który zdawał się błądzić myślami gdzie indziej i znów prowadził wojnę z niesfornymi kosmykami włosów. – Dzięki, że przyjechałeś.

Ulansky jednym haustem opróżnił szklaneczkę whisky.

– Uwierz mi, przez tę wczorajszą transmisję walki Czerniewicza z Wybrzeża jesteś chyba jedynym człowiekiem, który mógł mnie wyciągnąć z domu. Jackie Czerniewicz, pulchny Polak... śledzisz walki?

Dockerty znów pokręcił głową.

– Mam ostatnio za dużo na głowie.

Ulansky uśmiechnął się.

– W takim razie powiedz, co skłania cię do złożenia wizyty w tak wspaniałym apartamencie policyjnym?

– Prowadzę bardzo dziwną sprawę. – Dockerty podrapał się po nosie. – Zamordowano starszą panią, kiedy leżała jako pacjentka w Boston Doctors Hospital. Podano jej morfinę. Jak na razie zawęziłem grono podejrzanych do jakichś trzydziestu osób, dokonałem nawet jednego aresztowania.

– Czytałem o tym. Zamknąłeś doktora, tak?

– Tak. Była przeciwko niemu tona poszlak, ale wszystko jest zbyt gładkie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Kapitana, nasz ukochany filar sprawiedliwości, nacisnęła jakąś gruba szycha ze szpitala i nalegał, żeby przymknąć doktora. Zrobiłem to, ale bez przekonania. Teraz zamordowano adwokata doktora. Bena Glassa. Znałeś go? – Ulansky skrzywił się i kiwnął głową. – Został zaszytyletowany, żeby było weselej, pod drzwiami mieszkania Sheltona. Wszędzie są dziury po pociskach, wyważono drzwi do mieszkania. W holu wejściowym jest krew, tak samo na ścianach pokoiów. Kilka godzin temu doktor został przywieziony do izby przyjęć – przemoczony, zziębnięty i wpółoszalały. Zanim zdążono mu cokolwiek zaordynować, zwiął z kumplem. Kiedy się o tym dowiedziałem, natychmiast pojechałem do szpitala, ale okazało się, że nie ma żadnej dokumentacji na jego temat. Może w tej chwili już nie żyć. Wiem co nieco na jego temat, ale generalnie walę głową w mur. Mam wrażenie, że wszystko się popieprzyło po części z mojej winy, dlatego że dałem się kapitanowi namówić na aresztowanie.

– W czym możemy pomóc?

– Moją jedyną nadzieją na przełom jest aptekarz o nazwisku Quigg. Marcus Quigg. Jest właścicielem niewielkiej apteki na West Roxbury i przysiągł, że doktor Shelton w dniu śmierci tej pacjentki zrealizował u niego receptę na dużą ilość morfiny.

Podobna do księżycy twarz Ulansky'ego zmarszczyła się. Intensywnie się zastanawiał, czy nazwisko mu się kojarzy.

– Gdzieś coś na jego temat mamy – powiedział w końcu. – Jestem niemal pewien. Co z C dwieście dwadzieścia dwa?

– Quigg dostał receptę. Doktor twierdzi, że ukradziono mu ją z gabinetu i nie wypisywał morfiny.

– A podpis?

– Grafolodzy nie mogą się jednoznacznie wypowiedzieć. Twierdzą, że podpis Sheltona to proste skrobnięcie i łatwo go podrobić.

– Może więc to jego?

– Może, ale przecucie mówi mi co innego – Dockerty wzruszył ramionami. – Choć w końcu było już tak, że moje przecucia okazały się błędne.

– Jasne, tak często jak zaćmienie słońca.

Dockerty przyjął komplement zmęczonym uśmiechem.

– Muszę mieć coś do przyciśnięcia tego aptekarza, Ted. Facet słabnie, ale nie pęknie. Jeśli wziął pieniądze za fałszywe zeznanie, musiał sobie kiedyś ubrudzić ręce.

– Możemy sprawdzić akta i bazy danych. Wydaje mi się, że mamy na jego temat coś na piśmie. – Przerwał na chwilę, potem znacznie łagodniej dodał: – Jeśli nic nie znajdziemy, bez kłopotu możemy zaaranżować coś, co tak samo dobrze zadziała. Może nawet lepiej. Chciałbyś?

Dockerty stęzał, wstał i powoli poszedł w głąb pomieszczenia. Ulansky uniósł się na krzesło, by ruszyć za nim i coś powiedzieć, zrezygnował jednak i pozwolił trwać ciszy. Dockerty oparł ramię o szafę i przez dłuższy czas przyglądał się ścianie.

– Ted, wiesz sam najlepiej, że przez wszystkie lata nigdy świadomie nic na nikogo nie sfabrykowałem. Gdybym zrobił to teraz, byłoby jasne, że po to, by ukryć swoje błędy. – Pokręcił głową i popatrzył na Ulansky'ego. – Nie, Ted, nie chcę nic takiego. Bez względu na to, w co mogły wpakować doktora moje niedoróbki. – Ulansky kiwnął głową na zgodę. – Sprawdź, co się da, znajdź, co macie na tego Quigga i zadzwoń do mnie jutro z samego rana. Jeśli obaj nic nie znajdziemy, zastanowimy się od nowa.

– Nie martw się, Dock. Jeżeli Marcus Quigg choćby tylko nasikał na deskę klozetową w publicznym kiblu, dowiem się tego. W ogóle się nie martw.

– To było tu! To był zjazd. Powiedziałem sto dwadzieścia siedem, a ty przejeżdżasz. – David, zawinięty w wojskowy koc, siedział oparty o drzwi pasażera. Wpatrywał się w Christine, ale kiedy zaczęła się do niego odwracać, szybko spojrzał w innym kierunku.

– Przepraszam. Myślałam o czymś innym. – Zjechała następnym zjazdem i zawróciła. Nie było dużego ruchu, ale miała takie problemy z koncentracją, że jechała maksimum osiemdziesiąt na godzinę. Znow zamilkli, świadomi narastającego między nimi napięcia.

W końcu Christine nie wytrzymała. Zatrzymała się na leśnym parkingu przy niewielkiej restauracji i przyspiliła Davida wzrokiem.

– Może nie był to najlepszy pomysł i powinniśmy wrócić? David wyglądał przez okno, starając się objąć umysłem istnienie i nieprawdopodobny zakres Stowarzyszenia Sióstr Życia. Christine przedstawiła mu jedynie ogólne zarysy ruchu, obiecując dalsze szczegóły jutro, ale już to, co powiedziała, było zatrważające. Kilka tysięcy pielęgniarek! Uczestniczy w tym Dorothy Dalrymple! Słuchał z zamkniętymi oczami. Po każdym fakcie, ujawnianym rzeczowym i dziwnie obojętnym głosem, fakcie oznaczającym potencjalne zagrożenie dla szpitala, któremu poświęcił tyle lat życia, czuł, że zaraz rozsadzi mu głowę.

Teraz robiło mu się niedobrze. Był zmęczony, zły i chory.

Christine wyczuwała jego nastrój, nie umiała jednak pohamować własnej frustracji.

– Cholera, David, próbowałam jak najlepiej wyjaśnić, co się stało. Nie oczekuję nagrody, ale też nie chcę znosić tego milczenia.

– A czego się spodziewałaś? – spytał z irytacją.

– Może... zrozumienia?

– Boże! Zabijasz mi pacjentkę, pakujesz mnie do więzienia, powodujesz, że niemal na rękach ginie mi przyjaciel i chcesz zrozumienia? Do tego to twoje... Stowarzyszenie. Jakim prawem to aroganckie, chore...

– David, powiedziałam ci o Stowarzyszeniu Sióstr Życia, ponieważ uznałam, że zasługujesz na to, żeby wiedzieć. Kiedy byliśmy u mnie w domu, sprawiałeś wrażenie gotowego do wysłuchania i zrozumienia, a teraz zamknąłeś się w skorupie i tylko co rusz na mnie naskakujesz. Mówię po raz ostatni: nie spowodowałam twego aresztowania. Dowiedziałam się o nim z gazety. Sądzę, że jest za nie odpowiedzialne Stowarzyszenie i przyprawia mnie to o mdłości. Przyłączyłam się do ruchu, ponieważ jego celem jest litość. Dopiero teraz się dowiaduję, że jest uwikłane w przestępstwa przeciwko tobie, Benowi, Bóg wie przeciwko komu jeszcze. Gdybym wcześniej o tym wiedziała, nigdy bym do tego nie dopuściła. Dlaczego twoim zdaniem zdecydowałam się ujawnić prawdę Benowi? – Przerwała, by mógł odpowiedzieć, ale David jedynie w milczeniu wyglądał przez okno. – Sądziłam, że może pomożesz mi ponaprawiać zło, ale to było głupie założenie. Masz pełne prawo być wściekły a także mnie nienawidzić. Jadę do domu.

Odwróciła się i zapaliła silnik. David wyciągnął rękę, przekręcił kluczyk i motor zgasł.

– Poczekaj chwilę. Przepraszam. Wsłuchiwałem się w mą gorycz i złość i zastanawiałem się, co jest ich źródłem. Myślałem, że przemawia przeze mnie ból, rozgoryczenie albo nawet lęk, ale to nieprawda. Od początku cię polubiłem... może nawet bardziej niż się do tego przyznawałem i na tym polega problem. Nie chciałem uwierzyć, że możesz być częścią czegoś tak obrzydliwego. Teraz mówisz, że co prawda byłaś członkinią, ale nie wiedziałaś, do czego zdolne jest całe to Stowarzyszenie. Cóż, chcę w to wierzyć. Naprawdę. Chodzi tylko o to, że... – Przerwał, bo nie mógł zebrać myśli. Co tak naprawdę zrozumiał z jej słów? – Jestem kompletnie wykończony i więcej nie wytrzymam. Ogłosimy do rana zawieszenie broni i jedźmy do domku Rosettiego. Zobaczymy jutro, jak się sprawy mają. Zgoda?

Christine westchnęła i skinęła głową.

– Niech będzie. Zawieszenie broni.

Z wahaniem wyciągnęła ku niemu dłoń i ujął ją – najpierw w jedną, potem w obie ręce. Ciepło jej dotyku jeszcze bardziej mąciło mu myśli. Dlaczego musiała to być akurat ona? Dlaczego? Pytanie krążyło po głowie jak mantra, powodując, że zaczął przysypiać. Równocześnie zaczęła się uspokajać burza w jego wnętrzu. Usłyszał, jak silnik zaskakuje i mustang wjeżdża na drogę. Po chwili ogarnięty niemocą odpłynął.

– David? Przepraszam, ale musisz się obudzić. – Christine ściągnęła mu koc z twarzy i czekała, aż przetrze oczy. – Czujesz się lepiej?

– Jeśli istnieją różne stopnie bycia trupem – mruknął.

Odrzucił koc na kolana i wyjrzał przez okno. Stali na poboczu wąskiej, niczym nie oświetlonej drogi. – Gdzie jesteśmy?

– Zgubiliśmy się w kosmosie – oznajmiła.

Nie od razu pojął dowcip. Przez chwilę tępo patrzył, potem wymamrotał:

– Ale... nie wybieraliśmy się tam. Mieliśmy skręcić w pierwszą w prawo albo przynajmniej w pierwszą w lewo.

– Przynajmniej...

Roześmieli się oboje.

– Która godzina?

– Druga. Tuż po. Byliśmy dokładnie tam, gdzie wskazywała mapa, ale nagle, jakieś piętnaście, dwadzieścia minut temu, znaki zniknęły. – Podała rysunek Joeya.

David otworzył okno i wciągnął głęboko powietrze. Powietrze, czyszczone przez czterodniowy deszcz, było chłodne i pachniało słodko jesienią. Nisko nad jezdnią ciągnęła się cienka warstwa mgły. Po kilku oddechach poczuł unoszącą się w powietrzu sól. Potem usłyszał ocean, dudniący po prawej za drzewami.

– Mijaliśmy Gloucester?

– Tak, tuż zanim się zgubiłam.

Uśmiechnął się.

– Dobra robota, Christine. Za drzewami jest ocean; sądząc po odgłosie, jesteśmy wysoko nad nim. Założę się o hotdoga z chili, że jesteśmy niedaleko miejsca, które Joey zaznaczył jako „klif”.

– Założysz się o co?

– O hotdoga na ostro. Mam taki... nieważne, wyjaśnię ci jutro. Jeśli nie jestem zbyt przymulony i prawidłowo czytam mapkę, a nie ma między nami i oceanem innej drogi, uważam, że jesteśmy dość blisko skreću na Rocky Point. Stawiam na jazdę przed siebie.

Christine wjechała z powrotem na drogę i ruszyli. Po kilkuset metrach jezdnia gwałtownie skręcała, po kilku sekundach wyjechali z lasu. Widok w dole zapierał dech w piersi. Strome zbocze, nakrapiane drzewkami i głazami, spadało stokilkadziesiąt metrów w dół i znikało w Atlantyku. Nad ich głowami w chmurach zrobiła się wielka dziura, ukazując gwiazdy i biały sierp rosnącego księżyca. Christine zjechała na pobocze i zgasła silnik.

– Nawet gdybyśmy nie mieli zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy, nie bylibyśmy zagubieni – spokojnie powiedział David. – Widzisz ten czarny masyw po drugiej stronie zatoki? To chyba Rocky Point.

Christine nie odpowiedziała. Wsiadła z samochodu i podeszła do skraju klifu. Stała bez ruchu przez kilka minut – jak hebanowa statua na tle granatowoczarne nieba. Kiedy wróciła do samochodu, miała w oczach łzy. Resztę podróży odbyli w milczeniu.

„Mała kryjówka” okazała się niesamowita – był to sześciokątny dom weekendowy ze szkła i drewna sekwoi, wznoszący się nad samym szpicem półwyspu.

– David, tu po prostu jest pięknie...

– Idź pierwsza i otwórz dom. Zaraz przyjdę.

– Pomóc ci?

David pokręcił głową, zaraz jednak pomyślał, że może sam sobie nie poradzić. Wsiadł z samochodu i wsparł się na kulach, ale natychmiast dostał mdłości i zaczęło mu się kręcić w głowie. Jakoś doczłapał do prowadzących do wejścia schodków. Przez wiele godzin napięcie i zdenerwowanie pomagały mu panować nad bólem i skutkami hipotermii, teraz jednak był wykończony. Złapał za poręcz, ale nie utrzymał się, zawirował wokół własnej osi i ciężko upadł na ziemię. Christine natychmiast przybiegła, pomogła mu wstać, a potem poprowadziła do środka.

Wchodząc do sypialni, widział jak przez mgłę wielkie panoramiczne okna, wysoki, podparty konstrukcją z belek sufit i zbudowany z polnych kamieni kominek. Wszystko wokół wirowało. Z pomocą Christine ułożył się na łóżku i wtedy zadzwonił telefon w salonie.

Odbierz, to pewnie Joey – powiedział, nie otwierając oczu.

Słyszał, jak Christine wychodzi i przez kilka minut walczył z chęcią go połączyć ciemnością; czekał...

– David, słyszysz mnie? – Kiwnął głową. – Miałeś rację, to był Joey. Chciał wiedzieć, czy dotarliśmy w jednym kawałku. Jeśli rozumiesz, co mówię, kiwnij głową. Dobrze. Telefonował do kilku przyjaciół z policji, lecz nikt nic nie wie o aresztowaniu Leonarda Vincenta. Cały Boston cię szuka, a Vincentowi musiało się udać uciec ze szpitala, zanim ktoś go zauważył. Joey powiedział, że będzie się rozglądał i zadzwoni albo dziś, albo w sobotę. Uważa, że jesteście tu bezpieczni, ale musimy być czujni, gdybyśmy chcieli wracać do miasta. David?

Tym razem nie kiwnął głową.

Kiedy się obudził, leżał rozebrany pod ciepłą kołdrą, skrzyta, opuchnięta kostka opierała się na podwyższeniu z poduszki. Obok była torba z wodą – pozostałość po zaimprovizowanym okładzie z lodu.

Uniósł się na łokciu i wyjrzał przez sięgające od podłogi do sufitu okno. Na przeczyszczającym się niebie migotały miriady gwiazd.

Za drzwiami rozległ się krzyk. David złapał kule i pokuśtykał w kierunku salonu. Christine spała na kanapie. Krzyknęła znowu, ale ciszej. Zrobił krok, by ją obudzić, zatrzymał się jednak. Mógł obudzić ją na minutę albo nawet na godzinę, ale nie miało to znaczenia – wiedział, jak trwale są nocne koszmary.

Rozdział dwudziesty

Skwierczenie i zapach smażonego bekonu wyrwały Davida ze snu i pozwoliły przez kilka minut nowego dnia nie myśleć o horrorze minionej nocy.

Słońce świeciło prosto na niego, a ponieważ okna nie pozwalały wpaść do środka oceanicznej bryzie, w sypialni zrobiło się niemal nieprzyjemnie ciepło. Słońce! David otworzył nieco oczy i spojrzął w blask. Od niemal tygodnia świat był szary, szary i szary, teraz można było niemal wyczuć smak błękitnego nieba.

Przedramię pulsowało mu pod grubym opatrunkiem założonym przez Terry, lecz było to do zniesienia. Spuścił nogi z łóżka i poruszał stopą zranionej nogi. Poczul tępy ból – na szczęście także do wytrzymania. Stwierdził nawet, że jest w tym bólu coś dodającego otuchy – może chodziło o to, że jeśli go boli i czuje, to znaczy, iż żyje. Uśmiechnął się na tę myśl. Ileż razy miał pacjentów, którzy niemal cieszyli się z bólu? Teraz będzie miał dla nich więcej zrozumienia.

Słyszał krzątającą się po kuchni Christine, nagle z radia dopłynęła muzyka. Klasyczna! Teleman? Bez dwóch zdań. Słuchał przez jakiś czas, myśląc o Christine i niesamowitej historii, którą mu opowiedziała. Zeszłej nocy wściekł się. Dawno nie był tak rozgoryczony i wściekły, ale teraz – w świetle słońca i przy muzyce – pojął, że dziewczyna jest nie mniej niż on niewinna i wplątana w koszmar wbrew sobie. Fakt, podała Charlotte Thomas morfinę, ale nie mogła przewidzieć, co nastąpi. Musiał w to uwierzyć. Musiał, aby nie zwariować.

Zamknął oczy i jeszcze przez kilka sekund rozkoszował się obietnicą nowego dnia. Potem wsparty na kulach wyszedł z sypialni.

Kuchnia, oddzielona kontuarem z rzeźnickiego kłoca od miejsca będącego połączeniem jadalni z salonem, znajdowała się w zachodniej części sześciokąta. Christine stała przy zlewozmywaku i biła trzepaczką ciasto na naleśniki. Na jej widok David poczuł, jak rozchodzi się w nim fala ciepła. Żadne popołudniowe słońce nie mogło tak rozświetlić pokoju jak Christine. Rozpuszczone jasne włosy sięgały jej do połowy pleców, związana u dołu błękitna męska koszula podkreślała kontur piersi i ukazywała w talii pasek skóry w kolorze ciemnego miodu. Sprane dżinsy opinały biodra i pośladki.

David poczuł, jak serce dudni mu w piersi i nie wiedział, co z tym zrobić.

– Dzień dobry – powiedział obojętnie, z nadzieją, że wygląda swobodniej, niż się czuje.

Odwróciła się.

– Nie mogłam się zdecydować, czy cię budzić, czy poczekać i zaryzykować, że śniadanie nie wyjdzie, wybrałam więc najchórzliwsze rozwiązanie i włączyłam radio. Wypałeś się?

David uważnie jej się przyglądał. Chciała kontynuować zawieszenie broni, by powiedzieć, co chce, kiedy uzna za stosowne i w najlepszy dla siebie sposób?

– Nawet bardzo. Dziękuję za ułożenie do snu.

– Bałam się, że się z tego powodu wściekniesz. – Odłożyła trzepaczkę i podeszła do niego.

– Na szczęście nie byłem przytomny. – Jej śmiech był wyraźnym sygnałem i postanowił brać wszystko na luzie, aż Christine zdecyduje się mówić. – Mogę pomóc? Jestem znakomitym kucharzem... pod warunkiem że głównym składnikiem potrawy jest woda.

– Chyba panuję nad wszystkim. Możesz za to rozpalić ogień. W tej części domu jest nieco chłodno. Na kominku leży drewno. Jeśli zechcesz, będziesz mógł przejąć dowodzenie w sprawie lunchu.

– Uczciwa propozycja – stwierdził i ruszył do kominka. Kiedy Christine wracała do swego zajęcia, doleciało do niej mruczenie:

– Zupa, którą wystarczy zalać wodą, i puree ziemniaczane z proszku... albo wołowina z paczki w sosie winnym...

Podziękowała mu w milczeniu. Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech, przypomniawszy sobie bowiem słowa Dotty Dalrymple, która określiła Davida mianem „degenerata”... Co tak naprawdę powoduje, że ktoś zasługuje na taką ocenę? Jako jedna z szefowych Stowarzyszenia Dotty uważała, że wolno jej oceniać znaczenie ludzkiego życia... Sama Christine tak bardzo wierzyła w swe zaangażowanie, że nabrała przekonania, iż to do Sióstr należy decyzja o tym, kiedy nadszedł czas na jego kres... Co tak naprawdę powoduje, że stajemy się degeneratami?

Popatrzyła w kierunku salonu. David siedział przy ogniu, opuchniętą kostkę oparł na podnóżku.

– Pokaż mi, jak mam to zrobić, David... – szepnęła. – Wyjaśnij, jak przeżyłeś piekło, w które pomogłam ci wepchnąć. Wiem, że o wiele proszę, ale proszę... spróbuj...

Dżip Joeya Rosettiego był stary ciałem i duchem, choć nie wiekiem. David z uznaniem obserwował z fotela pasażera, jak Christine manewruje parskającą bestią, omijając na prowadzącej do oceanu stromej drodze skały i kałuże.

Cały poranek rozmawiali na luzie, jedynie zdawkowo wspominając o przerażających wydarzeniach, które ich tu sprowadziły. Kiedy Christine zaproponowała piknik nad wodą, David zaczął oponować i nalegać, że trzeba zastanowić się nad tym, co ich czeka, szybko jednak przyznał przed samym sobą, że i on chce, by relaks trwał dalej. Po lunchu będą mieli dość czasu na rozmowę.

Kamienista polna droga, którą wybrali, wiła się przez bajkową płataninę śliw, dzikiej róży i karłowatych sosen. Po kilkuset metrach zaczęła się seria częściowo zarośniętych karkołomnych zakrętów.

– Może powinniśmy wrócić i poszukać innej drogi? – zaproponował David.

– Może... – odparła Christine. Podskakując, zrobili ostry zakręt w miejscu, które wyglądało na nie do pokonania. – Ale założę się o... ciasto owocowe, że przejedziemy.

Kilkanaście sekund później krzaki się skończyły, zrobili ostatni ostry skręt i wyjechali na piaskowy owal o długości jakichś trzydziestu metrów – doskonały biało-złoty medalion, spoczywający na piersi Atlantyku. Christine zahamowała, wzbijając chmurę pyłu. Odgłos silnika zamarł. Siedzieli, chłonąc ciszę i barwy.

– Grosik... – powiedział w końcu David.

– Za moje myśli?

– Aha.

– Będziesz potrzebował drobnych.

– Sprawdź mnie.

– Cóż, właśnie się zastanawiałam, gdzie najlepiej rozłożyć koc, by zjeść lunch.

– To wszystko?

– Wszystko. – Wzięła koszyk zjedzeniem i koc, zrzuciła buty i zeskoczyła na piasek. – Po jedzeniu porozmawiamy, dobrze? Idziesz?

– Za sekundę. Idź pierwsza.

Zatroskała się na chwilę, zaraz jednak radośnie pobiegła plażą. David opadł na fotel, czując nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Ciężar z każdą chwilą narastał. Starał się określić jego przyczynę i wkrótce zaczął rozumieć. Wciągało go w jej świat, w jej życie. Coraz bardziej mu na niej zależało – na kobiecie, która postanowiła zastępować Boga i ściągnęła na niego koszmar, i pośrednio doprowadziła do śmierci przyjaciela. Na kobiecie, która przyznała się do popełnienia morderstwa i której sytuacja była... beznadziejna.

To było szalone. Chore. Christine nie miała przed sobą przyszłości – poza więzieniem. Jej kariera zawodowa została zakończona, czekały ją aresztowanie i proces. Lauren miała tak wiele – talent, urodę, jasność dążeń, pewność siebie, a Christine?

– David? – Jej głos wybił go z zadumy, ale przez chwilę nie mógł jej dostrzec. Stała przed samochodem, opierała się łokciami o maskę i wpatrywała w niego przez przednią szybę. – Wszystko w porządku?

– Co? Oczywiście! Nic mi nie jest.

– To dobrze. Nie wiedziałam, czy jesteś w transie, czy tylko się wściekasz, że nie pozwoliłam ci przygotować lunchu. W każdym razie jedzenie gotowe.

David słabo się uśmiechnął, wysiadł z samochodu i pokuśtykał do częściowo zacienionego wgłębienia w skale, gdzie rozłożyła koc. Zapadła cisza i bez słowa jedli przygotowaną kompozycję: sardynki, marynowane dna karczochów, chleb chrupki, jajka na twardo, czarne oliwki, ser, portugalski słodki chleb.

– Wspaniale – powiedział w końcu David. – Chcesz rzucić monetą o ostatniego karczocha?

– Nie, dziękuję, jestem strasznie najedzona. Bierz. – Przerwała, po chwili powiedziała niemal nie zmienionym głosem: – Charlotte nie umierała na raka, prawda? – Nie było to pytanie, ale stwierdzenie.

No więc przechodzili do sedna. Powoli, by mieć czas na sformułowanie odpowiedzi, włożył widelec do pustego słoika i dopiero wtedy się odwrócił.

– Chodzi ci o wyniki sekcji? – Przełknęła ciężko i skinęła głową. – Najprostszą odpowiedzią jest stwierdzenie, że najprawdopodobniej nie. Sekcja nie wykazała widocznych gołym okiem oznak nowotworu. Być może rozwinąłby się za pół roku albo rok, może dwa, ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: Nie.

Christine otworzyła usta, ale zagryzła wargę i odwróciła się. Bez ostrzeżenia, niespodziewanie dla siebie samego, David naskoczył na nią.

– Cholera jasna, nie rób tego sobie! Jeśli chcesz się przez to przegryźć, a uważam, że powinnaś, to weź się za sprawę ze wszystkich stron, nie tylko od tej, która jedynie nasili

poczucie winy! Albo przedyskutujemy wszystko pod każdym aspektem, albo wracajmy do nic nie znaczących gładkich słówek! Rozumiesz?!

Skinęła głową. Miała szkliste, nieprzytomne oczy.

– Czuję się taka... zagubiona – stwierdziła ochryple. – To takie przerażające i... beznadziejne.

Znów padło to słowo. Tym razem David odwrócił wzrok. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że jej sytuacja faktycznie jest beznadziejna. A czego miała się spodziewać? Pomyślał o Lauren. Jej stosunek do siebie opisał dość złośliwym zdaniem: „Na dobre, ale nie na złe”, teraz na niego nadeszła kolej podjęcia decyzji, czy warto się narażać, by komuś pomóc w trudnej sytuacji.

Poczuł ukłucie złości na Christine, że zdecydowała się na robienie rzeczy, przez które ludzie cierpieli i ginęli. Teraz czuła się bezradna – czyż nie dostawała tego, na co sobie zasłużyła?

Na co sobie zasłużyła... David pokręcił głową. Ilu jego kolegów uważało, że aresztowanie go i usunięcie z zespołu lekarskiego Doctors Hospital to coś, na co sobie zasłużył? Czy wolno mu było uzurpować sobie prawo do osądu, tak jak robili to jego koledzy?

Wyciągnął rękę i ujął dłoń Christine. Jej palce zacisnęły się – czuł niemal fizycznie jej rozpacz. Nagle cofnął rękę i skrzyżował ramiona na piersi w profesorskim geście.

– Jakim prawem pozwalasz sobie stawiać taką diagnozę? – spytał wyniośle.

– Jaką diagnozę?

– „Beznadziejność”. Masz przed sobą prawdopodobnie największego na świecie specjalistę w tym zakresie i śmiesz stawiać sobie diagnozę bez konsultacji. To nie do przyjęcia. Przejmuję sprawę. – Jej oczy nabrały nieco życia. – Na początek musimy dokonać przeglądu faktów. Najpierw zabierzmy się za podstawowe: widzę dziesięć palców u rąk, dziesięć palców u nóg i po parze wszystkiego, co powinno występować w duecie. Na pewno wszystko, panienko? – Christine pohamowała chichot i skinęła głową. – Jak na razie sytuacja wygląda stosunkowo niebeznadziejnie. Zna pani może klasyczne zuryskie badanie na ten temat? Mierzono w nim beznadziejność na skali od zera do dziesięciu, grupa badawcza składała się z tysiąca osób, przy czym pięciuset żyło, a pięciuset nie. Domyśla się pani wyników badań? – Christine roześmiała się. – Nie? No to pani powiem. Stwierdzono statystycznie znaczącą różnicę poglądów między dwiema grupami badawczymi: członkowie grupy martwych bez wyjątku oceniali swą sytuację na dziesięć, żywi bez wyjątku na zero. – Potarł brodę i popatrzył na Christine od góry do dołu. – Przykro mi, panienko. Naprawdę poszedłbym pani na rękę, ale choć bardzo się staram, nie mogę uznać panienki za beznadziejną. Dziękuję za przybycie, przyślę rachunek pocztą. Następny proszę!

Spontanicznym, radosnym gestem objęła go za szyję.

– Dziękuję. – Jej usta musnęły mu ucho. – Dziękuję za konsultację. – Cofnęła głowę, by na niego popatrzeć. Pocałunek był czymś naturalnym... delikatnym, przyjemnym zetknięciem się ust, którego oboje nie chcieli przerywać. Minęła minuta, potem druga. W końcu Christine odsunęła się. – Wszystko wyszło nie tak – powiedziała cicho. – Wyglądało na... prawidłowe, a po prostu... zwariowało. Dlaczego, David? Powiedz mi. Jak będę mogła jeszcze kiedykolwiek

zaufać swym uczuciom, jeśli coś, w co tak wierzyłam, okazało się takie gorzkie? – Opadła na piasek i zapatrzyła się w Atlantyck.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? – spytał, kładąc się obok. – Ponieważ nie jesteś doskonała. Ponieważ każde równanie zawierające czynnik ludzki jest nierozwiązywalne, a przynajmniej nigdy nie daje się rozwiązać dwa razy tak samo. Wierzę w sens eutanazji tak samo jak ty. Zawsze tak było i uważam, że to w pełni uzasadniona koncepcja. Różnica między nami polega na tym, że mnie udało się zrozumieć, iż choć koncepcja jest prawidłowa, nie da jej się dobrze realizować. Prędzej czy później podniesie łeb czynnik ludzki, nieprzewidywalny, niemożliwy do skontrolowania czynnik X i BUM! ... wszystko się rozsypie.

– I umrą niewinni ludzie...

– Chris, jeśli chodzi o umieranie, wszyscy jesteśmy niewinni. W tym problem. Ktoś w waszym Stowarzyszeniu – prawdopodobnie Peggy – wykorzystuje dobre, uczciwe przekonania wspaniałych, idealistycznych pielęgniarek, aby osiągać pokrętne cele. Znowu mamy do czynienia z pieniędzmi, chciwością, żądzą, fanatyzmem. Kto wie, co w danym człowieku jest w stanie trącić ukrytą strunę i sprawić, że zagra? Zamierzałaś ujawnić istnienie Stowarzyszenia Sióstr... przynajmniej ktoś uważał, że masz taki zamiar... i podjęto szalone decyzje. Słyszałem kiedyś taką zagadkę: Co byś zrobił, gdyby dano ci całkiem zdrowego noworodka i obiecano, że jeśli go zabijesz, sprawisz, że natychmiast znikną wszelkie bolączki ludzkości? Ktoś w twoim Stowarzyszeniu dał na tę zagadkę odpowiedź. Ben, ja, ty – nikt z nas nie okazał się ważniejszy od ich ideałów. Jednostka musiała zostać poświęcona dla wyższego dobra. Takie rzeczy ciągle się zdarzają.

– To straszne.

– Zapewne, ale ludzkie. Jeśli chcesz, możesz wziąć na siebie odpowiedzialność za moje cierpienie, nawet za śmierć Bena, ale byłoby to wielką karą za zrobienie tego, w co wierzyłaś i za przekonanie, że inni ludzie są tak niezachwiani i czyści w swych intencjach jak ty. Musisz podjąć kilka decyzji, Chris. Wielkich, krytycznych, strasznych decyzji. Jeśli chcesz, pomogę ci, ale nie spodziewaj się, że stanę przy tobie z zapalkami i będę czekał, aż skończysz się polewać benzyną. Za bardzo... mi na tobie zależy.

Powoli się do niego odwróciła. Wpatrywała się w jego oczy tak samo jak w dniu, kiedy ujrzeni się po raz pierwszy. Poglaskała go po policzku. Pocałunek – ciepły, głęboki i słodki – sprawił, że położyli się na piasku. Powoli, z każdym kawałkiem ubrania, jaki sobie nawzajem zdejmowali, świat odpływał. David pocałował jej oczy, potem wtulił usta w zagłębienie szyi przy obojczyku. Dłonie Christine wodziły po jego ciele, wraz z podniecaniem go odnajdywała coraz więcej ekstazy w sobie.

Z każdym pocałunkiem, każdym dotknięciem, słabł ich lęk i poczucie samotności. Z każdym nowym odkryciem odpływało poczucie beznadziejności.

Kiedy wspierała się na niego, jej twarz świeciła złoto w popołudniowym słońcu. Pieścił jej jędrne piersi – najpierw dłońmi, potem językiem.

Z uśmiechem na twarzy sięgnęła w dół i wsunęła go sobie do środka.

– Barbaro, przestań paplać i daj mi nazwiska. Zajmę się tym.

– Ale...

– Nazwiska, proszę! – wyrzuciła z siebie gwałtownie Margaret Armstrong, ścisnęła w dłoni skrawek materiału i nakazała swemu ciału rozluźnić się.

Barbara Littlejohn dalej się wahała. Pulsowanie w głowie, które poczuła w trakcie lotu z Los Angeles, narastało. W końcu otworzyła szarą teczkę i zaczęła kłaść listy na biurku pani kardiolog.

– Ruth Serafini. Zrezygnowała z członkostwa w zarządzie i w Stowarzyszeniu. Pisze, że rozumie, iż to, co robisz, uważasz za stosowne, ale sumienie nie pozwala jej się na to godzić.

– Nawet kopii mi nie przysłała – mruknęła Peggy, czytając list. Kiedy skończyła, rzuciła go na bok.

– Susan Berger. Napisała mniej więcej to samo co Ruth, dodała jednak, że dopóki sprawy się nie wyjaśnią, zawiesza działanie Stowarzyszenia w północnej Kalifornii. Nie wyrazi zgody w sprawie nowych „przypadków”, wstrzymuje także wpłaty na rzecz Fundacji Clintona.

Peggy położyła drugi list na pierwszy, nie czytając.

– Susan nietrudno będzie przekonać – oświadczyła spokojnie, zastanawiając się nad ujawnieniem kilku taśm z raportami Siostry, zamkniętymi w sejfie w jej piwnicy. Ich upublicznienie stanowiłoby wstrząsające przyznanie się do winy bez nawiązania słowem do istnienia Stowarzyszenia Sióstr Życia. – Jest zbyt ambitna, by nie posłuchać głosu rozsądku. – Peggy rozwinęła skrawek materiału, który trzymała w dłoni, i nie zwracając uwagi na to, co robi, tarła go w palcach.

Barbara Littlejohn, u której mimo starannego makijażu widać było ściągnięte rysy i szarość cery, podała trzeci list.

– Ten jest najbardziej denerwujący. Od Sary. Cholera!

– Napisała, że rozpatrzy wycofanie rezygnacji, jeśli przeprowadzimy staranne śledztwo w sprawie ewentualnego udziału Stowarzyszenia Sióstr Życia albo należących do niego osób w śmierci Johna Chapmana i senatora Cormiera. Peggy, przecież nie miałyśmy nic wspólnego z...

– Oczywiście, że nie. John Chapman był przyjacielem Sary i po prostu się wzburzyła. Senatora Cormiera poddano sekcji i jego śmierć szczegółowo omówiono na posiedzeniu komisji do spraw nagłych zgonów. Byłam na tym posiedzeniu. Miał rozległą chorobę wieńcową i dostał w trakcie zabiegu zawału. Tylko tyle.

– To dobrze... – W głosie Barbary słychać było wyraźną ulgę. – Peggy, nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie zechciała na ten temat rozmawiać. Wszystko by się rozleciało.

– Nonsens. Robisz znakomitą robotę, a nasze Stowarzyszenie nie tylko przetrwało czterdzieści lat, ale znakomicie się rozwinęło. Sytuacja z Sheltonem jest dla nas wyzwaniem, ale nie może zniszczyć naszej solidarności. Zostaw mi te listy. Do wieczora wszystko wróci do normy.

– Dziękuję – powiedziała Barbara i uściśniła dłoń Peggy. – Dziękuję ci.

„Weź poduszkę, dziecko. Połóż mi ją na twarzy i przyciśnij najmocniej jak możesz. To długo nie potrwa”.

„Próbują mnie zniszczyć, mamó. Próbują zniszczyć nasze Stowarzyszenie”.

Margaret Armstrong zamknęła oczy, jeszcze zanim rozległo się trzaśnięcie drzwi za Barbarą. Tamten wieczór sprzed tylu lat, zapach w pokoju, widok bólu na twarzy matki... wszystko powróciło.

„Mamo, nie... Proszę, mamó, proszę, nie każ mi tego robić”.

„Kocham cię i jeśli ty też mnie kochasz, nie możesz pozwolić, by dalej mnie tak bolało. Wszyscy mówią, że nie ma nadziei... nie pozwól, by mama dalej tak bardzo cierpiała...”

„Kocham cię, mamó... kocham cię...”

Peggy Donner powtarzała szeptem te słowa, a Margaret Armstrong obserwowała ją i słuchała, nieustannie przeciągając przez palce kawałek płótna.

„Kocham cię, mamó...” – powiedziała Peggy, położyła poduszkę na wychudzonej twarzy i przycisnęła ją z całej siły.

Margaret patrzyła, jak ruch pod poduszką słabnie, w końcu ustaje.

Dygotała, kiedy dziewczyna odłożyła poduszkę na miejsce i ucałowała martwe wargi matki. Popatrzyła na kawałek płótna w dłoni, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Majaki znów minęły.

John Dockerty krążył po zagraconym zapleczu apteki Marcusa Quigga. Pod ścianą stał Ted Ulansky, jego szeroka twarz była pozbawiona jakichkolwiek emocji. Znaleźli w księgach Quigga dość nieścisłości, by doprowadzić do odebrania mu licencji i od dwóch godzin przypiekali go na wolnym ogniu. Przeczucie Dockerty'ego okazało się trafne i nie było potrzeby sfingowania dowodów przeciwko podobnemu do wiewiórki farmaceucie. Wystarczyło kilka godzin sprawdzania recept i telefonów do lekarzy, by zebrać taką liczbę dowodów, która powinna rzucić Quigga na kolana i zmusić do błagania. Okazał się jednak zaskakująco odporny – albo został szczególnie skutecznie zastraszony.

– Panie Quigg – z irytacją powiedział Dockerty – zacznijmy od początku. – Detektyw klepnął się w dłoń stosikiem sfałszowanych recept. Umówili się z Ulanskym, że to on ma grać rolę złego, groźnego policjanta, a Ted czekać w odwodzie do momentu, aż uzna, że napięcie jest odpowiednio silne, by ruszyć „na pomoc” Quiggowi niczym księżę na białym koniu.

– Jak pan sobie życzy – wymamrotał Quigg. Trzymał się resztką sił dzięki paleniu papierosa za papierosem i unikaniu wszelkiego kontaktu wzrokowego z policjantami. Ted Ulansky zauważył jednak, że zaczęły mu drzeć ręce. Pomyślał, że opór długo już nie potrwa.

– Wszystko już powiedziałem – wyrzucił z siebie Dockerty. – Te recepty dowodzą, że jest pan przynajmniej oszustem, a być może także pierdolonym handlarzem prochów, zarabiającym na chleb sprzedawaniem dzieciakom tabletek. Albo pan powie, co chcemy wiedzieć, czyli kto zapłacił za obciążenie Davida Sheltona, albo zajmę się tym, by odebrano panu licencję na prowadzenie apteki i wepchnę ją panu w gardło na pierwszy posiłek w więzieniu. Rozumiesz mnie?!

Quigg zagryzł dolną wargę. Drżenie rąk nasiliło się.

Kątem oka Dockerty dostrzegł, że Ulansky kiwa głową. Czas na finał. Zacisnął szczękę i powiedział przez zęby:

– Nazwisko, Quigg, i to natychmiast... Jeśli nie, już czeka na ciebie cela w Walpole. Uwierz mi, taki elegancki drobny człowieczek jest dla tamtejszych chłopaków wymarzoną kaskiem. W tydzień tak ci rozepchną dupę, że po każdym kroku będzie ci wylatywać gówno. – Mówił coraz głośniej. – Nazwisko, Quigg! Dawaj nazwisko!

– Dość tego! – Ulansky powiedział to tak, by słowa zabrzmiały jak trzaśnięcie biczem. Szara twarz Quigga błyskawicznie się ku niemu odwróciła. Śledczy z wydziału do spraw narkotyków stanął między obydwoma mężczyznami, niczym sędzia rozdzielający bokserów. Położył Dockerty'emu uspokajająco dłoń na piersi, którą ten jednak natychmiast stracił. Ulansky przez chwilę nie był pewien, czy Irlandczyk gra, czy stracił panowanie nad sobą. – John, uspokój się. Spokojnie. Przez ten twój temperament już nie raz miałeś kłopoty z opanowaniem się, więc weź się w garść. – Odwrócił się z zyczliwym uśmiechem do Quigga i z zadowoleniem stwierdził, że na jego policzki wróciło nieco koloru. – Marcus, chcę panu pomóc, naprawdę – powiedział, a każde słowo aż tchnęło otuchą. – Musi pan jednak zrozumieć, z czym ma pan do czynienia. Ryzykuje pan swoją karierę, wolność i zdrowie za jedno jedyne nazwisko. Chodzi tylko o jedno nazwisko. Porucznik o więcej nie prosi. Rozumiem, że przeraża pana perspektywa, co się może stać, jeśli nam pan je poda, ale proszę się zastanowić, co będzie, jeśli pan tego nie zrobi. Porucznik może panu zaoferować nieco nadziei. Czy może to zrobić osoba, której nazwisko chcemy się dowiedzieć?

Ulansky popatrzył w twarz aptekarza. Widział strach i niepewność, ale nie przegraną. Quigg nie skapitulował, choć powinien. Popatrzył na Dockerty'ego i pokręcił głową.

– Chciałbym... porozmawiać z moim adwokatem – mruknął.

Dockerty skoczył w jego kierunku, złapał za poły marynarki i postawił na nogi.

– Nie dostaniesz niczego, zanim nie usłyszę paru odpowiedzi! – Powoli rozluźnił chwyt. – Zabieramy cię ze sobą, Quigg. Chciałbym, byś zobaczył na własne oczy, czym jest więzienie. Jeszcze nie skończyliśmy. Wstawaj, gnoju, idziemy.

Marcus Quigg poczuł kłujący ból pod mostkiem i przeszło mu przez głowę, że zaraz wszystko się skończy. Cienki jak wafelek tętniak, zajmujący duże połacie jego mięśnia sercowego, rozciągał się. Chciał im powiedzieć, że nie jest oszustem. Chciał powiedzieć, że zarabiał na fałszywych receptach grosze i były plastrem, ledwie trzymającym do kupy podupadający interes, jego podupadające zdrowie i żonę, przerażoną, że zostanie sama z czwórka dzieci. Chciał im powiedzieć, ale nie mógł.

Jaką to w sumie robiło różnicę? Kiedy Dockerty zatrzasnął mu na nadgarstkach kajdanki i wyprowadzał z apteki, raz za razem zadawał sobie to pytanie. Shelton popadł przez niego w kłopoty, ale on też miał swoje. Poważne. Cholerny balon w jego piersi ciągle się rozdymał, a lekarka powiedziała, że wytrzyma jeszcze rok, miesiąc albo godzinę... Jej zdaniem nic nie można było zrobić. Czy Dockerty by to zrozumiał? Czy zrozumiałby, że pod koniec życia, w czasie którego robił tylko to co należy, miał jedynie przerażoną żonę, czwórkę dzieci, które trzeba było nakarmić, a w piersi balon pełen krwi, który mógł w każdej chwili pęknąć?

Quigg czuł ucisk w żołądku, do gardła podchodził mu kwaśny posmak. Chciał wszystko powiedzieć i iść do łóżka, ale wiedział, co się wtedy stanie. Skończyłyby się pieniądze.

Musiałby zapomnieć o kilku tysiącach dolarów, obiecanych po zakończeniu całego zamieszania.

Kiedy wsadzano go na tylne siedzenie samochodu detektywów, Marcus Quigg w myśli przeklął doktor Margaret Armstrong i nieszczęście, w które go wepchnęła.

Wypili dzbanek kawy, wzięli razem prysznic i nagle popołudnie zmieniło się w kryształowo czystą noc. Płonący na kominku ogień z brzozowych polan przemienił salon Joeya w wędzarnię. Wyciągnięci na kanapie, David i Christine to rozmawiali, to wpatrywali się w aksamitne niebo.

– Czerwony jedwab – powiedział David, gładząc wyjęty z szafy przyjaciela szlafrok, który miała na sobie Christine. – Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie w jedwabiach, ale to musi być przyjemne uczucie.

Christine usiadła i poprawiła szlafrok.

– David, chciałabym, byś wiedział, jak wiele ten dzień dla mnie znaczył. Chyba się domyślasz, że nie zaplanowałam niczego... – Skinął głową. Dostrzegła napięcie w jego twarzy i wilgotną warstewkę powlekającą oczy. – Czuję się... jak egoistka. Byłam okrutna.

– Nonsens.

– Nieprawda. Pozwoliłam, by to się stało, choć wiedziałam, że się musi skończyć.

– Nie tylko ty tu byłaś.

– No tak... – Zamilkła na chwilę. – David, jutro rano wracam.

– Zostań jeszcze jeden dzień. – Powiedział to tak szybko, że dla obojga było jasne, iż się tego spodziewał.

Christine pokręciła głową.

– Nie sądzę, by to było w porządku, i mam na myśli nas oboje. Wiem, co czujesz. Też to czułam. Cały dzień. Moje myśli skaczą od fantazji, co bym chciała, do świadomości tego, co musi się wydarzyć. Przedłużenie pobytu tutaj, nawet o jeden dzień, spowoduje, że moje odejście będzie jeszcze bardziej boleć. Sprawiałam ci już i tak dość bólu.

– Nie chcę, byś odchodziła. – Próbował nie zgodzić się z jej słowami, ale mówiła prawdę. Słowa same wypływały mu z ust. – To niebezpieczne, Joey to powiedział... Vincent lata gdzieś po Bostonie, szuka mnie, ale na pewno szuka i ciebie... jeśli zdecydujemy się wracać, trzeba będzie od razu iść do Dockerty'ego, lecz co mu powiemy? Nie możemy jeszcze wracać... Chris, w ogóle nie musimy wracać... moglibyśmy gdzieś wyjechać, natychmiast, dziś wieczór, do Kanady albo... do Meksyku. Znam trochę hiszpański, może moglibyśmy gdzieś otworzyć małą klinikę, pracować razem. Co nam da powrót do miasta?

Delikatnie go pocałowała.

– Niestety, David. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że niczego to nie zmieni. Stowarzyszenie Sióstr popełniło straszliwe czyny i nie mogłabym żyć, jeśli nie spróbuję go powstrzymać. Mam tylko nadzieję, że uda mi się tego dokonać, nie krzywdząc wszystkich pielęgniarek, które tak jak ja wierzyły...

– Cholera jasna, musi być inne rozwiązanie! – Krzyknąwszy to, David zeszywniał, przeprosił za wybuch i opadł na poduszki. Miała rację. Racjonalna, logiczna część jego umysłu

rozumiała to. Gdyby był na jej miejscu, a ona na jego, powiedziałaby to samo, teraz jednak jego słowami nie kierowało racjonalne, logiczne myślenie. – Zastanów się, może naprawdę istnieje inny sposób, by to rozwikłać. Może moglibyśmy gdzieś wyjechać, posłałabyś odpowiednie informacje Dockerty’emu albo... albo doktor Armstrong! Oczywiście – doktor Armstrong! Jesteśmy zaprzyjaźnieni i od początku tego koszmaru pomagała mi. Jeśli ktokolwiek mógłby przekonać władze o istnieniu Stowarzyszenia, to ona! – Pomysł zaczął mu się podobać. – Chris, skorzystanie z jej pomocy byłoby idealnym wyjściem. Słyszałaś na oddziale... jest zdecydowanym przeciwnikiem eutanazji. Jeśli ktoś taki jak ona wystąpi przeciwko Stowarzyszeniu, może zdecydują się przerwać działalność. Moglibyśmy do niej napisać i...

– David, proszę cię.

– Wysłuchaj mnie. Daj mi skończyć. Charlotte Thomas chciała umrzeć, a według naszej orientacji, prędzej czy później by to nastąpiło. Może przeżyłaby jeszcze kilka dni albo tygodni w agonii, ale umierała. – Wewnętrzny głos podpowiadał mu, jak bezmyślne jest to, co wygaduje, i nacisk, jaki wywiera na Christine, ale David nie słuchał tego, co dyktuje rozsądek. – Znałaś ją... czy twoim zdaniem chciałaby, byś... byśmy stracili szansę bycia razem dlatego, że pomogłaś jej zrobić to, na co sama nie miała siły? Pozostaw sobie jeszcze dzień lub dwa na przemyślenie wszystkiego, o więcej nie proszę. Znajdziemy inne rozwiązanie albo wrócimy razem i powalczymy. Zaczekaj przynajmniej, aż Joey zatelefonuje. Może Vincent trafił jednak do więzienia.

Christine zamknęła oczy i z całej siły objęła Davida. W otaczającej ich ciszy zaczęła rozwijać w myśli scenę, którą naszkicował. Widziała zakurzoną wioskę, tulącą się do stóp poszarpanych gór. Widziała nawet ich klinikę – biały gliniany budynek na końcu spalonej słońcem uliczki. Czowała ciepło i łagodność, wypełniające jej życie. Czowała, jaki spokój dałoby poświęcenie się temu miejscu i takiemu mężczyźnie.

Zacisnęła usta i skinęła głową.

– Dobrze. Jeden dzień. Ale bez żadnych obietnic.

– Bez obietnic. – Poczł chwilową radość ze zwycięstwa i zaraz musiał się przyznać do tego, co podskórnie wiedział od dawna: dopóki nie znajdą zadowalającego rozwiązania, nie pozwoli jej wyjechać.

Kochali się delikatnie i powoli, osiągając pełną harmonię. Przez niemal godzinę ich oczy, palce i usta badały ciała i kiedy oboje mieli wrażenie, że żadne nie wytrzyma jeszcze jednego dotyku nie wybuchając, wszedł w nią.

Marion Anderson Cooper był twardy. Był twardym gliną, ale to słowo nie określało wszystkiego. Był twardy w sposób, w jaki mógł stać się twardy tylko chłopak o brzmącym dziewczęcym imieniu, wychowany na ulicach Roxbury. Twardniał od ukąszeń szczurów, kiedy sypiał z dwoma braćmi na nędznym materacu. Jego twardość doszlifowały dwa lata spędzone w pełnym śmieci błocie w Wietnamie. Nie stracił tej twardości, gdyż musiał się nieustannie sprawdzać jako jeden z pierwszych czarnych sierżantów, skierowanych do pracy we włoskiej dzielnicy Bostonu – North End.

We wczesnoporannych godzinach jedenastego października Cooper robił właśnie drugi objazd swego terenu. Jeśli uznał, że coś jest nie tak, jak powinno, zatrzymywał się i świecił latarką do wnętrza sklepu albo restauracji. Kiedy odkrywał, o co chodzi – ustawiony na wystawie nowy produkt albo przesunięty stół – ruszał dalej.

Jaskrawoczerwonego fiata, zaparkowanego dyskretnie za śmietnikiem w jednej z biegnących za domami uliczek, nie było podczas pierwszego objazdu. Cooper zablokował wyjazd z uliczki radiowozem, poświecił latarką na tablice rejestracyjne i wezwał przez radio centralę.

– Tu alfa dziewięć dwadzieścia jeden, proszę o sprawdzenie czerwonego fiata z tablicami z Massachusetts, numer trzy pięć trzy, Mike, whisky, Quebec. Są w pobliżu jakieś jednostki do ewentualnego wsparcia?

– Nie, alfa dziewięć dwadzieścia jeden. Powtórz numer rejestracyjny.

Cooper powtórzył numer i czekał. Był przekonany, że samochód jest gorący. Tak naprawdę to od początku zmiany nie mógł się nadziwić, że pierwszej nocy po poprawie pogody nie znalazł ani jednego kradzionego samochodu. Jeśli ten okaże się kradziony, to sprawcami na pewno były dzieciaki, nie fachowcy. Fachowcy już przemalowaliby fiacika, przykręcili nowe tablice i wieźli go do klienta w Springfield, Fall River albo gdzieś indziej.

Dyspozytorka nie włączała się dłużej niż zwykle i Cooper nerwowo bębnił w kierownicę. Włączył walkie-talkie i właśnie wysiadał z wozu, kiedy radio ożyło.

– Alfa dziewięć dwadzieścia jeden, mam informację o fiacie rocznik siedemdziesiąt dziewięć, numer rejestracyjny trzy pięć trzy MWQ. – Cooper skojarzył, że zmysłowy, uwodzicielski głos należy do ważącej niemal osiemdziesiąt kilogramów, wąsatej matki pięciorga dzieci.

– Tu alfa dziewięć, Gladys. Co masz?

– Auto jest czyste jak twój gwizdek, alfa dziewięć. Nikt go nie szuka, nie obciążone. Zarejestrowane na: Joseph Rosetti, Damon Street dwadzieścia jeden, mieszkanie C.

– Alfa dziewięć, wyłączam się. – Kiedy Cooper ruszył do fiata, odruchowo odpiął kaburę.

Drzwi kierowcy fiata były otwarte. Cooper poświecił latarką do środka – na siedzenia, potem na podłogę. Nie było niczego, nagle jednak zeszytniał. Nozdrza wypełnił mu ciężki, przyprawiający o wymioty zapach krwi – perfumy śmierci. Za siedzeniami, przykryte postrzępionym wyblakłym kocem, leżało ciało. Wziął szybki wdech i odsunął materiał. W tym momencie nie pomogła mu cała twardość ani doświadczenie z walk na ulicach, polach ryżowych i w dżungli.

Marion Anderson Cooper gwałtownie się odwrócił i rzygał na chodnik.

Ręce i nogi Joeya były związane, przed śmiercią zadano mu kilkanaście ciosów nożem. Na klatce piersiowej miał starannie ułożone odcięte ucho i kawałki trzech palców. Poranne gazety prawdopodobnie opiszą jego śmierć jako „wynik okrutnych porachunków gangów”.

Trzydzieści kilometrów na północ od miasta na siedzeniu obok Leonarda Vincenta leżał powód śmierci Joeya – topornie naszkicowana, wysmarowana krwią mapka, którą narysował po godzinie tortur.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Poruszając się bezgłośnie, Christine postawiła torbę przy drzwiach wejściowych i wróciła do sypialni. Zaczerwienionymi od niemal godzinnego płaczu oczami popatrzyła na oświetlanego bladym porannym światłem Davida. Spał spokojnie, bujne włosy miał częściowo schowane za poduszką, którą przyciskał do twarzy. Z bolesnym spojrzeniem na list, który położyła przy lustrze garderoby, wyszła na palcach z domu.

Poranek był chłodny i cichy. Przy każdym oddechu unosiła się w powietrze para. Daleko w dole, aż po horyzont, ocean pokrywała gruba warstwa srebra. Sennymi ruchami – jakby specjalnie dopasowanymi do otoczenia niczym z sennego marzenia – wyjęła kluczyk ze stacyjki dzipa, włożyła go do koperty i podeszła powoli do swego samochodu. W każdej chwili spodziewała się usłyszeć zza pleców głos wołający jej imię. Jego widok – doskonale zdawała sobie z tego sprawę – złamałby jak suchą gałązkę jej postanowienie.

Nie spoglądając na dom, wsunęła się za kierownicę mustanga i potoczyła w dół podjazdu. Włączyła silnik dopiero na jego końcu. Wyjeżdżając z zakrętu, jakieś pięćset metrów od domu, zatrzymała się i położyła kopertę na kupce kamieni.

Sprawdziła jeszcze, czy David nie będzie miał problemu ze znalezieniem jej i skrzyła w lewo, na drogę biegnącą nad oceanem, która zawiedzie ją na południe, do Bostonu.

Kłębowisko myśli i uczuć pochłonęło ją do tego stopnia, że nie zauważyła ciemnego samochodu, który nadjechał z naprzeciwka i ją minął, ani wielkiego mężczyzny za kierownicą. Zwróciła uwagę na samochód, kiedy nagle pojawił się w jej wstecznym lusterku – tylko kilka metrów z tyłu.

Leonard Vincent podjechał do mustanga, znacznie mniejszego od jego sedana. Złość Christine, że ktoś za nią jedzie, zmieniła się w przerażenie, kiedy auto z tyłu trąciło ją zderzakiem. Najpierw nastąpiło lekkie muśnięcie, zaraz po tym jednak poważniejsze uderzenie. Nieoczekiwanie Vincent przyspieszył, zajechał ją od prawej strony i zaczął spychać z drogi. Zaciśnęła dłonie na kierownicy i walczyła o zachowanie panowania nad samochodem. Spojrzała w lewo, by poszukać miejsca do ucieczki, ale wystarczyła sekunda, by zalał ją lodowaty pot przerażenia.

Najwyżej trzy metry na lewo biegł skraj przepaści – wysoki klif, pełen pojedynczych drzew i głazów; z tego miejsca trzydzieści sześć godzin temu patrzyła po raz pierwszy na Rocky Point. Jakies sto pięćdziesiąt metrów niżej był Atlantyck.

Rozległ się kolejny, znacznie głośniejszy chrząst blachy i Christine rzuciła gorączkowe spojrzenie w prawo. Przód samochodu Vincenta był na wysokości jej drzwi. Za napierającym sedanem biegł płytki rów, dalej wznosiła się ściana piaskowca. Mustang wibrował spychany w bok. Christine wcisnęła z całej siły hamulec i kabinę wypełnił gryzący odór palonej gumy.

Mina Leonarda Vincenta, spychającego ją coraz bardziej, była obojętna, wyglądał wręcz na pogodzonego ze światem. Lewe koła mustanga znajdowały się najwyżej półtora metra od

krawędzi, kiedy Christine puściła hamulec i wdepnęła gaz. Jej samochód wyprysnął do przodu, kątem oka widziała, jak wóz Vincenta się oddala. W ostatniej chwili złączyły się zderzaki obu aut.

W ułamku sekundy stracili panowanie nad maszynami, które zaczęły dziki taniec po jezdni. Christine z całej siły trzymała kierownicę, ta jednak wyrwała jej się z rąk. Impet pchnął prawą rękę na dźwignię zmiany biegów, łamiąc kości tuż nad nadgarstkiem. Poczula przeraźliwy ból, a mustanga rzuciło na skalną ścianę, biegnącą po prawej stronie drogi. Głowa Christine poleciała gwałtownie do przodu i uderzyła w przednią szybę lewą skronią. Szkło pękło, a świat wokół zrobił się czarny.

Nie widziała rozszerzonych przerażeniem oczu Leonarda Vincenta, kiedy jego sedanem zarzuciło, a potem wyskoczył jak z katapulty, rąbnął przodem w zbocze i zaczął się odbijać od gązów i drzew, by na koniec zniknąć w gęstej mgle. Nie widziała, jak jej samochód rykoszetuje od ściany z piaskowca, obraca się wokół własnej osi i toczy ku przepaści.

Leżała nieprzytomna na przednim siedzeniu. Tylne koła mustanga wysunęły się za skraj klifu. Auto stanęło, podwozie oparło się o miękkie podłoże. Po chwili mustang zaczął się zsuwać.

David jeszcze się całkowicie nie obudził, a już poczuł pustkę. Otworzył nieznacznie oczy, potem mocno je zacisnął, próbując sprawić, by to, co było prawdą, okazało się złudą. Christine była na pewno w salonie, siedziała i w milczeniu obserwowała ocean; mógłby założyć się o dolara, że jest w salonie. Wstrzymał oddech. Cisza w domu była czymś więcej niż brakiem odgłosów – była próżnią, nicością. Powietrze się nie poruszało, nie krążyła w niej energia, brakowało życia.

Na pewno poszła na spacer. Dziewczyna idzie sobie na poranny spacer, a wielki chirurg od razu zaczyna panikować. Przetoczył się na drugi bok, by wyjrzeć przez okno, i popatrzył w słoneczny blask.

Niebo wyglądało jak cienka warstwa masy perłowej – tego typu chmury znikają do dziesiątej rano. Unoszą się jak kurtyna, ukazując cuda nowego dnia. Poszła na spacer i tyle.

Wsparł się na łokciu i rozejrzył po pokoju. Najpierw zauważył, że nie było jej ubrań, potem dostrzegł kopertę przy lustrze. Była to scena rodem z niezliczonych filmów klasy B, tyle że przerażająco realistyczna. Ogarnął go smutek tak szary jak niebo.

– Cholera... – Było to pierwsze słowo w nowym dniu. Także drugie i trzecie. Wstał i poszedł do łazienki, specjalnie omijając garderobę. Wysikał się, umył, ogolił. Pokuśtykał do kuchni i nastawił wodę na kawę. Noga w kostce była sztywna, ale niemal nie bolała. Pielęgniarka wykonała dobrą robotę.

Posprzątał w salonie i zaczekał, aż woda się zagotuje. Łudząc się resztką nadziei, wyjrzał na podjazd. Mustang zniknął. Christine zniknęła. Marzenie o Meksyku i nadzieja na nowe, niczym nie obciążone wspólne życie rozplynęły się w nicości.

Czując pustkę w głowie, poczłapał do salonu.

Na środku koperty widniało jego imię. Patrzył na swoje dłonie rozrywające papier. Kolejny list, drugi w ciągu kilku dni. Ten jednak niósł ze sobą cierpienie – cierpiała zarówno pisząca, jak i czytający.

Drogi Davidzie

Nie chciałam ryzykować, że się obudzisz i namówisz mnie, bym tego nie robiła. Próbowałam się przez całą noc przekonać, że jest inne wyjście. Boże, jak bardzo się starałam! Na koniec byłam w stanie myśleć jedynie o tym, ile sprawiłam Ci bólu i przysporzyłam smutku. To wszystko jest takie szalone... Coś, co wyglądało na tak dobre i prawidłowe, okazało się takie... Zamierzam iść do porucznika Dockerty'ego i złożyć pełne zeznanie w sprawie Charlotte. Zanim to zrobię, spotkam się z doktor Armstrong. To, co powiedziałeś wczoraj wieczór, było bardzo mądre. Ona może mi pomóc. Bez względu na to, co się stało, wiem w głębi serca, że większość z nas działa zgodnie z zasadami, w które wierzymy. Jeśli szczęście dopisze, doktor Armstrong pomoże nam zamknąć pewne sprawy bez wzbudzania nadmiernego zainteresowania osób trzecich. Na początek mogę jej dać trzy nazwiska, kilka numerów telefonów i parę biuletynów Fundacji Clintona. To niewiele, ale na początek starczy. Może uda nam się wniknąć głębiej, trzeba bowiem spróbować ustalić, kto jest odpowiedzialny za wynajęcie zabójcy Bena. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dowiedzieć się tego przed powiadomieniem policji.

Na koniec jesteś Ty – szczególny, pełen magii mężczyzna. W tak krótkim czasie dotarłeś ze mną do miejsc, których dotychczas nie znałam. Za to – i za wiele innych rzeczy – dziękuję. Jestem twoją dłużniczką, bo pokazałeś mi, że można żyć, nie uciekając, bez konieczności ciągłego oglądania się za siebie. Muszę dać Ci szansę spełnienia marzeń, o których urzeczywistnienie tak ciężko walczyłeś i z powodu których tyle wycierpiałeś. Gdyby okoliczności były inne, słodki, delikatny Davidzie – choćby odrobinę inne – zaryzykowałabym. Poszłabym wszędzie, gdzie byśmy postanowili. Naprawdę wierzę, że warto byłoby o to zagrać.

Niestety okoliczności są, jakie są. Nie martw się o mnie. Po spotkaniu z doktor Armstrong pójdę prosto do Dockerty'ego: Dbaj o siebie.

Zrozum mnie, proszę, bądź silny i przede wszystkim wybac, że sprowadziłam na Ciebie tyle cierpienia.

Kochająca Christine.

P.S.

Kluczyki do dżipa są na końcu skrętu na Rocky Point. W takiej samej kopercie jak ta.

Dżip! David roześmiał się wbrew sobie. Gdyby nawet wyruszyli jednocześnie, było mało prawdopodobne, by dżip dotrzymał kroku mustangowi Christine. Na pewno nie zamierzała dać się odwieść od swego planu. Cóż, on też nie da się odwieść od swego. Nie mógł zmienić sytuacji, więc zmienił swe nastawienie. Postanowił, że bez względu na to, co ją czeka, dopóki będzie tego chciała, stawia wszystkiemu czoło razem z nią.

David ubrał się, wyobrażając sobie w trakcie sytuację, jakie mogą ich oboje czekać w najbliższych dniach. Zauważył duży powyciągany sweter, który miał na sobie w drodze do Rocky Point. Christine złożyła go równo i zostawiła na krześle obok komody. Uśmiechnął się.

Może go zawiezie Joeyowi, by miał w co ubrać następnego zapędzonego do rzeki nieszczęśnika. Kiedy podnosił sweter, wypadł z niego ciężki rewolwer Joeya. David całkowicie o nim zapomniał. Objął rękojeść dłonią i poczuł nieprzyjemne napięcie, pojawiające się zawsze, gdy dotykał broni. Próbował sobie przypomnieć, kiedy miał dzwonić Joey. Christine coś mówiła, ale nie pamiętał dokładnie. Wczoraj wieczór? Dziś rano? Postanowił nie czekać. Bostoński numer Rosettiego był zapisany na przyklepionej do słuchawki karteczce.

Sądząc po głosie, kobieta, która odebrała, była znacznie starsza od Terry.

– Dzień dobry, czy to dom państwa Rosetti?

– Tak, słucham. W czym mogę pomóc?

– Czy mógłbym rozmawiać z panem albo panią Rosetti?

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

– Przepraszam, a kto mówi? – spytała w końcu kobieta. Jej głos był lodowaty.

David poczuł się bardzo nieswojo.

– Nazywam się David Shelton. Jestem przyjacielem Joeya i Terry i telefonuję z...

– Wiem, kim pan jest, doktorze Shelton. – Znów zapadła cisza. David pomyślał z lękiem, że zaraz nastąpi coś strasznego. – Nazywam się D'Ambrosio, jestem matką Terry. Ona nie może podejść do telefonu. Lekarz dał jej coś na uspokojenie i... – Nagle kobieta rozplakała się. – Joey nie żyje... został zamordowany... – jęknęła. David opadł ciężko na kanapę i wbił nie widzący wzrok w przeciwległą ścianę. – Terry nie była w stanie rozmawiać z policją, ale rozmawiała ze mną i powiedziała, że Joey nie żyje, bo pomagał panu. – Po ostatnich słowach kobieta całkowicie się załamała, jej złość na Davida tłumiała ból żaloby.

– To... niemożliwe... – mruknął, czując, że kręci mu się w głowie. To musiała być robota Vincenta. Zacisnął powieki, by powstrzymać zawrót głowy. Najpierw Ben, potem Joey... do tego nie wiadomo, gdzie była Christine... – Kiedy to się stało?

– Dziś w nocy. Znalaziono go we własnym samochodzie, zasztyletowanego, pociętego na kawałki i... doktorze Shelton, nie chcę z panem więcej rozmawiać. Pogrzeb Joeya jest we wtorek, będzie pan mógł po nim rozmawiać z moją córką.

– Proszę pani... – powiedział, ale pani D'Ambrosio już przerwała połączenie.

Przez kilka minut David siedział bez ruchu, nie zwracając uwagi na słuchawkę w dłoni, z której dolatywało przenikliwe popiskiwanie sygnału. Potem wziął sweter, rewolwer i kule i wybiegł z domu. Choć wiedział, że to bez sensu, sprawdził stacyjkę dżipa. Kluczyka oczywiście nie było. Rzucił broń na siedzenie i podpierając się na kulach, ruszył w dół drogi. Nim wrócił, minęło prawie pół godziny. Był przesiąknięty potem i z trudem łapał powietrze. Kiedy siadał za kierownicą, poobijane zebra rozrywał ból. Nagle zamarł w bezruchu.

Uspokój się! – nakazał sobie. Nic jej nie jest. Wszystko jest w porządku! Uruchomił silnik. Najprawdopodobniej była w tej chwili albo w gabinecie doktor Armstrong, albo u Dockerty'ego. Powinien się uspokoić i martwić jedynie o to, jak dotrzeć bez wypadku do Bostonu.

Popatrzył na rewolwer i przypomniał sobie maksymę Rosettiego. Jak ją sformułował? Jeśli uważasz, że ktoś chce się do ciebie dostać, musisz go uprzedzić. Coś w tym stylu. David wzdrygnął się, potem wziął broń do ręki. Czy Joey zginął dlatego, że nie miał rewolweru, kiedy

go potrzebował? Myśl ta odbierała Davidowi resztki optymizmu. Czuł jedynie złość. Złość i zżerającą duszę nienawiść. Znajdzie mordercę Joeya – nieważne czy był nim Vincent, czy ktokolwiek inny. Znajdzie mordercę i albo go zabije, albo sam zginie. Zacisnął dłoń w pięść, drugą ręką objął przegub – tak mocno aż zabolęło. Kiedy trochę się opanował, wrzucił wsteczny bieg i ruszył.

Niepokój o Christine i związana z nim konieczność pośpiechu nakazały mu przestać myśleć o złości. Naciskał pedał gazu, ale zapiaszczony i zakurzony gaźnik zalewał się przy każdej próbie przyspieszenia. Przemknęło mu przez myśl, że najlepszym podziękowaniem Joeyowi byłby przegląd dzipa i zrobienie kilku napraw.

BYŁBY. David rozpaczliwie pokręcił głową i popatrzył na zegarek, który dostał od Joeya. Niedawno minęła dziewiąta. Postrzępione chmury zdradzały pierwsze oznaki, że wkrótce zostaną pokonane przez jesienne słońce. Zmusił się do wewnętrznego opanowania i uruchomił silnik. Kiedy dotarł do oceanu, udało mu się wypracować taki rytm zmieniania biegów i przyspieszania, który antyczny silnik akceptował bez protestu. Powrócił myślami do Christine. Może powinien był zadzwonić na policję. Jeśli nie uzyskała zbyt wielkiej przewagi, policja mogłaby ją zatrzymać do jego przybycia. Kogo jednak miałby zawiadamiać? Służbę stanową? Na pewno Christine wściekłaby się, gdyby napuścił na nią funkcjonariuszy, zanim była gotowa do rozmowy z policją. Mimo wątpliwości zdecydował się zatrzymać przy pierwszym automacie i wtedy ujrzał w przodzie migające światła i barierki zapory drogowej.

Kierowca poobijanej furgonetki, znajdującej się przed nim, próbował zawrócić, lecz na wąskiej drodze ten manewr okazał się bardzo kłopotliwy. David wychylił się i zawołał:

– Co tam się dzieje?

– He? – Mężczyzna zahamował w poprzek drogi.

– Co tam się stało?! – zapytał ponownie David, tym razem głośno krzyżąc.

– Wypadek. Cholernie poważny. – Ton głosu starszego mężczyzny jednoznacznie świadczył o tym, że traktuje utrudnienie jazdy jako osobistą obrazę. – Dwa samochody runęły w przepaść. Jeden właśnie wyciągnęli, za drugi się zaraz zabiorą, ale leży na samym dole. Powiedzieli, że to potrwa jeszcze jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Znając Maca Perkinsa i sposób, w jaki obsługuje tę swoją wyciągarę, zajmie to pewnie z godzinę.

David próbował popatrzeć na drogę za furgonetką.

– Widział pan któryś z tych samochodów?

– He?

David jęknął.

– Samochody! Widział pan któryś z... nieważne. Przepraszam, mogę przejechać?

– Może pan, ale nigdzie pan nie dojedzie. Nie ma też powodu się unosić. – Nagle okazało się, że mężczyzna doskonale słyszał pytania Davida. – Któryś z samochodów, mówi pan? Czy widziałem któryś z samochodów? – Kiedy David skinął głową, dodał: – Tylko taki mały niebieski. Kompletnie zniszczony.

David zacisnął ręce na kierownicy. Poczul, że przerożenie przenika go do głębi. Zamknął oczy i natychmiast ujrzał wyraźne jak fotografie obrazy z innego wypadku. Widział deszcz, światła, twarze Becky i Ginny, nawet słyszał, jak krzyżą. Chciał otworzyć oczy, sprawić, by

makabryczne sceny się skończyły, wiedział jednak, że kiedy to zrobi, będzie miał do czynienia z następnym koszmarem. Niebieski samochód, o którym wspomniał starszy mężczyzna, to bez najmniejszej wątpliwości mustang Christine.

– Proszę pana, droga jest zamknięta. Obawiam się, że też będzie pan musiał zawrócić.

David odwrócił się. Obok jego samochodu stał wysoki i chudy szeryf o twarzy ucznia, co w połączeniu z granatowym mundurem wyglądało nieco absurdalnie. Zanim David odpowiedział, popatrzył w kierunku oddalonego o kilkadziesiąt metrów miejsca, gdzie zgromadziły się radiowozy, auta pomocy drogowej i karetki. Między nimi, oparty na poszarpanych oponach, stał porozbijany, poskręcany wrak mustanga Christine.

– Proszę pana... – W głosie młodego szeryfa pobrzmiwał niepokój.

Twarz Davida nabrała koloru popiołu.

– Znam kobietę... która prowadziła ten samochód – powiedział głucho. – Była moją... przyjaciółką...

– Proszę pana, nic panu nie jest? – Ponieważ David nie odpowiedział, szeryf zawołał do kogoś: – Hej, Gus, przyślij tu jakiegoś sanitariusza! Ten kierowca zaraz chyba zemdleje.

Otworzył drzwi dżipa, na co David wyskoczył z samochodu, minął go i nie zwracając uwagi na przeszywający ból w kostce, pokuśtykał w stronę zmasakrowanego mustanga. Ledwie pokonał ostatnie pięć metrów i zatrzymał się, uderzając ciężko ciałem o drzwi pasażera. Położył ręce na dachu i ciężko dyszał. Samochód był pusty. Przednia szyba została wyrwana, a silnik wbił się do kabiny, zatrzymując na przednich fotelach. Na jasnoniebieskim pokrowcu widać było paskudną plamę krwi.

– Niech to cholera... – jęknął cicho. – A niech to cholera... niech to cholera! – powtarzał coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wrzeszczał jak opętany.

Ruszyło ku niemu kilku mężczyzn, pierwszy znalazł się przy Davidzie szeryf. Ujął go za ramię.

– Niech się pan uspokoi.

Zaprowadził Davida na pobocze i pomógł się oprzeć o pień obumierającej brzozy. Dość długo potrwało, zanim David się odezwał.

– Gdzie... gdzie jest jej ciało?

– Słucham?

– Jej zwłoki, do cholery! Kto je zabrał?

Młody szeryf z ulgą się uśmiechnął.

– Proszę pana, nie ma żadnych zwłok. Przynajmniej nie z tego samochodu.

David opadł na kolano i spojrzał nic nie rozumiejącym wzrokiem na szeryfa.

– Przejeżdżający kierowca znalazł kobietę z tego samochodu na drodze, szła nawet o własnych siłach. Była dość poobijana, miała kilka paskudnych ran ciętych, prawdopodobnie złamaną rękę, ale nic nie zagraża jej życiu. Uspokoił się pan? Może mi pan powiedzieć, kim jest?

Do Kensington Community Hospital, który, według słów szeryfa, był oddalony o dwadzieścia minut jazdy, musiał jechać dżipem ponad pół godziny. David przez kilka minut pozostał na miejscu wypadku, by dowiedzieć się szczegółów. To, że Christine przeżyła, było

cudem. Natknęło się na nią przejeżdżające drogą małżeństwo – krwawiła i mówiła od rzeczy, próbując dokądś iść. Ekipa ratunkowa znalazła mustanga wbitego do góry nogami w skalny klif – ponad sto metrów poniżej poziomu drogi i prawie kilometr od miejsca, gdzie napotkano Christine.

Z obojętnością patrzył, jak sanitariusze wyjmują z drugiego samochodu zmasakrowane ciało Leonarda Vincenta, pakują je w worek i przenoszą do ambulansu. Odjechał w trakcie zamieszania, które wybuchło po znalezieniu w rozbitym samochodzie rewolweru z tłumikiem i kilku noży. W trakcie jazdy do szpitala czuł, jak narasta w nim nienawiść – tyle że nie była już skierowana na Leonarda Vincenta, a na tych, którzy go wynajęli.

Szpital był dość nowy i bardzo mały – na oko mógł mieć jakieś pięćdziesiąt łóżek. Po wejściu do środka David zatrzymał się na chwilę tuż za drzwiami. Poza wolontariuszką w uniformie łososiowego koloru, zaabsorbowaną układaniem na nowo zawartości torebki, hol był pusty. Na wiszącej po jej prawej stronie imponującej mosiężnej tablicy wypisano dwadzieścia kilka nazwisk lekarzy. Obok każdego nazwiska znajdowała się niewielka bursztynowa żaróweczka, którą zapalano, kiedy dany lekarz był „na miejscu”. W tej chwili paliła się tylko jedna. David sardonicznie pomyślał, że nikt nie może zarzucić Kensington Community Hospital przesadnej obsady.

Wejście do korytarza, w którym znajdowała się izba przyjęć, było oznakowane czarnymi samoprzylepnymi literami. Kiedy David tam wchodził, a automatyczne drzwi właśnie miały się za nim zamknąć, wolontariuszka zawołała:

– Przepraszam pana, czy mogę w czymś pomóc?

Pokręcił głową, nawet się nie odwracając.

Lekarka dyżurna, Hinduska z dużymi, zmęczonymi oczami, wyszła mu naprzeciw. Pod szpitalnym kitem miała jasnopomarańczowe sari a identyfikator informował, że nazywa się T. Ranganathan.

– Przepraszam bardzo – zaczął ostrożnie David. – Nazywam się David Shelton i jestem lekarzem w Boston Doctors Hospital. Czy przywieziono do państwa niedawno pacjentkę o nazwisku Christine Beall. To moja znajoma.

– O, chodzi o ten wypadek samochodowy? – powiedziała doktor Ranganathan nienaturalnym, szkolnym angielskim. – Widziałam ją jedynie przez chwilę, zanim przyszedł doktor St. Onge i... hm... przejął nad nią opiekę. Stwierdzono złamanie kości nadgarstka i prawdopodobnie żeber po lewej stronie. Także kilka ran głowy. W każdym razie kiedy doktor St. Onge mnie zwolnił, nie wyglądało na to, że jej stan jest groźny. Znajdzie ją pan tam. – Wskazała na jedną z sal.

Poza doktorem St. Onge w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze trzy osoby z personelu: sanitariusz i dwie pielęgniarki. David zignorował obecnych i podszedł prosto do stołu zabiegowego.

– Doktorze St. Onge, nazywam się David Shelton i jestem lekarzem – powiedział, nie odwracając oczu od Christine. Leżała na boku, głowę przykryto jej sterylną chustą. W okolicy lewego ucha miała wygolony spory placek, na którym widać było brzydką ranę ciętą długości mniej więcej ośmiu centymetrów. Lekarz właśnie kończył zszywanie.

– David? – Głos Christine przypominał ciche jęknięcie zagubionego dziecka.

David ukląkł przy stole, w pewnej odległości, pamiętając o sterylności zabiegu.

– Tak, skarbie, to ja. – Spokój w jego głosie miał się nijak do złości i smutku, jakie czuł. – Wszystko będzie dobrze. Masz kilka wgnieceń, ale wszystko już jest dobrze.

– Jesteśmy parą, prawda? – powiedziała słabo. Stać ją było tylko na te kilka słów.

– A kim pan, do diabła, jest? – St. Onge najwyraźniej nie wystarczyło to, że David się przedstawił. Był potężnym mężczyzną, o klatce piersiowej niczym baryłka i wielkich dłoniach, mocno opalony. David oszacował go na pięćdziesiąt lat.

– Przepraszam – powiedział i cofnął się o krok. – Nazywam się Shelton, David Shelton. Jestem chirurgiem w Boston Doctors. Jesteśmy z Christine... blisko zaprzyjaźnieni.

– Jest teraz moją pacjentką – burknął St. Onge. – Pan na pewno też by się nie cieszył, gdyby przeszkadzano mu w pracy. Nawet jeśli to kolega po fachu.

David przełknął słowa, które cisnęły mu się na język, cofnął się jeszcze o krok i wymamrotał:

– Przepraszam. Mógłby mi pan powiedzieć, jaki jest jej stan?

St. Onge pogrzebał w narzędziach, znalazł imadło do igieł i wrócił do szycia.

– Ma jeszcze jedną ranę ciętą, nieco nad tą; właśnie ją zamknąłem. Ma złamanie nadgarstka, z którym Stan Keyes prawdopodobnie będzie musiał uporać się na sali operacyjnej. Hmm... to znaczy, jeśli nie kapotażuje i nie utopi się na tych idiotycznych regatach, w których właśnie startuje.

David zeszywniał.

– To jedyny ortopeda, jakiego macie?

– Aha. Ale niech się pan nie martwi. Na szczęście jest znacznie lepszym ortopedą niż żeglarzem. – St. Onge zachichotał. – Ręka wytrzyma do jego powrotu.

David popatrzył na podświetlone zdjęcia rentgenowskie, wiszące po drugiej stronie stołu zabiegowego i przyjrzał się obrazom klatki piersiowej, brzucha, żeber, przedramienia i czaszki Christine. Złamanie przedramienia wyglądało na poważne, widać było liczne odpryski, ale na szczęście stawy pozostały nie uszkodzone. Było bardzo prawdopodobne, że ręka odzyska stuprocentową sprawność. David pomyślał o znakomitym zespole ortopedycznym Boston Doctors i zaczął się zastanawiać, czy możliwe by było przeniesienie tam Christine.

St. Onge skończył szyć ranę w tej samej chwili, kiedy David umieszczał w urządzeniu do oglądania zdjęć rentgenowskich cztery ujęcia czaszki Christine. Chirurg teatralnym ruchem zdjął rękawiczki i rzucił je na podłogę.

– Tammy, weź moją standardową kartę zleceń na wypadek urazu głowy – powiedział. – Kiedy Keyes zrobi nadgarstek, i tak prawdopodobnie będzie chciał ją przenieść do siebie. Ma pan jakieś pytania, doktorze...

– Shelton – rzucił lodowato David, minął doktora i ukląkł przy Christine. Zdjęto jej sterylną chustę i David mógł teraz obejrzeć rany. Skórę oczyszczono jedynie w kilku miejscach, więc na twarzy i szyi widoczne były plamy pozasychanej krwi. Ogolono jej niemal całą lewą część głowy, gdzie miała dwie paskudne rany cięte. W resztkach włosów migotały niczym małe diamenty okruchy szkła. Górna warga była wielkości i koloru śliwki.

– Christine... jak się czujesz?

– David... – wyjęczała ledwie słyszalnie.

David przycisnął pięści do ud.

– Doktorze St. Onge, czy oglądał te zdjęcia radiolog? – Wstał bardzo powoli i odwrócił się do chirurga.

– Nie. Po co? Radiologa dziś nie ma. Jest oczywiście pod telefonem, ale nie widzę powodu, by wzywać go do oglądania zdjęć, oczywiście...

– Przepraszam panią – przerwał mu David, zwracając się do pielęgniarki – czy mogę prosić o otoskop? Przy okazji proszę mi także przygotować oftalmoskop. – Podając instrumenty, kobieta miała mocno zdziwioną minę. St. Onge'a zatkało.

David wsunął końcówkę otoskopu w lewe ucho Christine. W tym momencie chirurg odzyskał mowę.

– Chwileczkę, drogi panie – powiedział. – Ta kobieta jest w dalszym ciągu moją pacjentką i gdyby był pan uprzejmy...

– Nie! – gwałtownie przerwał mu David. – To pan będzie uprzejmy. Ta kobieta jedzie do Bostonu.

– Ma pan tupet! – St. Onge spurpurowiał. – Pozwę pana za to przed komisję etyki lekarskiej! Wielkowiejski doktor!

– Bardzo proszę! – David stracił resztkę panowania nad sobą. – Kiedy przed nią staniemy, niech się pan przygotuje na kilka pytań innych wielkowiejskich doktorków. Po pierwsze, dlaczego nie wezwał pan radiologa, aby obejrzał zdjęcia czaszki, po drugie dlaczego nie zauważył pan widocznego na dwóch zdjęciach złamania podstawy czaszki i po trzecie, dlaczego nie zauważył pan wylewu za lewym uchem, spowodowanego złamaniem podstawy czaszki. Pasuje? – Cisza, jaka zapadła, była bardzo wymowna. David znacznie spokojniej zwrócił się do pielęgniarki: – Czy mogłaby pani wezwać karetkę?

Pielęgniarka zawahała się, po czym z wyraźnym błyskiem w oku oznajmiła: „Tak jest, doktorze!” i wyszła. St. Onge wyglądał tak, jakby zaraz miał dostać apopleksji.

David spojrzał w stronę drugiej pielęgniarki.

– Będę potrzebował trochę sprzętu i leków w czasie transportu, odeślę wszystko karetką. Czy mogłaby pani zacząć podawać dożylnie roztwór Ringera. Z prędkością pięćdziesięciu mililitrów na godzinę.

– Dobiorę ci się za to do dupy, Shelton – wysyczał St. Onge i wymaszerował na sztywnych nogach z sali.

David skorzystał z telefonu w dyżurce pielęgniarek, aby połączyć się z doktor Armstrong. Kiedy wybierał numer, słyszał chichot pielęgniarek, dochodzący z sali, w której leżała Christine – David, umierałam z niepokoju! – wykrzyknęła doktor Armstrong. – Co się dzieje? Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku, pani doktor. Nic mi nie jest, nie najlepiej jednak z Christine Beall. Pamięta ją pani? To pielęgniarka z poziomu Południe Cztery.

– Chyba... oczywiście, że pamiętam. Przemiała dziewczyna. Co się stało?

– Miała wypadek. Samochodowy. Jesteśmy teraz w Kensington Community Hospital, ale zaraz jedziemy do Doctors Hospital. Mogłaby pani zejść na izbę przyjęć, aby wziąć ją pod swoją opiekę? Ma złamanie kończyny górnej, złamanie podstawy czaszki i uraz klatki piersiowej. Mogę o to prosić?

– Oczywiście. Jesteś pewien, że można ją przewieźć?

– Raczej tak. Bardziej może jej zaszkodzić pozostanie w Kensington Community. Mam pani bardzo dużo do opowiedzenia, ale to może poczekać do chwili, aż Christine dostanie się w fachowe ręce. Będziemy za godzinę.

– Znakomicie. Czekam z niecierpliwością.

Rozdział dwudziesty drugi

Na polecenie Davida karetka jechała osiemdziesiąt na godzinę. Bez migotania lampami i bez syren. Pięćdziesięciopięciominutowa jazda zdawała się nie kończyć, ale nie warto było ryzykować wypadku dla kilku minut, które by zyskali, gnając na łeb, na szyję.

Podczas jazdy Christine to traciła, to odzyskiwała przytomność. David, który siedział po jej prawej ręce, systematycznie sprawdzał tętno, oddech, ciśnienie krwi i wielkość źrenic, aby w porę zauważyć zmiany mogące wskazywać na nagłe wzmożenie ciśnienia śródczaszkowego. Gdyby nastąpiło – z powodu wylewu albo obrzęku – miałyby jedynie kilka minut na interwencję, potem zaczęłyby następować trwale uszkodzenia mózgu.

Napięcie, jakie odczuwał, dławiło go. Zachował się wobec St. Onge'a bardzo stanowczo, ale czy nie okazał nadmiaru gorliwości? Myśl ta zżerała go. Każdy kryzys byłby podczas jazdy znacznie trudniejszy do opanowania niż w szpitalu. W swojej praktyce zawodowej nauczył się podejmować tego typu decyzje i w ostatnich latach wielokrotnie je podejmował, ale ta sytuacja była całkowicie odmienna.

– Christine? – Ścisnął jej delikatnie rękę.

Nie odpowiedziała.

– Sprawdźmy narzędzia – zwrócił się do jadącego obok niego sanitariusza.

Sanitariusz, były żołnierz korpusu medycznego w Wietnamie, pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie tylko po raz pierwszy w swej karierze wiozł ze sobą w karetce narzędzia do trepanacji czaszki, lecz na dodatek David po raz trzeci kazał mu je sprawdzać.

Obawiając się, że Christine może go słyszeć, David odwrócił się do niej plecami i zaczął szeptem wyliczać narzędzia i leki. Sanitariusz podnosił każdą wymienianą rzecz albo dawał znak, że dokładnie wie, gdzie się znajduje. Skalpele, frezy, środki do narkozy, laryngoskop, dotchawicze rurki intubacyjne, aparat „Ambu”, adrenalina, kortyzon, cewniki do odsysania płynu, igła do wstrzyknięć dosercowych – byli przygotowani na najgorsze.

Zaczął się dopytywać, gdzie są, już jakieś dwadzieścia pięć kilometrów przed szpitalem, praktycznie nie słuchając, co się do niego mówi.

Co dwie minuty przekazywał dane:

– Tętno: sto dziesięć, wyraźne; oddech: dwadzieścia; ciśnienie: sto sześćdziesiąt na sześćdziesiąt; źrenice: cztery milimetry, równe i reaktywne. – Słowa te brzmiały jak litania. Sanitariusz starannie je powtarzał i zapisywał.

Poza tym mężczyźni w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Po dwóch minutach zaczynało się od nowa: Tętno... oddech... ciśnienie... źrenice...

Kiedy wjechali na przedmieścia Bostonu, atmosfera stała się jeszcze bardziej napięta. David nieustannie się poruszał, sprawdzając, ponownie sprawdzając, pobudzając Christine.

Sanitariusz, zdenerwowany, obmacywał narzędzia chirurgiczne. Kierowca, krepły młody człowiek z gęstymi ciemnymi lokami, burknął kilka słów do mikrofonu radiostacji i bawił się

włącznikami świateł i syreny. Byli już bardzo blisko i gdyby z tyłu pojawiły się jakieś oznaki problemów, ruszyłby pełnym gazem bez względu na to, czy doktor by sobie tego życzył, czy nie.

Dojechali szczęśliwie na miejsce. Ambulans ostro nawrócił i zaczął podjeżdżać tyłem do uniesionej platformy. Tylne drzwi otwarły się z impetem, do samochodu wpadła pielęgniarka i rzucając okiem na Christine, natychmiast wzięła do ręki torbkę z wlewem dożylnym. Sanitariusz, który wszedł tuż za nią, zajął się łóżkiem na kółkach, na którym leżała Christine. Po chwili wiozł już chorą do izby przyjęć. Pielęgniarka szybko drobiła nogami, trzymając torbę z wlewem w górze.

David wstał, by za nimi podążyć, ale zmęczony opadł na siedzenie. Zobaczył Margaret Armstrong, która wyszła naprzeciw na betonowy podjazd i zaczęła badanie jeszcze zanim wwieziono chorą do budynku. Jej rozpięty biały kitel powiewał niczym królewski płaszcz, a każdy ruch wyrażał opanowanie i kompetencję.

Udało im się. Byli w domu. Decyzja, by przenieść Christine, choć podjęta pośpiesznie, opłaciła się.

David przepchał się przez pełną ludzi rejestrację i poszedł prosto w kierunku oddziału urazowego. Wydawało mu się – a może było tak rzeczywiście – że wszyscy, zarówno pacjenci, jak i personel, wpatrują się w niego. Feniks, który powstał z popiołów, Łazarz, wskrzeszony z martwych.

Zatrzymał się przed salą numer dwanaście i zajrzał do środka. Była pusta. Wzdrygnął się na wspomnienie przesuwanego się po jego szyi noża Leonarda Vincenta. Potem pomyślał o Rosettim. Jak tylko stan Christine się ustabilizuje i porozmawia z doktor Armstrong, pojedzie do Terry.

Kiedy zbliżał się do sali numer jeden, wyszła z niej doktor Armstrong i dała mu znak ręką, by podszedł. Christine była przytomna. Przebiła się wzrokiem przez morze białych kitli – stażystów, techników i pielęgniarek – i jej oczy, ledwie widoczne w szarych zagłębieniach, zatrzymały się na nim. Przez chwilę widział w nich jedynie cierpienie, ale kiedy się do niej przybliżał, dostrzegł błysk – iskrę oznaczającą siłę. Próbowwała się uśmiechnąć, jej opuchnięte, pozbawione barwy wargi napięły się.

– Udało nam się – szepnęła i David skinął głową.

– Teraz nie będziesz musiał wiercić we mnie dziur.

Byłaś w czasie jazdy przytomna? Wystarczająco. To dobrze, że... udało nam się tu przyjechać.

Zamknęła oczy. Chudy jak szczapa lekarz, odbywający staż na chirurgii, natarł Christine środkiem odkażającym skórę u prawego szczytu klatki piersiowej i zaczął się przygotowywać do wprowadzenia cewnika. Kiedy wkłuwał igłę pod obojczykiem, David skrzywił się i musiał odwrócić głowę. Znalazł się w ten sposób twarzą w twarz z doktor Margaret Armstrong, która stała z tyłu i uważnie się wszystkiemu przyglądała. David, tak się ciesząc, że nic ci nie jest. Plotki, które zaczęły krążyć po twojej krótkiej nocnej wizycie, były dość zatrwające.

W naszym szpitalu dzieje się coś niedobrego... właściwie w wielu szpitalach. Mam pani naprawdę dużo do opowiedzenia. – Spojrzał za siebie na stażystę, który ze spokojem przystępował do cewnikowania.

– Co z nią?

Zbadam ją dokładniej, kiedy ten tłum się przersedzi – powiedziała, kiedy wychodzili z sali. – Moja wstępna ocena niewiele się różni od tego, co sam zdiagnozowałeś. Ma bez najmniejszej wątpliwości złamanie podstawy czaszki i nieco krwi za bębenkiem, ale jak na razie stan neurologiczny wydaje się stabilny. Kazałam czekać w gotowości neurochirurgowi i ortopedzie, ale sądzę, że wstrzymamy się z nadgarstkiem do momentu, aż będzie z nią całkowity kontakt. Do czaszki wezwałam Ivana Rudnicka. Znasz go? – David skinął głową. Rudnick był najlepszym w szpitalu, jeśli nie w mieście, neurochirurgiem. – Obejrzy ją i jak najszybciej zrobi tomografię. Jeśli nie stwierdzi oznak aktywnego krwawienia, będziemy czekać i się modlić.

– Co z urazem klatki piersiowej?

– Nie widzę w nim nic groźnego. Elektrokardiogram nie wykazuje zmian w sercu. Dokładniejsze badanie może to potwierdzić.

– Doktor Armstrong, jestem bardzo wdzięczny, że zechciała się pani nią zająć.

– Nonsens. Nie wiesz, jak mi pochlebia, że właśnie mnie o to poprosiłeś. Niestety mamy mały problem.

– Jaki?

– Nic poważnego, David, chodzi jedynie o to, że nie mamy miejsc na intensywnym leczeniu. Postanowiłam położyć Christine na oddziale. Mamy specjalną jedynekę dla prywatnych pacjentów i wiem, że dziewczyny stamtąd otoczą ją szczególną opieką, nawet lepszą niż na intensywnej terapii. Przeniesiemy ją tam, kiedy tylko to będzie możliwe.

– To dobrze. Jeśli pielęgniarce by to nie przeszkadzało, pokręciłbym się tam i poobserwował ją. Po tym jak porozmawiamy.

– Oczywiście – powiedziała z dystansem doktor Armstrong.

– Nie będę już pani przeszkadzać, zaczekam w pokoju lekarskim. Do której sali będzie przeniesiona?

– Słucham?

– Chodzi mi o numer sali, do której ją przeniosą?

– No tak... gdzieś mam to zapisane. Czteryście dwanaście. Poziom Południe Cztery, sala czterysta dwanaście. – Pani doktor się uśmiechnęła i weszła z powrotem do sali, na której leżała Christine.

Czteryście dwanaście! David nagle musiał przełknąć, bo poczuł się tak, jakby coś stało mu w gardle. Sala Charlotte Thomas! Pierwszy krok na krwawej drodze, prowadzącej z jednej krainy szaleństwa do drugiej. Zwalczył w sobie przesądne myśli i zaczął się zastanawiać nad ironią losu. Sala czterysta dwanaście stanie się pierwszym punktem dowodzenia w walce o doprowadzenie Stowarzyszenia Sióstr Życia do upadku. Przemyślenie tego dobrze mu zrobiło; przynajmniej powstrzymało go przed pognaniem do doktor Armstrong z prośbą o zmianę sali. Przeszedł przez rejestrację do pokoju lekarskiego i położył się na kanapie z egzemplarzem „Medical Economics” w rękę. Artykuł wiodący nosił tytuł: Dziesięć luk podatkowych, których

być może nie zna nawet Twój księgowy. Zanim się dowiedział, co stanowi pierwszą lukę, już spał.

Godzinę później z przerażających snów – zaczęły się od zatrzymania pracy serca Charlotte Thomas, a potem stały się pasmem dziwacznych wydarzeń z udziałem zmieniających się bohaterów; wśród nich ciągle pojawiała się Christine, która raz za razem umierała w straszliwy sposób – wyrwał go dzwonek stojącego nad głową telefonu.

Ubranie miał nieprzyjemnie wilgotne, a papier ścierny, w który zmieniło się wnętrze jego ust, niemal uniemożliwiał mówienie.

– Pokój lekarski. Shelton przy aparacie.

– David? Mówi Margaret Armstrong. Obudziłam cię?

– Nie... to znaczy tak. Właściwie to...

– Nieważne. Christine leży już na oddziale. Jeśli chodzi o diagnozę, nie mam nic nowego do dodania. Moim zdaniem wszystko będzie w porządku.

– To wspaniale.

– Tak... oczywiście. Wspominałeś, że chcesz ze mną porozmawiać.

– Bardzo. To znaczy, jeśli pani...

– Jestem w swoim gabinecie, ale nie tym w kompleksie, a w części Północ Dwa.

– Wiem, gdzie to jest – powiedział David, który już się w pełni przebudził. – Będę za pięć minut.

Pracownia kardiologiczna była drugim „domem” Margaret Armstrong.

David zastukał w drzwi z napisem BADANIA WYSŁKOWE i wszedł. Nieduża wygodna poczekalnia była pusta. Zawahał się, po czym zawołał:

– Doktor Armstrong? To ja, David Shelton!

– Wejdz. – Margaret Armstrong stanęła w drzwiach swego gabinetu. – Właśnie robiłam kawę.

Kiedy ją mijał, poczuł wyraźny zapach alkoholu. Odruchowo spojrzął na zegarek – nie było jeszcze pierwszej. Zaczął w myśli wyliczać powody, dla których ordynator oddziału kardiologicznego pije alkohol w określonych okolicznościach, do tego o takiej porze. Żaden nie był do przyjęcia. Doktor Armstrong sprawiała jednak wrażenie osoby całkowicie panującej nad sobą. Postanowił – przynajmniej na razie – odsunąć niepokojące myśli.

Pracownia była duża i znakomicie wyposażona. Znajdowało się tu szereg cykloergometrów, wyposażonych w najnowocześniejszą aparaturę monitorującą. Niezbędny sprzęt reanimacyjny, w tym defibrylator, stał dyskretnie pod ścianą. Nie było potrzeby dodatkowo stresować ludzi już i tak zdenerwowanych koniecznością przechodzenia zaordynowanych testów.

Część pomieszczenia odgrodzono, tworząc strefę konferencyjną – wokół niskiego, okrągłego stolika, stało tam kilka krzeseł z twardym oparciem i wygodny fotel. Doktor Armstrong wskazała gestem, by David na nim usiadł, po czym przyniosła dzbanek z kawą i dwie filiżanki. David jeszcze nigdy nie widział jej tak przygnębionej.

– Wygląda pani na zmęczoną – zaczął. – Może przenieśmy tę rozmowę na później. Mógłbym...

– Nie ma takiej potrzeby – przerwała mu nieco zbyt ostro. – To tylko ta cholerna szpitalna polityka. Dla odmiany chętnie wygodnie się oprę i posłucham. Należę kawy i możesz zacząć mnie wprowadzać, w co tylko chcesz.

Podsunęła mu kartonik ze śmietanką, ale pokręcił głową.

– Od czego tu zacząć... – powiedział i napił się kawy, by uporządkować myśli.

– Może od początku? – zachęciła go miłym uśmiechem.

– Od początku... hm. Początek może jest taki, że nie podałem Charlotte Thomas morfiny. Zrobiła to Christine. – Znów napił się kawy. – Doktor Armstrong, to, co chcę pani powiedzieć, jest niesamowite i ma potencjał wielkiej bomby. Postanowiliśmy z Christine podzielić się tymi informacjami z panią, ponieważ... uznaliśmy, że może zechce pani użyć swej pozycji, by nam pomóc.

– David, wiesz przecież, że możesz dysponować zarówno mną, jak i całymi moimi wpływami. – Pochyliła się do przodu, by lepiej dostrzegł potwierdzenie tych słów w wyrazie jej oczu.

Po kilku minutach świat przestał dla niego istnieć – ważna była jedynie opowieść o Charlotte Thomas i Stowarzyszeniu Sióstr Życia.

Z początku Armstrong zachęcała go skinieniami głowy, gestami i uśmiechami, od czasu do czasu przerywała, by dokładniej wyjaśnić jakiś szczegół, ale wkrótce zaczęła sztywnieć, a jej spojrzenie robiło się obojętne. Stopniowo przychylny błękit jej oczu zmieniał się w lód. David ciągle mówił, z ulgą pozbywał się straszliwych tajemnic, które znał jako jedyny postronny świadek. Minęło niemal pół godziny, nim zauważył zmianę w postawie swej słuchaczki.

– Coś... się stało?

Nie odpowiadając, doktor Armstrong wstała i podeszła wyraźnie niepewnym krokiem do telefonu stojącego na niedużym stoliku w drugim końcu pracowni. Po krótkiej, prowadzonej przytłumionym głosem rozmowie wróciła i ciężko usiadła na krześle naprzeciwko Davida. Nagle wydała mu się bardzo krucha i znacznie starsza.

– David – powiedziała grobowym głosem – rozmawiałeś o tym z kimś poza mną?

Nie. Już przecież mówiłem. Mieliliśmy nadzieję, że pomoże nam pani bez wciągania w sprawę...

– Chciałabym, byś zaczął od początku. Musisz mi wyjaśnić kilka szczegółów.

– Chris, nie śpisz? Słyszysz mnie?

Głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Christine otworzyła oczy i próbując skoncentrować wzrok, kilka razy zamrugała. Widziała, że kobieta jest pielęgniarką, choć nie rozpoznawała jej rysów, gdyż były mocno rozmyte. Spróbowała się do niej odwrócić, ale uniemożliwiały jej to fale mdłości i nieznośny ból głowy. W sali było ciemno, ale nawet światło z korytarza było nieznośne.

– Od światła bolą mnie oczy – powiedziała i zamknęła je.

– Chris, doktor Armstrong kazała co godzina sprawdzać ci źrenice. Zrobię to jak najszybciej.

Christine poczuła dotyk palców pielęgniarki na prawym oku, potem – kiedy światło cienkiej latareczki trafiło w źrenicę – poczuła silne ukłucie bólu. Po krótkiej chwili wytchnienia to samo nastąpiło z lewym okiem. Spróbowała podnieść rękę, ale nie chciały się poruszyć. Czyżby była sparalizowana? Szczególnie prawa ręka sprawiała wrażenie ciężkiej i zdrętwiałej. Przez chwilę pomyślała, że nie ma ręki, zaraz jednak przypomniała sobie słowa doktor Armstrong o złamaniu. Opadła na poduszkę i spróbowała się rozluźnić.

– Posłuchaj, dam ci teraz chwilę pospać – powiedziała pielęgniarka. – Za jakieś dwadzieścia minut dostaniesz nową kroplówkę. Obudzę cię, spróbujemy wtedy wyjąć ci drobiny szkła z włosów. Dobrze? – Christine, najlepiej jak umiała, skinęła głową. – Aha, niemal zapomniałam. Jesteś dopiero kilka godzin w szpitalu, a już dostajesz kwiaty. Dostarczono je kilka minut temu. Są naprawdę piękne. Postawię je na stoliku. Wiem, że nie możesz ich zobaczyć, ale już wieczorem będziesz mogła popatrzeć. Jest też karteczka. Przeczytać ci ją?

– Poproszę...

– Jest tu napisane: „Jak najszybszego powrotu do zdrowia. Dalia”.

Dalia? Ból głowy utrudniał myślenie.

– Nie... znam żadnej... Dalii...

Pielęgniarka nie usłyszała tego, bo już wyszła z sali.

– David, ten zabójca... ten Vincent... musisz mi powiedzieć, jak, twoim zdaniem, odszukał cię na izbie przyjęć, a potem wpadł na trop twego przyjaciela.

David pobawił się chwilę okładką czasopisma, po czym rzucił je na stolik i potarł oczy. Rozmowa, która zaczęła się tak przyjemnie i z którą wiązał tak wielkie nadzieje, zmieniła się w pełne napięcia przesłuchanie, doktor Armstrong bowiem drażyła każdy szczegół. Był wytracony z równowagi, dezorientowany i czuł się zagrożony nieustępliwością jej pytań oraz napięciem w jej głosie.

– Pani doktor – powiedział w końcu, nie próbując już kryć rosnącego niepokoju. – Powiedziałem wszystko, co wiem. Dwa razy. Moje uwagi o tym jak Vincent znalazł Bena, mnie, a potem Joeya to tylko i wyłącznie spekulacje. Doktor Armstrong, wiem, że coś się z panią dzieje. Coś, co powiedziałem, mocno panią wzburzyło i nic więcej nie powiem, dopóki nie zrewanżuje mi się pani. O co chodzi?

Jej spojrzenie było lodowate.

– Młody człowieku, wiele z tego, co mi powiedziałeś, jest po prostu niemożliwe. Niedorzeczne. Moim zdaniem to jedynie ciąg szalonych, błędnych pseudowniosków, które mogą sprowadzić nieszczęście na głowy wielu dobrych, niewinnych ludzi. – David patrzył na nią z niewiarą. – Rozpalasz płomień ognia, którego zasięgu nie rozumiesz. Ten tak zwany zabójca, którego opisałeś... niemożliwe, by miał jakikolwiek związek ze Stowarzyszeniem Sióstr Życia.

– Ale...

– Powiedziałam: NIEMOŻLIWE!

– Co jest niemożliwe?

Oboje gwałtownie odwrócili głowy w kierunku drzwi.

Stała tam Dorothy Dalrymple i obserwowała ich w spokoju, z rękami w kieszeniach. Na jej widok David poczuł mrowienie na plecach.

– Dorothy, cieszę się, że przyszedł tak szybko. – Głos Armstrong był napięty, ale spokojny.

– Zadzwoiłam po ciebie, ponieważ doktor Shelton opowiadał mi właśnie niedorzeczną historię o Stowarzyszeniu Sióstr Życia, wynajętych zawodowych mordercach i...

– Wiem, o czym ci opowiadał – odrzekła Dalrymple, uśmiechając się. – Wiem bardzo dobrze, o czym ci właśnie opowiadał. – Wyciągnęła prawą rękę. W wielkiej dłoni trzymała rewolwer z krótką lufą.

– Światło... proszę, zgaś je... – Blask ranił oczy Christine mimo zaciśniętych powiek.

Dwie kobiety – pielęgniarka i asystentka – pesetami wyjmowały jej z włosów okruchy szkła.

– Jasne, Christine – powiedziała któraś z nich. – Chyba już cię dość wymęczyłyśmy. Będę musiała cię obudzić za czterdzieści minut, wtedy spróbujemy jeszcze poszukać. Dobrze? – Zgasila górne światło. – Oj, jeszcze chwila! Przepraszam, ale muszę je znów zapalić. Jedynie na kilka sekund, żeby nastawić szybkość spływania nowej kroplówki. Na twojej karcie dań był najlepszy stek wołowy i bażant, ale ponieważ niczego nie zakreśliłaś, postanowiłyśmy ci podać naszą specjalność: glukozę i wodę.

Nastąpiła dziesięciosekundowa eksplozja światła, potem wszystko znów pociemniało. Christine próbowała nie zwracać uwagi na dudnienie pod czaszką.

– A poza tym – ciągnęła pielęgniarka – niedawno była na piętrze stara Tweedledum. Zagoniła nas do sali konferencyjnej tylko po to, by powiedzieć, że jeśli nie zapewnimy ci opieki pierwsza klasa, potoczą się głowy. Jakbyśmy zamierzały cię zaniedbywać. No cóż... to na razie.

Christine słuchała, jak pielęgniarka wychodzi. Tweedledum! Przez chwilę się zastanawiała, w końcu przypomniała sobie. Dalrymple! Nagle po głowie zaczęły jej krążyć fragmenty informacji. Dalrymple potępiająca Davida. Dalrymple oferująca łapówkę. Pracujący ociężale, obrzęknięty mózg próbował pozbierać kawałki w sensowną całość. Poczula niepokój, a wraz z nim nasilanie się bólu głowy. Dalrymple! Czy to możliwe, by ona była za wszystko odpowiedzialna? Nic nie układało się w logiczną całość. Nic poza tym, że Christine wiedziała, iż musi znaleźć Davida. Porozmawiać z nim. Spróbowała sięgnąć po telefon przy łóżku. Wolna ręka dotknęła aparatu i spadł z łoskotem na podłogę. Zaczęła szukać przycisku do wzywania pielęgniarki. Gdzieś musiał wisieć. Tylko gdzie? Gdzie on był?

Z ciemności nad jej głową, z plastikowego worka, nieuchronnie skapywały pojedyncze krople... spływały do żyły.

Christine grzebała w pościeli, szukając przycisku, kiedy ból, który czuła, zaczął słabnąć. Gdzieś w głębi ciała pojawiło się nieprzyjemne ciepło i zaczęło się rozchodzić. Trzydzieści sekund samotności w dyżurce pielęgniarek wystarczyło Dotty Dalrymple.

David... wezwijcie Davida... Christine walczyła ze sobą. Jej oczy się zamknęły i nie mogła ich otworzyć. Tyle jeszcze pozostało do zrobienia... David... Stowarzyszenie... miała jeszcze tyle pracy. Jej głowa ciężko osunęła się na poduszkę. Ręka rozluźniła się i opadła bezwładnie na koc. Nagle wszystko wydało się nieważne. Wszystko zobojętniało.

Przez chwilę wsłuchiwała się w wypełniający pomieszczenie dziwny pomruk, po czym poddała się ciemności.

Dalrymple wskazała doktor Armstrong, by usiadła na krześle obok Sheltona. Jej brązowe oczy błyskały nienawistnie, podobny do parówki paluch poruszał się nerwowo na spuście.

– Dorothy, proszę cię... – tłumaczyła doktor Armstrong. – Zaszliśmy tak daleko. Tyle nas łączy. Jesteś przemęczona. Może...

– Daj sobie spokój, Peggy. Usiądź i zamknij się!

David popatrzył na doktor Armstrong.

– Peggy? Pani? Przecież jest pani...

– Lekarzem? – wpadła mu w słowo. – To tylko kilka dodatkowych lat studiów. Uwierz mi, szkoła pielęgniarstwa wcale nie była łatwiejsza. – Odwróciła się do Dalrymple. – Dorothy, przecież wiesz, że jestem po twojej stronie.

– Naprawdę? Jesteś po czyjejkolwiek stronie poza swoją? To nie ty poszłaś do Beall. Nie twoje nazwisko kojarzy ze Stowarzyszeniem. Nie ty spłyniesz do kanalizacji, kiedy pójdzie na policję. Mam zbyt wiele do stracenia, by siedzieć z założonymi rękami i na to pozwolić.

– Czyli... naprawdę to zrobiłaś? Wynajęłaś zawodowego zabójcę? – Dalrymple kiwnęła raz głową. – Dorothy, jak mogłaś coś takiego zrobić?

– Nie zaczynaj mnie pouczać. Zabijanie to nasz fach, prawda? Sama mnie go nauczyłaś, a teraz jedynie wyznaczmy sobie własne granice. Nie miałaś żadnych wyrzutów sumienia, fałszując receptę i wrabiając Sheltona, żeby chronić swoje cenne Stowarzyszenie. Założę się, że gdybyś to ty miała iść do Beall... gdyby to twoja głowa znalazła się na rzeźnickim kłocu... zrobiłabyś to samo, co ja, dla własnego ratunku!

Doktor Armstrong zaczęła protestować, ale Dalrymple uciszyła ją machnięciem rewolwerem. Sięgnęła do kieszeni i uśmiechając się, wyjęła z niej napełnioną po brzegi dużą strzykawkę. Potem popatrzyła na zegarek.

– Druga. Jeśli moje pielęgniarki są tak sprawne, jak je uczyłam, to wlew dożylny, który zleciłaś panience Beall, już powinien spływać.

Wyrok śmierci na Christine! David popatrzył na Dalrymple z przerażeniem.

– Co jej pani dała?! – Przesunął stopy, by móc się w razie czego lepiej odbić.

Dalrymple wyczuła go i wycelowała mu lufę prosto w twarz.

– Próbowanie czegokolwiek nic nie da. – Znów popatrzyła na zegarek. – Poza tym i tak już za późno. – Położyła strzykawkę. – Ktoś z was dwojga najpierw popełni morderstwo, potem samobójstwo. Nie interesuje mnie, kto, byle policja nie uważała, że coś jest niejasne. Doktorze, ma pan wybór: igła albo kula. Jako znakomity klinicysta, łatwo pan wywnioskuje, co będzie bardziej bolesne.

– Dotty, proszę cię, nie wiesz, co robisz – błagała Armstrong. Uniosła się na krześle, by chwycić Dalrymple za wolną dłoń. Zanim David zdążył zareagować, pielęgniarka wyrwała rękę, zamachnęła się i z całej siły uderzyła lekarce pięścią w twarz. Rozległ się trzask pękającej kości jarzmowej. Drobna doktor Armstrong pofrunęła przez pokój i huknęła o ścianę pięć metrów dalej.

Celując Davidowi między oczy, Dalrymple spojrzała przez ramię na bezwładnie leżące ciało doktor Armstrong.

– Od tak dawna miałam na to ochotę... – Uśmiechnęła się. – No, doktorze, jaka decyzja? – Obeszła stół i podchodząc do Davida, odsunęła mebel potężną nogą. Kiedy podawała Davidowi strzykawkę, miał koniec lufy nie dalej jak trzydzieści centymetrów od czoła. – Doktorze...

David wpatrywał się w jej oczy, lecz kątem oka dostrzegł ruch. Centymetr po centymetrze posuwała się na łokciach i kolanach Margaret Armstrong. David rozpaczliwie wbił wzrok w oczy Dalrymple.

– Słucham? – powiedziała szefowa pielęgniarek. – Kończy mi się cierpliwość.

David wziął strzykawkę i przyjrzał się.

– Chyba... nie uda mi się bez... opaski uciskowej. – Kiedy Dalrymple spojrzała w dół, David zdołał zauważyć, że lekarka jest coraz bliżej. Dostrzegł jej dłonie – w każdym ręku miała małą metalową płytkę. Defibrylator! Doktor Armstrong uruchomiła defibrylator i połączone z nim przewodami elektrody były naładowane prądem o mocy czterystu dzuli!

Podwinął rękaw i kilka razy zacisnął dłoń w pięść. Przewody łączące defibrylator z elektrodami były już niemal wyciągnięte na całą długość, a doktor Armstrong miała do pokonania jeszcze jakieś trzy metry. Dłoń Dalrymple zacisnęła się na rewolwerze.

– Już! – rozkazała.

– Dotty! – wrzasnęła Armstrong.

Kiedy pielęgniarka się odwróciła, David z całej siły pchnął ramieniem jej potężną klatkę piersiową. Dalrymple się zatoczyła i niczym sekwoja runęła na stolik, rozbijając go na tysiąc kawałków. Doktor Armstrong rzuciła się na nią, przytknęła jej elektrody do policzków i nacisnęła przycisk wyzwalający wstrząs.

Nastąpiło głuchoe tąpnięcie, z elektrod strzeliła iskra i uniosła się strużka dymu. Dalrymple wyrzuciła ręce do góry, a potężne ciało dostało konwulsji, unosząc się pod wpływem wstrząsu elektrycznego kilka centymetrów nad podłogę. W powietrzu rozszedł się smród przypalanego mięsa. Kiedy jej głowa uderzyła ostatni raz o podłogę, z ust chlusnęły wymiociny. W chwili śmierci puściły zwieracze pęcherza i odbytu.

Przez kilka sekund David stał bez ruchu i wpatrywał się w obie kobiety – jedną mocno poobijaną, drugą martwą. Potem wypadł z pokoju i targany straszliwym przerażeniem popędził w stronę skrzydła Południe Cztery.

Margaret Armstrong, ledwie stojąc, oparła się o umywalkę i zaczęła ochlapywać sobie twarz wodą. Czuliła się jak po narkotykach, nie umiała się skoncentrować. Za jej plecami leżała góra śmierci, która jeszcze niedawno była Dotty Dalrymple.

Z najwyższym trudem zmusiła się do skupienia uwagi, aby ocenić sytuację. Jeśli Christine Beall nie żyła, jedyną przeszkodą dalszej kontynuacji działalności Stowarzyszenia Sióstr Życia

pozostał David Shelton. Czy można go było wyeliminować? Czy należało to zrobić? Peggy Armstrong z radością przyznałaby się do morderstwa – poświęciła się – w imię uratowania Stowarzyszenia, ale czy była w stanie zabić niewinnego?

Podeszła niepewnym krokiem do drzwi, potem odwróciła się i popatrzyła z niesmakiem na zwłoki Dalrymple. Jeżeli ktoś, kogo – jak jej się wydawało – znała tak dobrze, komu tak całkowicie ufała, był w stanie ratować siebie cudzym kosztem, skąd mogła mieć pewność, że w chwili kryzysu nie znajdą się osoby postępujące podobnie? Drżąc – bardziej z powodu tych myśli niż urazu – doktor Armstrong oparła się o ścianę. Czy to oznaczało koniec? Po tylu latach, po tylu snach?

Wyszła z pracowni i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Sprzątaczkę przyjdą najwcześniej jutro rano. Za kilkanaście godzin. Jeśli chciała uratować Stowarzyszenie, pozostało jej tylko tyle czasu, by coś zaplanować, przygotować i zrealizować. Przez głowę przemykały niezliczone pytania. Czy gra była warta poświęcenia następnego ludzkiego życia? Stać ją było na to? Istniało coś, co by to sankcjonowało? Jeszcze nie miała na te pytania odpowiedzi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Opierając się o balustradę, David zbiegł schodami z poziomu Północ Dwa na Północ Jeden. Adrenalina tłumiała salwy bólu w jego kostce. Wpadł jak bomba do głównego korytarza, roztrzaskując trzy przerażone zakonnice.

W głównym holu panował zwykły chaos. Robiąc uniki i przebijając się między ludźmi jak atakujący futbolista, David wybiegł z holu, pozostawiając za sobą rozciągniętych na podłodze dwóch mężczyzn, którzy klęli za nim na czym świat stoi.

– Trzymaj się, mała, trzymaj się... – dyszał, wspinając się po schodach w południowym skrzydle. Wydawały się bez końca, choć pokonywał po dwa stopnie naraz. – Walcz z tym... walcz z tą cholerną trucizną... Proszę...

Stopa robiła się coraz cięższa. Między drugim a trzecim piętrem ugięły się pod nim nogi, potem jeszcze raz, kiedy wchodził na poziom Południe Cztery.

Poza asystentką pielęgniarską, starającą się przywiązać staruszkę do wózka inwalidzkiego, aby z niego nie wypadła, na korytarzu nie było nikogo. W ciągu kilku sekund, nim David dokuśtykał do dziwacznej pary, pacjent – najprawdopodobniej po wylewie – zsunął się z wózka i spadł ciężko na podłogę. Asystentka czując, że dzieje się coś niezwykłego, machnęła na Davida.

– Niech pan idzie! Clarence robi to cały czas.

David skinął głową i pognął do dyżurki pielęgniarek.

– Kod dziewięćdziesiąt dziewięć sala czterysta dwanaście – wydyszał. – Proszę go wywołać i pomóc mi. Kod dziewięćdziesiąt dziewięć sala czterysta dwanaście.

Zaskoczona sekretarka oddziałowa zamarła, po czym złapała za słuchawkę.

Scena w sali czterysta dwanaście była niczym powtórka koszmarnego snu. Przyciemnione światło, bulgoczący tlen, dożylne podawanie płynów, nieruchome ciało. Zapalił światło i podbiegł do łóżka. Christine leżała spokojnie na plecach, a jej twarz miała kolor typowy dla zmarłego. Z głośników na korytarzu rozległ się nerwowy głos dyspozytorki:

– Kod dziewięćdziesiąt dziewięć, Południe Cztery... kod dziewięćdziesiąt dziewięć, Południe Cztery...

Przez jedną, może dwie sekundy obmacywał szyję Christine, szukając tętnicy. Puls. Opuszki dużego i wskazującego palca wyczuwały słabe, ale rytmiczne puknięcia świadczące o życiu. To jego tętno czy tętno Christine? Jakby w odpowiedzi Christine wciągnęła powietrze, był to pojedynczy, płaski, cudowny wdech. David natychmiast zaczął działać. Zacisnął rurkę kroplówki, blokując spływanie płynu do żyły, potem pochylił się i zrobił dwa głębokie oddechy usta-usta.

Zanim skończył, do sali wpadła pielęgniarka, ciągnąca za sobą wózek z zestawem reanimacyjnym. Przez następne kilka minut działali zgodnym rytmem. Młoda pielęgniarka była

znakomita – poruszała się jak fryga, ale panowała nad każdym swym ruchem, podawała leki i narzędzia, zanim David skończył wydawać polecenie.

Mając do czynienia z nieznaną trucizną, musiał działać na oślep. Kazał podłączyć nową kroplówkę, z szybkim wlewem, by rozcieńczyć truciznę i poprawić ciśnienie krwi Christine, włożył rurkę ustno-gardłową i zaczął wpompowywać dodatkowe powietrze aparatem „Ambu”, zlecił podanie dwuwęglanu w celu zahamowania tworzenia się kwasu mlekowego.

Skóra Christine robiła się jednak coraz ciemniejsza. Zdecydował się przerwać na chwilę wspomaganie oddechu aparatem „Ambu” i uniósł jej powieki. Źrenice były jak szpileczki, niemal niewidoczne w otaczających je brązowych tęczęwkach. Objaw był typowy dla przedawkowania narkotyków. Boże, oby to była morfina! Niech to będzie coś o odwracalnym działaniu, jak morfina. Kazał podać nalokson – antagonistę morfiny, preparat znakomicie znoszący jej działanie. W ciągu kilku sekund pielęgniarka wstrzyknęła go.

Jeszcze kilka oddechów i David znów zrobił przerwę. Tym razem chciał sprawdzić puls w tętnicy szyjnej. Z rozpaczą stwierdził, że nie da się go wyczuć.

– Proszę wsunąć pod nią deskę – powiedział, unosząc ramiona Christine. – Proszę zapomnieć o wszystkim i do momentu aż zjawi się jakaś pomoc, proszę prowadzić mocny masaż. Boże, gdzie oni wszyscy są?

– Jedna z koleżanek zwolniła się, bo zachorowała – powiedziała pielęgniarka, uciskając klatkę piersiową Christine. – Dwie koleżanki poszły coś zjeść. Zaraz tu będą.

David kontynuował sztuczne oddychanie.

– Potrzebujemy kogoś przy zestawie... potrzebujemy kogoś przy tym cholernym zestawie... – W obecnej sytuacji zestaw reanimacyjny, choć stał metr od nich, mógł się tak samo dobrze znajdować na księżycu.

Wszedł sanitariusz. David warknął na niego, by zbadał ciśnienie. Po dwóch próbach mężczyzna powiedział:

– Nieoznaczalne.

– Umie pan robić masaż serca? – spytał David, z nadzieją, że sanitariusz będzie mógł zastąpić pielęgniarkę, która wróci do wózka z zestawem reanimacyjnym. Sanitariusz pokręcił głową. – Cholera jasna!

Popatrzył na Christine. Nie oddychała samodzielnie, nie widać było oznak życia. Skórę pokrywały ciemnofioletowe cętki. Gdyby nie zjawiała się – i to szybko – para przeszkolonych odpowiednio rąk, Christine lada chwila weszłaby w stan uniemożliwiający jej zreanimowanie. Przez pięć, dziesięć sekund David stał bez ruchu. Młoda pielęgniarka obserwowała go, mrużąc oczy z rosnącym niepokojem.

Nagle rozległ się kobiecy głos.

– Doktorze, proszę zlecać, co pan tylko sobie życzy. Przy wózku z zestawem reanimacyjnym stała Margaret Armstrong. Lewe oko miała niemal całkowicie niewidoczne, a siniak pokrywał prawie pół twarzy, z jednego nozdrza kapłała krew. Zachowała jednak królewską postawę i nie zdawała się zauważać skierowanych ku niej zdziwionych spojrzeń.

Zdecydowanie Davida, nieco zachwiane z powodu braku reakcji ze strony Christine, jeszcze bardziej zmącił strach i niepewność.

– Może pani... przejąć masaż serca. – Nie chciał, by doktor Armstrong stała zbyt blisko wózka, na którym znajdowały się leki. Wiele z nich można było zastosować jako zabójczą broń.

Lekarka pokręciła głową.

– Nie. Oboje jesteście ode mnie silniejsi. Poza tym jestem pielęgniarką i to dobrą. Zajmę się lekami. No, do roboty!

David jeszcze sekundę się wahał, zaraz jednak przystąpił do pracy na najwyższych obrotach, zlecając podawanie odtrutek na środki, które jego zdaniem mogła użyć Dalrymple. Potężny cios, jaki dostała doktor Armstrong, najwyraźniej nie osłabił ani szybkości jej reakcji, ani skuteczności. Faktycznie była bardzo dobrą pielęgniarką. Adrenalina, skoncentrowana glukoza, jeszcze raz nalokson, wapń, jeszcze raz dwuwęglan – przygotowywała leki i podawała je z ogromną prędkością i bez jednego zbędnego ruchu.

Do sali weszła pielęgniarka. Chciała pomóc doktor Armstrong, ale skierowano ją do pomiaru ciśnienia krwi.

– Ciągle jeszcze nie oddycha samodzielnie – powiedział David. – Chyba powinniśmy intubować.

Doktor Armstrong przyłożyła palce do krocza Christine, szukając tętnicy udowej. Popatrzyła ponuro na Davida i pokręciła głową.

– Nie ma.

– Trudno. Poproszę o laryngoskop i rurkę siedmiomilimetrową.

– Sekundę! – oczy Armstrong zaśmiały się. – Moment... zaraz... doktorze, jest tętno. Jest tętno.

Kilka sekund później pielęgniarka przy ciśnieniomierzu wykrzyknęła:

– Mam! Mam ciśnienie! Słabe przy sześćdziesięciu. Nie, osiemdziesiąt. Robi się głośniejsze!

David sprawdził źrenice. Były zdecydowanie szersze. Po kolejnych piętnastu sekundach Christine zaczęła oddychać. Młoda pielęgniarka, która pomagała od samego początku, pokazała Davidowi uniesione kciuki, po czym, jak sportowiec, w euforii wyrzuciła w górę obie pięści.

Resztką niepokoju na twarzach zniknęła, kiedy Christine cicho jęknęła, pokręciła głową z boku na bok i mrugając, otworzyła oczy. Natychmiast popatrzyła na Davida.

– Cześć... – szepnęła.

– Sama cześć – odparł.

Wszyscy w sali gratulowali sobie.

– Czuję się... znacznie lepiej. Prawie przestała mnie boleć głowa. – Nagle jej mina się zachmurzyła. – David, panna Dalrymple... być może to ona...

Uciszył ją, przykładając palec do ust.

– Wiem, skarbie. Wiem wszystko.

Spróbowała zrozumieć, co chce przez to powiedzieć, ale zaraz się rozluźniła.

– Czuję się lepiej. Znacznie lepiej. Doktor Armstrong to cudotwórczyni.

Margaret Armstrong spojrzała jej w oczy i przez chwilę wytrzymała wzrok Christine. Potem szeptem podziękowała wszystkim obecnym i dała znak, by wychodzili. Ostatnia wyszła młoda pielęgniarka.

– Zrobiłaś wspaniałą robotę. Jestem z ciebie dumna – pochwaliła ją doktor Armstrong.

Pielęgniarka splonęła się.

– Jest pani... ranna. Mogę coś dla pani zrobić?

– Nic mi nie będzie. Wracaj do swoich pacjentów. – Zawróciła i poszła z powrotem do sali czterysta dwanaście. Zdawała sobie sprawę z tego, że w momencie kiedy podeszła do wózka reanimacyjnego i wzięła do ręki lek, ten, który należało, przypieczętowała los Stowarzyszenia Sióstr.

Christine zasnęła. David odsunął nieco zasłony i wpatrywał się w mgłę za oknem. Jego ręce ciężko zwisały po bokach, postawa w niczym nie odzwierciedlała zwycięstwa, jakie właśnie osiągnął. Armstrong cicho weszła i stanęła obok niego. Nie miał ochoty na nią patrzeć. W pomieszczeniu słychać było jedynie bulgotanie tlenu w zaworze bezpieczeństwa i regularne, podobne do westchnień oddechy Christine.

– Cholerne go ma pani siniaka – odezwał się w końcu, nie odwracając wzroku od widoku za oknem. – Chyba ktoś powinien rzucić na niego okiem.

– Nie śpieszy się.

– Ta kobieta, ten... ten potwór w pani pracowni był pani tworem.

– Może. W pewnym stopniu. Czy teraz jeszcze się liczy to, że naprawdę wierzę, iż wszystko, co robiło Stowarzyszenie, było dobre? Czy ma jakiegokolwiek znaczenie, że walka o godność ludzkiej śmierci jest sprawiedliwa?

– Oczywiście – parsknął David. – Oczywiście, że ma znaczenie. Takie samo jak urazy Christine. Jak to, czemu będzie musiała stawić czoło, kiedy – jeśli – wróci do zdrowia. Jak fakt, że sędzia, prokurator i prasa będą chcieli się do niej dobrać za zamordowanie Charlotte Thomas. Ma wielkie znaczenie dla moich przyjaciół, którzy zginęli, gdyż... – Rozgoryczenie i wściekłość odebrały mu głos.

Minęła długa minuta ciszy, zanim doktor Armstrong powiedziała:

– David, wiem, jak się czujesz. Naprawdę. Wiem, że moja pomoc w ratowaniu Christine i to, co zrobiłam Dorothy, nie jest w stanie cofnąć bólu, jaki oboje wycierpieliście, ale jest jeszcze coś, co może zabić wasze rany. – Zawahała się. – Wiem, że Christine nigdy nie stanie przed sądem.

David gwałtownie się odwrócił i popatrzył na nią.

– Słucham?

– Christine nie zamordowała Charlotte Thomas. – Podniosła wzrok, by poważnie popatrzeć Davidowi w oczy.

– Skąd... pani wie?

– Nie zrobiła tego, bo zrobiłam to ja. Mogę to udowodnić.

otworzyła oczy. Obiecałam jej... Kochałam ją... kochałam ją jak matkę. Musiałam... – Doktor Armstrong nie była w stanie mówić dalej. Po raz pierwszy od niemal pięćdziesięciu lat płakała.

Christine puściła jej rękę i starła łzy z twarzy starszej Siostry.

– Kocham cię, Peggy – powiedziała. – Za to, co próbowałaś stworzyć.

Minęło sporo czasu, zanim doktor Armstrong znów mogła mówić.

– Po tym jak zrobię to, co powinnam, dla naszego Stowarzyszenia, pójdę do porucznika Dockerty’ego i wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć Charlotte Thomas. Uwierz mi, Christine, to naprawdę ja ją zabiłam. – Odwróciła się do Davida. – Wezmę na siebie także odpowiedzialność za śmierć Dorothy i twoich przyjaciół. Będzie chyba mniej pytań, jeśli nie pojawią się podejrzenia, że w to wszystko była wplątana więcej niż jedna osoba.

Po usłyszeniu słowa „przyjaciół” na twarzy Christine pojawił się niepokój.

– Chris, wyjaśnię ci to później – rzekł uspokajająco. – Doktor Armstrong, doceniam pani pomoc w trakcie reanimacji. W zamian za to obiecuję, że dopóki będzie pani robić to, co teraz obiecała, nie będę się wtrącał.

– Dziękuję. – Margaret Armstrong przyjrzała się chłodowi w jego oczach, po czym pochyliła się i pocałowała Christine w czoło. Po chwili już jej nie było.

David ukląkł przy łóżku. Światło migotało na łzach w oczach Christine.

– Kiedy stąd wyjdiesz, pojedziemy do jakiejś zakurzonej wioski w Meksyku – powiedział.

– A wrócimy? – W jej uśmiechu był smutek i radość.

– Wrócimy.

Zamknęła oczy. Przez chwilę zdawało się, że znów zasnęła, ale kiedy się odsunął, ujęła go za rękę.

– David, możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

– Na jakie?

– Masz w samochodzie tablice rejestracyjne z dobieranym specjalnie napisem?

John Dockerty dopił resztkę zimnej kawy i opadł głębiej w fotel. Zajęło to całą noc i pół poranka, ale Marcus Quigg pękł i podał nazwisko. Tryumf jeśli to rzeczywiście tryumf – był jednak mdły. Prawdopodobnie do końca życia będą go prześladować obrazy ukazujące przerażonego, chorego, drobnego człowieczka.

To, że za morderstwa i przekupienie nieszczęsnego aptekarza była odpowiedzialna Margaret Armstrong, czyniło sprawę jedynie gorszą. Szanował ją i – co jeszcze bardziej przygnębiało – ufał jej.

– John Dockerty, mistrzowski detektyw... – powiedział sardonicznie sam do siebie – tańczy wokół stodoły z damą, która okazuje się kolejną cholerną Ma Barker. – No, przynajmniej zdążył już powiedzieć kapitanowi (choć w bardzo zwięzłych słowach), jakim ten okazał się palantem, naciskając na aresztowanie doktora Sheltona.

Dockerty popatrzył na zegarek. Mijała prawie godzina od chwili, kiedy kapitan obiecał zdobyć nakaz aresztowania Margaret Armstrong. Potarł szpeceniaste policzki i właśnie zastanawiał się nad goleniem, kiedy zadzwonił telefon.

– Wydział śledczy, Dockerty. Tak jest, kapitanie... oczywiście... zaraz będę na dole. Oczywiście, wiem, że wyglądał na winnego. Na pańskim miejscu zrobiłbym to samo... Dziękuję, jestem na dole za pięć minut. Bęwał. – Ostatnie słowo zostało powiedziane do sygnału w słuchawce. Dockerty przeczesał palcami włosy i wstał. W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi i do gabinetu weszła Margaret Armstrong.

– Poruczniku Dockerty, mam panu coś do powiedzenia.

– Oczywiście – odparł, siadając na skraju biurka. – Też tak sędzę.

Po półgodzinie Dockerty usłyszał wystarczająco dużo, by wezwać stenografistkę. W ramach buntu zadzwonił do kapitana i spytał, czy zechciałby być obecny przy przesłuchaniu. Szef – w połowie polityk, w połowie policjant, z kruczoczarnymi włosami – słuchał w milczeniu, jak Margaret Armstrong ze spokojem przyznaje się do odpowiedzialności za zamordowanie Charlotte Thomas i Dotty Dalrymple oraz za wynajęcie zabójcy, który zamordował Bena Glassa i Josephe Rosettiego. Przed przyjazdem na komisariat starannie przygotowała całą historijkę i miała nadzieję, że Dockerty uwierzy, iż działała w pojedynkę. Niesmakiem napawała ją konieczność przedstawienia Dalrymple jako bohaterki, która musiała zginąć, ponieważ odkryła prawdę, ale jakakolwiek sugestia spisku mogłaby doprowadzić do ujawnienia Stowarzyszenia Sióstr Życia. Wiedziała, jaką granicę możliwości może mieć taki policjant jak Dockerty, poza tym wychodziła z założenia, że Dalrymple była tak samo jak ona oddana Stowarzyszeniu i jedynie obawiała się o utratę swej pozycji oraz wpływów.

Wyznanie doktor Armstrong trzymało się kupy, ale Dockerty'emu nie za bardzo podobała się niejasność, z jaką przedstawiała szczegóły. Zamierzał ją przycisnąć, lecz został szybko skarcony przez kapitana.

– Na razie starczy, poruczniku, sędzę, że pani doktor w swoim czasie uzupełni szczegóły. Jak pan widzi, jest wstrząśnięta.

Margaret Armstrong podziękowała, obdarowując kapitana spojrzeniem dającym do zrozumienia, że Dockerty jest wśród nich, ludzi o odpowiednim statucie, jedynie dodatkowym pionkiem.

Dockerty postanowił jednak spróbować szczęścia.

– Tylko jedno, pani doktor – powiedział. – Mogłaby pani dokładniej opowiedzieć, jak wynajęła pani Leonarda Vincenta?

– Zaraz panu powiem – odparła, piorunując go twardym, pańskim spojrzeniem. – Czy mógłby mnie pan przedtem zaprowadzić do toalety?

– Musi pani sekundę poczekać – odparł Dockerty. – Muszę wezwać policjantkę...

– Nonsens – przerwał kapitan. – Jak na razie doktor Armstrong o nic nie została oskarżona. Toaleta... damska jest w głębi korytarza po prawej. Nie można jej nie zauważyć.

Margaret Armstrong znów popatrzyła z wdzięcznością na kapitana, starannie poprawiła spódnicę i wyszła z pokoju.

W damskiej toalecie było jak w chlewie. „Urzędowa” mozaika z kafelków na podłodze była poplamiona i spękana, z kosza na śmieci przy umywalce wysypywały się zużyte papierowe ręczniki, w powietrzu unosił się odór moczu i środków dezynfekujących.

Margaret Donner Armstrong nie zwracała uwagi na syf. Rozejrzała się wokół, poszła prosto do kabiny, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na sedesie.

Czuła zadowolenie ze sposobu, w jaki wywiodła w pole Dockerty'ego i kapitana. Jeśli David i Christine dotrzymają słowa, Stowarzyszenie Sióstr Życia umrze z godnością. Ironia tego faktu była pocieszająca.

Po wyjściu ze szpitala poszła do domu i spełniła obietnicę. Spaliła wszystkie taśmy poza jedną. Zanim to zrobiła, przesłuchała fragmenty kilku nagrań, by przypomnieć sobie jakiś szczególny „przypadek” albo oddać cześć przyjaźni z którąś z Sióstr. Jej marzenie – największe w życiu marzenie – niemal się spełniło. Gdyby tylko Dorothy wytrzymała...

Barbara Littlejohn zgodziła się z nią w sprawie zakończenia działalności Stowarzyszenia. W trakcie ich rozmowy telefonicznej było nawet kilka momentów, kiedy jej głos zdradzał ulgę z tego powodu. Doktor Armstrong zastanawiała się, czy Barbara zareagowałaby tak samo jak Dalrymple, gdyby coś groziło jej reputacji i karierze. Najboleśniej było dla niej to, że nie miała żadnej pewności, co do reakcji Barbary albo którejkolwiek z Sióstr.

Tak więc sprawa została postanowiona. Barbara napisze listy i przeprowadzi odpowiednie rozmowy telefoniczne, potem postara się jak najlepiej poprowadzić akcje rozpoczęte przez Fundację Clintona. Kiedy odkładała słuchawkę na widełki, doktor Armstrong wiedziała, że po czterdziestu latach było po wszystkim.

Teraz siedziała na poobijanym sraczu, przyglądała się prymitywnym napisom i rysunekom na drzwiach przed nią i starała się sobie przypomnieć chwilę sprzed chyba pięćdziesięciu lat, kiedy ostatni raz znalazła się w podobnym miejscu. Wtedy była przerażona. Przerażona i zbrukana. Bała się detektywów i ich wwiercających się w jej piersi spojrzeń. Aby nie powiedzieć im tego, co chcieli usłyszeć, nauczyła się chować swe myśli w dalekie zakamarki umysłu. Godzina po godzinie opierała się ich naciskom, postanawiając w pewnym momencie, że woli zsiakać się w majtki, niż poprosić ich o pozwolenie wyjścia do toalety. W efekcie wygrała, dzięki czemu dostała szansę realizacji świętej misji, rozpoczęcia wielkiej podróży, którą prawie... prawie – dokończyła.

Teraz nadszedł czas na inną podróż.

Doktor Armstrong sięgnęła za pazuchę i wyjęła strzykawkę, do użycia której Doty Dalrymple niemal zmusiła Davida Sheltona. Przez kilka chwil obracała śmiercionośnym przedmiotem, potem podwinęła rękaw i fachowo wbiła igłę w żyłę. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Delikatnym, szczupłym palcem wcisnęła tłoczek.

Wszystko będzie dobrze, mamó... Idę do ciebie...

Epilog

Bryza, przez cały dzień ledwie mocniejsza od zefirka, nagle się wzmogła, nawiewając na nagrobki suche liście, które wirując, głośno szumiały.

Dora Dalrymple stanęła na wąskiej ścieżce, by ciasniej otulić się płaszczem. Jeśli chodziło o wyraz twarzy, wzrost, posturę, sposób zachowania i styl ubierania się, była wierną kopią zmarłej siostry bliźniaczki. Jej nieproporcjonalnie drobne stopy radziły sobie z zejściem stromym zboczem dzięki trwającemu trzy tygodnie, codziennemu przemierzaniu tej samej trasy.

Grób, ciągle jeszcze będący wzgórkami świeżej ziemi, otaczał krąg sosen. Leżący w tej samej kwaterze blok nie ociosanego marmuru wskazywał, gdzie w przyszłości znajdzie swoje miejsce. Powtarzając codzienny rytuał, wzięła metalowe krzeselko, które przyniosła w dniu pogrzebu, rozłożyła je i przysunęła tuż do ciemnej ziemi. Potem nad miejscem, gdzie powinno się znajdować serce siostry, postawiła pojedynczy kwiat.

– To chryzantema, Dotty. W kolorze rdzy. Wiem, że nie należały do twoich ulubionych, ale ta jest śliczna i tak pasuje do jesieni... – Dora przerwała, jakby słuchała odpowiedzi. – To dobrze. Podejrzewałam, że zrozumiesz. Ludzie w szpitalu są teraz dla mnie bardzo mili. Chyba nawet przestali mówić na mnie za plecami Tweedledee... tak, wiem. Myślę, że to z szacunku dla ciebie. Miałaś dziś telefon z Detroit od Fiołka i powiedziałam jej, że wyszłaś na parę godzin i ma zadzwonić później. Chyba nie... nie zdołam pociągnąć bez ciebie działalności Ogrodu. Wiem, że pomagałam i tak dalej, ale ty wszystko zaczęłaś i rozwinęłaś. Stowarzyszenie upadło. Wszystkie Siostry, włącznie z naszymi, zostały zawiadomione. Żadna z naszych dziewczyn nie chce przerywania działalności Ogrodu, ale żeby przeżyć, musimy się rozwijać. Jak mam znajdować nowe pielęgniarki? ... Może. Może masz rację. Zawsze lepiej ode mnie rozumiała ludzką naturę. Umiałam lepiej od ciebie gotować, to fakt, ale czego on dowodzi? O ile się orientuję, to jabłka i pomarańcze... Rozmawiałam dziś z panią Stevens. Twój nagrobek jest niemal gotów. Pięknie wygląda. Spodoba ci się... na pewno. ... Jak chcesz, zmieniam temat. Po prostu boję się podjąć złą decyzję. Ty zawsze byłaś taka pewna siebie, umiałaś zdecydować jak należy... Obiecujesz? ... No dobrze. W takim razie chyba cię posłucham i poproszę tę śliczną Janet, by się do mnie wprowadziła. Jesteś pewna? „Na zawsze” to kawał czasu. ... Jak uważasz. Zadzwonię dziś do Orchidei, ale pamiętaj, że obie będziemy na każdym kroku liczyć na twoją pomoc.

Po skończeniu rozmowy Dora odstawiła krzeselko i nie zwracając uwagi na mżawkę, wolnym krokiem ruszyła do samochodu.

Po powrocie do posiadłości w stylu Tudorów, którą kupiły z siostrą zaraz po rozpoczęciu działalności Ogrodu, zaparzyła dzbanek herbaty i usiadła w wielkim fotelu, który sama projektowała. Piętnaście minut później zadzwonił telefon.

– Chciałam rozmawiać z Dalią – powiedziała młoda kobieta.

– Przykro mi, ale Dalia nie może podejść do telefonu – odpowiedziała stłumionym głosem, jaki tyle razy przy podobnych rozmowach słyszała u siostry. – Jestem jej siostrą i nazywam się... Chryzantema. Jeśli chcesz, możesz mi wszystko powiedzieć.

– Hm... niech będzie – stwierdziła dość niepewnie dzwoniąca. – Już raz dziś telefonowałam. Jestem Fiołkiem i dzwonię z Detroit. Ze szpitala Saint Bart's. Mamy tu pewną sytuację, która moim zdaniem zasługuje na zbadanie.

– Mów dalej.

– Leży u nas niejaka Agnes Morgan. Jej mężem jest Carter Morgan, jeden z członków zarządu Forda. Kobieta ma dopiero czterdzieści dwa lata, ale po raz trzeci w tym roku przyjęto ją do nas na odwyk. Wieść niesie, że facet od lat próbuje się z nią rozwieść, żeby móc się ożenić ze swoją sekretarką, ale pani Morgan wymyśliła sobie, że zgodzi się, jeśli po drodze wykończy go finansowo i zniszczy mu karierę.

– Brzmi to bardzo obiecująco – odparła Dora, rysując na leżącym przed nią bloku samochód i wpisując w jego kontur symbol dolara. – Sprawdzę to i owo i odezwę się. Przez ten czas dowiedz się o nich jak najwięcej. Jeżeli dżentelmen zdecyduje się ubić z nami interes, możemy oczekiwać znaczącego zysku.

– Chyba się zdecyduje. Kiedy mogę się spodziewać telefonu?

– Jutro, pojutrze. Jak wiesz, wszystkie interesy prowadzimy w ciszy i potrzebna ci będzie wszelka niezbędna pomoc.

Odłożyła słuchawkę i wzięła do ręki oprawioną w złotą ramkę fotografię Dotty. Tak niewiele się różniły, że równie dobrze mogła trzymać w dłoni lusterko.

– A więc, kochana, działamy dalej – powiedziała i oparła zdjęcie na udach. – Nie poradzę sobie bez twojej pomocy, więc lepiej nie zapomnij o obietnicy. W końcu po to ma się siostrę, prawda?

Koniec